



# GANGSTER

Robert Muchamore



Brytyjskim podziemiem przestępczym rządzą bezwzględne gangi. Kiedy dwa z nich wszczynają wojnę o wpływy, fala przemocy zalewa ulice. Policja potrzebuje informacji, ale gangsterzy potrafią dobrze strzec swoich tajemnic. Tylko jedna osoba ma znajomości pozwalające na podjęcie próby infiltracji najbardziej niebezpiecznej grupy przestępczej ze wszystkich. To James Adams, piętnastoletni agent CHERUBA.

**CHERUB to tajna organizacja wywiadowcza, szkoląca i zatrudniająca agentów w wieku od dziesięciu do siedemnastu lat. Jest skuteczna, ponieważ kryminaliści nie przypuszczają, że mogą być szpiegowani przez dzieci.**

**Oficjalnie nieletni agenci nie istnieją.**

EGMONT

ISBN 978-83-237-3420-8



9 788323 734208

cena 29,90 zł



# **GANGSTER**

**Robert Muchamore**

**Tłumaczenie Bartłomiej Ulatowski**

**EGMONT**

Tytuł oryginalny serii: Cherub Tytuł oryginału: Mad Dogs

Copyright © 2007 Robert Muchamore

First published in Great Britain 2007

by Hodder Children's Books

[www.cherubcampus.com](http://www.cherubcampus.com)

© for the Polish edition by Egmont Polska Sp. z o.o.

Warszawa 2009

Redakcja: Agnieszka Trzeszkowska

Korekta: Anna Sidorek

Projekt typograficzny i łamanie: Mariusz Brusiewicz

Wydanie pierwsze, Warszawa 2009

Wydawnictwo Egmont Polska Sp. z o.o. ul. Dzielna 60, 01-029 Warszawa tel. 0 22 838 41 00

[www.egmont.pl/ksiazki](http://www.egmont.pl/ksiazki)

ISBN 978-83-237-3420-8

Druk: Zakład Graficzny COLONEL, Kraków

## **CZYM JEST CHERUB?**

CHERUB to komórka brytyjskiego wywiadu zatrudniająca agentów w wieku od dziesięciu do siedemnastu lat. Wszyscy cherubini są sierotami zabranymi z domów dziecka i wyszkolonymi na profesjonalnych szpiegów. Mieszkają w tajnym kampusie ukrytym na angielskiej prowincji.

## **CZY DZIECI SPRAWDZAJĄ SIĘ JAKO SZPIEDZY?**

Lepiej, niż można by sądzić. Ponieważ nikt nie podejrzewa dzieci o udział w tajnych operacjach wywiadu, uchodzi im na sucho znacznie więcej niż dorosłym.

## **KIM SĄ BOHATEROWIE?**

W kampusie CHERUBA mieszka około trzystu dzieci. Głównym bohaterem opowieści jest piętnastoletni JAMES ADAMS, ceniony agent, mający na koncie kilka udanych misji. Pochodząca z Australii DANA SMITH jest jego dziewczyną. Do grona jego najbliższych znajomych należą BRUCE NORRIS i KYLE BLUEMAN. Siostra Jamesa LAURA ADAMS ma zaledwie trzynaście lat, ale już cieszy się reputacją jednej z czołowych agentek CHERUBA. Jej najbliższymi przyjaciółmi są BETHANY PARKER oraz GREG RATHBONE, znany jako RAT.

## **PERSONEL CHERUBA**

Utrzymujący rozległe tereny, specjalistyczne instalacje treningowe oraz siedzibę łączącą funkcje szkoły, internatu i centrum dowodzenia CHERUB zatrudnia więcej dorosłych pracowników niż młodocianych agentów. Są wśród nich kucharze, ogrodnicy, nauczyciele, trenerzy, pielęgniarki, psychiatrzy i koordynatorzy misji. Szefem CHERUBA jest Zara Asker.

## **KOD KOSZULKOWY**

Rangę cherubina można rozpoznać po kolorze koszulki, jaką nosi w kampusie. Pomarańczowe są dla gości. Czerwone noszą dzieci, które mieszkają i uczą się w kampusie, ale są jeszcze za małe, by zostać agentami (minimalny wiek to dziesięć lat). Niebieskie są dla nieszczęśników przechodzących torturę studniowego szkolenia podstawowego. Szara koszulka oznacza agenta uprawnionego do udziału w operacjach. Granatowa jest nagrodą za wyjątkową skuteczność podczas akcji. Laura i James noszą koszulki czarne, przyznawane za znakomite wyniki podczas licznych operacji. Agenci, którzy zakończyli służbę, otrzymują koszulki białe, jakie nosi także część kadry.

# 1. HERCULES

Toaleta w transportowym C.5 jest ciasna nawet jak na standardy lotnicze. Oparty ramieniem o plastikową ścianę James Adams pochylał się nad stalową muszlą klozetową, obserwując strzępki własnego lunchu pływające w wodzie błękitnej od płynu odkażającego. Jego dziewczyna Dana czekała za drzwiami.

- Wszystko okej? - zawołała.

Jej głos nie zdołał jednak przedrzeć się przez ryk turbinowych silników. James wdusił przycisk spłuczki. Kiedy muszla wessała rozwodnione wymiociny, dźwignął się z kolan, wstał i podniósł zmaltretowany wzrok na lustro. Minione osiem dni spędził, obozując w malezyjskiej dżungli, i mimo regularnego stosowania kremu z filtrem przeciwsłonecznym skóra złąziła z niego płatami.

- James? - powtórzyła z niepokojem Dana, łomocząc pięścią w drzwi.

- Jeszcze sekunda!

Nachylił się nad kranem, żeby wypłukać kwaśny posmak z ust. W dozowniku nie było papierowych kubków, więc po prostu nabrał trochę wody w złożoną w miseczkę dłoń i wysiorbał ją do sucha.

- Czy ja dobrze słyszałam? Wymiotowałeś?

James zagulgotał, płuczac gardło, i wypluł wodę, zanim odkrzyknął:

- To pewnie te podłe hot dogi, które wzięliśmy na lunch.

Lunch nie miał z tym nic wspólnego i Dana dobrze o tym wiedziała.

- Wszystko będzie dobrze, James - powiedziała uspokajającym tonem.

James wytarł dłonie w nogawki wojskowych spodni i garbiąc się, wyszedł w przepastne huczące wnętrze samolotu. Drżały mu ręce, a w brzuchu kołatało nieprzyjemne przeczucie, że nie opuszcza toalety na długo.

- Nie miałam pojęcia, że masz lęk wysokości - uśmiechnęła się Dana, kładąc mu brudną dłoń na karku i całując w policzek.

- Bo nie mam - naburmuszył się James. - Sama wysokość mnie nie przeraża, ale wyskakiwanie z samolotu zapyłającego pięćset na godzinę to trochę inna bajka, nie sądzisz?

- Dziwię się, że tyle lat jesteś cherubinem i nigdy nie skakałeś. Ja miałam obowiązkowy skok na podstawówce. Zresztą skakałam i wcześniej, kiedy byłam w juniorach. Dwa razy.

- Chyba nie dam rady - wykrztusił James, stąpając chwiejnie po drżącej od wibracji metalowej podłodze gigantycznej ładowni. Od turbulencji żołądek fikał mu koziołki.

Hercules C.5 jest maszyną wielozadaniową. W operacjach transportowych można go załadować wszystkim - od paczek z żywnością po transporter opancerzony, kiedy zaś do akcji wkracza pułk spadochronowy, do podłogi przykręca się szeregi prostych foteli. W tej konfiguracji samolot może wypuścić przez boczne drzwi ładowni całą kompanię spadochroniarzy w ciągu zaledwie dziewięćdziesięciu sekund.

Tym razem zadanie nie nadwerężało możliwości samolotu; do skoku szykowało się zaledwie dwanaście osób. Ośmioro z nich było dziećmi w wieku od dziesięciu do dwunastu lat



kończącymi studniowe szkolenie podstawowe; James i Dana jako doświadczeni agenci CHERUBA pomagali przy organizowaniu ćwiczeń, szkoleniem zaś kierowali dwaj dorośli instruktorzy.

Pan Pike pełnił w CHERUBIE funkcję szefa wyszkolenia. Był twardy, ale zawsze grał fair i James darzył go wielkim szacunkiem. Mniej ciepłych uczuć żywił wobec pana Kazakowa, zatrudnionego przed niespełna miesiącem starego wiarusa, którego zdążył poznać aż za dobrze w ciągu siedmiu nocy, jakie spędził z nim w jednym namiocie.

Jak wszyscy instruktorzy CHERUBA Kazakow był oniesmielająco wielki i straszny. Z pochodzenia był Ukraińcem, miał głowę przyprószoną króciutko przystrzyżonymi szarymi włosami, a na twarzy bliznę, jakiej nie powstydziliby się Action Man. Po okresie służby w specnazie - rosyjskich sił specjalnych - i posmakowaniu prawdziwej walki w Afganistanie Kazakow przez piętnaście lat szkolił żołnierzy brytyjskiej jednostki antyterrorystycznej SAS w technikach walki partyzantkiej, po czym znalazł zatrudnienie w CHERUBIE.

- A wy gdzie się szlajacie, gołąbeczki, co? - zagrzmiął pan Pike, typiąc złowrogo na spóźnialskich i pokazując palcem zegar.

Jaskrawy wyświetlacz diodowy umocowany nad drzwiami z jednej strony ładowni ostrzegał, że już za sto osiemdziesiąt sześć sekund samolot znajdzie się dokładnie nad strefą zrzutu.

- Mały trzęsie portkami - wyjaśniła Dana.

Pike pokręcił głową.

- Nie mogę uwierzyć, że jeszcze nigdy nie skakałeś.

- Nawet nie zaczynaj... - stęknął James, który poczuł nowy przypływ paniki, widząc, że rekruci, każdy o połowę mniejsi od niego, mają już spadochrony na plecach, a na brzuchach plecaki z ekwipunkiem.

Niektórzy byli tak drobni, że zrolowane koce przytroczone nad plecakami niemal całkowicie zastaniały im widok do przodu.

Pan Kazakow przeprowadzał inspekcję, sprawdzając kaski, dociągając pasy uprząży i rzucając obelgi, jeżeli dopatrzył się jakichkolwiek uchybień. W tamtej akurat chwili zajmował się Kevinem Sumnerem, dziesięcioletkiem, któremu kilka miesięcy wcześniej James jak na ironię pomagał przezwyciężyć lęk wysokości.

- Co to ma być, Sumner? - warknął złowrogo na widok niezbędniaka wypychającego materiał plecaka na piersi Kevina. Kazakow rozpiął plecak, wyłubał ze środka metalowy przedmiot i zamachał nim chłopcu przed oczami. - Mówiłem wam, żeby ostre przedmioty zawijać w coś miękkiego. Chciałbyś na tym wylądować? Chciałbyś znaleźć się na brzegu wyspy, godzinę drogi łodzią do najbliższego ambulatorium, z tym czymś sterczącym ci spomiędzy żeber?

James zarzucił sobie spadochron na plecy.

- Nie, sir - odpowiedział potulnie Kevin.

- Nie ma czasu na przepakowywanie! - krzyknął Kazakow, po czym cisnął niezbędniak w głąb ładowni, posyłając w ślad za nim potok rosyjskich przekleństw. - Skaczesz bez tego, Sumner. Przypomnisz sobie tę lekcję za każdym razem, kiedy będziesz musiał jeść palcami.

W przeciwieństwie do rekrutów James nie musiał dźwigać plecaka, ponieważ rzeczy instruktorów miały zostać dostarczone łodzią.

- Sto dwadzieścia sekund - oznajmił pan Pike. - Przypinać się, ludziska!

Podczas gdy Dana szeptała coś Pike'owi do ucha, ośmioro rekrutów utworzyło szereg i zabrało się do przypinania karabińczyków lin desantowych spadochronów do naprężonej stalowej linki biegnącej im nad głowami. Wszyscy mieli wykonać tak zwany skok na linę, przy którym szarpnięcie liny desantowej

otwiera spadochron skoczka automatycznie zaraz po opuszczeniu przezeń samolotu.

Kiedy odliczanie zeszło poniżej stu sekund, pan Kazakow i Dana ruszyli w stronę Jamesa, który zapiął już kask, ale wciąż mocował się z uprzężą, nie mogąc jej dopasować.

- Ciapciak - parsknął Kazakow, opryskując Jamesa śliną. - Jesteś do niczego. Miałeś nam pomagać, a nie przeszkadzać.

Kazakow złapał pasy uprząży i jednym ruchem ściągnął je tak mocno, że łopatki Jamesa prawie zetknęły się ze sobą. Jamesowi zaburczało w żołądku. Olbrzymi Rosjanin zmierzył go groźnym spojrzeniem.

- Ja nie dam rady - powiedział James słabym głosem. - Za bardzo mnie wzięło i ja chyba...

- Panie Kazakow - przerwała Dana. - Rozmawiałam o Jamesie z Pikiem i zmieniliśmy kolejność skoków. James skacze przede mną, żebym mogła trochę go zmotywować, jakby miał dać ciała.

Kazakow spojrzał tak, jakby chciał spopielić Jamesa wzrokiem.

- Nie dzielę mojego namiotu z tchórzami. Albo skoczysz, albo dziś śpisz na dworze z pajakami i węzami.

- Nie jestem rekrutem - powiedział James urażonym tonem. - Nie będzie pan mną pomiatał.

- Pan skacze szósty - pospieszenie wtrąciła Dana, popychając Kazakowa w stronę juniorów przy drzwiach. - Ja się nim zajmę. Lepiej niech się pan już przypnie.

Zabrzmiało ostrzegawczy brzęczyk, kiedy pan Pike zaczął otwierać drzwi desantowe, napełniając mroczną czeluść kadłuba słonecznym blaskiem. Odliczanie zeszło poniżej sześćdziesięciu sekund i cyfry na zegarze zaczęły miarowo migotać.

- Czuję się jak palant - wyznał James, zerkając ponuro na rekrutów. - Niektórzy z nich mają po dziesięć lat.

- Skup się - powiedziała Dana, ściskając palce Jamesa ocieplone rękawicami. - Przeszedłeś wszystkie potrzebne szkolenia i dasz sobie radę. A teraz uspokój się. Oddychaj głęboko.

- Hej wy, podczepiać się. Osiemnaście sekund - zawołał pan Pike ze swojego miejsca obok drzwi.

James poczuł, że żołądek skręca mu się w supeł. Dana pociągnęła go w stronę rekrutów stojących rzędem pod ścianą ładowni. Juniorzy mieli nietęgę miny, ale żaden z nich nie złapał tak żalostnej fazy jak James.

- Powodzenia, dzieciaki! - krzyknął Kazakow. - Pamiętajcie: trzy elefanty, sprawdzić czasę i sterować delikatnie, jeśli któregoś zniesie za blisko drugiego.

James i Dana zaczęli karabińczyki swoich lin desantowych na stalowej lince rozpiętej wzdłuż ładowni. W tej samej chwili głośnik za nimi ryknął komunikatem na tyle głośnym, by dotarł do wszystkich poprzez ryk silników i szum wiatru.

- Tu drugi pilot. Nawigator potwierdza, że jesteśmy nad strefą zrzutu. Wiatr dziewięć węzłów z północnego wschodu, co daje nam okno zrzutu na pięćdziesiąt osiem sekund od chwili zero. Na mój znak.

James spojrzął ponad kaskami rekrutów na zegar, który zaczął błyskać trzema zerami. Dwadzieścia centymetrów przed nim stał jedenastoletni chłopiec, a tuż za sobą miał Danę, której krzepiąca dłoń ściskała go za ramię; mimo to czuł się przeżliwie samotny.

Miał wielką ochotę zrzucić spadochron z pleców i pognać z powrotem do toalety. Z drugiej strony był doskonale świadomy, jakie cięgi zebrałby po powrocie do kampusu, gdyby to zrobił. Uspokajał się myślą, że jeśli weźmie się w garść, za niecałe dwie minuty będzie na ziemi, mając za sobą cały ten koszmar.

- Zero! - oznajmił drugi pilot.

Zegar zapłonął zielonym światłem.

- Wypad! Ruchy, ruchy! - ponaglał juniorów pan Pike. Aby jak największa grupa rekrutów opuściła samolot bez zakłóceń, najmniej wystraszonych - głównie tych, którzy już kiedyś skakali ze spadochronem - ustawiono na początku. Kiedy tylko jeden skoczek znalazł się na zewnątrz, następny zajmował jego miejsce, przykucając z palcami stóp wysuniętymi za próg. Po odczekaniu dwóch sekund potrzebnych do zachowania bezpiecznej odległości w powietrzu nadchodziła jego kolej, by rzucić się w otchłań.

Niespełna czterosekundowe przerwy między skokami przemieniły czekanie w kolejce w powolny marsz. Ilekroć rekrut przykucał w drzwiach samolotu, James modlił się, by malec stchórzył i zablokował wyjście. Miał nadzieję, że zanim nadejdzie jego kolej, samolot wyjdzie ze strefy zrzutu. Jednak rekruci przetrwali już dziewięćdziesiąt sześć dni koszmaru, by zostać pełnoprawnymi agentami CHERUBA. Zmaltretowani, głodni i wycieńczeni zainwestowali w swoje marzenia zbyt wiele, by tuż przed metą dać się pokonać zwykłemu strachowi.

James stanął w drzwiach desantowych i zmrużył oczy przed blaskiem słońca. Ubranie na nim furkotało wściekle, targane lodowatym wichrem. Na dwadzieścia dwie sekundy przed zamknięciem okna zrzutu przykucnął i spojrzał w dół.

Zakreśliło mu się w głowie. Lecieli poniżej podstawy chmur i pomarańczowa czasza poprzedniego skoczka właśnie rozkwitała wysoko ponad siedmiokilometrowym pasem złotego piasku.

- Rusz swój tłusty tyłek, James! - krzyknął ze złością pan Pike. - Siedemnaście sekund. Już!

Jamesa wmurowało w podłogę. Czuł się, jakby miał jednocześnie wypróżnić się i zwiątować. W nagłym ataku paniki sięgnął do poręczy przy drzwiach, ale zanim zdążył ją

chwycić, Dana odtrąciła jego rękę i grzotnęła otwartą dłonią w spadochron, wypychając go w błękitny przestwór.

- Cykor - zadrwiła, wymieniając lekceważące uśmiechy z panem Pikiem i zajmując miejsce Jamesa w otwartych drzwiach.

James spadał twarzą w dół w stronę złocistej plaży. Sytuacja, w jakiej się znalazł, przerastała jego zdolność pojmowania. Łopoczące od pędu nogawki chłostały go po łydkach, a wdzierający się pod kask wicher boleśnie ścisnął mu żuchwę paskiem. Było strasznie i cudownie zarazem. Ze wszystkich chwil w życiu Jamesa ta krótka sekunda swobodnego lotu pięćset metrów nad ziemią była zdecydowanie najdłuższa.

Zaskoczony popchnięciem zapomniał o odliczeniu trzech elefantów, ale odruchy, świeżo nabyte podczas skróconego szkolenia poprzedniego dnia, włączyły mu się automatycznie, kiedy tylko poczuł szarpnięcie - gdy lina łącząca go z samolotem wyrwała spadochron z pokrowca i oderwawszy sznur zrywny, odfrunęła w górę.

- Sprawdzić czaszę! - krzyknął James sam do siebie.

Przy pierwszym spojrzeniu w górę oczy poraził mu gorący blask, ale dwie sekundy później słońce zniknęło za rozkwitającym grzybem z pomarańczowego nylonu. Gdyby czasza się nie wypełniła, James miałby mniej niż pięć sekund na otwarcie spadochronu zapasowego, ale ponieważ wszystko wydawało się w porządku, przeszedł do następnego punktu programu.

- Odstęp!

Oślepiające słońce przemieniło plażę poniżej w rozjarzony pas bieli. James wyteżył wzrok i odetchnął, widząc spadochron poprzedniego skoczka setki metrów dalej. Czasza spadochronu zasłaniała widok u góry, dlatego zasada mówiła, że każdy martwi się tylko o tych pod sobą.

- Sprawdzić dryf! - zawołał James, zachłystując się pędem powietrza i nagle zdając sobie sprawę, że twardy grunt przybliża się alarmująco szybko.

Wiatr był słaby, a lądowisko olbrzymie, więc nie było potrzeby korygowania toru lotu. James nie musiał nawet dotykać taśm, co przyjął z ogromną ulgą, ponieważ podczas szkolenia naziemnego nie sposób nabrać wyczucia w kierowaniu spadochronem, a najczęstszą przyczyną wypadków wśród niedoświadczonych skoczków jest zbyt gwałtowne sterowanie tuż przed przyziemieniem.

Ostatnia część szkolenia dotyczyła samego lądowania: przed przyziemieniem należało ustawić się pod wiatr i mocno ścisnąć stopy i kolana. W razie złego ustawienia bezwładność ciągnie skoczka w jedną stronę, a spadochron w drugą, co grozi połamaniem kości.

James wpadł w panikę, kiedy spojrzawszy w dół, zobaczył błyskawicznie rosnącego mu w oczach kraba wielkości sporego talerza. W głowie miał pustkę; nie pamiętał, skąd wieje wiatr ani nawet w którą stronę szybuje.

Mógł tylko ścisnąć stopy i mieć nadzieję, że przeżyje.

## 2. ŚNIEG

Latem 2004 roku operacja CHERUBA pomogła w schwytaniu barona kokainowego Keitha Moore'a i rozbiciu jego gangu znanego jako GKM. Organizacja ta przez wiele lat utrzymywała swego rodzaju porządek w przestępczym półświatku na obszarze rozciągającym się od północnych przedmieść Londynu po Oxfordshire.

Choć GKM zajmowała się wyłącznie handlem kokainą, zarobione na tym procederze pieniądze pozwoliły partnerom organizacji na rozwinięcie przestępczej działalności także na innych polach. Wspólnicy Moore'a zajmowali się wszelkimi odmianami gangsterki - od organizowania nielegalnych rave'ów po rozboje.

Kiedy ponad tuzin najważniejszych postaci w GKM znalazło się za kratkami, wytworzyła się próżnia władzy, która dała początek krwawej wojnie gangów. Obecnie na terytorium niegdyś kontrolowanym przez GKM działa co najmniej pięć dużych gangów. Żaden z nich nie opanował znaczącego obszaru, ale największy strach wzbudzają Rzeźnicy z Luton (nazywani tak z powodu zwyczaju szlachtowania wrogów maczetami). Policja szacuje, że gang liczy około osiemdziesięciu członków.

Rzeźnicy to przeważnie osoby jamajskiego pochodzenia, a ich przywódców podejrzewa się o bliskie związki z jamajskimi gangami wykorzystującymi swoją wyspę jako punkt przerzutowy



na trasie przemytu narkotyków z Ameryki Południowej. (...)

Operacja infiltracji i rozbicia gangu Rzeźników będzie wymagała udziału dwojga agentów CHERUBA o afrokaraibskiej aparacji.

Operację zakwalifikowano do grupy działań WYSOKIEGO RYZYKA. (...)

(Wyjątki z wprowadzenia do zadania dla Gabrielli O'Brien i Michaela Hendry'ego, styczeń 2007).

Bedfordshire Halfway House, przytułek dla nieletnich powszechnie znany jako Zoo, mieścił się w pobliżu centrum Luton. Zbudowany w latach osiemdziesiątych, od chwili otwarcia był konsekwentnie demolowany i pokrywany graffiti przez kolejne pokolenia młodocianych przestępców i młodzieży zbyt trudnej, by żyć w rodzinach zastępczych.

Powiedzieć, że Zoo ma nie najlepszą reputację, to jak stwierdzić, że przejechanie przez osiemnastokolową ciężarówkę spowoduje ból głowy. Mury ośrodka były świadkami najgroźniejszych skandali, od nastolatków w ciąży, przez dzieciaki szlachtujące się nożami pod natryskami, po przypadek, kiedy dwie pijane dziewczyny omal nie zabiły rowerzysty, spuszczając mu na głowę dachówkę.

Zoo odejmowało pięćdziesiąt tysięcy funtów z wartości każdego domu w okolicy i jedynym powodem, dla którego jeszcze go nie zamknięto, były fale protestów podnoszące się, ilekroć radni znaleźli skrawek ziemi, na którym można by zbudować nowy przytułek.

A jednak mimo spędzenia w tym przybytku rozpaczliwych dwóch długich miesięcy, sypania na materacu cuchnącym Bóg wie czym i znoszenia dzikich wrzasków rozhułanej młodzieży przez dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu Gabriella była szczęśliwa. W święta skończyła piętnaście

lat, a przed Nowym Rokiem się zakochała.

Michael Hendry był granatowym cherubinem i pierwszym prawdziwym chłopakiem Gabrielli. Chodzili ze sobą od sześciu miesięcy. Na początku ich związek był cokolwiek zrutyinizowany: kręgle, kino, ewentualnie zakupy, a potem całowanie się w pokoju Michaela. Właśnie to robiły z chłopakami Kerry i inne dziewczęta, a Gab dołączyła do nich w zasadzie tylko z ciekawości i chęci dopasowania się.

Jednak wkrótce Michael i Gabriella stali się najbardziej zżytą parą w kampusie. Ich przyjaciele czuli się odrąceni, ale młodzi zakochani nie zwracali na to uwagi, a odosobnienie na wspólnej misji jeszcze bardziej podsyciło żar świeżej miłości.

Był czwartek, tuż po dziesiątej. Większość dzieciaków z Zoo powinna być w szkole, ale ponieważ nauczyciele lubią trzymać się z dala od trudnej młodzieży i jej problemów, w co najmniej sześciu sypialniach na trzecim piętrze znajdował się ktoś, kogo zawieszono, wyrzucono ze szkoły albo kto po prostu nie miał ochoty zwlec się z łóżka.

Współlokatorka Gabrielli Tisza należała do tej garstki mieszkańców domu, którzy spakowali książki do torby i poszli do szkoły. Gabrielli to odpowiadało, ponieważ dzięki temu mogła wezwać Michaela z piętra dla chłopców i spędzić z nim upojne dwie godziny na pieszczotach i całowaniu pod swoją fiołkową kołdrą.

- Nie odbieraj - błagał Michael, kiedy rozdzwonił się jej telefon.

Ale Gabriella sięgnęła na oślep za łóżko i zgarnęła komórkę z podłogi pokrytej płytkami PCW Spodziewała się, że to jej koordynatorka Chloe Blake, i uniosła brwi ze zdumienia, widząc nazwisko na wyświetlaczu.

- To Major Dee.

Michael usiadł gwałtownie na łóżku. Jego śniady tors błyszczał od potu.

- Poważnie? W życiu nie widziałem, żeby choć kiwnął palcem przed lunchem.

- Major? - powiedziała Gabriella z wyraźną jamajską nutą w głosie.

Po wstąpieniu do CHERUBA wstydziła się nieco własnej powierzchowności i stonowała swój akcent, ale jej karaibskie korzenie były bardzo pomocne podczas tej misji i Gabriella odnalazła dawny akcent z zaskakującą łatwością.

- No cześć, mała - zamruczał Major Dee. - Może opowiesz mi, co masz na sobie? Zdradzisz mi kolor swoich majteczek?

Major Dee był przywódcą Rzeźników, wysokim mężczyzną o złotych zębach i paskudnej reputacji. W jego świecie kobiety miały tylko dwa przywileje - prawo do stania przy garach i rodzenia dzieci. Gabriella musiała pracować dziesięć razy ciężiej niż Michael, żeby dowieść swojej wartości, ale nawet teraz Dee traktował ją z brakiem szacunku, jakim każdy chłopiec z kampusu w mgnieniu oka zarobiłby na własne zęby w garści.

- Moje majtki to moja sprawa - oznajmiła Gabriella, mówiąc takim tonem, jakby uważała jego bezczelność za zabawną. - Jak dzwonisz do mnie tak wcześnie, to lepiej, żeby stał za tym jakiś chlebek.

- Płacę pół pajdy - powiedział Major, mając na myśli pięćdziesiąt funtów. - Jest Michael?

- We własnej osobie - skinęła głową Gabriella.

- Jeden gościu chce kupić całą kilówkę. Wy macie tylko wziąć jedną paczkę z parku i dostarczyć na miejsce.

- Jesteś w domu?

- Ja tak, ale wasz człowiek będzie w Zielonej Papryce.

Gabriella była zaskoczona tą częścią polecenia. Klub Zielona Papryka był przytuliskiem dilerów, często znajdującym się

na celowniku policji. Pod stolikami przechodziły z rąk do rąk niewielkie ilości kokainy i marihuany, ale grube ryby, takie jak Major Dee, przychodziły tam tylko po to, by pokręcić się w towarzystwie i napęlić brzuchy najlepszym jamajskim żarciem w Luton.

- Mam zanieść kilo koki do Zielonej Papryki? Nafukałeś się?

Gabriella usłyszała niecierpliwe cmoknięcie, a potem Dee stracił zimną krew.

- Słuchaj, głupia dziewucho! - wycodził przez zaciśnięte zęby. - Nic tylko zgrywasz twardzielkę i marudzisz, że chcesz zarobić. Nie chcę stu pytań, bo to nie jest pieprzony teleturniej, tylko zrobisz, co ci każę, albo się rozłączam i nie pokazuj mi się więcej na oczy.

- Dobra, dobra, wchodzę w to - nadała się Gabriella. - Mówię tylko, że to śmierdzi.

- Wiem, że dil jest podejrzany, i dlatego potrzebuję dziewczyny. Gliniarze mają gładkie mózgi; pomyślą, że jesteś czyjąś suczką.

- Jak wygląda braciszek?

- Co za braciszek?

Gabriella jęknęła. Dee na pewno był ujarany.

- Facet, z którym mam się spotkać. Chyba że mam wręczyć wielką torbę koki pierwszemu koleśowi, jaki się napatoczy.

Major Dee nagle stracił rezon.

- Nno... Po prostu zanieś towar do Zielonej Papryki. Ktoś będzie na ciebie czekał.

Połączenie przerwano, a Gabriella obejrzała się na Michaela.

- Dostawa? - zapytał chłopak.

Skinęła głową.

- Ale to dziwne. Chce, żebym poszła do Papryki z całym kilogramem koki.

- Powaliło go?

- Uważa, że policja nie będzie mnie podejrzewać, bo jestem dziewczyną. Coś tu nie gra. Może policjanci to żadni geniusze, ale myślę, że koncepcja dziewczyny dilerka nie przekracza ich zdolności pojmowania.

- Pewnie jest naspawany - rozumował Michael. - Znając Dee, wypalił już ze dwadzieścia jointów i jeszcze nawet nie spał.

- Jeśli mnie aresztują, to położę misję.

Gabriella zaczęła naciągać koszulkę na głowę. Michael zamyslił się.

- Zrobimy tak, Gab - powiedział po chwili. - Weźmiemy kokę z parku, ale potem zadzwonisz do Dee i powiesz, że dookoła Zielonej Papryki krąży samochód policyjny i że spotkanie trzeba wyznaczyć gdzieś indziej. Nie zaryzykuje utraty kilograma kokainy bez względu na to, jak bardzo jest napruty.

- Zawsze to jakiś plan. - Gabriella pokiwała powoli głową, po czym pocałowała Michała w ramię i potarła go nosem w szyję. - Ale mówię ci, nie podoba mi się to ani trochę.

### 3. PLAŻA

James otworzył oczy i ujrzał kraba zadziornie poruszającego pancernymi szczypcami. Skończyło się na demonstracji siły, po której skorupiak czmychnął w stronę płytkiej sadzawki. Ziemia była w tej chwili najlepszą przyjaciółką Jamesa. Chciał ją przytulić, uścisnąć, ale najpierw musiał uwolnić się od spadochronu, zanim złapie go wiatr.

Przetoczył się na brzuch, stwierdzając z ulgą, że nic go nie boli. Uniósł głowę, żeby spojrzeć nad piaszczystą płaszczyzną, i uderzył go widok niczym wyjęty z reklamy napojów gazowanych: palmy, błękitne niebo i pomarańczowe spadochrony wzdymające się w ciepłej bryzie.

Dana wykonała idealne lądowanie trzy sekundy po Jamesie i właśnie do niego biegła. Strój spadochroniarza nie należy do podkreślających kobiecą urodę, ale i tak wyglądała świetnie z powiewającymi za nią długimi włosami.

- No i jak poszło? - zapytała z filuternym uśmiechem na twarzy.

James wysliznął się z upręży i zaczął odpinać kask. Nie był pewien, jak się zachować. Uwielbiał Danę i teraz, kiedy skok miał już za sobą, czuł się całkiem nieźle, jednak to, że jego dziewczyna wypchnęła go z samolotu, było trudne do zignorowania.

- Ty... - Pokręcił głową.

- Jesteś cały czy nie? - zapytała Dana, biorąc się pod boki.

- Szkoda, że nie widziałaś, jaki wielki krab chciał mnie napaść - uśmiechnął się James, wskazując placem połyskujące błękitem bajorko. - Ale go przegoniłem.

- Widziałam, jak leżysz; pomyślałam, że coś ci się mogło stać. - Mówiąc to, Dana przysunęła się bliżej do Jamesa, by pocałować go w policzek. Nie była pewna, jak zareaguje.

- Było całkiem fajnie. - James wzruszył ramionami, nie wyglądając jednak tak nonszalancko, jak by chciał. - Chyba skopałem lądowanie, ale myślę, że mógłbym to kiedyś powtórzyć.

- Tak, oczywiście. - Dana uśmiechnęła się drwiąco i cofnęła o krok. - Skoro nic ci nie jest, to pójde spakować spadochron.

James wyszczerzył się w uśmiechu, przyklękając na jedno kolano w piasku i zagarniając dłońmi fale szeleszczącej materii. Wyobraził sobie siebie za pięćdziesiąt lat: starszego jego-nością otoczonego dziećmi i wnukami, opowiadającego im o dniu, w którym przyszła żona wypchnęła go z samolotu...

Skoczkowie zwiłali swoje spadochrony w miejscach lądowania rozstrzelonych w mniej więcej stumetrowych odstępach. Kiedy sprzęt Jamesa był już w połowie spakowany, krótkofalówka w kieszeni jego spodni odezwała się podwójnym piśnięciem.

- Tak? - powiedział James do mikrofonu.

Pan Pike mówił urywanie, jakby biegł.

- James, Dana, jestem już na ziemi, ale rozejrzałem się przez lornetkę. Kilkaset metrów przed wami widzę spadochron, przy którym nic się nie dzieje. Zostawcie sprzęt i biegnijcie tam natychmiast.

Kiedy James po raz pierwszy rozejrzał się wokół, wszystkie spadochrony wyglądały mniej więcej jednakowo. Teraz tylko jeden wzdymał się niepokojąco przyszpilony do ziemi ciężarem rekruta.

James wystrzelił jak z procy, kątem oka dostrzegając, że Dana również zrywa się do biegu. Zapalona trójboistka minęła go w piaskowej chmurze, jeszcze zanim pokonał połowę drogi do nieruchomego skoczka.

Dana przypadła do dziesięcioletniej dziewczynki zaplątanej w linki i pomarańczowy nylon.

- Jo, kochanie, co się stało?

James dobiegł na miejsce, Dana odślaniała rekrutkę, odsuwając na bok warstwy materiału. Na początku sądziła, że Jo McGowan jest nieprzytomna, ale ta była tylko w lekkim szoku. James skrzywił się i syknął na widok buta Jo wykrzywionego pod nienaturalnym kątem. Dziewczynka złamała nogę.

- Co się stało? - wysapał pan Pike, zatrzymując się obok Jamesa.

James kopnął bryłę zbrojonego betonu na wpół zasypaną piaskiem.

- Zdaje się, że trafiła na to i wykręciło jej stopę.

Pan Pike potrząsnął głową, spoglądając w dal na hektary równego piasku.

- Sprawdzaliśmy tę plażę - powiedział z goryczą. - Była jedna szansa na milion, że zdarzy się coś takiego.

Wszystko wskazywało na to, że jeśli nie liczyć kostki, Jo nic nie dolega, ale Dana nie chciała jej ruszać, dopóki się nie upewni. Na początek rozłożyła zębate ostrze swojego multinarzędzia i odcięła uprząż spadochronu od ud i ramion dziewczynki.

- Boli cię gdzieś jeszcze? - zapytała.

Jo potrząsnęła głową, próbując usiąść.

- Może to tylko zwichnięcie - powiedziała cicho, pociągając nosem. - Może dam radę rozchodzić...

Ale widok własnej wykręconej stopy pozbawił ją wszelkich złudzeń. Jo była ujmująco ładna ze swoimi długimi czarnymi włosami i Jamesowi przykro było patrzeć, jak pęka jej serce.



Po dziewięćdziesięciu sześciu dniach szkolenia była zdruzgotana.

Jo była silną i bystrą dziewczyną, urodzoną przywódczynią, przed skokiem pewną, że bez problemu przejdzie szkolenie podstawowe. Pokonały ją szczątki wyrzucone na brzeg przez ostatni przypływ. Wznawianie szkolenia w miejscu jego przerwania nie było dozwolone i po rekonwalescencji dziesięcioletka będzie musiała zacząć wszystko od początku. Dana przytuliła ją i próbowała podnieść na duchu, przypominając, że jest jeszcze bardzo młoda i że nikt nie będzie jej winił, ale prawda była taka, że przyszłość Jo właśnie legła w gruzach i nie istniał żaden sposób, by ją pocieszyć.

Tymczasem pan Pike grzebał w plecaku Jo, wyrzucając ekwipunek na piach, aż znalazł czerwoną paczuszkę z zestawem pierwszej pomocy.

- Musimy zdjąć ten but, zanim spuchnie ci kostka - wyjaśnił, wysuwając z torebki strzykawkę ze środkiem znieczulającym miejscowo. - To może boleć, więc najpierw cię znieczulę.

Kontuzja Jo, choć poważna, była całkowicie wyleczalna. Pan Pike, od kiedy odzyskał panowanie nad sytuacją, mówił znacznie spokojniejszym tonem. Wprawnymi ruchami wyciął fragment nogawki Jo, odkaził alkoholem odsłonięty spłachetek skóry, po czym polecił dziewczynie odwrócić się i wepchnął jej igłę w nogę.

- Chwilę potrwa, zanim zadziała, ale potem będzie ci znacznie lepiej - zapewnił.

Tymczasem pan Kazakow i pozostali rekruci złożyli swoje spadochrony i zbierali się na miejscu wypadku, żeby zobaczyć, co się dzieje. Dzieciaki kręcili głowami i cmokały nad nogą Jo, aż Pike stracił cierpliwość.

- Czy wy przypadkiem nie macie rozkazów i spotkania w punkcie zbornym o dwudziestej pierwszej? - zawołał gniewnie.

- Ćwiczenie nie kończy się tylko dlatego, że jedno z was jest ranne. Kto nie dotrze na miejsce przed dwudziestą drugą, ten nie dostanie kolacji, zatem stanowczo zalecam, żebyście przygotowali sprzęt i wyruszyli w stronę waszych pierwszych punktów kontrolnych. Panie Kazakow, proszę zorganizować zbiórkę spadochronów i kombinezonów, a potem przenieść je na łódź i przygotować do transportu na stały ląd.

Podczas gdy Dana wciąż pocieszała Jo, a pan Pike zabrał się do rozwiązywania jej buta, wszyscy rekruci z wyjątkiem Kevina Sumnera zaczęli zdejmować grube kombinezony spadochronowe, odstawiając opaloną skórę i lekkie wojskowe stroje tropikalne.

- Sumner, czego tak sterczysz?! - wrzasnął pan Kazakow, przybliżając się do chłopca i mierząc go surowym spojrzeniem. - Wkurzasz mnie dziś jak jasna cholera. Jeszcze chwila i skończysz z moim butem w tyłku.

James nie był zachwycony sposobem, w jaki Kazakow potraktował Kevina, i stanął w obronie chłopca.

- Jo jest jego partnerką - wyjaśnił. - Ich instrukcje są w różnych językach. Kevin sam nie wykona zadania, bo nie jest w stanie odczytać planu Jo.

Kazakow miał niewielkie doświadczenie jako instruktor i zamilkł z nieco zakłopotaną miną. Do rozmowy wtrącił się pan Pike.

- Masz ochotę na leśną wędrownkę, James?

Żaden cherubin w historii nigdy nie miał ochoty na wędrownkę po dżungli, ale trasę zaplanowano dla dwójga dzieci w wieku od dziesięciu do dwunastu lat, niosących ciężkie plecaki. James miał piętnaście lat, więc ćwiczenie mieściło się w granicach jego możliwości.

- Czemu nie? - Wzruszył ramionami. - Ale nie zamierzam tułać się po dżungli z jakimś durnym planem nabazgranym hieroglifami. Chcę mój GPS z łodzi i współrzędne.

Kazakow się najeżył.

- Kevin musi podjąć wyzwanie. To byłoby nie fair wobec pozostałych.

James wskazał palcem Jo.

- A od kiedy to szkolenie podstawowe jest fair? Albo wiesz co, Kazakow, ja zostanę i spakuję spadochrony, a ty możesz zrobić te dwadzieścia kilosów po swojemu.

Świeżo mianowanemu instruktorowi ten pomysł nie spodobał się ani trochę.

- To jak? Nie bardzo? - drążył James.

Podczas gdy James i Kazakow mierzyli się wzrokiem, Kevin opróżnił plecak swojej byłej partnerki. Zabrał wszystkie jej racje żywnościowe, trochę wspólnego wyposażenia, a na koniec niezbednik. Pakując rzeczy, spojrzał na Jo z miną winowajcy.

- Czuję się jak sęp ogryzający twoje kości.

Pomimo bólu Jo zdobyła się na zachęcający uśmiech.

- Musisz iść dalej, Kev. Naprawdę mam nadzieję, że wytrzymasz. Zasłużyłeś na szarą koszulkę.

Kevin ujął brudną dłoń Jo i ścisnął ją, hamując łzy.

- A ty nie zasłużyłaś na taki koniec. Pomogłaś mi chyba z milion razy. Nie byłoby mnie tutaj, gdyby...

Pan Kazakow mocno szturchnął Kevina w plecy.

- Ruszaj się - zawarczał. - Zdejmuj ten kombinezon, zanim go całkiem zaślinisz.

- Lepiej się zbieraj, Kev - powiedziała Jo. - I nie martw się, James idzie z tobą, więc wszystko dobrze się skończy.

James przyjaźnie kiwnął Kevinowi głową.

- Tylko napełnię manierkę i skompletuję sprzęt - powiedział. - Pożegnaj się i spotykamy się przy tamtej wydmy za pięć minut.

James odwrócił się, by ujrzyć pozostałe trzy pary rekrutów smarujących się kremem z filtrem przeciwsłonecznym i wyrzucających z plecaków niepotrzebne rzeczy w ramach przygotowań

do czterogodzinnego marszu w tropikalnym skwarze. W zamyśleniu ruszył truchtem w stronę motorówki z bagażami. Nie-wielką łódź zacumowano podczas przyływu i teraz leżała na piasku kilkaset metrów od wody, przypominając wielką śniętą rybę.

James nienawidził pracy szkolnej i zgodził się pomóc wydziałowi szkoleniowemu, żeby nie musieć uczyć się do małej matury z dodatkowych przedmiotów. Taki układ mu odpowiadał, nawet jeśli nie zawsze zapewniał mu popularność wśród juniorów, których trenował. Jednak w ciągu czterech miesięcy pracy z instruktorami James stopniowo doszedł do przekonania, że brakuje mu owej żyłki okrucieństwa, która potrzebna jest każdemu dobremu trenerowi.

Kiedy wspiał się na drewnianą burtę kadłuba i zaczął rozglądać za swoim plecakiem, ukrytym wśród kartonów z wyposażeniem i konserwami, nagle przypomniał sobie zapłakanych Jo i Kevina siedzących na piasku ze splecionymi dłońmi, i oczy zaszyły mu łzami.

## 4. PARK

Owen Campbell- Moore, zwałisty Jamajczyk o głowie obwieszanej imponującymi dredami, pracował jako dozorca parku sportowego kilka kilometrów od Zoo. Gabriella i Michael znaleźli go relaksującego się na plażowym leżaku w swoim kantorku, z nogami w skarpetkach opartymi o samojezdną kosiarkę.

W powietrzu czuć było wilgoć wymieszaną z zapachem świeżo skoszonej trawy i wyczewami przenośnego piecyka gazowego.

- Jak się dziś mają moje słodkie gołąbeczki? - zaryczał radośnie Owen, odrywając plecy od leżaka, by przybić żółwika z Michaielem.

- W porządku - kiwnął głową Michael, a Gabriella wzruszyła ramionami.

- Jak wam się żyje w zoologu? - zapytał Owen, opadając z powrotem na leżak.

Sam mieszkał tam jeszcze przed dwunastu laty i nigdy nie przepuszczał okazji, by zadać to pytanie.

- Zajekurdebiście, a jak myślisz? - Gabriella uśmiechnęła się krzywo. - Jak dwie noce temu dziewczyna pocięła się w łazience, to do tej pory nie posprzątała.

Owen ze świstem wciągnął powietrze.

- To mój stary dom, wiecie? Tęsknię - wyznał, markotniejąc, ale już po chwili parsknął śmiechem. - A wy po kilóweczkę,

tak? Wiecie, myślałem, że się przewrócę, kiedy Major zadzwonił tak wcześnie.

- My też - skinął głową Michael, podczas gdy Owen wsunął stopy w ubłocone robocze buty i wstał, nie zwracając sobie głowy wiązaniem sznurowadeł. Jego ogromna wełniana czapa rozpląszczyła się na falistej blasze dachu.

Na dłonie włożył rękawice ogrodowe, z ogromnej puszkii po kawie wyłowił pęk kluczy, po czym wyszedł z kantorka i rozkołysanym krokiem ruszył przez boisko w stronę budynku męskiej szatni. Owen nosił džinsy nisko, odsłaniając gumkę boksera, ale był to styl młodych, który w jego wydaniu raził.

Gabriella weszła za Owenem i Michaeliem do szatni wyłożonej kafelkami. Spojrzała na podłogę pokrytą plamami zaschniętego błota z odcisniętymi podeszwami piłkarskich korek, obrzuciła przelotnym spojrzeniem rzędy wieszaków i ławek, by wreszcie, całkiem niechcący, skupić wzrok na otwartej kabinie WC z rozsmarowanym na posadzce mokrym papierem toaletowym i deską sedesową upstrzoną bryzgami biegunki.

- Eee... Będę wam potrzebna? - stęknęła, starając się nie wdychać obezwładniającej mieszanki smrodu starego potu i zapchanego kibla.

- Lepiej zaczekaj na zewnątrz - prychnął Owen, szczerząc się do Michaela. - To miejsce nie służy delikatnym dziewczęcym nozdrzom.

Owen wstąpił na metalową ławkę i sięgnął za panel sufitowy po paczkę z kokainą. Tymczasem Gabriella wyszła na rześkie marcowe powietrze. Wcisnęła pięści w kieszenie bluzy, naciągnęła kaptur i próbując wymazać z pamięci wspomnienie smrodu, zajęła się studiowaniem białego oparu, w jaki zamieniał się jej oddech.

Boiska były wyludnione, jeśli nie liczyć chłopaka siedzącego na betonowej ławce za bramką trzydzieści metrów od

Gabrielli. Był od niej starszy, miał może siedemnaście lat, ubrany w dres Adidasa, opierał nogę na rowerze leżącym przed nim na chodniku, a do przyszczonego policzka przyciskał telefon. Gabriella nie zaszczyliłaby go drugim spojrzeniem, gdyby nie wyraz przerażenia, jaki pojawił się na jego twarzy, kiedy zorientował się, że dziewczyna patrzy w jego stronę.

Chłopak zatrzasnął telefon, zerwał się z ławki i dosiadłszy roweru, zaczął gorączkowo pedałować, zataczając się dziko, póki nie nabrał prędkości.

- Gotowe - powiedział Michael, zapinając suwak nad kilogramową paczką białego proszku. Przekazał plecak Gabrielli, podczas gdy Owen zamykał szatnię na klucz.

- Znasz tego kolesia na rowerze? - zapytała Gabriella, pokazując palcem, ale kolarz skrył się już w blasku zachodzącego słońca.

- Miło było, Owen - powiedział Michael, machając wielkiemu Jamajczykowi i jego sznurowadłom wlokącym się w stronę kantorka. - Zobaczymy się później w Zielonej Papryce?

- Nie dzisiaj. - Owen obejrzał się przez ramię i wyszczerzył, w uśmiechu zęby. - Moja Erica idzie dziś do szkoły. Mam troje dzieciątek do zabawiania.

- No to bawcie się dobrze - parsknął Michael, ruszając za Gabriella w stronę bramy.

- Myślę, że ktoś nas śledzi - wyszeptła Gabriella.

Ale Michael nie był przekonany.

- Jesteś pewna? No bo ostatnio dostajesz jakiejś paranoi. Pamiętasz, kiedy szliśmy z kręgielni do kampusu i...

Gabriella prawie zawarczała. Raz zdarzyło się jej przestraszyć, że ktoś idzie za nimi do kampusu, i od tamtej pory Michael wciąż posądzał ją o paranoję.

- To co innego - syknęła gniewnie. - Ten przyszczaty koleś nie mógł się spodziewać, że wyjdę z szatni tak od razu. Szkoda,

że nie widziałeś, jaką miał minę. I zapytał na tym rowerze, jakby miał gorący kartofel w tyłku.

Michael przeczesał wzrokiem otoczenie.

- I tak jedyne, co możemy zrobić, to nie tracić głowy, a to robimy już teraz, więc...

- Wiem - przerwała Gabriella, zrzucając plecak na ramię. - Ale od początku mówiłam, że coś tu śmierdzi, a teraz naprawdę uważam, że to podpucha.

- Kto to mógł być? - zastanawiał się Michael.

Gabriella wzruszyła ramionami.

- Miał w sobie coś dresowatego. Wyglądał jak Szczur.

Michael potrząsnął głową. Szczurami nazywano młodzieżowy gang działający na dwóch osiedlach po drugiej stronie miasta. Jego członkowie handlowali trawką, kradli samochody i włamywali się do domów, ale w większości była to zwykła chuliganeria. Nawet ich przywódcy nie mieli wiele więcej niż dwadzieścia lat.

- Zbyt wyrafinowane - orzekł Michael. - Sugerujesz, że te dekle postanowiły pojechać do Zielonej Papryki jakiegoś kolesia, żeby ustawił dil, a potem obserwować wszystkich kurierów Majora, żeby dowiedzieć się, gdzie trzyma...

- Dobra, dobra, masz rację - zirytowała się Gabriella. To zbyt skomplikowane jak na Szczury, ale mówię ci, to nie jest moja paranoja; kolo prawie zszedł, kiedy mnie zobaczył.

- Może to był gliniarz - powiedział Michael.

Gabriella wzruszyła ramionami.

- Za młody, żeby być w narkotykowym, ale mógłby być informatorem.

- Albo jakiś inny gang... No bo Major Dee okantował już wszystkich, łącznie z rosyjską mafią i własnym wujkiem. Myślisz, że powinniśmy znowu zadzwonić do Chloe?

- Tylko po co? - powiedziała Gabriella. - Chloe jest koordynatorką misji, nie czarodziejką. Co może powiedzieć? Zaryzykujcie i dostarczcie kokę albo wycofajcie się, jeżeli uważacie,



że to zbyt niebezpieczne. Tyle że jak tylko znikniemy z całym kilogramem koki, Major Dee zażąda naszych głów na półmisku.

Do tego czasu Gabriella i Michael zdążyli opuścić teren boisk i szli wzdłuż muru z pustaków przy ulicy oddzielającej ich od szeregu małych sklepików. Do Zielonej Papryki mieli mniej niż trzy minuty marszu i oboje byli coraz bardziej zdenerwowani.

- To jak, wciskamy mu ten kit z policją czy nie? - zapytał Michael, wyjmując komórkę z kieszeni dżinsów.

Nie dane mu było jednak zadzwonić. Usłyszawszy hałas za sobą, obejrzał się, by ujrzeć trzy rowery pędzące chodnikiem w ich stronę. Ubrani w dresy jeźdźcy mieli twarze owinięte szalikami, ale Gabriella zobaczyła dość, by rozpoznać jednego z nich, młodzieńca z fotografii zrobionej przez policyjnych obserwatorów. Był to Szczur Aaron Reid, dwudziestodwulatek, który odsiedział trzy lata w zakładzie lila nieletnich po tym, jak pobił kolegę ze szkoły prawie na śmierć.

Na widok pościgu Michael rzucił się do ucieczki w stronę Zielonej Papryki, a Gabriella zeskoczyła z krawężnika, chroniąc się pomiędzy dwoma zaparkowanymi blisko siebie samochodami. Dwa rowery śmignęły obok niej w pogoni za Michałem, ale chłopak, którego widziała w parku, zatrzymał się, cisnął rower na chodnik, po czym wyjął z kieszeni bluzy nóż kuchenny z drewnianą rękojeścią.

- Dawaj plecak - zażądał.

Gabriella cofnęła się na drogę wstrząśnięta widokiem świeżej krwi na ostrzu. Ale przeciwnik był tylko jeden, a ona miała za sobą kursy samoobrony CHERUBA. Była pewna, że da sobie radę.

Wyszła tyłem na środek ulicy, nie spuszczać z oka zbliżającego się powoli napastnika. Tymczasem Michael zniknął za rogami wraz ze ścigającymi go rowerzystami.

- Oddawaj kokę i możesz spadać.

- Pocałuj mnie gdzieś, syfiarzu - wypaliła Gabriella.

Nadjeżdżający samochód zatrąbił przeciągle. W następnej chwili kierowca zauważył młodzieńca z nożem, ale tylko zjechał na pas przeciwnego ruchu i dodał gazu.

- Jesteś wielkim przyszcąnym cykorem. Nie odważysz się - dręczyła bandytę Gabriella.

Chłopak skoczył naprzód, wykonując niezdarny wypad. Gabriella odsunęła się w bok, złapała napastnika za nadgarstek i wykręciła mu rękę za plecami. Wielkie ostrze szcęknęło o asfalt, kiedy z furią wbiła mu kolano w jądra i zgiętego wpół obróciła, by grzmotnąć owiniętą w szalik głową o przedni błotnik fiata tipo. Pierwsze uderzenie tylko go oszołomiło, drugie pozostawiło wgniecenie w masce i bezwładny ciężar w ramionach dziewczyny. Puściła go i chłopak osunął się na ziemię ku widocznemu zaskoczeniu mężczyzny wychodzącego ze sklepu z mięsem po drugiej stronie ulicy.

Gabriella rozejrzała się, chcąc się upewnić, że jest już bezpieczna. Nie mogła zdecydować, co robić. Serce kazało jej biec za Michaelem, ale rozum podpowiadał, że i tak nie ma wielkiej szansy na dogonienie go przed Zieloną Papryką. Poza tym w pamięci wciąż miała obraz rozsmarowanej na ostrzu krwi.

„Czyja to krew?” - przemknęło jej przez głowę.

Po drugiej stronie ulicy gromadził się tłumek gapiów. Gabriella obrzuciła ich niewidzącym wzrokiem i nagle puściła się biegiem w stronę parku. Wybiegłszy za skrzypiącą metalową bramę, zauważyła, że drzwi obu męskich szatni zostały wyważone. Jej koszarne przecucia potwierdziły się, kiedy dotarła do kantorka i otworzyła drzwi.

Owen leżał na betonie twarzą w dół, z głową w kałuży krwi. Był silnym mężczyzną, ale pozwolił się zaskoczyć; wielki nóż rozplątał mu gardło, w mgnieniu oka pozbawiając życia.

Gabriella zrozumiała, że wdepnęła w niezłe bagno: nie dość, że stała na miejscu zbrodni, to jeszcze była widziana w okolicy przez świadków. CHERUB mógł wycofać ją z misji i tak zmanipulować dowodami, by policja nie skojarzyła jej z morderstwem, ale i tak byłaby podejrzana, a sam fakt zauważenia jej przez świadków mógł skazać materiał dowodowy na tyle, by skutecznie uniemożliwić skazanie prawdziwych morderców.

Uzmysłowiła sobie, że musi jak najszybciej uciec z parku, potem zadzwonić do Chloe i zawiadomić ją, że Michael prawdopodobnie wciąż jest w niebezpieczeństwie. Śmierć zawsze jest szokująca i wycofując się z kantorka, Gabriella drżała na całym ciele.

Nagle podskoczyła ze strachu. Ktoś trzasnął drzwiami niepełna dziesięć metrów dalej, po czym dał się słyszeć młodzieńczy głos:

- Mamy dwa kilo i jest jeszcze paczka tej czarnej laski. Aaron pewnie już ją ma.

Kolejny głos:

- Chłopak od Saszy twierdził, że będzie dużo więcej niż cztery kilo.

- No to gdzie to jest? Szukaliśmy przecież.

Gabriella wśliznęła się ukradkiem z powrotem do kantorka. Sądząc po głosach, z szatni wyszło sześciu albo siedmiu Szczurów. Dziewczyna uświadomiła sobie, że pilna potrzeba sprawdzenia, czy Owen jest bezpieczny, sprawiła iż Stała się nierozważna. Mogła się przecież domyślić, że kiedy mała grupa Szczurów ruszyła w pogoń za nią i torbą kokainy w jej plecaku, większa załoga prawdopodobnie przetrząsa parkowe szatnie w poszukiwaniu głównego składu Majora Dee. Teraz byli poza zasięgiem jej wzroku i wyglądało na to, że zbierają się do odejścia.

- Spadajmy stąd, zanim psy się zjadą - powiedział najbardziej dominujący z głosów.

- Mam to gdzieś - prychnął młodszy chłopak, który mógł mieć trzynaście, może czternaście lat. - Nie szukaliśmy jeszcze w szatni dziewczyn. Tam może być koki za kolejnych dwadzieścia kafli.

- Coś ci powiem, mały, jak chcesz, to zostań i daj się zamknąć za morderstwo. Ja w każdym razie jadę do domu i zaczynam wciągać ten towar.

Dały się słyszeć śmiechy i drwiny. Chłopcy żartowali i prowokowali się nawzajem z wręcz absurdalną swobodą, jak gdyby droczyli się po meczu piłki nożnej, a nie obrabowaniu narkotykowego dilerka i zamordowaniu jego współnika.

- Hej, czekajcie - ożywił się jeden z młodzieńców. - Może zanim pójdziemy, wezmę komórkę i zrobię fotkę trupowi rastamana.

Rozległy się śmiechy; pomysł wydał się chłopcom genialny.

- Tylko uważaj, żeby twoja siora tego nie znalazła.

Kolejny wybuch śmiechu.

- A pamiętasz, jak twoja mama znalazła zdjęcia Brendy z gołymi cycami?

W kantorku Gabriella zastanawiała się, jakie miałyby szanse, gdyby wybiegła na zewnątrz i spróbowała uciec przez bosiska. Jednak chłopców było co najmniej pół tuzina i wszyscy mieli rowery, których nie byłaby w stanie prześcignąć.

Chłopcy ruszyli w stronę kantorka. Jeden z nich zaczął cicho śpiewać na melodię Dziesięciu zielonych flaszek:

- Jeden zdechły rasta zadżgany w szopie swej, jeden zdechły rasta zadżgany w szopie swej...

Chłopcy śmiali się, a Gabriella nerwowo przeszukiwała wzrokiem narzędzia Owena. Szczury miały ją znaleźć w ciągu kilku sekund i rozpaczliwie potrzebowała broni.

## 5. POŚCIG

Michael był atletycznie zbudowany i biegał szybko, ale kiedy wypadł za róg na główną ulicę, dwa rowery były tuż za nim. Wiedząc, że lada chwila ścigający go dopadną, błyskawicznie skręcił za skrzynkę pocztową i potężnie pchnął nadjeżdżającego cyklistę w zarośla przy chodniku.

Rower zanurkował w zieleni i zatrzymał się gwałtownie na niskim murku za żywopłotem. Aaron Reid wystrzelił znad kierownicy, potoczył się po ziemi, by wreszcie wyrznąć głową w słupek bramy.

Drugi chłopak zdążył zahamować, ale Michael przyskoczył do niego i strącił z siodełka, wbijając pięść w sam środek twarzy. W tej samej chwili zauważył pięć innych rowerów nadjeżdżających z kierunku, w którym uciekał.

Nawet po kursie samoobrony CHERUBA stosunek sił pięciu na jednego nie wróżył niczego dobrego. Przeciwnicy mieli noże i przyjechali, by walczyć z ludźmi Majora Dee, zatem co najmniej jeden z nich musiał nosić spluwę. W pierwszym odruchu Michael chciał zawrócić, ale nie było mowy, by prześcignął pięciu kolesiów na rowerach. Musiał ściągnąć wsparcie z Zielonej Papryki, od której dzieliła go niecała minuta marszu wzdłuż ulicy.

Michael przypadł do drugiego cyklisty, by znokautować go ciosem w bok głowy. Zauważywszy mały toporek za pazuchą młodziana, wyrwał go stamtąd jedną ręką, jednocześnie kciukiem drugiej dłoni rozsuwając połówki swojej

komórki. Pięć rowerów znajdowało się już mniej niż pięćdziesiąt metrów od niego i Michael gorączkowo wertował wspomnienia w swojej głowie, aż przypomniał sobie numer do Zielonej Papryki.

Przykucnął za skrzynką na listy z toporkiem w dłoni i telefonem przy uchu. Rowery zbliżały się nieubłaganie; Michael obserwował ruch na ulicy, szukając luki, która pozwoliłaby mu przebiec na drugą stronę i w ten sposób zyskać kilka sekund.

Telefon odezwał się w momencie, kiedy wystartował sprintem przed nadjeżdżającym samochodem dostawczym.

- Zielona Papryka.

- Clive, tu Michael Conroy, musicie... Reszta zdania utonąła w ryku klaksonu.

- Kto mówi? - dopytywał się szorstki głos z karaibskim akcentem.

Michael biegł już chodnikiem w stronę kafejki.

- Mam towar dla Dee, ale osaczyły mnie Szczury. Jestem po drugiej stronie ulicy, potrzebuję wsparcia.

Nie usłyszał odpowiedzi, bo czerwone światło dla samochodów pozwoliło trzem z pięciu cyklistów na przecięcie ulicy i wznowienie pościgu. Michael był już niecałe dwieście metrów od obskurnego wejścia do Zielonej Papryki.

- Z drogi! - krzyknął.

Jakaś kobieta zgarnęła dziecko z chodnika, ledwie unikając skoszenia przez Michaela i rząd rowerów za nim.

Ale omijając bobasa, Michael wykonał unik w stronę betonowego słupka. Uderzył weń kolanem i jego telefon wystrzelił w powietrze, kiedy on sam określił się wokół własnej osi i runął na zaparkowany obok samochód. W chwili gdy uradował się przed upadkiem, chwytając za klamkę, jeden z rowerzystów przemknął tuż obok, uderzając go w plecy.

Zanim Michael zdążył wstać, rozpaczliwie walcząc o oddech, znalazł się w pułapce, zaklinowany pomiędzy samochodem a żywopłotem. Naprzeciwko stał chłopak, który go uderzył, a za nim dwaj inni zeskakiwali właśnie z rowerów. Michael odsunął się o krok od samochodu i z furją machnął toporkiem.

- No dalej, dziwki! - wrzasnął ponad świstem ostrza w powietrzu. - Nie boję się was!

Nie była to prawda. Michael bał się i z ulgą powitał widok czterech zamaskowanych mężczyzn wybiegających na ulicę przez drzwi Zielonej Papryki. Rozległ się huk: to jeden z nich wypalił w powietrze z obrzyna. Dwaj jego kamraci wywijali maczetami, a czwarty mężczyzna dzierżył pistolet i miecz samurajski, wcale niewyglądający na zabawkę.

Załoga Majora Dee składała się z samych rasowych gangsterów. Wielu z nich dorastało w najbardziej niebezpiecznych miejscach Jamajki; byli to ludzie, którzy mieli w zwyczaju zabijać swoich wrogów i nie bali się więzienia. Natomiast szczury były tylko dziećmi, które zapędziły się daleko w głąb terytorium Majora i nagle znalazły się poza swoją ligą.

Druga porcja śrutu dosięgła jednego z rowerzystów, którzy nie przejechali na drugą stronę ulicy. Dwaj z trzech chłopców atakujących Michaela porwali rowery, by uciec, ale trzeci stojący najbliżej rzucił mu wyzywające spojrzenie i uniósł dół bluzy, odsłaniając rękojeść pistoletu automatycznego.

Z Zielonej Papryki wyłonili się trzej kolejni uzbrojeni podwładni Majora Dee, zwiększając liczbę gangsterów na ulicy do siedmiu. Facet ze śrutówką czekał na lukę w strumieniu pojazdów, by ruszyć na pomoc Michaelowi, który nagle uświadomił sobie, że jeżeli da Szczurowi czas na wyciągnięcie broni, dopuści do powstania niebezpiecznej, a najpewniej tragicznej w skutkach sytuacji patowej.

Michael rzucił się naprzód, biorąc zamach i tnąc przeciwnika toporkiem w ramię. Chłopak runął plecami na żywopłot, próbując unieść pistolet, ale okaleczona ręka odmówiła mu posłuszeństwa.

Michael wbił mu kolano w żołądek i wyrwał broń z bezwładnej dłoni, po czym schował pistolet do kieszeni i nie bacząc na potop krwi, dwoma szarpnięciami uwolnił toporek tkwiący w ramieniu Szczura. Huk kolejnego wystrzału poderwał go na równe nogi, ale strzelec mierzył w oddalających się dwóch rowerzystów.

- Michael, nic ci nie jest? - zaniepokoił się mężczyzna z obrzynem.

Michael był kompletnie zaskoczony. Wprawdzie nie widział skrytej za maską twarzy, ale natychmiast rozpoznał głos Majora Dee.

- Skąd się tu wziąłeś? Myślałem, że jesteś w domu! - zawołał zdumiony.

Major Dee potrząsnął głową.

- Posłuchałem twojej dziewczyny. Uświadomiłem sobie, że cała ta sprawa śmierdzi stąd aż do nieba.

- Lepiej się stąd zmywajmy - powiedział Michael.

Ale Major Dee podszedł do zakrwawionego Szczura rozwieszono go bezwładnie na żywopłocie. Przytknął chłopakowi do czoła lufę obrzyna, a drugą ręką ściągnął kominiarkę.

- Dobra wiadomość jest taka, że pozwolę ci żyć - oświadczył z uśmiechem. - Ale powiedz swoim koleżkom, że bierzemy się do was.

Dee zaśmiał się sucho, a potem opuścił lufę i z odległości kilku centymetrów wypalił chłopcu w rękę. Krew trysnęła Michaelowi na buty, a rowerzysta zawył rozdzierająco. Tymczasem przy krawężniku zatrzymały się dwie limuzyny.

- Wszyscy jazda stąd! - krzyknął Dee.



W ciągu piętnastu sekund Michael, Major Dee i jeszcze jeden gangster znaleźli się w samochodzie. Trzasnęły drzwi, tylne koła zawirowały w miejscu i wielki wóz zaczął się rozpętać. Michael pomacał się po kieszeniach, ale zaraz przypomniał sobie, że jego telefon został na ulicy.

- Hej, niech ktoś mi pożyczy komórkę! - zawołał błagalnym tonem. - Nie wiem, co się dzieje z Gabriellą.

Stuart był chudym czternastolatkiem ubranym w za dużą puchówkę. Wpatrzony w ekran komórki przymierzał się właśnie do sfotografowania trupa Owena i szpadel, gdy cios, który spadł mu na twarz, zaskoczył go całkowicie. Ze zmiażdżonego nosa trysnęła krew. Stuart zatoczył się w tył i runął na beton.

Gabriellą, która drugą dłonią ścisnęła małe widełki ogrodnicze - takie, jakich używa się do przesadzania kwiatów - wbiła ich trzy zęby w brzuch starszego chłopca i zdecydowanym szarpnięciem wyrwała je z powrotem.

Dwóch przeciwników mniej. Zanim którykolwiek z pozostałych pięciu zorientował się, co się dzieje, Gabriellą wypadła z kantorka i puściła się szalonym sprintem przez wyłożony chodnikiem plac przed boiskami.

Pokonała trzydzieści metrów, zanim poczuła czyjaś dłoń na ramieniu. Zatrzymała się gwałtownie i wykorzystując impet przeciwnika, przerzuciła go sobie przez plecy, rzucając nim o betonowe płyty.

Z pozostałych czterech chłopców już tylko dwaj siedzieli jej na ogonie, ale zbliżając się do bramy, Gabriellą zauważyła rowery Szczurów oparte o ścianę pomiędzy damską a męską szatnią. Na nich dogoniliby ją bez trudu, co nie pozostawiało jej innego wyboru, jak tylko zgarnąć jeden dla siebie.

Gabriellą skręciła między szatnie i złapała kierownicę górskiego muddy foksa. Zdażyła przerzucić nogę nad ramą i odepchnąć

się od ziemi, kiedy jeden ze ścigających kopnął tylne koło. Zachwiała się niebezpiecznie, ale jakimś cudem utrzymała się w siodełku i zaczęła uciekać, naciskając pedały z całych sił.

Dwaj chłopcy rzucili się do swoich rowerów. Nim ruszyli w pościg, Gabriella przemknęła przez bramę i wypadła na uliczkę przylegającą do parku. Na jezdni tłumek ponad tuzina gapiów otaczał skrwawiony nóż i pryszczatego wyrostka, którego znokautowała obok fiata.

Gdyby zobaczyła ludzi wcześniej, skręciłaby w drugą stronę, ale z pościgiem na ogonie nie mogła już zawrócić. Wjechała między dwa zaparkowane samochody i podbiła przednie koło, by wskoczyć na chodnik i ominąć tłum. Pech chciał, że tylne koło roweru ześlizgnęło się wzdłuż krawężnika, uderzając w rząd wystawionych przed warzywniakiem skrzynek z owocami.

Lawina podskakujących na asfalcie limonek i pomarańczy wywołała gniewny wrzask sklepikarki, która wybiegła na ulicę, by ratować owoce, stając na drodze rozpędzonym Szczurom. Cykliści zahamowali, żeby uniknąć zderzenia, a jadący przodem kopnięciem odepchnął kobietę na bok. Tymczasem Gabriella dotarła do skrzyżowania z główną ulicą.

Zwalniając przed zakrętem, po obu stronach ulicy dostrzegła więcej rowerów pędzących w stronę Zielonej Papryki. Potem, dokładnie w chwili gdy zauważyła rannego Aarona Reida leżącego kilka metrów dalej, usłyszała charakterystyczny huk wystrzału ze śrutówki.

Bała się o Michaela, ale widząc nadciągające ze wszystkich stron Szczury, biegnących im naprzeciw siepaczy Majora Dee i w każdej chwili spodziewając się policji, zdecydowała, że najlepiej będzie uciec jak najdalej stąd, i szybko wcisnęła się w niewielką lukę przed nadjeżdżającym samochodem.

Kierowca zahamował, żeby ją wpuścić, ale czas, jaki straciła na podjęcie decyzji, pozwolił dwóm ścigającym ją Szuczrom na skrócenie dystansu. Gabriella włączała kolejne przełożenia przerzutki, aż zaparkowane przy krawężniku samochody zaczęły śmigać obok niej rozmazanymi plamami. Ale dwaj rowerzyści siedzieli jej na ogonie, a do tego zauważyła jeszcze dwóch - tych, którzy atakowali Michaela przed pierwszym strzałem z obrzyna - gnających po chodniku z przeciwnej strony.

Proporcja czterech na jedną nie była idealna, ale Gabriella miała nadzieję, że wysoki poziom jej sprawności fizycznej wkrótce nabierze znaczenia. Na skrzyżowaniu przed nią paliło się czerwone światło i rosła kolejka zatrzymujących się pojazdów. Wąski chodnik i betoniarka blokująca lukę między zaparkowanymi samochodami zmusiły Gabriellę do ryzykownego skrętu przez przeciwny pas ruchu i skoku na szerszy chodnik po drugiej stronie ulicy.

Zbliżając się do świateł, zerknęła przez ramię i z satysfakcją zauważyła, że jeden z goniących przewrócił się przy wjeździe na krawężnik, zmuszając swojego kolegę do zatrzymania się i przeniesienia roweru nad nim.

Gabriella skręciła w prawo, na ulicę wiodącą w górę stromego wzgórza. Na końcu drogi pojawiły się dwa radiowozy na sygnale, ale policjanci albo nie docenili znaczenia rowerowego pościgu, albo nie dostrzegli go w ogóle, pędząc w stronę Zielonej Papryki.

Gabriella uniosła się w siodełku, by naciskać pedały całym ciężarem ciała. Zaczynało brakować jej tchu. Po następnych stu metrach kolejny cyklista zrezygnował z pościgu i kiedy obejrzała się przez ramię, ujrzała już tylko jednego prześladowcę: krępego nastolatka o azjatyckich rysach, z połyskującymi na palcach złotymi pierścieniami i twarzą częściowo skrytą pod kapturem.

Stosunek sił był już do przyjęcia, ale podczas gdy Gabriella kontynuowała rowerową wspinaczkę, jej telefon zaczął wygrywać makarenę. Zdjęła jedną dłoń z kierownicy i wcisnęła do kieszeni, by wydobyć komórkę. Skoncentrowana na tej czynności nie od razu zauważyła samochód wytaczający się z wąskiego podjazdu między dwoma domami.

Chciała zahamować i ominąć łukiem przód auta, jednak wcisnęła hamulce zbyt mocno i rower stanął dęba na przednim kole.

Gabriella przeleciała nad kierownicą i grzmotnęła głową w błotnik samochodu. Na miejscu kierowcy wstrząśnięta kobieta mocowała się z pasami, rozpaczliwie próbując wyjść i sprawdzić, czy Gabrielli nic się nie stało.

Niestety, stało się. Dziewczyna nie miała kasku i teraz leżała skulona na ziemi przy przednim kole samochodu. W ustach pienila się jej krew, a jedną rękę miała bezwładną, jak gdyby wyłamała ją sobie ze stawu.

- O mój Boże! O Boże! - powtarzała przerażona automobilistka, przykucając nad dziewczyną. - Tak mi przykro; jechałaś tak szybko, nie zdążyłam...

Podczas gdy kobieta próbowała pomóc Gabrielli, tuż obok Azjata zeskoczył z roweru. Wyglądał na dziewiętnaście lat, miał muskularne ręce i szeroką pierś. Chłopak bez słowa złapał kobietę za kołnierz i wbił jej w twarz opierścienioną pięść. Następnie podciągnął dół bluzy i z przypiętego do uda futerału wysunął wielki nóż.

Gabriella widziała refleksy tańczące na długim ostrzu. Wiedziała, jak się obronić, ale uderzenie w głowę pozbawiło ją sił. Świat rozplywał się we mgle. Sparaliżowana, na granicy utraty przytomności, mogła tylko patrzeć, jak napastnik bierze zamach i zatapia nóż w jej boku.

Ostrze wniknęło w ciało tuż poniżej klatki piersiowej. Kiedy chłopak wyrwał nóż, Gabriella z jękiem zwinęła się w kłębek.

- Zostaw ją w spokoju! - wrzasnęła kobieta łamiącym się głosem i w tym samym momencie nóż spadł po raz drugi, tym razem wbijając się w plecy Gabrielli.

Młodzian odwrócił się w stronę kobiety.

- Kluczyki do wozu - zażądał.

- O Jezu, o Jezu... - szlochała nieszczęśniczka, wyciągając przed siebie drżącą dłoń z kluczykami, a drugą osłaniając twarz w obawie przed kolejnym ciosem. - Proszę bardzo, weź auto, ale zostaw już ją, dobrze?

Gabriella traciła przytomność i obficie krwawiła. Młodzieniec wyjął z jej plecaka paczkę kokainy, zerknął przelotnie w dół ulicy, a potem porwał rower i zaczął nerwowo wciskać go do bagażnika samochodu. Kiedy wreszcie zdołał zatrzasnąć klapę, wskoczył za kierownicę i uruchomił silnik.

Zakrwawiona właścicielka auta z wysiłkiem odciągnęła Gabriellę na bok, żeby Azjata nie przejechał jej, wyjeżdżając na ulicę. Nie miała pojęcia, czy nastolatka przeżyje; wiedziała jedno - musi jak najszybciej wezwać pogotowie.

Kiedy samochód zniknął w kłębach spalin, kobieta uświadomiła sobie, że jej komórka i klucze do domu są w torebce, którą zostawiła na fotelu pasażera. Rękawem otarła krew spod nosa i zdecydowała, że pobiegnie do sąsiadów, by zadzwonić od nich, ale wtedy z dołu doszły ją ciche dźwięki makareny.

Przypadła do krawężnika i z rynsztoku wyciągnęła telefon Gabrielli. Przy upadku zatrzasnęła się i aby odebrać połączenie, musiała rozsunać połówki.

- Gabriella, no wreszcie, gdzie jesteś? - zawołał Michael. - Jestem z Majorem Dee i jadę...

- Proszę się rozłączyć - zażądała nerwowo kobieta. - Muszę zadzwonić na pogotowie.

- Gabriella? - zdziwił się Michael, trzymając przy uchu telefon. - Gabriella? Wszystko w porządku? Kto mówi?

## 6. JAD

Obóz założyli na polanie w środku dżungli, rozstawiając dwuosobowe namioty rekrutów w półkolu wokół ogniska. Instruktorzy i asystenci mieli do dyspozycji wygodniejsze namioty, dość wysokie, by można było w nich stać, i podczas gdy rekruci musieli maszerować ze swoimi kwaterami na plecach, wyposażenie instruktorów dowożono land cruiserem, a ich namioty stawiali przewodnicy z rybackiej wioski po drugiej stronie wyspy.

Było już ciemno. James umył się w pobliskim źródle, ale w dżungli nawet w nocy było tak nieznośnie gorąco i duszno, że kąpiel nie przyniosła mu ulgi na długo. Ubrany tylko w bojówki i glany siedział na odwróconej skrzynce w namiocie, który dzielił z panem Kazakowem. Przez trzeszczące radyjko malezyjska stacja radiowa nadawała Michaela Jacksona, a tropik nieustannie bombardowały miliony insektów zwabionych mdłym blaskiem elektrycznej latarni dyndającej pod szczytem namiotu.

Kazakow siedział na metalowym łóżku polowym, nakładając cuchnący klej na parę wysłużonych rosyjskich butów wojskowych.

- Z magazynu w kampusie można pobrać takie cudeńka - powiedział James, wykopując w powietrze swoje supernowoczesne, superlekkie, wodoodporne, ale oddychające glany z amortyzacją na poduszkach powietrznych.

- Robią z ciebie mięczaka - prychnął Kazakow. - Na luksusach nie wychowasz dobrego żołnierza. Cały ten wymyślny sprzęt, jakiego używacie wy, z Zachodu, to tylko więcej rzeczy, które mogą się zepsuć.

To, że James miał za sobą już pięć noclegów w jednym namiocie z Kazakowem, ale nadal nie wiedział, jak ten ma na imię, mówiło wiele o mrukliwym Rosjaninie. Znaczące było również to, że choć Kazakow przyjął brytyjskie obywatelstwo i od piętnastu lat pracował dla rozmaitych brytyjskich agencji rządowych, wciąż myślał o Brytyjczykach jako o tych z Zachodu.

James ziewnął, podchodząc do swojego łóżka, a potem uśmiechnął się.

- Wiem tylko, że na pewno są o wiele wygodniejsze od tych ruskich buciorów z twardymi podeszwami. Stopy się w nich nie męczą.

Kazakow cmoknął z niezadowoleniem, po czym pochylił się do przodu i wycelował w Jamesa palec.

- Podczas drugiej wojny światowej niemieccy żołnierze mieli najlepszą technikę na świecie, ale kiedy przyszły śniegi, niemiecki sprzęt zamarznął, a linie zaopatrzeniowe się załamały. Rosyjscy żołnierze nie mieli nawet ciepłych płaszczy, ale to byli chłopscy synowie, nawykli do głodu, chłodu i życia na ochłapach. Podczas gdy Niemcy ginęli z głodu, oni karczowali drzewa i krzaki, a potem gotowali korzenie tak długo, aż zmiękły i można je było jeść. Gdyby Rosjanie nie gotowali korzeni, Trzecia Rzesza wygrałaby wojnę, a Wielka Brytania byłaby dziś niemiecką kolonią.

James pokręcił głową.

- Amerykanie też chyba mieli coś do powiedzenia, nie sądzi pan?

Kazakow zaśmiał się urągliwie.

- Amerykanie nie lubią brudnych wojen. Popatrz na Wietnam. Popatrz na Irak. Noszę te buty, bo są takie same jak te,

które miałem w Afganistanie i które dobrze mi tam służyły. Swój nóż znam dobrze, bo zabijałem nim w Afganistanie. Pracowałem z SAS-em; widziałem zacinające się SA-80 i automatyczne Glocki. Noszę kałasznikowa, bo można z nim przejść przez bagno, a potem burzę piaskową i mieć pewność, że kiedy naciśnie się spust, z lufy wystrzeli pocisk.

Kazakow ożywiał się tylko wtedy, kiedy mówił o wojnie i broni. James nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Pan to wszystko uwielbia, prawda?

- Co takiego?

- No wie pan, życie w dżungli, pranie w strumieniu, łatanie starego sprzętu...

- Nie mam rodziny. - Kazakow wzruszył ramionami. - Jedynie, co potrafię, to być żołnierzem, a dobry żołnierz trzyma się sprzętu, któremu może zaufać.

James opadł plecami na łóżko. Dotychczas uważał się za twardziela i w porównaniu z większością piętnastolatków faktycznie nim był, ale przy Rosjaninie czuł się jak zwykły maminsynek.

- Już czas - oznajmił Kazakow z rzadkim u niego uśmiechem. Wyrzāsając fusy z manierki, ochlapał nimi nagi brzuch Jamesa. - Idź po węże; ja przygotuję karabiny i amunicję.

James szybko rozpiął namiot i zanurkował w mrok, zanim owady zdążyły znaleźć drogę do wnętrza. Rozstawiony obok dwuizbowy namiot dowódcy na razie był pusty. Dana wzięła land cruisera i wraz z jednym z przewodników wyruszyła w głąb dżungli, żeby przygotować sprzęt do spływu kanoa zaplanowanego na następny poranek, Pike zaś popłynął z Jo McGowan do szpitala na kontynencie.

W czasach kiedy sam był rekrutem, James był przekonany, że instruktorzy mają pełną swobodę w znęcaniu się nad rekrutami. W rzeczywistości przebieg całego studniowego szkolenia



był starannie i szczegółowo zaplanowany. Każde ćwiczenie wymagało wielu prac organizacyjnych, skomplikowanego kalkulowania stopnia ryzyka, jak również starannej oceny możliwości dziesięcio-, jedenasto- i dwunastoletnich rekrutów.

Jedną z głównych zasad szkolenia głosiła, że rekrutom stale powinno być źle. Uczono ich nieustannego oczekiwania na niemiłe niespodzianki i zadowalania się mniejszą ilością jedzenia i snu niż ta, do której przywykli. Ta noc nie miała być odstępstwem od reguły.

Ziewając, James zaszedł za namiot dowódczy, gdzie piętrzył się stos wyładowanych z łodzi pakunków. Noc była księżycowa, ale i tak musiał włączyć latarkę, żeby odczytać zalamowane metki zwisające przy każdej ze skrzynek. Omiatał je snopem światła tam i z powrotem, dopóki nie odnalazł pudła oznaczonego napisem „Dzień 96. Ćwiczenie 96B (ładunek żywy)”.

Kiedy dźwignął z ziemi niebieską skrzynkę, jej zawartość zakłębiła się gwałtownie. Coś wilgotnego plasnęło o plastikową ściankę.

Odłożywszy latarkę na ziemię, James oderwał od brzegu pudła pasek taśmy pakowej. Kiedy uchylił wieko, żeby zajrzeć do środka, oślepił go blask lampy grzejnej. Włącznik czasowy uruchomił ją, by ciepło ożywiło zimnokrwiste gady i zwiększyło ich pobudliwość. Różowawo-szare stworzenia zaczęły widać się i wtykać głowy w szczelinę pod pokrywą, zmuszając Jamesa do panicznego zatrzaśnięcia pudła.

Były to malezyjskie węże zwane mokasynami gładkimi. Choć bardzo młode, każdy z nich jako dziki osobnik miałby w sobie dość jadu, by zabić drobnego człowieka. Jednak gady w skrzyni przeszły operację usunięcia gruczołów jadowych, wskutek czego ich ukąszenia groziły jedynie paskudnymi ranami od potężnych szczęk. Rzecz jasna, śpiący rekruci nie mieli pojęcia, że węże nie są groźne.

James zawił skrzynkę przed cztery namioty rekrutów, gdzie zastał pana Kazakowa stojącego przy ognisku z dwoma karabinkami szturmowymi M4, po jednym na każdym ramieniu.

- Załadowane? - zapytał James, kiedy Rosjanin wręczył mu karabin i pół tuzina magazynków.

Kazakow kiwnął głową.

- Amunicją ćwiczebną - dodał szeptem. - Dzieciaki nie będą miały strojów ochronnych, więc strzelaj im nad głowami, dopóki nie dostaniesz łatwej wystawki na nogi albo plecy.

James przewiesił sobie karabin przez ramię. Upychając magazynki po kieszeniach, zauważył, że Rosjanin nosi na dłoniach grube rękawice. Wskazał je palcem.

- A dla mnie? - zapytał.

- Trzeba było samemu pomyśleć - odparł Kazakow. - Co ja jestem, twoja matka? A ty dokąd się wybierasz?

- Po rękawice.

- Daj spokój, nic ci nie będzie. - Kazakow machnął ręką. - To same młode sztuki.

James zawrócił; nie chciał wyjść na mięczaka przed wielkim Rosjaninem, ale cała jego pewność siebie pierzchła w jednej chwili, kiedy uchyliwszy wieko, ujrzał kłębowisko siedemdziesięciu dwóch przegrzanych węży.

- Dobra, otwieraj - zakomenderował Kazakow.

James przykucnął przy pierwszym namiocie, a Rosjanin odpiął od pasa na piersi jeden z czterech zawieszonych tam granatów dymnych i wyrwał zawleczkę.

James pełził na czworakach od namiotu do namiotu i rozpiął suwaki, by skradający się tuż za nim Kazakow mógł wetknąć rękę między brezentowe klapy i wtoczyć do środka granat dymny. Żaden z rekrutów nawet nie drgnął. Po desancie spadochronowym i dwudziestokilometrowej wędrówce byli nieobecni dla świata.

Pozbywszy się wszystkich czterech granatów, Kazakow zaturzył ręce w pudle z węzami, wydobyl spory kłęb i zaczął rozrzucac gady na wysuszonej ziemi przed wejściami do namiotów.

- Czestuj się, James - powiedzial twardo.

Nie majac rękawic, James uznal, ze najlepsza taktyka będzie wysypywanie węzy prosto z pudła. Metoda z pewnością okazalaby się szybka i skuteczna, gdyby nie to, że jeden z mokasynów zdazyl juz wspiac się na ścianke skrzynki. Kiedy James nachylil się nad nią, gad uniosl łeb i gwałtownie rzucil nim do przodu, by zatrasnac szczeki na nagim sutku swojego nowego wroga.

- Dziiizas! - wydarł się James i wtedy wybuchł pierwszy z granatów.

Dziesiec sekund później z wszystkich czterech namiotów byly kłeby dymu, a po piętnastu siedmioro rekrutów gramolilo się w pośpiechu na zewnatrz, boso i zanoszac się kaszlem. Mimo późnej pory w dżungli bylo bardzo gorąco i rozsierzdzone węze natychmiast zaczęły kłasc nieszczęśników po kostkach i palcach stóp.

W erupcji panicznych krzyków Kazakow wycofal się za ognisko i zaczął strzelac. Pociski ćwiczebne nie zabijaly, ale trafienie czymś takim nie bylo doświadczeniem, jakie chialoby się przezywac raz po raz.

Naturalna reakcja rekrutów byla ucieczka jak najdalej od gradu kul i rozgorączkowanych gadów, ale pomiędzy seriami z karabinu pan Kazakow zaczął wykrzykiwac rozkazy.

- Wszyscy rekruci maja wyniesc swój sprzęt z namiotów. Wyposażenie uszkodzone przez dym nie zostanie wymienione. Powtarzam: wyposażenie uszkodzone przez dym nie zostanie wymienione.

Oprócz zasmrodzenia absolutnie wszystkiego żrący gaz mógł uszkodzic sprzęt nawigacyjny rekrutów oraz zanieczyścic ich plany zadania na następnny dzień, czyniac mapy i ważne

fragmenty tekstu nieczytelnymi. Dzieci nie miały wyboru: musiały stawić czoło dymowi, kulom i węzom, aby ocalić swój cenny sprzęt.

Tymczasem James zmagał się z własnym problemem. W tej chwili powinien stać obok Kazakowa, zasypując rekrutów symulacyjnymi pociskami, ale zamiast tego skręcał się z bólu z małą gadziną wczepioną kłami w miękkie ciało wokół jego sutka.

Wygiął zaskakująco sztywne ciało, jednak szczęki ani drgnęły. Próbował ciągnąć, ale jedynym efektem było jeszcze głębsze wbicie zębów w skórę. Wreszcie oburącz złapał węża tuż za głowę i z całej siły ścisnął, jednocześnie skręcając w dwie strony, jakby wyżywał mokry ręcznik.

Musiał użyć całej swojej siły, ale w końcu kręgosłup węża trzasnął i James oderwał śliskie ciało od głowy. Zakładał, że dekapitacja spowoduje rozluźnienie szczęk gada, ale choć ciało wiło się bezradnie na ziemi, głowa pozostała kurczowo wczepiona w jego pierś.

Rozwścieczony James powiódł wokół wzrokiem i spostrzegł, że rekruci znaleźli sposób na pozbycie się węży: przebiegali na drugą stronę ogniska, skąd ostrzeliwał ich Kazakow, i wyciągali z żaru płonące głownie.

Podczas gdy węże zaskakująco dobrze znoszą rozrywanie ich na pół, ognia zdecydowanie nie lubią. Mokasyny czmychały w panice, kiedy dzieci zaczęły omiatać pochodniami okolice namiotów.

W chwili gdy James przyskoczył do ogniska po rozżarzony patyk, Kevin Sumner jako pierwszy odważył się wrócić do swojego namiotu. Kiedy klęcząc, zanurzył się do połowy w gęstym dymie, macając po omacku za granatem, jeden z pocisków Kazakowa rozprysnął mu się na pośladku.

Żółta farba bryznęła mu na plecy dokładnie w chwili, w której zacisnął dłoń na gorącym masywnym cylindrze i Kevin - ruchem, o jakim przysięgał później, że był przypadkowy - wystawił

głowę z namiotu i z całą siłą dziesięciolatka cisnął dymiący granat w stronę swojego dręczyciela.

- Czegoś się tak na mnie uwziął, kutafonie?! - wrzasnął Kevin.

James tego nie słyszał, bo właśnie wyciągnął z ogniska wysuszony palmowy liść i nie bacząc na bijący z niego żar, zbliżył płonący koniec do węzowej głowy na swojej piersi. Kiedy tylko płomień liznął oko gada, szczęki rozwarły się i głowa upadła na ziemię obok reszty ciała. James kopnął obie części w ognisko. Spojrzał na krew ciekącą mu po torsie, a potem unióśł głowę i uświadomił sobie, że strzelanina ustała. Rekruci usunęli granaty dymne z namiotów, a teraz stali wokół Kazakowa, który leżał bez życia na plecach, z czołem ozdobionym rozcięciem w kształcie podstawy obudowy granatu.

- Co tu się stało? - wykrzyknął James.

- Zdaje się, że granat trafił go w głowę - oznajmiła dwunastoletnia Ellie.

- Przypadkowo - dodał Kevin. - No bo skąd miałem wiedzieć, gdzie on stoi, w całym tym dymie i w ogóle...

James zrozumiał, że teraz on tu dowodzi.

- No dobra - powiedział najtwardszym tonem, na jaki było go stać. - Może dwoje z was pomoże mi zaciągnąć Kazakowa do namiotu, a reszta niech się zajmie wietrzeniem namiotów i sprzętu.

- Gdzie są Pike i Dana? - zapytał Kevin. - Nie mogą ci pomóc?

James potrząsnął głową.

- Pike wciąż jest na kontynencie, a Dana pojechała z przewodnikiem przygotowywać sprzęt na rano.

- To znaczy, że jesteś tu jedynym instruktorem - uśmiechnął się Ronan, Irlandczyk o wyglądzie małego zabijaki. - Nas siedmioro i tylko ty jeden...

- Łapać go! Szybko! - krzyknął Kevin i zanim James zdążył sięgnąć po karabin, dwaj rekruci złapali go za ramiona, a trzeci przewrócił na ziemię mocnym kopnięciem pod kolana.

- Zwiążcie go! - zapiszczała Ellie. - On ma czarny pas trzeciego stopnia w karate. Nie możemy pozwolić, żeby się uwolnił.

Każdy z siedmiorga rekrutów był znacznie mniejszy od Jamesa, ale wszyscy umieli walczyć i wspólnymi siłami przyszpilili go do ziemi. Kilkoro dzieci wbiegło do namiotu do wódczego.

- Tam są tony żarcia! - zawołał radośnie Kevin, wychodząc na zewnątrz ze zwojem liny wspinaczkowej w ręce.

- Ale za to bekniecie! - pieklił się James. - Zawalicie szkolenie jak nic!

- Wykazujemy inicjatywę - zachichotał Ronan, wciskając mu kolano w kręgosłup i zaciągając pętlę na nadgarstkach. - Czyż nie tego się od nas oczekuje?

- No właśnie, James - pokiwał głową Kevin. - Poza tym CHERUBOWI zawsze brakuje agentów. Nie ma mowy, żeby oblali wszystkich.

- To się jeszcze okaże - powiedział James, siląc się na hardy ton, chociaż wiedział, że dzieciaki miały rację.

Fizycznie szkolenie podstawowe było równie ciężkie jak przed trzema laty, kiedy sam je przechodził, ale pan Pike nie był specjalnie przerażający i rekrutom uchodziły na sucho rzeczy, o jakich nie odważyliby się nawet myśleć, kiedy szefem tego cyrku był niesławny pan Large.

Dwaj chłopcy nie wzięli udziału w krępowaniu Jamesa i widać było, że cała sytuacja bardzo ich peszy.

- Pomóżcie mi - błagał James. - Dopilnuję, żebyście nie dostali kary.

Ale rekruci nie mogli się zdecydować. Nie byli najsilniejszymi charakterami w grupie, a w dodatku było ich dwóch

przeciwko pięciorgu. Nagle z głębi namiotu dowódczego dobiegł okrzyk:

- Hej, tu jest lodowa z batonami i colą!

Wieczorny posiłek rekrutów składał się z miseczki groźnie cuchnącego wywaru z rybich łbów i wzmianka o słodyczach pomogła niezdecydowanym w podjęciu decyzji. James leżał twarzą w dół z torsem umazanym we krwi i ziemi. Próbował wysliznąć się z więzów, ale krępujący go rekruci wykonali kawał dobrej roboty i nie miał najmniejszej szansy na ucieczkę.

- Jak możecie mi to robić?! - wrzasnął płaczliwie, słysząc odgłosy imprezy nabierającej rozpędu w namiocie dowódczym. - Zawsze się o was troszczyłem. Od tej pory nie oczekujcie ode mnie żadnych przysług! Słyszycie? Żadnych!

Coś zaszurało w piachu i tuż obok jego głowy zatrzymały się zakurzone buty Ronana. Chłopiec przykucnął i pomachał Jamesowi pod nosem nadgryzionym końcem snickersa.

- Może gryzka? - zaszczebiotał.

- Oż kurde, jak ja ci... - sapnął James i szarpnął się gwałtownie.

- Spoko, spoko, oszczędzaj nerwy - rzucił Ronan, po czym wypchał sobie usta resztą batona, a papierek zwinął w kulkę, którą pstryknął Jamesowi w twarz.

## 7. POLITYKA

Minęło dwadzieścia pięć lat, odkąd agent CHERUBA zginął podczas wykonywania zadania. Zara Asker szefowała organizacji zaledwie od dziesięciu miesięcy i o najważniejszym kryzysie w swojej karierze dowiedziała się w szpitalu, gdzie podtrzymywała na duchu swojego trzyletniego syna Joshuę, który złamał rękę po tym, jak postanowił zeskoczyć ze szczytu zjeżdżalni w przedszkolu.

Złamanie było skomplikowane i Joshuę zatrzymano na noc po drobnej operacji, podczas której umieszczono mu w kości stalowy sztyft. Malec był zapłakany i nie mógł zasnąć, a konieczność opuszczenia własnego dziecka, żeby zaopiekować się cudzym, napełniała Zarę poczuciem winy, ale Joshua miał jeszcze ojca, Ewarta, i choć z pewnością w trudnych chwilach będzie płakał za mamą, nie było wątpliwości, że jego złamanie wkrótce się zrośnie, a gips zostanie zdjęty najdalej w ciągu miesiąca. Los Gabrielli nie był nawet w przybliżeniu tak pewny.

Podczas jazdy rodzinnym lexusem z parkingu szpitala niedaleko kampusu do innego na przedmieściach Luton Zara naliczyła tuzin błysków fotoradarów. Później, kiedy brutalnie przepychała się przez spory ruch uliczny, zatrzymała ją policja, ale przepustka służb bezpieczeństwa zapewniła jej eskortę błyskających kogutów na resztę drogi po wewnętrznym pasie autostrady M1.



Oprócz obaw o stan Gabrielli nękał ją strach przed politycznymi konsekwencjami wydarzeń w Luton. O istnieniu CHERUBA wiedzieli tylko szef rządu i minister wywiadu. Obu zapewniono, że cherubini są znakomicie wyszkolonymi agentami, których poczynania są ściśle monitorowane przez koordynatorów misji, dzięki czemu ryzyko, że którykolwiek z nich straci zdrowie lub życie podczas wykonywania zadań, było znikome.

Zara wiedziała, że kiedy premier dowie się o bitwie gangów, po której jedna z jej agentek wylądowała na OIOM-ie pod aparaturą podtrzymującą życie, czeka ją bardzo trudna rozmowa. Na razie jednak, minawszy policjantów czuwających przy wejściu na oddział, musiała stawić czoło bardziej elementarnemu dramatowi.

Chloe Blake i Maureen Evans poderwały się, by uścisnąć Zarę, kiedy tylko ujrzały ją w drzwiach poczekalni między dwiema salami oddziału intensywnej terapii. Chloe awansowano na stanowisko samodzielnej koordynatorki przed niespełna rokiem. Maureen zaś pochodziła z Trynidadu, była cherubinką, którą zatrudniono na stanowisku asystentki Chloe w październiku minionej jesieni, tuż po tym, jak skończyła studia.

Zara wysoko ceniła je obie, ale wiedziała, że wkrótce zostaną sformułowane wątpliwości, czy do tak ryzykownej operacji wolno było przydzielić dwie najmniej doświadczone koordynatorki CHERUBA.

Michael stał na końcu sali ze wzrokiem utkwionym w brudnej szybie okna i ze wszystkich sił starał się nie rozpłakać. Mimo to pojedyncza łza uciekła mu spod powieki, kiedy Zara uścisnęła go i pocałowała w policzek. Michael był znacznie młodszy od swoich sióstr i dla uniknięcia rozbitcia rodziny został przyjęty do CHERUBA w wieku zaledwie trzech lat. Zara pamiętała go jeżdżącego po kampusie na maleńkim rowerku z bocznymi kółkami; było to w czasie, kiedy zaczynała

pracę w CHERUBIE jako asystentka koordynatora misji.

- Co się dzieje? - zapytała z niepokojem, wypuszczając chłopca z objęć.

- Gabriellę umieszczono w sterylnej separacie, aby zapobiec infekcji - odpowiedziała Chloe. - Dostała środki uspokajające i oddycha przez sztuczne płuco. Podali jej też leki zwiększające krzepliwość krwi, żeby zahamować krwotoki.

- Jak oceniają jej stan?

- Krytyczny, ale stabilny. Co pół godziny zagląda do niej lekarz, a chirurg wyszła czterdzieści minut temu. Powiedziała, że zatamowali większość krwotoków wewnętrznych, ale że nóż wszedł głęboko i wciąż siedzi jej w plecach. Tych pięciu Szczurów także jest ciężko rannych. Właśnie w tej chwili operują chłopaka, który dostał w plecy ze śrutówki. Kiedy tylko wyjedzie z operacyjnej, zabiorą Gabriellę, żeby spróbować wyciągnąć jej ten nóż. Chirurg urazowy powiedział, że nie będą wiedzieli dokładnie, jak poważne są jej obrażenia, dopóki jej nie rozkroją.

- Nie najlepiej to wygląda - mruknęła Zara, przeczesując palcami włosy i rozglądając się z niepokojem. - Można tu bezpiecznie rozmawiać?

- Tak, ale cicho. - Chloe skinęła głową. - W szpitalu roi się od policjantów. Boją się, że ludzie Majora Dee mogą spróbować dokończyć robotę.

- Dee ma już takie akcje na koncie - wtrąciła Maureen. - W 2005 roku jedna babka zgodziła się zeznawać przeciw niemu w sprawie usiłowania zabójstwa, ale ktoś ją zastrzelił w szpitalnym łóżku.

Zara pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Kiedy komisja etyki zatwierdziła tę operację, nikt nie zdawał sobie sprawy, że ta wojna gangów jest tak krwawa.

Chloe spuściła wzrok i z miną winowajcy spojrzała na swoją szefową.

- To ja pisałam ocenę ryzyka, Zara. Jeżeli chcesz, złożę rezygnację.

- Chloe, jesteś pierwszorzędną koordynatorką - powiedziała Zara uspokajającym tonem. - Jestem pewna, że nie będzie takiej potrzeby.

Michael gwałtownie odwrócił się od okna. Miał dopiero piętnaście lat, ale był wyższy od każdej z trzech kobiet, a w jego głosie pobrzmiwał ton powagi skłaniającej do posłuchu.

- Szczury wypowiedziały wojnę Rzeźnikom, czego nikt nie mógł przewidzieć. Nie możecie obwiniać Chloe.

Zara pokiwała głową.

- Zdaję sobie z tego sprawę, Michael. Nikogo nie obwiniam.

- Chyba nie przerwiesz teraz misji, prawda? - zapytał Michael nieco ciszej.

Zara zrobiła niepewną minę.

- W zaistniałych okolicznościach byłoby raczej trudno...

- Nie wolno ci! - przerwał Michael. - Urabiamy Majora od dwóch miesięcy, a kiedy wreszcie zaczyna nam ufać, ty chcesz wszystko zrujnować? Zresztą nie wracam do kampusu, dopóki nie unicestwimy tych gangów.

- Michael, ciszej, jeśli łaska - wyszczała Chloe, strzelając w chłopca karcącym spojrzeniem.

W drzwiach poczekalni pojawiła się i zniknęła głowa ciekawskiego policjanta.

- Przepraszam - wyszeptał Michael. - Jestem całkiem roztrzęsiony.

- Wiem - powiedziała Zara kojącym tonem. - Miałeś ciężki dzień, Michael, ale nie mogę cię okłamywać. Gabriella jest w stanie krytycznym; może umrzeć. Czeka mnie rozmowa z komisją etyki i ministrem wywiadu i raczej trudno będzie ich przekonać, że misja wcale nie stała się zbyt niebezpieczna.

Michael jęknął.

- Przecież jesteśmy cherubinami. Każdy z nas przeszedł najlepsze szkolenia. Jesteśmy świadomi ryzyka, jakie podejmujemy, i akceptujemy je.

Zara westchnęła. Gdyby zapytać stu agentów CHERUBA, każdy powiedziałby to samo: że ryzyko jest nieodłączną częścią ich pracy. Jednak perspektywa narażenia dzieci na niebezpieczeństwo budzi w dorosłych instynktowny opór. Zara wiedziała, że jeśli Gabriella umrze, rząd zakwestionuje nie tylko działania CHERUBA, ale też sens jego istnienia.

## 8. DUMA

Wyspę przecinała nieregularna sieć nieutwardzonych dróg, z których większość zawdzięczała swoje istnienie nielegalnym akcjom wyrębu ogałającym interior z cennych gatunków drzew. Po przygotowaniu kanoe i sprzętu ratunkowego do porannego spływu Dana odwiozła przewodnika do granic jego osady.

Kiedy oddaliła się od wioski, usłyszała sygnał telefonu satelitarnego - to pan Pike wylądował na plaży, a ponieważ nie uśmiechała mu się perspektywa pięciokilometrowego marszu do obozu, poprosił Danę, by po niego przyjechała.

Land cruiser nie bał się trudnego terenu, ale drogi na wyspie nie były niczym więcej niż zarośniętymi przecinkami w dżungli i w miejscach, w których ulewy wypłukały glebę, odsłonięte fragmenty wulkanicznej skały poddawały zawieszenie nieopisanym torturom, raz po raz rażąc kręgosłup Dany bolesnymi wstrząsami.

Korony drzew zatrzymywały światło księżyca i nawet w klimatyzowanym wnętrzu samochodu Dana czuła się nieswojo. Odetchnęła z ulgą, kiedy wyjechała na otwartą przestrzeń plaży, a światło reflektorów omiotło pana Pike'a wlokącego po piasku spory ponton.

- Jak tam Jo? - zapytała, pomagając instruktorowi przytroczyć ponton do dachu land cruisera.

- A jak myślisz? Zdołowana jest - odpowiedział Pike i przetrzucił nad kadłubem linkę, by Dana mogła przywiązać koniec do relingu.

- Gdzie ona jest?

- W szpitalu, niestety, niezbyt nowoczesnym. Szczerze mówiąc, to wilgotna i brudna buda. Jo spanikowała, kiedy zobaczyła jaszczurkę wspinającą się po ścianie, ale lekarz nieźle mówi po angielsku, a siostry, które zakładały jej gips, okazały się bardzo sympatyczne. Pomyślałem, że lepiej będzie zostawić ją tam, żeby wypoczęła, niż ciągnąć z powrotem na wyspę pontonem.

- Jest bezpieczna?

Pike skinął głową.

- To oddział dziecięcy, same rodziny z maluchami.

Ponton był już przywiązany. Dana spojrzała na kierownicę, a potem na Pike'a.

- Czy mogę...?

- No pewnie. Jeździłaś tu już przecież, więc znasz teren lepiej niż ja.

Dana przekręciła kluczyk, budząc wielkiego diesla do życia, i ruszyła zadowolona, że tym razem będzie miała towarzystwo w drodze przez dżunglę.

- Boże, ależ jestem wykończony - westchnął Pike, przeciągając się z ziewnięciem, kiedy wóz podskoczył na pierwszych wybojach.

- No właśnie. - Dana pokiwała głową. - Wcale nie jestem pewna, czy szkolenie jest bardziej męczące dla rekrutów czy instruktorów. James pewnie umiera po tych dwudziestu kilosach.

- Myślę, że jutro odeślę go, żeby odwiózł Jo do domu.

Dana rzuciła Pike'owi zdziwione spojrzenie.

- Nie może jej przejąć ktoś z ekipy MI5 w ambasadzie?

- Można by i tak - skinął głową Pike. - Ale mamy czworo opiekunów, dwóch przewodników i tylko siedmioro rekrutów. Myślałem o wysłaniu ciebie, ale jesteś naszą najlepszą pływaczką i w motorówce chcę cię mieć pod ręką na wypadek, gdyby któraś z załóg poległa w starciu z wodą.

- Rozumiem - westchnęła Dana.

Dana rzeczywiście pływała najlepiej z całej grupy, ale nie była fanką życia w dżungli i zazdrościła Jamesowi wcześniejszego o całe cztery dni powrotu do wygod cywilizacji.

- Mam nadzieję, że to ostatni raz, kiedy musimy prosić agentów o pomoc przy podstawówce - powiedział Pike. - Kazakow musi się jeszcze trochę otrząsać, ale w zasadzie jest już gotowy; panna Smoke wraca z macierzyńskiego, a za dwa tygodnie dołącza do nas kolejny instruktor.

- Brzmi nieźle - zauważyła Dana. - Ale co z panem Lar-gem'em? Słyszałam, że wyzdrowiał już po tym zawale serca.

- Podobno - mruknął Pike.

- Jakiś problem?

Pike wzruszył ramionami.

- Osobiście nic do niego nie mam, ale był moim szefem. Potem go zdegradowano, po części dlatego, że mu się postawiłem i złożyłem skargę, a teraz to ja jestem jego szefem, co czyni nasze relacje dosyć niezręcznymi.

- W sumie nic dziwnego. - Dana szarpnęła kierownicą na ostrym zakręcie; przygięte ku ziemi gałęzie smagnęły nadwozie samochodu. - Ale przecież miał to przesłuchanie dyscyplinarne za picie na służbie. Może Zara nie przyjmie go z powrotem na instruktora...

- Może - ziewnął Pike. - Wszystko mi jedno. W tej chwili wszystko, o czym marzę, to wrócić do obozu i wyśnić jakiś ładny sen.

Dana skinęła głową, tłumiąc ziewnięcie, którym zaraziła się od instruktora.

- Za parę minut będziemy na miejscu.

Mimo wybojów pan Pike jakimś cudem zdołał zasnąć, jeszcze zanim dotarli do obozu.

Dana pomyślała o zostawieniu go w samochodzie, ale wtedy obudziłby się obolały, a poza tym nawet w nocy i przy wyłączonej klimatyzacji wewnątrz land cruisera szybko przemiełoby się

w saunę.

- Pobudka! - zawołała, szarpiąc Pike'a za ramię.

Dana ruszyła przodem, w dół porośniętego krzakami zbocza, w stronę polany z namiotami. W ognisku tliły się resztki żaru, a uśpiony obóz wyglądał zupełnie normalnie, do chwili gdy weszła do namiotu dowódczego, gdzie Kazakow spał na ziemi z poduszką pod głową, a James oblepiony piaskiem leżał twarzą w dół ze związanymi rękami i nogami.

- Mmff... - wystękał James z takim zaangażowaniem, jakby chciał dowieść, że nie da się mówić zrozumiale z wypchanymi ustami.

Dana wytrzeszczyła oczy.

- Co tu się stało? - zapytała, kucając przed chłopakiem i wrywając mu z ust skarpetę. - Bandyci? Obrabowali obóz? Gdzie dzieciaki?

- To oni! To te małe dranie to zrobiły! - pieniał się James, podczas gdy Dana mocowała się z więzami na jego nadgarstkach.

Pan Pike rozejrzał się po namiocie, po czym uszczypnął Kazakowa w policzek, żeby go ocucić. Rosjanin usiadł, trąc obolałe czoło i wodząc wokół nieprzytomnym wzrokiem, Dana podeszła do lodówki po wodę mineralną, a James w kilku słowach zrelacjonował przebieg nocnego ćwiczenia.

Dziewczyna nie mogła nie dostrzec zabawnej strony całej sytuacji.

- Cóż, skoro przez dziewięćdziesiąt sześć dni uczyliśmy ich, jak działać w zespole i przejmować inicjatywę, to teraz mamy za swoje.

- Ty się nie śmiejesz - burknął James, wypłukawszy wodą suchość z ust. - To przecież totalna niesubordynacja. Trzeba ich ukarać.

Kazakow pokiwał głową.



- Powinniśmy odesłać ich do domu okrytych hańbą.

Pan Pike wciąż wyglądał na człowieka, któremu bardziej niż na czymkolwiek innym zależy na jak najszybszym położeniu się do łóżka.

- Nie bądź durniem, Kazakow - westchnął, przewracając oczami. - Jak powiem prezesse i operacyjnym, że wszyscy rekruci położyli szkolenie, to odgryzą mi głowę.

- Poza tym wykazali inicjatywę - dodała Dana.

- Przestań wreszcie ich bronić - najeżył się James. - Założę się, że śpiewałabyś całkiem inaczej, gdybyś spędziła półtorej godziny na ziemi związana, zabawiając się wydmuchiowaniem karaluchów z nosa.

- Zaczniemy od tego, że ja nie byłabym na tyle głupia, żeby dać się załatwić bandzie dziesięciolatków - stwierdziła Dana.

James zgrzytnął zębami.

- Pan Kazakow najprawdopodobniej dostał w głowę przez przypadek, a mnie po prostu zaskoczyli.

- Uspokójcie się - zirytował się Pike. - Tak czy owak nie możemy pozwolić, by rekruci bezkarnie atakowali instruktorów świecami dymnymi i wiązali ich jak balerony. To byłoby niebezpieczny precedens.

- To nie tak, że to zaplanowali - wtrąciła Dana. - Działali pod wpływem impulsu.

- Muszą otrzymać wyraźne ostrzeżenie - ciągnął Pike. - Którzy z nich byli prowodyrami?

- Kevin Sumner i Ronan Walsh - powiedział James.

- Kapuś - syknęła Dana.

- No dobra - powiedział Pike. - Wy dwaj, jeżeli macie ochotę się odegrać, to idźcie wywlec ich z namiotów. Możecie ich ukarać, ale rano mają być w stanie umożliwiającym kontynuowanie szkolenia, jasne?

- Jak słońce, szefie - ucieszył się Kazakow. - Chodź, James, weź karabiny.

Dana skrzywiła się, odprowadzając wzrokiem Jamesa, który wyszedł z namiotu w ślad za Rosjaninem.

- I żadnych wrzasków! - zawołał Pike za nimi. - Chcę się wreszcie wyspać.

- Co im zrobimy? - zapytał James, dogoniwszy Kazakowa przy dogasającym ognisku.

- Rób to co ja - rozkazał instruktor, rozpinając namiot Kevinna. - Bierz Ronana.

James wpełzł do namiotu Ronana i Ellie. W nozdrza wdarł mu się intensywny zapach stóp i przepoconych ubrań. Złapał masywnego jedenastolatka za czoło i brutalnie potrząsnął.

- Siema, ziomal - powiedział ze złowróżbnym uśmiechem. - Zgadnij, kogo rozwiążali.

- Spakować się! - huknął Kazakow, wywlekając Kevinna z namiotu za nogę.

Założenie butów i wepchnięcie kompletu wyposażenia do plecaków zajęło rekrutom dwie minuty.

- A teraz baczność - wysyczał Kazakow szeptem, mierząc chłopców złym spojrzeniem.

Kevin i Ronan wyprężyli się, ze ściśniętymi kostkami, wciągniętymi brzuchami, wypiętymi torsami i dłońmi przyciśniętymi do ud.

- Trafiłem pana niechcący - wychrypiał sennie Kevin.

- Doprawdy? - Brwi Kazakowa wystrzeliły w górę. - I Jamesa też związaliście niechcący, tak?

- Ale z was idioci - dodał James. - Po co ryzykować karę albo wywalenie ze szkolenia, kiedy szare koszulki są już tak blisko?

- Po to, żeby nie wpaść w błoto - odparł Ronan wyzywającym tonem.

Mina Kevinna była mniej harda.

- Trochę nas poniosło. Przykro mi, James, tym bardziej po tym, jak mi pomogłeś...

Chłopcy byli młodzi i prawdopodobnie w tym momencie James, gdyby był sam, przyjąłby ich przeprosiny i odesłał do namiotów z reprimendą i kopniakiem w tyłek; ale Kazakow miał inne plany.

- James, karabiny - rozkazał.

James wręczył chłopcom M4, te same, które wcześniej posłużyły do ostrzelania rekrutów amunicją symulacyjną. Kazakow wyszczerzył zęby w paskudnym uśmiechu.

- A teraz broń nad głowę i bieg w miejscu. Szybciej! Kolana wysoko!

Rosjanin przeprowadził krótką demonstrację. Ćwiczenie wydawało się łatwe, ale rekruci byli zaspani, a ciężkie plecaki, broń i gorąco przemieniały bieg w torturę. Po minucie włosy nieszczęśników ociekały potem. Wtedy Kazakow zaszedł Kevina od tyłu i zniemacka ściął go z nóg kopnięciem w stopy. Chłopiec runął na twarz przygwożdżony do ziemi ciężarem plecaka, z karabinem wrzynającym się boleśnie w pierś.

- Czy udzieliłem ci pozwolenia na przerwanie biegu? - wycodził Kazakow, kopiąc piach w otwarte oczy i dyszące usta Kevina. - Wstawaj, królowo balu!

Kiedy Kevin podniósł się i podjął bieg, Rosjanin spojrzął na Jamesa i ruchem głowy wskazał mu Ronana.

- Dawaj, z kopa go.

James uświadomił sobie z całą jasnością, że nigdy nie będzie dobrym instruktorem. Ronan zachował się wobec niego paskudnie; był także draniem, który ochoczo gnoił słabszych rekrutów, niedających sobie rady na ćwiczeniach; ale przede wszystkim był po prostu dzieckiem i James nie chciał zrobić mu krzywdy.

Kazakow nie był zachwycony. Odepchnął Jamesa na bok, po czym okręcił się wokół własnej osi i wbił swój znoszony bucior w miękkie ciało pomiędzy biodrem Ronana a jego klatką piersiową.

Kopnięcie odrzuciło chłopca w bok z taką siłą, że jedenastolatek wpadł na Kevina i obaj runęli na ziemię ze splątanymi kończynami, krztusząc się pyłem, jaki wzbili w powietrze, biegnąc w miejscu.

- Powstań! Baczość! Karabiny nad głowę!

Minęło pół minuty, nim chłopcy zdołali stłumić kaszel i stanąć obok siebie z karabinami w wyprostowanych nad głową rękach.

- Okej... - Kazakow uśmiechnął się drwiąco, spoglądając na zegarek. - Jest za szesnaście pierwsza. Słońce wzejdzie o wpół do siódmej i do tego czasu postoić tu sobie na baczość. Jeżeli zobaczę, że któryś z was ruszył się stąd choćby na krok albo opuścił karabin, to obaj będziecie biegać po dżungli, aż się porzygacie albo stracie przytomność, cokolwiek przyjdzie pierwsze.

- Mogę najpierw siku? - zapytał Kevin.

Kazakow potrząsnął głową.

- Możesz trzymać albo sikać w gacie, mam to gdzieś, ale jeśli ruszysz się stąd przed wschodem słońca, obaj gorzko tego pożałujecie.

Kevin rzucił Jamesowi żalosne spojrzenie, jakby błagał o pomoc, ale James nie chciał wyjść na słabeusza przed Kazakowem. Zresztą nie miał władzy, by pomóc chłopcom, nawet gdyby próbował.

- Żołnierz jest tylko tak twardy jak ten, kto go szkoli - powiedział Rosjanin do Jamesa, kiedy stanęli przed swoim namiotem.

James rozpiął suwak i wsunął się do środka.

- Wie pan, z drugiej strony to tylko dzieciaki - próbował się tłumaczyć. - Nie są idealni, ale... To fajne chłopaki, no nie?

Kazakow chrząknął.

- Widziałem już wielu umierających żołnierzy, James. Niektórzy nie byli dużo starsi od ciebie, a wielu z nich żyłoby do dziś,

gdyby szkolił ich ktoś taki jak ja, a nie taki jak ty.

Kazakow usiadł na brzegu łóżka i zaczął rozwiązywać buty. James nagle uświadomił sobie, że ma pełny pęcherz, i wyszedł z namiotu.

Nie potrafił znieść widoku opromienionych księżycową poświatą sylwetek Kevina i Ronana z trudem utrzymujących karabiny w drżących rękach, ruszył więc w stronę namiotu do wódczego. Nagle oślepił go blask latarki skierowanej prosto w jego twarz.

- No i jak, panie generale? - zaszydziła Dana. - Zadowolony z siebie?

James cmoknął ze zniecierpliwieniem i potrząsnął głową.

- Szkoda, że cię tu nie było, kiedy mnie wiązali, Dana. Co do Kevina, to można uznać, że puściły mu nerwy, ale ten Ronan to kawał sukinsyna.

- Z dwojga złego nie wyjdzie nic dobrego - stwierdziła filozoficznie Dana.

- Nienawidzę pomagać przy szkoleniu - jęknął James. - Wiem, dlaczego CHERUB to robi; wiem, że trzeba to robić, ale ja się po prostu do tego nie nadaję. Pomiatanie dzieciakami jest takie przygnębiające. Zaczynam się zastanawiać, czy nie pójść do Meryl i nie poprosić zamiast tego o dodatkowe kursy.

- Ty przynajmniej rano stąd wylatujesz.

James był zaskoczony.

- Jak to?

- Pike nie miał okazji ci powiedzieć. Zostało nam tylko siedmioro rekrutów, a Jo ma złamaną kostkę i ktoś musi polecieć z nią do kraju.

- Ale ekstra! - wyszczerzył się James. - Normalnie mógłbym zabić za porządną kąpiel i leniwy wieczór przed telewizorem.

Dana z wahaniem odwzajemniła uśmiech.

- No dobra. Słuchaj, jestem wykończona, a wstajemy za pięć godzin, więc...

- Dostanę buzi na dobranoc?

Dana, niemal równie wysoka jak James, uraczyła go delikatnym pocałunkiem w policzek.

- Nie żebyś na to zasłużył po tym, jak zakapowałeś Keva.

- Spoko, przeżyje. - James wzruszył ramionami. - Pike nie życzy sobie, żeby mu odpadł kolejny rekrut.

James cmoknął Danę w policzek i poszukał wargami jej ust, ale wywinęła mu się.

- Jestem zmęczona.

- Ale wiesz, że następna okazja będzie dopiero, jak wrócimy do kampusu?

Dana wzruszyła ramionami.

- I co z tego? Spać mi się chce.

- No to, eee... dobranoc - westchnął James, nie potrafiąc ukryć rozczarowania.

Kiedy odsunęli się od siebie, Dana położyła mu rękę na ramieniu.

- I lepiej nie zbliżaj się do trzeciego krzaka po lewej obok tamtego wielkiego drzewa. Posadziłam tam coś, w co wolałbyś nie wdepnąć.

## 9. HAU

Klops był jedenastomiesięcznym psem rasy beagle. Hodowany do doświadczeń naukowych został uratowany przez młodszą siostrę Jamesa Laurę poprzedniego lata, kiedy wspólnie rozpracowywali grupę radykalnych obrońców praw zwierząt.

Agentom CHERUBA nie wolno trzymać zwierząt, dlatego po zakończeniu misji Klops zamieszkał z prezes Zarą Asker i jej rodziną w domu pół kilometra od kampusu.

Choć dzieci Zary bywały czasem niesforne, Klops prowadził wygodne życie, śpiąc na przytulnym psim pośtanku obok kanapy, szalejąc w wielkim ogrodzie i łażąc się do gości z kampusu, którzy nie szczędzili mu pieszczot i chętnie wyprowadzali na spacer.

Jednak w ten czwartek Klops wyczuł, że coś jest nie tak. Przecież Zara lub Ewart zawsze przywozili dzieci ze żłobka jeszcze przed zapadnięciem zmroku. W dodatku w domu nie paliło się żadne światło, a miska na wodę była sucha. Nadąsany pies skulił się pod stolikiem na telefon, gdzie zwykle użalał się nad sobą po zebraniu ciągów za pożarcie czegoś niejadalnego.

Na dźwięk obracanego w zamku klucza poderwał się na równe nogi, a wyczuwszy zapach Laury przez szczelinę na listy, zaczął szczekać.

- Cześć, Klopsik. Zostawili pieseczka samego? Niedobrzy ludzie poszli i zostałeś całkiem sam? - szczebiotała czule Laura,

czochrając oburącz szczeniasty grzbiet i czując, jak mokry psi język chlaszcze ją po nagiej kostce.

Klopsik osiągnął już rozmiary dorosłego psa, ale wciąż był młody i uwielbiał się bawić. Laura nie odwiedzała go od tygodnia i cieszyła się ze spotkania, chociaż wciąż nie dawała jej spokoju myśl o Gabrielli walczącej o życie w szpitalu. Przez ten wypadek cały kampus żył w ogromnym napięciu.

Klops zaskrobał w drzwi, domagając się spaceru, ale widząc, że jego gość kieruje się do kuchni, przypomniał sobie, że to pora kolacji. Laura włączyła światło i sięgnęła do szafki nad kuchenką. Była wegetarianką i sprawiało jej przyjemność, że Askerowie dotrzymywali obietnicy karmienia powierzonego im zwierzęcia wyłącznie bezmięsną karmą.

Napełniwszy jedną miskę wodą, Laura rozerwała plastikową saszetkę z karmą i uśmiechnęła się z politowaniem na widok psa zapamiętale merdającego ogonem w wyczekującej pozie z przednią i tylną parą łap po dwóch stronach miski na jedzenie. Klopsowi nigdy nie przyszło do głowy, że nie da się napełnić naczynia, które zaślania własnym brzuchem.

- Niemądry pies - powiedziała Laura, podnosząc go za łapy i wyciskając zawartość saszetki do miski.

Karma niepokojąco przypominała kupę, ale Klops bez wahania wetknął głowę do miski i zaczął wymiatać z niej swoją kolację. W kieszeni dzinsów Laury zawibrował telefon. Dzwonił jej przyjaciel Rat. Przez jakiś czas chodzili ze sobą, ale oboje mieli dopiero po dwanaście lat i po paru miesiącach, kiedy ich pieszczoły i pocałunki straciły urok nowości, powrócili do statusu kumpli.

Laura rozłożyła telefon.

- No hej - rzuciła pospiesznie na powitanie. - Co się dzieje?



Rat otrzymał bezwzględne polecenie zadzwonienia do Laury z nowinami o Gabrielli, pod groźbą skopania tyłka, gdyby zapomniał.

- Nic nowego, ciągle jest na operacyjnej - powiedział Rat z australijskim akcentem. - Myśleliśmy, że ty coś wiesz, no bo Ewart poprosił cię, żebyś zajrzała do psa...

Laura cmoknęła niecierpliwie.

- Jasne, może Klops się rozgada, kiedy wciągnie swoją porcję VeggyPet, ale nie liczyłabym na to.

- Okej, okej, nie wsiadaj na mnie. Po prostu mieliśmy nadzieję, że może usłyszałaś jakieś nowiny czy coś...

- Już dobrze, co się tam u was dzieje?

- Włączyli ogrzewanie w kaplicy. Przyjeżdża pastor z wioski i każdy, kto chce, może tam pójść zapalić świeczkę.

Rat spędził pierwszych jedenaście lat życia w komunie sekty religijnej i miał tendencję do panikowania na każdą wzmiankę o religii.

- Idziesz? - zapytała Laura.

- Chyba... tak. W kampusie nie ma nikogo, kto by się nie wybierał.

- To takie przygnębiające... - powiedziała Laura, czując, jak w gardle rośnie jej wielka gęsia skórka. - Muszę wyprowadzić Klopsa na spacer, ale w ciągu godziny będę w kampusie. Jak chcesz, to możesz pójść i zapalić świeczkę ze mną.

- To Klops będzie sam przez całą noc?

Laura potrząsnęła głową i pociągnęła nosem.

- Lada moment przyjedzie Ewart z Joshuą i Tiffany. Pewnie jak wrócę ze spaceru, będą już w domu.

- Spróbuj nie martwić się o zapas - powiedział Rat z troską w głosie. - Gabriella jest na operacyjnej, a lekarze robią wszystko, co w ich mocy.

- Na razie - rzuciła Laura i pośpiesznie zakończyła połączenie, czując łzy napływające jej do oczu, już po raz trzeci tego dnia.

Nie było jej tak smutno od czasu, kiedy umarła jej mama. Spojrzała z zazdrością na Klopsa, który gorliwie wylizywał resztki jedzenia, szurając miską po podłodze kuchni. Jakże miło byłoby nie mieć zmartwień, tylko spać, bawić się i jeść VeggyPet.

- Ty żarłoczny prosiaku - powiedziała cicho Laura, zdobywając się na uśmiech i wyciągając rękę, by pogłaskać Klopsa po grzbiecie. - Jak taki mały piesek może tak szybko wcinać?

Klops podskoczył z radości, widząc, że Laura bierze z wieszaka jego smycz. Kiedy był mały, zwykle protestował ze wszystkich sił przeciwko przypinaniu go do uwięzi. Teraz wiedział, że to oznacza spacer, więc po prostu usiadł i spokojnie czekał, aż Laura zaczepi karabińczyk smyczy na kółku przy jego obroży.

Laura zatrzasnęła za sobą drzwi i ruszyła wzdłuż odkrytego tarasu przed domem. Nagle dostrzegła ogromną postać sunącą przez cienie po drugiej stronie podjazdu dzielącego podwórko Askerów od sąsiedniego. Zastygła w przerażeniu, uświadomiwszy sobie, że patrzy na legendarnego byłego szefa szkolenia CHERUBA Normana Large'a.

- Ach, to ty! - huknął Large.

Podczas rekonwalescencji po zawale serca, który przeszedł siedem miesięcy wcześniej, Large zrzucił sporo kilogramów i stopniowo powrócił do szczytowej formy fizycznej. Mieszkał ze swoim partnerem i córką tuż obok Askerów i minioną godzinę spędził w garażu, wymachując hantlami. Koszulka pociemniała mu od potu.

Dzień dobry, proszę pana - powiedziała Laura, nie wiedząc, gdzie podziąć oczy.

Ich stosunki nie uległy poprawie, odkąd ogłuszyła Large^ szpadlem, straciwszy cierpliwość podczas jednego z ćwiczeń szkoleniowych.

- A dokąd to się wybieramy? – zapytał Large, siląc się na przyjazny ton. - Podejdz tu na momencik. Miałem nadzieję, że kiedyś na siebie wpadniemy.

Choć pan Large od pół roku był na zwolnieniu lekarskim, wciąż pozostawał członkiem kadry CHERUBA i Laura musiała odnosić się do niego z szacunkiem. Problem jednak polegał na tym, że nienawidziła faceta do szpiku kości i nie miała najmniejszej ochoty na pogawędkę.

- Muszę wyprowadzić Klopsa na spacer, a potem szybko wracać do kampusu, żeby odrobić lekcje.

- To zajmie tylko chwilunię - wyszczerzył się Large, a Laura z ociąganiem ruszyła w jego stronę. Jej ruch uruchomił lampę nad garażem Askerów i ciemny podjazd zalała fala światła. - Jak z pewnością wiesz, z powodu tego, ehem... niefortunnego wypadku, który w zeszłym roku doprowadził do mojego zawału serca, muszę stanąć przed komisją dyscyplinarną, zanim odzyskam pracę.

Laura uśmiechnęła się kwaśno.

- Chodzi o ten wypadek, kiedy poszedł pan do pubu i spił się, w czasie gdy miał pod opieką grupę dzieci?

Large skrzywił się.

- To trochę nie fair przedstawiać to w taki sposób.

- Cóż, z mojego miejsca z pewnością nie wyglądał pan na trzeźwego.

- Dobra, piłem na służbie - przyznał Large. - Wiem, że ty i ja nigdy nie dogadywaliśmy się zbyt dobrze, ale tak się składa, że byłeś jedynym starszym agentem, który widział, w jakim stanie byłem przed zawałem serca tamtej nocy. Od twojego zeznania może zależeć, czy w przyszły piątek po przesłuchaniu dostanę swoją pracę z powrotem, czy nie.

Uświadomiwszy sobie, że ma władzę nad Large'em, Laura poczuła coś na kształt satysfakcji. Po wszystkim, co wycierpiała z rąk tego sadysty, został upokorzony i musiał błagać ją, by skłamała w jego obronie.

- Nie będę wyolbrzymiać - powiedziała twardo. – Ale zamierzam powiedzieć prawdę, a prawda jest taka, że był pan pijany w sztok i ledwie mógł chodzić.

Large zamyślił się na chwilę, a potem zmienił temat.

- Sympatyczny piesek z tego Klopsa, no nie?

- Owszem - skinęła głową Laura.

- Zauważyłem, że jesteś do niego bardzo przywiązana.

- Jest naprawdę fajny. Szkoda, że nie mogę trzymać go u siebie w kampusie.

- Mhm... - Large pokiwał głową z namysłem. - Ale jest drobnutki, to znaczy bardzo delikatny. Tak sobie pomyślałem, jeżeli powiesz komisji, że byłem pijany, to nigdy nie przywrócą mi stanowiska instruktora. Wtedy będę tłukł się całymi dniami po domu, nie mając nic do roboty, a mały Klops będzie tuż obok u sąsiadów... Pomyśl, jak łatwo byłoby o wypadek.

- Co pan mówi?! - Laura osłupiała.

- Och, no wiesz, mógłbym niechcący go nadepnąć i strzaskać jego kruchy grzbiecik; albo mógłby zaplątać mi się pod kosiarkę; albo Saddam i Thatcher mogłyby przypadkowo wy dostać się z ogrodu i go zagryźć...

Laura nie wierzyła własnym uszom.

- To szantaż? Jak pan może? To mała niewinna psina.

Large pokiwał głową.

- I pozostanie małą niewinną psiną, jeżeli pomożesz mi odzyskać pracę.

- Ty... Ty świnió! - krzyknęła Laura. - Tylko taki łajdak jak ty mógł wymyślić coś tak podłego.

Pan Large błysnął zębami w najbardziej szatańskim ze swoich uśmiechów.

- Tylko spokojnie, młoda damo, uważaj na język.

- Zara cię zniszczy, jeśli zabijesz Klopsa. Jest szefową CHERUBA. Zna najpotężniejszych ludzi w tym kraju.

Large wzruszył ramionami.

- Powiem po prostu, że to był wypadek. Kto mi udowodni, że kłamię?

- Ja... ja nie mogę uwierzyć - powiedziała Laura, cofając się o krok. - Nie jesteś godny, żeby cię nazwać człowiekiem, wiesz?

- Proszę tylko o drobną przysługę - odparł Large przymilnym tonem. - I wiesz co? Z futra Klopsa byłaby fajna zimowa czapa.

- Chodź, Klopsik - rzuciła Laura, szarpiąc za smycz i ruszając w stronę drogi.

Starła się nie okazywać strachu, ale w głębi duszy była kompletnie roztrzęsiona.

## 10. ŚWIECZKI

Kaplica należała do nielicznych budynków kampusu, które istniały jeszcze przed założeniem CHERUBA. Skromny kamienny kościółek służył wiejskiej parafii od końca osiemnastego wieku aż do drugiej wojny światowej, kiedy to rząd zaanektował całą okolicę wraz z zabudowaniami. Zaledwie osiemdziesięcioma miejscami w drewnianych ławach był za mały na duże uroczystości, takie jak nabożeństwa kolędowe, przez co działające w kampusie rozmaite grupy religijne wolały korzystać z wygodniejszych sal konferencyjnych w głównym budynku. Mimo to chłodna, nękana przeciągami kaplica pozostawała duchowym sercem kampusu, a kiedy migotliwy blask świec oświetlał nierówne ściany i pokryte pajęczynami belki stropowe, jej wnętrze stawało się równie nastrojowe jak w najdostojniejszej z katedr.

Wokół stojącej na długim stole ramki z fotografią Gabrielli paliło się ponad sto świeczek. Była dziewczyna Jamesa Kerry Chang i jego najlepszy przyjaciel Kyle Blueman stali przy wejściu, wręczając świeczki cherubinom i członkom kadry, których procesja nieustannie wsączała się do kaplicy. Każdy z wchodzących podchodził do fotografii, zapalał swój płomyk i postawiwszy go wśród innych, dołączał do otaczającego stół tłumu.

Kyle stał naprzeciw tablicy upamiętniającej cherubinów poległych na służbie.

W kamiennej płycie były wyryte cztery nazwiska:

Johan Urmiński	1940- 1954
Jason Lennox	1944- 1954
Katherine Field	1951- 1968
Thomas Webb	1967- 1982

Poniżej było miejsce na więcej nazwisk i wszyscy mieli nadzieję, że Gabriella O'Brien nie będzie następnym.

- Niedługo zabraknie nam świeczek - wyszeptała Kerry po tym, jak zajrzała pod składany stolik przed sobą i przekonała się, że zostało im ostatnie pudełko.

Kyle skinął głową.

- W zakrystii jest jeszcze spory zapas. Przyniosę trochę.

Kyle odwrócił się, by odejść, ale w tym momencie jego telefon obudził się do życia, zakłócając ciszę kaplicy radosnym ćwierknięciem. Ze wszystkich stron posypały się zdegustowane spojrzenia.

- Wyłącz to - warknął Dennis King, jeden ze starszych koordynatorów misji. Kilkoro cherubinów zamkowało z niesmakiem.

- Sorry - Kyle uśmiechnął się pojednawczo, ale zaraz spoważniał, kiedy wydobył telefon z kieszeni bluzy i ujrzał na wyświetlaczu nazwisko Michaela Hendry'ego. Natychmiast rzucił się do wyjścia i wybiegłszy na przykościelny cmentarz, pospiesznie otworzył klapkę komórki.

- Michael? Jak tam?

- Bywało lepiej - westchnął Michael, a Kyle uświadomił sobie, że zagaił trochę zbyt nonszalancko. - Zadzwoń mi, bo muszę z kimś pogadać, rozumiesz?

Kyle niedawno skończył siedemnaście lat. Pomimo reputacji łasego na pieniądze kombinatora naciągacza był powszechnie lubiany i cherubini chętnie zwracali się do niego ze swoimi troskami.

- Możesz dzwonić, kiedy chcesz. - W ciemności hulał porwisty wiatr i Kyle przykucnął za kamieniem nagrobnym niezującego od wieków farmera, by uciszyć furkot w słuchawce. - Gdzie jesteś, ciągle w szpitalu?

- Nie, wróciłem do Zoo; to znaczy do tego domu dziecka, w którym mieszkam. Mówili coś o przerwaniu misji, ale się postawiłem i na razie pozwolili mi działać dalej.

- Jesteś pewny, że to bezpieczne?

- Jestem pewny, że to nie jest bezpieczne - prychnął Michael. - Następny gang właśnie wypowiedział nam wojnę, ale ja i Gab włożyliśmy w to dwa miesiące roboty. Chcę pracować dalej i wiem, że ona myślałaby tak samo, gdyby to mnie włożyli kosę.

- Może jednak lepiej by było, gdybyś wrócił do kampusu - powiedział Kyle. - Wygląda na to, że wplątałeś się w niezłą awanturę. Gliny będą cię ścigać, prawda?

- Mam kontakt z szefem wydziału do zwalczania gangów, ale to jedyny gliniarz, który wie o naszej misji - powiedział Michael. - Na pewno będzie normalne dochodzenie w sprawie morderstwa, a ja zgubiłem telefon na miejscu przestępstwa, więc spodziewam się, że mnie zgarną. Ale gangsterzy wolą sami załatwiać swoje porachunki i nie jest to okolica, gdzie naoczni świadkowie wyłażą z każdej dziury.

- Ściana milczenia - powiedział Kyle.

- Właśnie.

- Widziałeś się z Gabriellą?

- Była w separacie. Widziałem Gab przez dwie sekundy, kiedy wieźli ją na operację - poskarżył się Michael. - Lekarz tłumaczył mi coś, że wnętrze to cały labirynt narządów i rurek. Mogą się z nią męczyć przez całą noc; wszystko zależy od tego, gdzie oberwała. Parę centymetrów może stanowić różnicę pomiędzy życiem a wykrwawieniem się na śmierć.



- Wiadomo już, kto ją dźgnął?  
- Gliny przeglądają zapisy z kamer nadzoru w okolicznych budynkach. Mam nadzieję, że Gab zdoła go rozpoznać, kiedy już dojdzie do siebie... Jeśli dojdzie do siebie. Albo przynajmniej poda rysopis.

- Trzymajmy kciuki, no nie?

- A co tam u was? W kampusie wszyscy już wiedzą?

- Na to wygląda - powiedział Kyle. - Wszyscy są przygnębieni. Urządzamy czuwanie przy świecach w kaplicy.

Michael zaśmiał się sucho.

- Wiadomo, że masz przerabane, jak ci urządzają czuwanie. Słuchaj, muszę kończyć. Jadę na miasto zobaczyć, czy ktokolwiek wie, co tu się wyprawia. Tylko nikomu nie mów, dobra? Zara kazała mi się nie wychylać, dopóki nie porozmawia z komisją etyki.

- Michael, bądź ostrożny, dobrze?

- Nie mogę tylko siedzieć na tyłku i myśleć, Kyle, bo dostanę kota.

- Cóż, powodzenia - powiedział Kyle niepewnie. - Telefon mam włączony przez cały czas, więc dzwoń, kiedy tylko chcesz.

- Dzięki, stary - powiedział Michael i przerwał połączenie.

Kyle potoczył wzrokiem po nagrobkach i poczuł przejmujący smutek. Jego kariera w CHERUBIE dobiegała końca i nagle wszystko w kampusie zaczęło budzić w nim wspomnienia.

W mniej nostalgicznych czasach cmentarz przy kaplicy służył juniorom jako plac zabaw i Kyle spędził tam niejedną letnią noc na podchodach z latarką i pistoletem na wodę, skradając się niespokojnie między nagrobkami, wypatrując duchów, przed którymi ostrzegali go starsi koledzy.

- Hej, Kyle - dobiegł go niespodziewanie lekko zdyszany głos Laury.

Podeszła niepostrzeżenie od tyłu i Kyle podskoczył ze strachu.

- Sorka - powiedziała Laura. - Kerry powiedziała mi, że tu jesteś, no i... Wiem, że jesteś zajęty z tym czuwaniem i świeczkami, i w ogóle, ale Jamesa nie ma, a ja muszę z kimś pogadać.

- O czym?

Laura wyjaśniła, że będzie musiała zeznawać podczas przesłuchania dyscyplinarnego pana Large'a, i opowiedziała o swoim spotkaniu, podczas którego Large zagroził zabiciem Klopsa, jeżeli nie będzie go kryła.

- No i co o tym sądzisz? - zapytała na koniec. - Przy puszczać, że najwłaściwiej byłoby powiedzieć o wszystkim mojej opiekunce, ale Meryl może mi nie uwierzyć, no i wiesz, jak szybko rozchodzą się plotki w kampusie. Jak Large się dowie, że naskarżyłam, zabije Klopsa.

Kyle zamyślił się na chwilę.

- Jestem pewien, że możesz zaufać Meryl, ale cała wyższa kadra jest w tej chwili na kryzysowym spotkaniu w sprawie Gabrielli. Raczej nie okażą zrozumienia, jeżeli przerwiesz im naradę, bo boisz się o psa.

Laura pokiwała głową.

- Wiem, że mój problem nie jest najpilniejszy na świecie, ale nie mogę go zignorować.

Kyle położył jej dłoń na ramieniu.

- W najgorszym razie sami pójdziemy do domu Zary i wykradniemy psiaka. Ale mam nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby. Jutro porozmawiamy z Meryl i na pewno coś wymyślimy, więc na razie nie martw się na zapas i spróbuj się wyśpać.

- Dzięki, Kyle - uśmiechnęła się Laura. - Pójdę do środka i zobaczę, czy zostały jeszcze jakieś świeczki. Ale wiesz co? Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby w kampusie znalazł się ktoś, kto będzie dziś dobrze spał.

## 11. LOT

James musiał wstać po niecałych pięciu godzinach snu, żeby miejscowy rybak mógł odwieźć go na kontynent. Kiedy dotarł do szpitala, wszystkie dzieci na oddziale Jo spały, a on musiał wcisnąć portierowi niewielki plik malezyjskich banknotów, żeby w budynku znalazła się para niepotrzebnych kul.

Powiedziano im, że od lotniska dzieli ich godzina jazdy tak-sówką, ale trafili na poranny szczyt komunikacyjny i ostatecznie do punktu odprawy dla klasy biznesowej zgłosili się niepełna czterdzieści minut przed odlotem. Po awanturze - ale głównie dlatego, że spóźnieni podróżni byli dziećmi i nie mieli żadnych bagaży - kierownik biura odpraw niechętnie otworzył listę pasażerów, by wydać karty pokładowe, po czym zorganizował popiskujący elektryczny samochodzik, którym pośpiesznie przewieziono ich przez kilometr lotniskowych korytarzy do odpowiedniej bramki.

James miał komplet czystych ubrań w plecaku i nadzieję, że przed lotem uda mu się wziąć prysznic, ale późne przybycie na lotnisko zmusiło go do wejścia na pokład samolotu w przepocnym T-shircie i bojówkach sztywnych od brudu. Był jednak zbyt zmęczony, by przejmować się zdegustowanymi minami biznesmenów zerkających nań znad ekranów laptopów, a tym bardziej skargami Jo narzekającej na smród jego stóp, kiedy sięgnął z nich glany.

Kiedy tylko zgasł znak nakazujący zapięcie pasów, James położył poziomo oparcie swojego fotela, plasnął sobie gorący ręcznik na twarz i rozpoczął delektowanie się dwunastoma godzinami błogiego nieróbstwa przerywanego jedynie posiłkami i wycieczkami do toalety.

Różnica czasu sprawiła, że do Londynu dotarli o drugiej po południu. Na Heathrow James chciał się odświeżyć i zaliczyć darmowy lunch w hali przylotów, ale Jo nie mogła się doczekać powrotu do kampusu i spotkania z koleżankami, a on był zbyt wyluzowany, by sprzeczać się z rozemocjonowaną dzieściolatką.

Spodziewał się, że dziewczynka będzie bardziej przygnębiona swoją porażką, ale jak większość dzieci, które od najmłodszych lat dorastały w kampusie, Jo pielęgnowała w sobie poczucie własnej wartości i pewność siebie graniczącą z pychą. Wprawdzie jej złamanie nie mogło zdążyć zrosnąć się przed następną turą szkolenia rozpoczynającą się już za miesiąc, ale drugą próbę miała podjąć, mając już prawie jedenaście lat i tylko kolejny nieszczęśliwy wypadek mógł stanąć między nią a upragnioną szarą koszulką.

Żeby nie tracić czasu, Jo usiadła na wózku bagażowym, unosząc kule nad posadzką, a James przewiózł ją przez odprawę celną i bramkę przylotów. Spodziewali się zobaczyć kogoś z kadry CHERUBA albo chociaż kierowcę z ich nazwiskami wypisanymi na kartoniku, ale najwyraźniej nikt na nich nie czekał. James poświęcił kilka minut na sprawdzenie, czy ktoś nie poszedł po nich do innego wyjścia.

- Ani żywej duszy - oznajmił coraz bardziej poirytowany.

- Lepiej zadzwoń do kampusu - powiedziała Jo. - Zdaje się, że o nas zapomnieli.

James poklepał się po kieszeniach. Po tygodniu w dżungli akumulator jego komórki był całkowicie rozładowany, a on nie miał żadnych brytyjskich pieniędzy.

- Nie masz może dwudziestki na telefon? - zapytał Jo.

Dziewczynka pokręciła głową.

- Ekstra - westchnął James.

W końcu poszukali punktu informacyjnego, gdzie pozwolono im skorzystać z telefonu. Asystent koordynatora misji dyżurujący pod numerem alarmowym CHERUBA połączył Jamesa z Meryl Spencer, która przeprosiła i przyznała, że zupełnie o nich zapomniała.

- Nie pozbędziecie się mnie tak łatwo - roześmiał się James.

Meryl rzadko traciła poczucie humoru i James był zaskoczony, gdy w odpowiedzi usłyszał tylko zakłopotane chrząknięcie.

- Od wczoraj nie miałam okazji położyć się do łóżka - Meryl podjęła przerwany wątek. - Chyba nikt w kampusie nie spał, bo czekamy na wieści o Gabrielli i...

- Co? - przerwał James. - Co się stało Gabrielli?

- No tak, James, przepraszam - powiedziała Meryl znużonym głosem. - Mam straszny mętlik w głowie. Ty nic nie wiesz, prawda?

Meryl Spencer zaliczyła tylko marne dwie godziny snu, a trzydziestodwuletnia była mistrzyni olimpijska miała już za sobą wiek, w którym takie wybryki uchodzą jeszcze na sucho. Była półzywa i nękał ją pulsujący ból w skroniach, ale przede wszystkim bała się o Gabriellę.

Jako opiekunka CHERUBA Meryl była zastępczym rodzicem dla wielu przyjaciół Gabrielli i chcąc zapewnić im wsparcie, musiała być silna. Kiedy była sama, płakała w umywalni w swoim gabinecie, ale w towarzystwie dzieci przybierała maskę twardzielki.

- Proszę! - zawołała, spoglądając znad zawalonego papierami biurka.

Przez matową szybę w drzwiach natychmiast rozpoznała Laurę i Kyle'a.

- Wiadomo coś nowego? - zapytał Kyle, wchodząc do gabinetu.

Meryl miała powyżej uszu nieustannego odpowiadania na to samo pytanie.

- Jeżeli przyszlście tutaj tylko po to, to nie wiem niczego ponad to, co przypięto do tablicy ogłoszeń dziś o ósmej rano - wycedziła z irytacją. - Gabriella była operowana przez jedenaście godzin i opuściła salę operacyjną tuż po szóstej rano. Mimo obfitych krwotoków wewnętrznych nie stwierdzono poważnych uszkodzeń organów...

- Wiem, wiem, czytałem - przerwał Kyle. - Przepraszam, pewnie wciąż cię o to pytają. Ale my nie w tej sprawie. Jeżeli nie jesteś bardzo zajęta, chcielibyśmy porozmawiać o drobnym problemie Laury.

Meryl uśmiechnęła się.

- Wiesz, najzabawniejsze, że nie należę do personelu operacyjnego i nie mam zbyt wiele do roboty oprócz siedzenia na tyłku i czekania na wiadomości tak jak wszyscy. Ale muszę tu być na wypadek, gdyby coś się wydarzyło, no i z nerwów nie mogę spać.

Laura i Kyle usiedli przed biurkiem.

- Wczorajszy wieczór był tak dziwny... - zaczęła Laura. - Poszłam spać dopiero po północy, ale nie mogłam zasnąć i w końcu we czwórkę spędziliśmy noc u Rata przy MTV. Po korytarzach przez całą noc łazili ludzie w piżamach, a dziś rano na lekcjach wszyscy byli jak zombi.

- A właśnie, dzwonił twój brat - przerwała Meryl. - Wrócił wcześniej z ranną rekrutką. Wylądowali na Heathrow godzinę temu, a ja zapomniałam kogoś po nich wysłać.

Laura uśmiechnęła się.

- Nie pozbędziesz się go tak łatwo.

Meryl pokiwała uniesionym palcem.

- James powiedział dokładnie to samo. No dobra, co to za problem, z którym do mnie przychodzisz?

Laura opowiedziała, co wydarzyło się na podjeździe Askerów minionego wieczoru.

- I wiem, że dawniej miałam z nim na pieńku, ale w tej sprawie nie przesadzam ani nie kłamie, przysięgam - powiedziała na koniec.

Meryl skinęła głową.

- Oczywiście, że ci wierzę. Norman Large jest jednym z najwstrętniejszych ludzi, jakich znam. Krążą pogłoski, że Zara także nie żywi wobec niego zbyt ciepłych uczuć i chce się go pozbyć na dobre.

- Naprawdę? - ucieszyła się Laura.

Meryl uświadomiła sobie, że powiedziała więcej, niż powinna.

- Kiedy prezesem był Mac, często rozstrzygał wątpliwości na korzyść Large'a. Zara jest o trzydzieści lat młodsza, a nasze pokolenie ma nieco inne zapatrywania na kwestie metod wychowawczych i traktowania dzieci. Zdaniem Zary tylko cieniułka linia oddziela twarde szkolenie od znęcania się nad dziećmi, a pan Large przekroczył ją wielokrotnie. Ale mówię to tylko wam i nie życzę sobie, żeby to wyszło poza ten pokój.

Ryle i Laura pokiwali głowami.

- Mam pewien pomysł - oznajmił Kyle. - A gdyby Laura złożyła oświadczenie na piśmie, a Large'owi pokazano inną wersję jej zeznania?

Meryl potrząsnęła głową.

- Nie przejdzie. To będzie oficjalne przesłuchanie przed komisją etyki. Pan Large ma prawo zapoznać się z wszelkimi dowodami świadczącymi przeciwko niemu i spróbować je odeprzeć.

Kyle kiwnął głową.

- Może powinniśmy porozmawiać z Zarą i powiedzieć jej, żebytrzymała Klopsa w kampusie, dopóki sprawa nie przy- cichnie - zaproponowała Meryl.

- Myśleliśmy o tym - powiedziała Laura. - Ale dzieciaki Zarzy bardzo by to przeżyły, a ja nie chcę, żeby Klops dostał się w łapska juniorów. To znaczy większość czerwonych koszulek jest w porządku, ale niektórzy chłopcy to sadyści.

- To prawda - przytaknął Kyle. - Pamiętacie, jak musieli zainstalować kamery, żeby złapać tego małego smutasa, który golił świnki morskie?

Meryl z namysłem bębniła palcem w biurko.

- Z drugiej strony zawsze słyszałam, że Large jest miłośnikiem psów. Może to pusta groźba.

- Może - mruknęła Laura - ale pewności nie mamy.

- To może zasadzka? - powiedziała Meryl. - Mogłabyś założyć mikrofon i spróbować podpuścić Large'a, żeby powtórzył groźbę. Gdybyś zdobyła niezbite dowody, byłby załatwiony.

- Nic z tego. - Kyle pokręcił głową. - Po pierwsze, Large nie jest na tyle głupi, żeby powtórzyć groźbę. Po drugie, nawet jeżeli zdobędziemy dowód, to nie powstrzyma go przed zgłazdzeniem Klopsa.

Meryl przetarła zmęczone oczy i zamyśliła się.

- Wiesz co, Laura - powiedziała po chwili. - Podziwiam w tobie jedno - przez cały ten czas nawet nie wspomniałaś o możliwości poddania się jego szantażowi.

- Nigdy bym tego nie zrobiła.

- Ale nasze możliwości naprawdę są ograniczone - ciągnęła Meryl. - Oficjalnie nie istniejesz, więc nie możesz zgłosić sprawy na policji, a jeśli złożysz oficjalną skargę w kampusie, wszystko sprowadzi się do twojego słowa przeciwko słowu Large'a. Jedynym rozsądnym wyjściem jest rozmowa z Ewartem albo z Zarą i zaproponowanie przeniesienia Klopsa na pewien czas do kampusu. Co do twoich obaw, żaden junior nie odważy się tknąć psa prezeski.



- Ale Joshua... - przerwała Laura.
- Ma już trzy lata. - Meryl wzruszyła ramionami. - Jakoś to przeboleje.
- Powalony Large - prychnęła Laura.
- Zara ma teraz urwanie głowy z powodu Gabrielli, ale porozmawiam z Ewartem - powiedziała Meryl. - Zasugeruję mu, by jeszcze przed przesłuchaniem w przyszłym tygodniu przeniósł Klopsa do kampusu, żeby Large nie mógł go dopaść.

Ani Kyle, ani Laura nie byli w pełni usatysfakcjonowani, ale przynajmniej Laura mogła złożyć swoje zeznanie, a Klops miał pozostać bezpieczny.

## 12. POWROTY

Doktor Shah był smukłym Hindusem o łysej głowie. Wyszedł z pokoju Gabrielli i nawet nie zdążył zdjąć maseczki, kiedy otoczyli go Chloe, Zara i Michael.

- Jak ona się czuje? - zapytał Michael. - Możemy ją odwiedzić?

Lekarz skinął głową.

- Na szczęście jest młoda i w wyśmienitej kondycji. Reguluje bardzo dobrze. Zmniejszyliśmy dawkę środków sedacyjnych i stopniowo dochodzi do siebie.

- Może mówić? - zapytała Chloe.

- Trochę - skinął głową doktor. - Ma osiemdziesiąt szwów w brzuchu i trzydzieści w grzbiecie. To bardzo rozległe rany i każda infekcja grozi poważnymi powikłaniami.

- Czy jej życie wciąż jest zagrożone? - zapytał Michael.

- Chirurg pracował dłużej niż pięć godzin, łącąc rany w jej brzuchu i kauteryzując obszary, w których krwawienie było najsilniejsze. Ponieważ Gabriella jest młoda i najwyraźniej nie doszło do poważniejszych uszkodzeń organów wewnętrznych, powiedziałbym, że jej stan nie jest już krytyczny. Ciśnienie krwi utrzymuje się bez transfuzji, co oznacza, że podczas operacji udało się zatamować większość krwotoków wewnętrznych. Pamiętajmy jednak, że jej obrażenia są bardzo poważne i jest zbyt wcześnie, by móc wykluczyć komplikacje.

Doktor Shah zagarnął ramionami Chloe, Michaela i Zarę, by pchnąć ich w stronę przebieralni, gdzie pielęgniarka kazała im umyć ręce specjalnym alkoholowym żelem oraz założyć kitle i jednorazowe rękawiczki.

- Wiem, że musicie ją zapytać o okoliczności napadu - powiedziała pielęgniarka - ale ona dopiero co się ocknęła i w żadnym wypadku nie wolno jej się ekscytować. Jeżeli coś ją zdenerwuje, nie naciskajcie, dajcie jej spokój.

- Rozumiemy - skinęła głową Zara, wychodząc na korytarz.

Pielęgniarka wstukała kod otwierający drzwi do sali Gabrielli. Michael wszedł pierwszy i w pierwszym odruchu odwrócił wzrok wstrząśnięty tym, co zobaczył. Raniona w brzuch i plecy Gabriella leżała w nienaturalnej pozycji na zdrowym boku, z okropnie spuchniętą twarzą, owinięta nasiąkniętymi krwią bandażami. Z nosa sterczała jej rurka doprowadzająca tlen, a z przyklejonych do skóry elektrod zwisały wiązki kabli podłączone do aparatów monitorujących ciśnienie krwi i puls.

Gabrielli trudno było okazywać emocje z głową wciśniętą w stos poduszek, ale zdołała uśmiechnąć się i wysunąć dłoń w stronę Michaela, by mógł ją ucisnąć.

- Nie wolno mi cię dotykać - wyszeptał Michael i potrząsnął głową, by strącić łzę, która ściekła mu za maseczkę. - Ale lekarz mówi, że świetnie sobie radzisz.

Gabriella z wysiłkiem poruszyła głowę.

- Nie czuję się świetnie - powiedziała. Jej głos był słaby brzmiał nieco nosowo z powodu rurki tlenowej. - Która godzina?

- Tuż po trzeciej.

Do łóżka podeszła Chloe.

- Gabriella, to ja. Nie wiem, czy masz siłę rozmawiać ani nawet czy cokolwiek pamiętasz, ale chciałabym zadać ci kilka pytań.

- Nagrywacie?
- Tak - kiwnęła głową Chloe. - Jeżeli nie masz nic przeciwko temu.
- Kto jeszcze...? - stęknęła Gabriella, unosząc głowę i wyrażając wzrok. Przez zażawione oczy nie mogła rozpoznać ludzi w maskach.
- To ja, Zara.
- Chłopcy, którzy zabili Owena... - Gabriella miała podrażnione gardło i walczyła z odruchem wymiotnym za każdym razem, gdy próbowała powiedzieć więcej niż pół zdania.
- Nie spiesz się - powiedziała łagodnie Zara.
- Wiemy, że gonili cię od parku - wtrącił się Michael. - Policja zebrała już zeznania świadków, którzy byli wtedy na ulicy. Zdołali zidentyfikować kilku Szczurów i aresztować ich pod zarzutem zamordowania Owena Campbella-Moore'a.
- Słuchaj - skrzeknęła niecierpliwie Gabriella, czując, że w każdej chwili może stracić przytomność. - Byłam w tej budzie z trupem Owena. Oni nie wiedzieli, że tam jestem.
- Gab wyglądała żałośnie, mówiąc z widocznym wysiłkiem, z częstymi pauzami dla zaczerpnięcia tchu. Michael jeszcze nigdy tak bardzo nie pragnął jej przytulić.
- Oni gadali... Szczury... - ciągnęła Gabriella. - Jeden powiedział: „Chłopak od Saszy twierdził... że będzie... więcej niż cztery kilo”.
- Co to znaczy? - zdziwiła się Zara.
- Chloe uniosła dłoń, nie bacząc, że ucisza swoją szefową, i nachyliła się nad Gabriella. - Jesteś całkowicie pewna?
- Tak - szepnęła Gabriella, przesuując głowę po poduszce w nieporadnym skinieniu.
- A człowiek, który cię zaatakował? - zapytała Chloe. - Policja ma rysopis od kobiety, której ukradł samochód, i taśmę

z kamer parkingu, na którym go porzucił, ale czy ty go rozpoznałaś?

- Nie znam go... Jakiś Szczur.

Gdy Gabriella skończyła mówić, aparat przy jej łóżku zabrzączał sygnałem alarmowym. Nim Michael zdążył odwrócić się, by spojrzeć na monitor, w drzwiach stanął doktor Shah.

- Niski tlen - wyjaśnił. - Jej płuca są zdrowe, ale boli ją podczas wdechu i w rezultacie oddycha zbyt płytko. Musimy zwiększyć dawkę leków, ale to wyłączy ją na kolejnych kilka godzin.

- Lepiej już chodźmy - powiedziała Chloe, odsuwając się od łóżka.

- Kocham cię, Gab - powiedział Michael. - Wszyscy modlimy się za ciebie.

Zaczęli wycofywać się w stronę drzwi. Doktor Shah rozdarł foliowe opakowanie strzykawki.

- Kocham cię - wyznała Gabriella głosem jeszcze słabszym niż poprzednio.

Kiedy wrócili do przebieralni i zdjęli maseczki, Zara objęła Michaela ramieniem.

- Świetnie się trzymałeś - pochwaliła go. - Ale nie rozumiem, co takiego znaczącego było w tym, co powiedziała. Kto to jest Sasza?

Chloe cisnęła lateksowe rękawiczki do kosza na odpadki i przystąpiła do wyjaśnień.

- To przecież od początku nie miało sensu, żeby gang nastolatków brał się za bary z taką groźną załogą jak Rzeźnicy. Chodzi o to, że arcywrogiem Rzeźników jest grupa znana jako Wściekle Psy. Sasza Thompson to ich boss. Wściekłymi Psami dowodzą stare wygi, ludzie, którzy albo kiedyś pracowali dla GKM, albo mieli z nimi ściśle powiązania. Bezwzględni bandyci i hurtownicy narkotyków. Zamiast szmuglować dragi sami, pozwalają innym gangom podejmować ryzyko, a potem

kradną im pieniądze, towar, a najchętniej jedno i drugie.

Zara skinęła głową.

- Czyli „chłopak od Saszy twierdził, że będzie więcej niż cztery kilo” oznacza, że Szczury dostały cynk od Wściekłych Psów, że Major Dee trzyma swoją kokainę za płytami sufitowymi w szatni.

- Na to wygląda - potwierdziła Chloe.

- No, ale dlaczego Sasza nie wziął koki sam? - zdziwiła się Zara.

- Rzeźnicy i Wściekłe Psy drą koty prawie od początku roku. Sasza najwyraźniej uznał, że najprościej będzie napuścić na Majora młodziaków, żeby samemu nie brudzić sobie rąk.

Michael skinął głową.

- A jak Szczury i Rzeźnicy pozarzynają i wystrzelają się nawzajem, wtedy Psy wkroczą, żeby posprzątać.

- Naszym największym problemem podczas tej misji zawsze był brak ludzi - powiedziała Chloe. - Tam działa kilka dużych grup przestępczych i układ sił nieustannie się zmienia. Dla nas jedynym sposobem na uzyskanie pełnego obrazu tego, co się dzieje, jest ulokowanie agentów także w innym kluczowym gangu.

Zara uśmiechnęła się niepewnie.

- Czy ty nie przeginasz, Chloe? To mnie czeka grillowanie tyłka, bo misja okazała się bardziej niebezpieczna, niż ktokolwiek mógł się spodziewać, a ty mówisz o jej rozszerzeniu?

Michael, któremu sugestia koordynatorki bardzo przypadła do gustu, entuzjastycznie pokiwał głową.

- Który gang wzięłabyś na muszkę? Szczury biorą każdego, kto umie się bić. Infiltracja byłaby dziecinnie łatwa.

- Owszem, byłaby - przytaknęła Chloe. - Ale Szczury to tylko przypadkowa zgraja nastoletnich bandziorów. Tak naprawdę

potrzebujemy kogoś we Wściekłych. To oni pociągają tu za sznurki.

- Rozumiem twoje racje - powiedziała Zara - ale czy ty przypadkiem nie rozważałaś tego pomysłu już na początku, by w końcu uznać, że gang Wściekłych jest na to zbyt hermetyczny?

- Tak było - przyznała Chloe. - Ale przez ostatnie dwa miesiące zebraliśmy wiele już nowych informacji. Omówiłam to z Maureen i doszliśmy do wniosku, że to dałoby się zrobić.

Zara mimo woli parsknęła śmiechem.

- Ty nie żartujesz, prawda? Naprawdę chcesz, żebym stanęła przed komisją etyki i zaproponowała włączenie kolejnego agenta do misji, w której dopiero co Gabriella omal nie zginęła!

- Właściwie to dwóch agentów - powiedziała Chloe cicho, wbijając głowę w ramiona, jakby spodziewając się, że szefowa zaraz ją odgryzie. - Ta operacja od początku szła jak po grudzie i na pewno nie nabierze rozpędu teraz, kiedy Michael został sam. Ciągnięcie jej z jednym agentem nie ma sensu. Albo rozkręcimy akcję i weźmiemy na celownik Wściekle Psy, albo możemy od razu zgasić światło i zapomnieć o sprawie.

Michael skrzywił się na wzmiankę o gaszeniu światła, ale powstrzymał się od komentarza, bo widział, że Chloe walczy o ocalenie jego misji.

- Dobrze. - Zara skinęła głową. - Rozważę wasz plan. Ile czasu zajmie wam przygotowanie pisemnej propozycji i przesłanie jej do mnie?

Chloe lekko wzruszyła ramionami.

- Większość już napisałyśmy. Mogę ci to wysłać w ciągu dwóch, trzech godzin.

- Mogłam się tego domyślić - westchnęła Zara. - Dobrze, nic tu po nas, skoro Gabriella jest nieprzytomna. Jadę do kampusu, a

kiedy dojadę, chcę mieć waszą propozycję w swojej skrzynce odbiorczej. Jeżeli spodoba mi się to, co zobaczę, a komisja etyki nie będzie wstrząśnięta tym, co się przytrafiło Gabrielli, przedstawię plan i zobaczymy, czy popłynie.

- Jeszcze jedna sprawa - powiedziała Chloe. - Ta nasza nowa misja opiera się na pewnej dawnej znajomości. Wykonać to zadanie może tylko jeden konkretny agent.

- A któż to taki? - zaciekała się Zara.

- James Adams.



## 13. ROD

Słońce kryło się już za horyzontem, kiedy James i Jo wysiedli z osobowej toyoty przed bramą kampusu. W recepcji głównego budynku Jo opadła grupka koleżanek w czerwonych koszulkach, które zaczęły ją ścisnąć i współczująco klepać po plecach. James ruszył w stronę windy nieco zgaszony tym, że nikt z jego znajomych nie wyszedł mu na spotkanie.

- Ahoj, Brusiaczku! - wydarł się James, tłukąc pięścią w drzwi swojego czternastoletniego kolegi. - Jesteś tam?

- Zaraz... Chwila, ja... Ubieram się... - odchrząknął nerwowo Bruce.

Ale to Kerry pospiesznie naciągała na głowę koszulkę, kiedy James bezceremonialnie wparował do pokoju.

- Ouu, sorry... - powiedział, uciekając wzrokiem w bok. - Nie wiedziałem, że tu jesteś. Chciałem tylko przyłapać Bruce'a z gołym tyłkiem.

- My tylko... No wiesz... - mruknął zakłopotany Bruce.

- Brykaliście niczym napalone pieski? - wyszczerzył się James.

- Jeśli nawet, to nie twój interes - wypaliła Kerry.

Wprawdzie relacje między nimi były już w miarę poprawne, ale Kerry wciąż nie mogła wybaczyć Jamesowi, że porzucił ją dla Dany.

- Jak było w Malesji? - zmienił temat Bruce.

James wzruszył ramionami.

- Gorąco, parno, za dużo robactwa. Jakieś newsy o Gabrieli?

- Nic nowego od śniadania - powiedziała Kerry.

James uśmiechnął się do niej współczująco.

- Jak ty to zniosłaś? Gab to twoja najlepsza kumpela.

- Nie gorzej niż wielu innych ludzi.

James pokiwał głową i zmienił temat.

- To kto z naszych jest w kampusie?

- Laura jest u Kyle'a - powiedział Bruce. - Mają problem z Large'em i chcieli z nami o tym porozmawiać. Obiecaliśmy, że do nich przyjdziemy, ale najpierw chcieliśmy spędzić trochę czasu razem i...

- Możemy równie dobrze iść teraz, skoro James i tak nam przeszkodził - zauważyła kwaśno Kerry.

Jamesowi zdarzało się kręcić z różnymi dziewczynami podczas misji, ale nigdy nie musiał żyć z nimi po zerwaniu. Kerry należała do grona jego najbliższych znajomych i w ciągu minionych miesięcy zdążył się nauczyć, że bez względu na to, jak usilnie odmawia temu znaczenia, obecność byłej partnerki w towarzystwie bywa dla niego bardzo uciążliwa.

Cała trójka pomaszerowała wzdłuż korytarza na szóstym piętrze, by natknąć się na otwarte drzwi pokoju Kyle'a. Laura leżała na łóżku, przeglądając „Heat”, a właściciel sypialni odpoczywał rozparty na skórzanym beanbagu.

- Hej, dobre wieści. To ja! - James rozłożył szeroko ramiona.

- Zauważyliśmy - rzuciła od niechcienia Laura i udała ziewnięcie.

James cmoknął z irytacją.

- Nie przeginaj z tym entuzjazmem, jeszcze ci żyłka pęknie - burknął drwiąco.

- Nie było cię tylko dziesięć dni - zauważył Kyle. - Czego się spodziewałeś, parady?

- Zresztą nie jesteśmy w zbyt radosnym nastroju - dodała Laura.

- No więc w czym problem? - zapytała Kerry, ostentacyjnie obejmując Bruce'a ramieniem.

Kyle opowiedział o groźbach Large'a, a potem o zamiarach Meryl, która miała porozmawiać z Ewartem i zorganizować tymczasowe przeniesienie Klopsa do kampusu.

- Dobra, plan nie jest może doskonały, ale przynajmniej Klops będzie bezpieczny - powiedział James. - Co was tak dołuje?

- Rod Nilsson - odpowiedział Kyle.

James wciąż był trochę skołowany po długiej podróży i sądził, że być może coś mu umknęło.

- Kto? - zapytał, marszcząc brwi.

- Przecież wiesz, James - powiedziała Laura. - Pamiętasz ten wieczór, kiedy byliśmy w twoim pokoju i wszyscy zaczęli wyciągać zdjęcia z dzieciństwa?

- A no tak! - James pacnął się w czoło. - Rod to ten najlepszy kumpel Kyle'a, tak? Ten, który nie przeszedł szkolenia podstawowego.

- Ten sam - przytaknął Kyle. - Był moim partnerem na podstawówce i miał astmę. Na szkoleniu wytrzymał do osiemdziesiątego trzeciego dnia, kiedy wyruszyliśmy na pustynię. Tamtego dnia Large postanowił popastwić się właśnie nad nim. Powietrze było mętne od pyłu i musiałem nieść większość naszego ekwipunku, bo Rod ledwie mógł oddychać. Wkrótce po tym jak rozstawiliśmy obóz, rozpetąła się straszna burza piaskowa. Zgasiła nam ognisko, zanim zdążyliśmy ugotować cokolwiek do jedzenia, i wszystko, co mogliśmy robić, to siedzieć w namiotach i modlić się, żeby nam ich nie zwiąło. Po mniej więcej godzinie wiatr ucichł, ale w powietrzu wciąż było pełno pyłu. Large wywłókł Roda z jego namiotu i za karę za złe nastawienie kazał mu robić pompki i przysiady. Ale Rod nie miał już siły i nagle zaczął strasznie kaszleć. Large poleciał

po manierkę, ale Rod dostał ataku i stracił przytomność. Na szczęście byliśmy w Ameryce i śmigłowiec ratowniczy przyleciał w ciągu kwadransu. Rod wylądował w szpitalu na trzy dni. Ten atak był bardzo poważny i chłopakowi zaczęły się snić koszmary o tym, że nie może oddychać. Wrócił do kampusu, stopniowo odbudował kondycję, ale kiedy przyszło mu wrócić na podstawówkę, nie mógł znieść myśli, że Large znów może postawić go w podobnej sytuacji, i zrezygnował. James pokłamał głową.

- Opowiadałeś mi już tę historię. Wciąż wysyłasz do niego listy i różne prezenty, no nie?

- Głównie e-maile - powiedział Kyle. - Spotykamy się co roku w okolicach Bożego Narodzenia i zamierzamy wybrać się razem w podróż, kiedy zda wszystkie egzaminy.

- Może, no wiesz... W sumie nie wszyscy się do tego nadają - zaczął niezręcznie James. - Jeżeli był astmatykiem...

- Jakim tam astmatykiem - przerwał gniewnie Kyle. - Używał inhalatora, bo czasem brakowało mu tchu, i to wszystko. Dostał ataku tylko dlatego, że Large próbował go zakatować.

- Large nie dostał nagany?

- Nie. W raporcie stwierdził, że wcześniej tamtego dnia Rod nie doświadczył żadnych problemów związanych z astmą, a reszta instruktorów to potwierdziła.

- I nic nie powiedziałeś? - zdziwił się James. Kyle potrząsnął głową.

- Być może powinienem, ale miałem wtedy dziesięć lat. W tamtych czasach instruktorzy bali się Large'a jak ognia i moje słowo nie miałooby szans przeciwko słowu ich wszystkich. A wyobrażasz sobie, jak Large potraktowałby Roda, gdyby ten złożył formalną skargę, a potem znowu poszedł na szkolenie?

- No dobra, Large to kawał ścierwa - powiedział James. - Ale to żadna nowina. I co to wszystko ma wspólnego z Laurą i Klopsem?

- Nic - odrzekł Kyle - poza tym, że siedem lat później Large w najlepsze używa tych samych brudnych sztuczek: szantażuje Laurę, żeby odzyskać posadę instruktora. Za dwa miesiące odchodzę z CHERUBA i postanowiłem, że zanim to zrobię, odegram się na Large'u za wszystkie draństwa, jakie ma na sumieniu.

- W mordę! - ucieszył się James. - Wchodzę w to. Jaki macie plan?

- W tym cały problem - westchnęła Laura. - Nie mamy żadnego.

- Może jednak powinniśmy zostawić to dorosłym - zasugerowała Kerry. - Large'a pewnie i tak wykopią, a my możemy narobić sobie kłopotów.

James potrząsnął głową, a Kyle zacmokał z niesmakiem.

- Daj spokój, Kerry! - Laura przewróciła oczami. - Zawsze jesteś taka praworządna. Masz tyle samo powodów, żeby go nienawidzić, co każdy inny.

- Odchodzę za dwa miechy, więc wezmę to na siebie. Mnie nie ma jak ukarać - powiedział Kyle.

- Już wiem - oznajmił Bruce. - Pójdziemy do jego domu w nocy, z bejsbolami, maskami i tak dalej, a potem wyciągniemy go z łóżka i tak mu wlejemy...

- Subtelne - zaśmiał się James.

- Genialne! - powiedziała Laura z fałszywym entuzjazmem.

- No, chyba że Large dostanie kolejnego zawału, a nas wszystkich wsadzą za morderstwo. Zresztą nawet gdybyśmy go tylko pobili, i tak wywaliliby nas z CHERUBA.

Bruce strzelił palcami.

- Large jest sprytny: zagroził Laurze, ale nie bezpośrednio, tylko mówiąc, że skrzywdzi Klopsa. Musimy znaleźć sposób na dobranie się do niego poprzez coś, na czym mu zależy. Może

powinniśmy załatwić jego rottweilery Saddama i Thatcher?

- Nie ma mowy. - Laura potrząsnęła głową. - Nie będziemy krzywdzić biednych, bezbronnych zwierząt.

James uśmiechnął się drwiąco.

- Nie wydawały się bezbronne, kiedy próbowały odgryźć mi tyłek.

- Porwania i otrucia nie wchodzi w grę - oznajmił Kyle. - Podoba mi się pomysł dobrania się Large'owi do zadka, ale to musi być coś subtelniejszego.

- Cóż... - wtrąciła Kerry. - Wprawdzie nie chcę mieć z tym nic wspólnego, ale Large ma czternastoletnią córkę Hayley. Ojcowie zazwyczaj są bardzo opiekuńczy wobec swoich córeczek.

- Tak! - wykrzyknął triumfalnie Kyle. - Kerry, to jest to! Mógłbym cię ucałować.

- Chcesz całować dziewczynę? - prychnął James. - A to nowość.

To był toporny dowcip, który przyjęto chóralnym jękiem.

James się naburmuszył.

- Sorry, że się odezwałem. No to co zrobimy z córką Large'a?

- Coś, co wyprowadzi z równowagi Large'a, ale nie będzie zbyt przykre dla niej - powiedziała Laura.

- Właśnie - przytaknął Kyle. - Parę razy widziałem Hayley Large w kręgielni w mieście i wydaje mi się, że wciąż nie ma chłopaka.

James pokiwał głową.

- Nic dziwnego. To paszczur. Kerry uderzyła Jamesa w ramię.

- Seksistowski palant.

- Hej! - zdenerwował się James. - Nie jesteś już moją dziewczyną, więc może łaskawie mnie nie bij, bo mogę ci oddać.

Kerry roześmiała się.

- Spróbuj i zobaczymy, co na tym ugrasz.

Mała Azjatka wiedziała, co mówi. Była o wiele drobniejsza od Jamesa, ale w walce wręcz nie miał z nią szans.

- No i zaczyna się - westchnęła Laura. - Już wolałam, jak ze sobą nie rozmawialiście.

- Wracając do tematu... - powiedział twardo Kyle. - Potrzebny jest nam chłopak dla Hayley Large. Nie za brzydki, dość wyrywny do dziewczyn, a przede wszystkim ktoś, kto doprowadziłby Large'a do białej gorączki, gdyby ten zobaczył, że ktoś taki dobiera się z łapskami do jego kochanej dziewczynki.

- Uroczy pomysł - wyszczerzyła się Laura.

James z entuzjazmem kiwał głową, dopóki nie spostrzegł, że wszystkie cztery pary oczu są skierowane na niego.

- O nie, o nie - zaprotestował gwałtownie. - Na pewno nie ja.

- No jak to nie ty, James? - powiedziała Laura, podskakując z uciechy na łóżku Kyle'a. - Zawsze przechwalasz się, jaki to z ciebie ogier i że laski nie potrafią ci się oprzeć. Wreszcie masz okazję tego dowieść.

## 14. KOMISJA

James spał w samolocie i jego wewnętrzny zegar wskazywał popołudnie, kiedy wszyscy w kampusie układali się już do snu. Rzucił się na łóżku przez całą noc, a o wpół do szóstej rano dał sobie spokój z próbami zaśnięcia i poszedł do siłowni w niedawno odnowionej hali sportowej.

Była sobota. Po samotnej przechadzce przez kampus James wszedł do wyludnionej już o tej porze sali gimnastycznej i z dziecinną radością przejechał dłonią po rzędzie włączników, budząc do życia setki świetlówek.

Po krótkiej, ale intensywnej rozgrzewce James wziął się do podnoszenia ciężarów. Nigdy nie był mocny w sportach zespołowych, ale rekompensował to sobie satysfakcją, jaką czerpał, dając sobie w kość w siłowni albo na bieżni. I zawsze przyjemniej było ćwiczyć w pustej sali, kiedy nie trzeba walczyć o sprzęt z innymi.

Pięćdziesiąt minut później James był zlany potem, żyły pulsowały mu krwią, a pobudzony wysiłkiem mózg dochodził wreszcie do normalnego tempa pracy. W drodze do basenu, gdzie postanowił się schłodzić, zauważył dwoje członków kadry ćwiczących na bieżniach, ale kiedy wreszcie wybrał się na śniadanie, zastał stołówkę pustą.

James potrzebował protein, by zregenerować obolałe mięśnie, i kucharz zgodził się usmażyć mu stek z pieczarkami i jajecznicą, choć bufet nie był jeszcze czynny. Siedział przy stole,



studiując przegląd rozgrywek ligowych w sobotniej gazecie, kiedy ktoś klepnął go w ramię.

- Wcześniej wstałeś - zauważyła Zara.

- Zmiana czasu - wyjaśnił James. - Nie mogłem spać, więc poszedłem pomachać sztangą.

Zara skinęła głową.

- Musisz uważać. Jeśli zaczniesz wyglądać jak kulturysta, to mocno ograniczy zakres misji, na jakie możemy cię posyłać.

James poklepał się po brzuchu.

- To mi raczej nie grozi. Za bardzo cenię sobie zacne żarętko.

Jakby na potwierdzenie tych słów przy stole pojawił się kucharz, który postawił przed Jamesem wielki talerz obładowany mięsem i jajecznicą oraz drugi zawierający stos grzanek i dżem.

- Wielkie dzięki! - James wyszczerzył się do śniadania, a kucharz spojrział na Zarę.

- Obawiam się, że na bufet trzeba będzie poczekać jeszcze jakieś dwadzieścia minut, ale z przyjemnością przyrządzę dla pani, co tylko sobie zażyczy.

- Cóż, normalnie nigdy bym... - zaczęła Zara niepewnie, patrząc, jak James pochłania swoje danie. - Ale wie pan co, chętnie zjem to co on. Stek poproszę dobrze wysmażony, a do tego dzbanek kawy.

- Nie ma sprawy. Stek będzie za siedem minut.

- Dziękuję - skinęła głową Zara, a potem spojrzała na Jamesa. - Muszę zjeść coś porządnego. Od dwóch dni kursuję między kampusem a Luton, żywiąc się hamburgerami i kanapkami ze szpitalnego bufetu.

James zauważył, że troje juniorów czyta ogłoszenie przy drzwiach.

- Czy to wiadomości o Gabrielli? - zapytał.

Zara skinęła głową.

- Dopiero co je przypięłam. Miała niewiarygodne szczęście. Nóż wszedł jej w plecy na tyle. - Zara uniosła przed sobą dłonie rozsunięte o dwadzieścia centymetrów. - A mimo to ostrze ominęło wszystkie ważne narządy. A najlepsze, że to samo dotyczy jej rany w boku. Chirurg powiedział, że to taki mały cud.

- Czyli wszystko z nią dobrze?

- Nie na sto procent, ale wygląda całkiem obiecująco. W tej chwili jest już w pełni przytomna i przenieśli ją z OIOM-u. Być może wypiszą ją za pięć dni, ale niewykluczone, że potrzebna będzie jeszcze jedna operacja, jeżeli rany nie będą się goić jak należy.

- To szybko - wykrztusił ze łzami w oczach James, któremu właśnie utknął w gardle niedokładnie przeżuty kęs mięsa.

- W dzisiejszych czasach szpitale są pełne drobnoustrojów odpornych na antybiotyki - wyjaśniła Zara, podczas gdy James wypływał zaśliniony kawałek steku na serwetkę. - Ryzyko infekcji będzie mniejsze w kampusie, dlatego chcą ją wypisać najszybciej, jak to możliwe. Umieszczę ją w salce na oddziale medycznym.

- Fantastycznie - powiedział James. - Wszyscy będą mogli się z nią zobaczyć i tak dalej...

- To prawda - uśmiechnęła się Zara. - A w ogóle to chciała-bym pomówić z tobą o pewnej sprawie dotyczącej misji Gabrielli i Michaela. Słuchaj... Mogę się przysiąc?

James wzruszył ramionami.

- Pewnie zaczną mnie przezywać pieskiem prezeski, jak mnie z tobą zobaczą, ale co mi tam, najwyższej skopię im tyłki.

- Tylko nie kop zbyt mocno - powiedziała Zara, siadając naprzeciwko Jamesa. Jej uśmiech płynnie przeszedł w szerokie ziewnięcie. - Do wpol do drugiej siedziałam na spotkaniu z komisją etyki.

- A to ci frajda - zażartował ponuro James, patrząc na kucharkę stawiającą na stole kawę dla Zary.

- Mało co spałam - ciągnęła Zara. - A kiedy wreszcie przyjechałam do domu, Joshua uparł się, że będzie spał w naszym łóżku. Ma rękę w gipsie, a on strasznie się denerwuje, kiedy nie może czegoś zrobić.

- Biedny dzieciak - powiedział James. - Odwiedzę go przy najbliższej okazji.

- Bardzo proszę - uśmiechnęła się Zara. - Wciąż jesteś jego bohaterem.

- Po trenowaniu juniorów na podstawówce należy mi się tydzień wolnego, więc będę miał mnóstwo czasu. A co mówiłaś o tej misji?

- Wczorajsze spotkanie z komisją dotyczyło przyszłości misji Gabrielli i Michaela. Przyszli wszyscy członkowie komisji i na początku podzielili się równiutko: troje było za wyciągnięciem wtyczki, ponieważ ich zdaniem wojna gangów zrobiła się zbyt ostra; troje zaś zaakceptowało mój argument, że wszystkie operacje CHERUBA są niebezpieczne i nie powinniśmy rezygnować tylko dlatego, że raz wydarzyło się coś złego. Mieliśmy też ministra wywiadu na połączeniu konferencyjnym z Londynu. To dziwne, ale minister stanął po mojej stronie i po paru godzinach debatowania mieliśmy pięć głosów za kontynuowaniem misji i jeden przeciwko. I w tym momencie rzecz zaczyna dotyczyć ciebie.

James zmartwił.

- Ale dopiero co wróciłem z Malezji...

- Nie martw się o swój tydzień laby - przerwała narzekania chłopaka Zara. - Zorganizowanie wszystkiego zajmie trochę czasu. Zamierzamy zinfiltrować gang znany jako Wściekłe Psy, a ty jesteś wyjątkowo dobrze ustawiony, by tego dokonać.

- Jak to? - zapytał James zdumiony.

Zara otworzyła tekturową teczkę, wyjęła z niej policyjne czarno-białe zdjęcie aresztanta i puściła je po stole do Jamesa. Widoczny na nim młodzieniec mógł mieć około piętnastu lat. Choć dobrze zbudowany, był nieco drobniejszy od Jamesa, a twarz zdobiła mu kretyńska kozia bródka. Chłopiec zmienił się od czasu, kiedy się przyjaźnili, i minęło kilka sekund, zanim James uświadomił sobie, kto to taki.

- Junior Moore? - zachłysnął się, wytrzeszczając oczy.

Zara skinęła głową.

- Syn narkotykowego barona Keitha Moore'a. Byliście bardzo zaprzyjaźnieni, kiedy dwa lata temu robiliśmy akcję w Luton.

- To prawda - zgodził się James. - Pojechaliśmy razem na Florydę i było ekstra, przynajmniej dopóki nie zaczęli do nas strzelać.

- Junior ma za sobą dwa trudne lata. Matka posłała go do szkoły z internatem, ale wciąż się urywał i w końcu wyrzucili go za palenie trawki. Wtedy zamieszkał z matką i rodzeństwem pod Luton i pomimo jej starań, by utrzymać go pod kontrolą, od tamtej pory raz po raz pakuje się w kłopoty. W październiku ubiegłego roku złapano go za kierownicą kradzionego samochodu, pijanego i z dwoma kilogramami kokainy pod fotelem pasażera. Junior wymigał się od poważniejszych zarzutów, ponieważ policja nie potrafiła obalić jego twierdzenia, jakoby narkotyki były już w wozie, kiedy go ukradł, ale i tak dostał pół roku. Skazano go przed świętami, a jakieś dwa tygodnie temu wypuszczono za dobre sprawowanie.

James zassał powietrze przez zęby.

- Zdaje się, że idzie w ślady ojca.

- Nic z tych rzeczy - powiedziała Zara, kręcąc głową. - Keith Moore był profesjonalistą, który zarządzał swoją organizacją jak szef firmą. Junior Moore ma problem z narkotykami, z

alkoholem i moim zdaniem zmierza prostą drogą do długoletniego wyroku.

- Przecież ma miliony ojca w funduszu powierniczym - powiedział James. - Po co miałby ryzykować dla paru patoli w kokainie?

- Junior nie będzie miał dostępu do pieniędzy ojca, dopóki nie skończy dwudziestu jeden lat, a co do ryzykowania, to przypuszczam, że jak wielu nastolatków testuje własne możliwości i próbuje wyrobić sobie reputację, wiążąc się z Wściekłymi Psami.

- Zatem plan jest taki, że zjawiam się tam z jakąś legendą, odnawiam znajomość z Juniorem i wyciągam z niego jak najwięcej informacji o Wściekłych, tak?

- Jeżeli jesteś gotów przyjąć tę misję - skinęła głową Zara. - Zadanie byłoby rutynowe, gdyby nie wojna gangów i ryzyko kolejnej erupcji przemocy. Michael będzie na tej samej misji, ale w konkurencyjnym gangu, więc będziecie musieli trzymać się z dala od siebie. Dla bezpieczeństwa ma ci towarzyszyć jeszcze jeden agent, który będzie ci ubezpieczał tyły.

James pokiwał głową.

- Jeżeli ktokolwiek ma mnie osłaniać, to niech to będzie Bruce Norris.

- Hmm, no tak - mruknęła Zara z wahaniem. - Zwykle bardzo ostrożnie dobieramy misje dla Bruce'a. Nie jest to najbardziej dojrzały czternastolatek.

- Z całym szacunkiem - powiedział James ostrożnie. - Wiem, że ty tu rządysz i w ogóle, ale moim zdaniem traktujecie go niesprawiedliwie. Owszem, zdarzało mu się zachować po szczeniacku, ale on bardzo się zmienił przez ostatni rok. Spoważniał, zrobił się mniej humorzasty i myślę, że przez chodzenie z Kerry naprawdę wydorósł.

- I nie ma między wami tarć, mimo że Bruce jest z twoją byłą dziewczyną?

- Wiesz, ja i Kerry podobaliśmy się sobie, i to bardzo, ale między nami jakoś nigdy nie grało, jak trzeba. Wciąż jest zła, że ją rzuciłem, ale z drugiej strony mam wrażenie, że jest szczęśliwsza z Bruce'em, niż kiedykolwiek była ze mną, a mnie jest milion razy lepiej z Daną.

- Twoje umiejętności w walce wręcz nie są najgorsze - powiedziała Zara z namysłem. - Ale rzeczywiście, trudno przecenić wartość bojowych talentów Bruce'a podczas misji, na której ryzyko fizycznej konfrontacji jest tak wysokie. Poza tym, mimo iż kilka osób uważa go za niedojrzałego, Bruce zdobył granatową koszulkę i nie przypominam sobie, by sparaczył cokolwiek ważnego podczas którejkolwiek ze swoich misji.

James uśmiechnął się szeroko.

- To co, mam mu powiedzieć?

- Wstrzymaj się - odparła Zara. - Najpierw przepuszczę to przez Chloe i Maureen, dla pewności, że nie mają żadnych zastrzeżeń, ale jestem skłonna przyznać, że Bruce to dobry wybór.

## 15. PODZIEMIA

Tamtego dnia nie tylko James wstał wcześniej. Laura zakradła się do pokoju Rata i pochyliła się nad jego łóżkiem tak, że jej usta zawisły tuż nad uchem chłopca.

- KU- KURYKUUU!

Rat wierzgnął tak gwałtownie, że wyrznął głową o wez-głowie łóżka. Rozbudziwszy się, usiadł, masując obolałe miej-sce i łypiąc spode łba na Laurę.

- Można wiedzieć, co ci odbiło?

Laura dusiła się ze śmiechu.

- Szkoda, że nie nagrałam tego na komórkę. Ale mina!

- Która godzina?

- Już prawie siódma - powiedziała Laura, przecierając pal-cem załzawione oczy. - Lepiej zacznij się szykować. O wpół do dziewiątej mam lekcje, a musimy jeszcze zjeść śniadanie.

- Nie cierpię tak wcześnie wstawać - jęknął Rat, wydłu-bując śpiochy z kącika oka, po czym zsunął się z łóżka w sa-myh bokserkach i skarpetkach. Włożenie spodni, szarej ko-szulki CHERUBA i wsunięcie stóp w przydziałowe glany zaję-ło mu trzydzieści sekund. - Gotowy - oznajmił, stając na bacz-ność i uderzając się dłońmi po udach.

Laura była wstrząśnięta. Więcej czasu poświęcała na samo ułożenie włosów.

- Nie chcesz się uczesać albo umyć zębów?

- Nie ma czasu na pierdoły - powiedział Rat, zgarniając zegarek z parapetu i wsuwając go sobie na przegub. - Chodźmy.

- To naprawdę wszystko, co robisz rano, kiedy wstajesz? - dopytywała się Laura, kiedy wyszli z pokoju i ruszyli korytarzem w stronę windy.

- Czasem biorę prysznic, ale o wpół do dziesiątej mam trening samoobrony. Potem i tak będę spocony jak świnia, więc co za sens?

- Pan Higiena zaczyna kolejny dzień. Z ciebie to naprawdę rasowy facet.

Rat odwrócił się do Laury z niecierpliwym cmoknięciem.

- Chcesz, żebym ci pomógł, czy nie? Jak nie jestem dla ciebie dość czysty, to z rozkoszą wczółgam się z powrotem pod kołdrę.

- Wczoraj wieczorem byłeś cały napalony, że idziemy do rwać Large'a.

- Wciąż jestem - ziewnął Rat. - Ale wiesz, jak nie lubię wstawać.

Gdy wsiadali do windy, w ostatniej chwili wcisnęli się za nimi dwaj cherubini, którzy podbiegli z drugiej strony korytarza. Laura i Rat zamilkli i nie odzywali się przez całą drogę z ósmego piętra do archiwów w podziemiach.

Agenci rzadko korzystali z archiwów i Rat widział je po raz pierwszy. Główny budynek kampusu miał trzydzieści lat i choć biura i sypialnie na górze z czasem zmodernizowano, w piwnicy pozostawiono oryginalny wystrój z lat siedemdziesiątych, ze sprzętami w kolorze awokado i wyświechtanymi dywanikami na podłodze.

Winda otworzyła się na korytarz z podwójnymi drzwiami na każdym końcu. Po lewej stronie mieściła się biblioteka, ale uwagę Rata przyciągnęło przestronne pomieszczenie po prawej zawierające komputer typu mainframe o wielkości dwóch tuzinów



lodówek. Otaczały go regały z wielkimi szpulami taśm magnetycznych, a wszystko wyglądało jak wyjęte prosto ze starego filmu science fiction.

- Retro. - Rat pokiwał głową z uznaniem i pokazał dwa uniesione kciuki, zaglądając ciekawie przez przeszklone drzwi.  
- Myślisz, że wciąż tego używają?

- Wątpię - powiedziała Laura, wyjmując z kieszeni plastikową kartę magnetyczną. - Przestań się ślinić do tego komputera. Chcę, żebyś miał oczy szeroko otwarte.

Przeciągnęła kartę przez czytnik przy drzwiach i zamek otworzył się z cichym kliknięciem.

- Niezłe - skinął głową Rat, przechodząc przez drzwi przytrzymywane przez Laurę. - Ciekawe, skąd Kyle wytrzasnął przepustkę.

Laura wzruszyła ramionami.

- Jak go znam, to przehandlował za nią stertę pirackich DVD.

Archiwum pachniało kurzem i płynem do czyszczenia. Personel przebywał tu tylko w czasie zwykłych dziennych godzin pracy, więc miejsce za biurkiem recepcji było puste.

Podczas gdy Rat zaglądał między pięćdziesięciometrowe rzędy metalowych regałów i szaf na dokumenty, by upewnić się, że są sami, Laura usiadła naprzeciw starego peceta z monitorem jarzącym się zieloną poświatą. Rozejrzała się za myszką, ale uświadomiwszy sobie, że tej po prostu nie ma, użyła strzałek na klawiaturze do przeniesienia kursora na pole oznaczone „Szukaj”.

Laura wstukała nazwisko „Norman Large” i po dwudziestu sekundach z dołu ekranu wypłynęła lista dokumentów i numerów katalogowych. Przeglądając listę, wypatrzyła punkt: „Akta osobowe od 1996 roku do dziś”. Zapisała sygnaturę na samo-przylepnej karteczce, po czym kilkakrotnie nacisnęła klawisz Escape, by zatrzeć ślady swoich poszukiwań.

- Nikogo nie ma - oznajmił Rat, kiedy Laura wstała zza biurka. - Co tutaj jest? Czemu tych szaf jest tak dużo?

-Przechowuje się tu dokumentację wszystkich misji CHERUBA sprzed dziewięćdziesiątego drugiego roku, kiedy to wprowadzono archiwizację komputerową - wyjaśniła Laura.

- Poza tym znajdziesz tu teczki każdego, kto kiedykolwiek odwiedził kampus i potrzebował przepustki, od naszej prezeski aż po kolesia, który dwadzieścia pięć lat temu wpadł tu na chwilę jedynie po to, żeby wymienić filtr w basenie. Są też inne rzeczy: kontrakty, plany budowlane, rachunki...

Twarz Rata rozjaśnił szelmowski uśmiech.

- A nasze akta osobowe?

Laura potrząsnęła głową.

- Teczki obecnych agentów i ostatnich misji są w centrum planowania, ale po pięciu latach wszystko się skanuje i archiwizuje cyfrowo.

- Szkoda, byłoby zabawnie zajrzeć we własne akta.

- FGS-271C - mruknęła Laura, spoglądając wzdłuż długiego szeregu półek. - Gdzie to może być...

- Coś ci powiem - wypalił Rat. - Trzeba będzie porobić kopie. Ty idź poszukaj teczki, a ja włączę kopiarki, żeby były rozgrzane, kiedy już znajdziesz wszystko, co trzeba.

- Dobrze kombinujesz - pochwaliła Laura i weszła między regały, próbując rozgryźć system oznaczania półek.

Pierwszą oznaczono AAA-000A, zgadywała zatem, że numer zaczynający się od F będzie w drugiej lub trzeciej alejce. Znalazła go w ciągu minuty, ale musiała jeszcze zlokalizować przesuwaną drabinkę i przepchnąć ją wzdłuż regału, by z przegródki na najwyższej półce wydobyć sporych rozmiarów segregator.

Kiedy go otworzyła, by zerknąć do środka, gruby plik dokumentów wysliznął się z okładki i rozsypał na wykładzinie.

- Kuźwa! - zakłęta odruchowo.

Rat usłyszał hałas i natychmiast przybiegł, by pomóc pozbierać papiery.

Oboje byli mocno spięci, ale nie mogli nie parsknąć śmiechem, kiedy natknęli się na fotografię młodego, może dwudziestokilkuletniego Normana Large'a, ubranego w sprane dżinsy, oszałamiającego niesamowitą plerezą i wąsami a la czeski piłkarz i wznoszącego transparent z napisem: „Związek Studencki LSE bojkotuje towary z RPA”.

Gdy papiery zostały już pozbierane, Laura zaniósła je na niewielki stolik ustawiony między końcami dwóch regałów i tak długo przerzucała kremowe teczki, aż natknęła się na oznaczoną napisem: „Spadkobiercy”.

- To trochę upiorne, gdy się pomyśli, że CHERUB będzie trzymać osobiste informacje o nas jeszcze wiele lat po naszym odejściu - powiedział Rat. - I nie tylko o nas, ale o naszych dzieciach, żonach i wszystkich.

Laura pokiwała głową.

- Utrzymywanie istnienia CHERUBA w tajemnicy to gigantyczna praca. Słyszałam, że istnieje specjalny zespół złożony z byłych cherubinów, ale takich, którzy byli najtwardsi i najlepsi. Pilnują, żeby nikt nie puścił farby.

- Niby jak?

- Bo ja wiem? Pewnie wszystkie chwytaki dozwolone.

- Super - wyszczerzył się Rat. - Myślisz, że zabijają ludzi? No bo gdyby na przykład ktoś wydał książkę o CHERUBIE i nie byłoby innego sposobu, żeby go powstrzymać...

Laura niecierpliwie wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, Rat, to tylko plotka. W tej chwili musimy skupić się na dokumentach, żebyśmy mogli się zmyć, zanim ktoś nas tu zdybie.

Otworzyła teczkę spadkobierców i przebiegła wzrokiem po pierwszej stronie.

NORMAN LARGE

Liczba spadkobierców - 1

Imię - Hayley June Large-Brooks

Ur.- 16.05.1991

Rodzice - n.d.

Uwagi: Hayley jest adoptowaną córką Normana Large'a i jego wieloletniego partnera Garetha Brooksa.

- Tu jest wszystko - zachwyła się Laura, wertując strony. - Szkolne zdjęcia Hayley, dokumentacja stomatologiczna, DNA, szczegółowe informacje o jej biologicznych rodzicach, szkołach i tak dalej. Są nawet notki o klubach, do których należy, i personalia jej najbliższych koleżanek i kolegów.

- Ksero się chyba nagrzało.

Laura skinęła głową i ruszyła za Ratem w stronę kopiarek. Kartki nie były spięte, więc Rat wepchnął cały stos do podajnika i wduśił przycisk automatycznego kopiowania.

Do obsługi koparki wystarczała jedna osoba. Rozglądając się nerwowo, Laura wróciła do recepcji. Zatarła już ślady po swoim szperaniu w katalogach, ale jako rasowa paranoiczka postanowiła upewnić się jeszcze raz. Kiedy podeszła do komputera, usłyszała dźwięk otwierających się drzwi windy.

- Rat, ktoś idzie! - zawołała scenicznym szeptem, nurkując pod biurko.

Rat rozejrzał się w panice. Chciał skryć się między regałami, ale na to nie było już czasu, poprzestał więc na przycupnięciu w szczelinie między kopiarką a ścianą. Od strony drzwi archiwum dobiegł odgłos kroków.

Laura wyjrzała przez wąską kreskę światła między tylnym panelem biurka a obudową szuflad. Natychmiast rozpoznała brązowy garnitur i łysą głowę koordynatora Johna Jonesa. John

pracował z Laurą przy dwóch misjach, na których bardzo się polubili. To jednak nie znaczyło, że gdyby przyłapał ją na szperaniu w tajnych archiwach bez zezwolenia, puściłby jej to płazem.

John zatrzymał się i odwrócił głowę w stronę hałasu dobiegającego z punktu ksero, gdzie kopiarka niewzruszenie połykała i wypluwała kolejne strony akt Hayley Large-Brooks. Zrobił krok w tamtym kierunku, ale w tym samym momencie Rat zdołał wcisnąć rękę za maszynę i wyrwać wtyczkę z gniazdka.

To przerzuciło problem na Laurę, ponieważ John - uznawszy zapewne, że hałas musiał być przypadkowym gulgotem klimatyzacji - zawrócił w stronę recepcji, by poszukać czegoś w komputerowym katalogu.

Pod biurkiem nie było zbyt wiele miejsca. Laura przycisnęła plecy do ścianki mebla, a but koordynatora stanął na wykładzinie zaledwie centymetry od jej prawej stopy. Gdyby John przysunął sobie krzesło i usiadł, odkryłby ją natychmiast; na szczęście spieszyło mu się i stukał w klawisze na stojąco.

- Jasna cholera! - zaklął, waląc pięścią w klawiaturę, po czym opadł ciężko na krzesło.

Laura zadrżała ze strachu. Osloniła twarz dłonią, przewidując, że jeśli John przysunie się szybko do biurka, jego kolano trafi ją prosto w usta. „Boże, proszę, nie pozwól mu się przysunąć” - myślała, ściskając kciuki, podczas gdy koordynator wpatrywał się z namysłem w jakąś kartkę. Po piętnastu sekundach - które Laurze wydały się piętnastoma latami - John nagle odepchnął się wraz z krzesłem do tyłu i sięgnął po słuchawkę telefonu stojącego na bocznej dostawce.

Aparat był równie wiekowy jak większość sprzętów w archiwum. Błaszany dzwonek dźwięknął cicho, kiedy John podniósł słuchawkę, po czym Laura, cierpiąc katusze, musiała wysłuchać

przerywanego terkotu staroświeckiej tarczy do wybierania numerów.

- Chris? - zaczął John, najwyraźniej zwracając się do swojego asystenta. - Słuchaj, jestem w archiwum, ale chyba zostawiłem na biurku listę potrzebnych dokumentów. Zastanawiałem się, czy pamiętasz może datę...

John nagle zamilkł, by wysłuchać asystenta mówiącego coś z drugiego końca linii. Kiedy odezwał się znowu, ton jego głosu był znacznie weselszy.

- Przyszedłeś tu wczoraj i wzięłeś wszystkie papiery...? Chris, jesteś absolutnie boski! Miałem iść do biura, ale wstąpiłem tutaj, bo miałem po drodze... Na moim biurku? Ogromne dzięki, Chris. Do zobaczenia na spotkaniu po południu.

John odłożył słuchawkę i energicznie poderwał się z krzesła, wystrzeliwując je w tył, prosto w metalową szafkę.

- Prawdziwy z ciebie skarb, Chris - mruknął do siebie, podejmując teczkę z podłogi i ruszając w stronę windy.

Laura wypełzła spod biurka i ostrożnie wyjrzała ponad blatem. Kiedy tylko nogi Johna zniknęły na schodach ewakuacyjnych, zerwała się i podbiegła do Rata.

- Dzizas, myślałam, że umrę - westchnęła, podczas gdy Rat podłączał kopiarkę do gniazdka. - Normalnie tyle brakowało, żeby mnie dotknął - pokazała dwa niemal złączone palce. - W myśli już liczyłam karne okrążenia.

- Jeszcze nie wyszliśmy z lasu - zauważył Rat.

Maszyna została wyłączona w trakcie procesu kopiowania, przez co po ponownym podłączeniu zasilania papier zaciął się w podajniku, a na panelu sterującym rozjarzył gwiazdozbiór lampek ostrzegawczych.

- Umiesz to naprawić? - zapytała Laura, kiedy Rat przykucnęła przed kopiarką i zdjął plastikową pokrywę.

- Zdaje się, że lata pracy w biurze Arki Wybrańców nie poszły jednak na marne - powiedział Rat z przekąsem, po czym

wprawnym ruchem przerzucił jakąś dźwignię i pokręcił zielonym kółkiem, wysuwając z mechanizmu dwie pogniecione kartki.

Laura odetchnęła z ulgą, widząc, że czerwone diody zgasły, a na wyświetlaczu pojawił się zachęcający napis: „Gotowy do kopiowania”.

- Idź, stań na czujce - powiedział Rat, zakładając z powrotem pokrywę. - Zostało tylko sześć stron, a potem odkładamy papiery na miejsce i wynosimy się stąd.

## 16. PROWOKACJA

Hayley Large-Brooks była uczennicą dziesiątej klasy w szkole dla dziewcząt imienia świętego Alojzego, położonej sześć kilometrów od kampusu. Cherubini często widywali dziewczęta z Alojzego podczas wypraw do miasta i mundurki szkoły były wszystkim dobrze znane.

Laura skompletowała kopię uniformu w kampusowym magazynie i kiedy ubrała się weń w poniedziałek, jedyną rzeczą, jaka odróżniała ją od prawdziwej uczennicy tej szkoły, był brak szkolnej tarczy na froncie zielonego blezera.

- Nie przejmuj się - powiedział Kyle, kiedy schodzili tylnymi schodami na parking. - Nikt nie zauważy, tylko nie rozpinaj kurtki.

Jak każdy cherubin Kyle nauczył się prowadzić, kiedy tylko pozwolił mu na to wzrost, ale dopiero gdy skończył siedemnaście lat, otrzymał prawo jazdy i pozwolenie na korzystanie z ogólnodostępnych samochodów służbowych pod warunkiem, że będzie prowadził rozważnie i że zgodzi się wozić młodsze dzieci, gdyby zaszła taka potrzeba.

Kiedy dotarli do wyjścia ewakuacyjnego na dole schodów, Kyle wyszedł w rześkie poranne powietrze i rozejrzał się, by sprawdzić, czy na pewno są sami.

Ruszyli żwawym krokiem przez wyasfaltowany plac. Laura była niespokojna. O ósmej powinna stawić się na poranny trening samoobrony, ale wysłała pannie Takada SMS-a, informując, że skręciła kostkę. Takada była surową trenerką i gdyby



odkryła, że Laura urwała się z zajęć, karą byłyby co najmniej dwa straszne tygodnie szorowania podłogi dojo, sprzątania szatni i prania góry przepoconych Strojów i wilgotnych ręczników po ponad setce cherubinów ćwiczących tam każdego dnia.

Kyle wyjął z kieszeni bluzy kluczyki i wcisnął guzik breloczka, odblokowując niepozorną mazdę kombi. Podczas gdy zapinał pasy na miejscu kierowcy, Laura wsiadła z tyłu i ułożyła się na podłodze, wciskając za przednie fotele, żeby nie było jej widać podczas jazdy przez kampus. Niestety, służbowe auta CHERUBA nie należały do zadbanych i wykładzinę pokrywała gruba warstwa błota z dodatkiem okruszków po ciastkach.

Kyle przetoczył się przez garby spowalniające i wetknął przepustkę w czytnik przy bramie. Kiedy tylko wyjechali z kampusu, Laura wygramoliła się spod kanapy i starannie otrzepała kurtkę i mundurek z brudu, zanim sięgnęła do kieszeni po telefon. Zadzwoiła do Jamesa.

- Coś się dzieje? - zapytała.

James, z lornetką na szyi, stacjonował w kępie drzew na tyłach domu Normana Large'a.

- Hayley ubrała się w mundurek - poinformował siostrę.

- Gareth Brooks wyszedł do pracy mniej więcej godzinę temu, więc wygląda na to, że dzisiaj to Large odwiezie ją do szkoły.

Laura spojrzała na zegarek.

- Kurde, wszystko na styk.

- Nie moja wina, ja tylko patrzę - powiedział James. - I здаje się, że Klops mnie wyczuł. Biega w kółko po ogrodzie Askerów i ujada jak wściekły.

- Mądry piesek - wyszczerzyła się Laura, ale zaraz przypomniała sobie, w jak trudnej jest sytuacji. - Nie wiem, jak ja mam zdążyć - poskarżyła się. - Przed pierwszą lekcją muszę wrócić do kampusu i muszę się jeszcze przebrać.

- Przestań panikować - powiedział James. - Wszystko jest zaplanowane. Jedyna osoba, o jaką musisz się martwić, to Taka.

- Wy to macie dobrze - jęknęła Laura. - Ty masz wolny tydzień, a Kyle musi się poduczyć do matury z tylko jednego...

- Zaczyna się! - przerwał James. - Hayley i Large właśnie wyszli przez frontowe drzwi. Jedziecie za ciemnoniebieskim renault megane.

Laura uderzyła pięścią w zagłówek za Kyle'em.

- Zwolnij. Oni zaraz wyjadą.

Droga prowadząca z kampusu była naszpikowana kamerami, a służby ochrony CHERUBA nieustannie ją obserwowwały, wypatrując wszelkich podejrzanych sytuacji.

- Nie mogę - odpowiedział Kyle. - Od razu będzie widać, że na nich czekamy.

Mimo to Kyle nieznacznie zwolnił i przetoczył się przed grupą domów, gdzie mieszkali Large i Askerowie, dokładnie w chwili, gdy Hayley otwierała lewe przednie drzwi renault.

- Duża dziewczynka - wyszczerzył się Kyle. - Nawet większa niż na zdjęciach.

Laura zachichotała.

- Wiem. James jest strasznie wkurzony.

Jeśli nie liczyć trafiających się okazjonalnie traktorów, na wiejskich szosach w okolicy kampusu nigdy nie było zatorów i jazda do szkoły zajęła im mniej niż dziesięć minut. Po drodze Kyle celowo skręcił w złą drogę, wjechał na osiedle domków i zawrócił dopiero, gdy samochód Large'a znalazł się przed nimi.

Święty Alojzy mieścił się w wiekowym budynku wyrastającym między boiskami do hokeja na trawie a bieżnią lekkoatletyczną. O tej porze dnia - niespełna dziesięć minut przed początkiem zajęć - wąska droga pnąca się do szkoły była zapchana

samochodami rodziców zatrzymujących się na środku jezdni, by wysadzić swoje córki.

Kyle utknął w korku kilkaset metrów przed bramą, cztery pojazdy za niebieskim renault. Po kilku minutach wyczekiwania zauważył Hayley wysiadającą z samochodu i zarzucającą sobie plecak na ramię.

- Wygląda na to, że ostatnie dwieście metrów postanowiła przejść pieszo - powiedział Kyle. - Large pewnie nie będzie patrzył w twoją stronę, ale na wszelki wypadek postaw kołnierz i zasłoń twarz włosami, dopóki nie przejdziesz obok niego.

- Nie martw się - powiedziała Laura i otworzyła drzwi, wpuszczając do samochodu chłodne powietrze. - Tylko nie odjeżdżaj daleko. Muszę zdążyć na historię albo mam przełbane.

Laura pobiegła pod górę, próbując dogonić Hayley. Jej pewność siebie topniała z każdym krokiem. Ponieważ James w ciągu tygodnia miał ruszyć na misję, musieli działać szybko, ale trudno było wymyślić wiarygodny powód, dla którego James miałby kręcić się w okolicy szkoły dla dziewcząt w poniedziałkowy poranek. W ten sposób niewdzięczne zadanie umówienia go na randkę spadło na Laurę i choć poprzedniego dnia pomysł przypadł jej do gustu, teraz cały plan wydawał się mocno naciągany.

- Hej, przepraszam - powiedziała Laura, klepiąc Hayley w ramię.

Hayley, starsza od Laury o trzy lata, odwróciła się, nie przerywając marszu, z miną mówiącą: „Jak śmiesz zawracać mi głowę, gnojowo?”.

Laurę zakreśliło się w głowie. Tak wiele rzeczy mogło pójść źle: Hayley mogła mieć szlaban, mogła mieć innego chłopaka, nie mówiąc o tym, że James wcale niekoniecznie musiał być w jej typie.

- Cześć, jestem Susan - skłamała nerwowo Laura.

- Co mnie to obchodzi?

Laura uśmiechnęła się niepewnie, przypisując winę za podły nastrój Hayley przygnębiającemu działaniu ponie-działkowych poranków.

- Słuchaj, to zabrzmiało strasznie głupio. Nie znasz mnie, ale ja widywałam cię ze znajomymi na kręglach, no i mój starszy brat... No więc on... On tak jakby powiedział, że mu się podobasz.

Hayley rozejrzała się podejrzliwie, wietrząc dowcip.

- Lepiej wracaj do swoich rozchichotanych psiapsiółek, za-nim wykopię cię w przyszły tydzień.

- Proszę, posłuchaj - błagała Laura. - Wcale cię nie wkre-cam, przysięgam. Na pewno kojarzysz mojego brata z kręgiel-ni. Ma na imię James. Blondyn, muskularny, chyba można by od biedy powiedzieć, że przystojny, ale jest strasznie nieśmiały do dziewczyn...

Hayley zatrzymała się.

- Chyba wiem, o kogo ci chodzi. Taki koleś trochę podobny do ciebie. Dla mnie to on wyglądał na kawał buca.

Laura wyszczerzyła się.

- No bo... Znaczący bywa trochę głośny, ale on tak ukrywa nieśmiałość. To tylko maska, no wiesz. Myślę, że podobasz mu się już od jakiegoś czasu, ale nigdy nie miał odwagi zagadać.

- Od kiedy chodzisz do Alojzego? Nigdy cię tu nie wi-działam - powiedziała Hayley, mrużąc oczy.

- Och, no bo przeniosłam się dopiero tydzień temu. Wcze-sniej chodziłam do Edgeton po drugiej stronie kampusu... Znaczący po drugiej stronie poligonu.

Laura uświadomiła sobie, że jej zdenerwowanie zaczyna być widoczne i że zbyt często mówi „znaczący”.

- Niezłe z niego ciacho - powiedziała Hayley, unosząc jed-ną brew. - Na tyle niezłe, by wyrwać sobie coś lepszego od takiego kaszalota jak ja. Czemu się mną interesuje?

- Emm... Zdaje się, że on lubi gruba... To znaczy woli większe dziewczyny. Sama widziałam, jak oglądał pisemka z puszystymi kobietami.

Hayley skrzywiła się.

- Kolejny nastoletni pornomaniak?

- Nie, no co ty?! - wykrzyknęła Laura, nagle uświadamiając sobie, że powiedziała coś bardzo niewłaściwego. - Słuchaj, idziemy dziś na kręgle. Mój brat też przyjdzie, ale będzie nas spora grupka, więc to nie będzie jak randka. Może przyjdiesz z paroma koleżankami, żeby było ci raźniej... No i w ponie-działki jest o połowę taniej.

- Może - powiedziała Hayley. - Ale trochę późno mi mówisz. Muszę obgadać to ze starymi.

Laura wzruszyła ramionami.

- W razie czego możemy przełożyć na wtorek, środę... kiedy ci pasuje.

- Podciągnij rękaw - poleciła Hayley, zsuwając plecak z ramienia i rozsuwając suwak.

Laura nie wiedziała, co o tym myśleć, dopóki w dłoni dziewczyny nie ujrzała flamastra. Hayley złapała ją za przegub i szybko nakreśliła na skórze numer telefonu.

- Będę w domu mniej więcej o wpół do piątej. Możesz powiedzieć Jamesowi, że powiedziałam, że jest przystojny, ale nie umówię się z nim, dopóki najpierw nie porozmawiamy.

- Wszystko jasne - potwierdziła Laura, ostrożnie opuszczając rękaw, żeby nie rozmazać cyfr. - To jak, widzimy się wieczorem na kręglach?

Hayley cmoknęła niecierpliwie.

- A skąd ja mam, kurna, wiedzieć? Po prostu powiedz mu, że ma do mnie przedzwonić, a ja sprawdzę, czy się do czegoś nadaje.

- Dzięki - powiedziała Laura, uśmiechając się słodko. - Będzie zachwycony.

## 17. GOFRY

James zatrzasnął komórkę i wrócił z korytarza do pokoju Kyle'a. Kyle, Bruce, Kerry, Rat, Laura, bliźniaki Callum i Connor oraz kolega Rata Andy gapili się nań wyczekująco, ale on postanowił potrzymać ich w napięciu i nie otwierał ust.

- No i? - rzuciła Laura niecierpliwie.

James wzruszył ramionami.

- Pogadaliśmy sobie. Hayley przyjdzie do kręgielni dziś około siódmej z dwiema koleżankami. Powiedziałem, że postawię jej hot doga i obgadamy sprawę w cztery oczy.

Bruce klepnął się po udach.

- Ale super!

- Pamiętaj, James, potrzebujemy dobrych zdjęć - powiedziała Laura. - Nawet jeśli nie będzie ci szło, spróbuj ją chociaż złapać za kolano czy coś.

James cmoknął.

- Spotykałem się z mnóstwem dziewczyn, Laura. Wiem, co mam robić.

Kerry pokręciła głową z politowaniem.

- Ciekawe, z iloma się spotykałeś, kiedy podobno byłeś ze mną.

James nienawidził u Kerry nawyku przygadywania mu przy każdej okazji, choć nie byli ze sobą już od miesiący. Zazwyczaj ignorował docinki, ale powoli zaczynał mieć tego dość.

- Ja musiałem cię zdradzać, Kerry - powiedział z przekonaniem. - Musiałem załatwić sobie trochę akcji gdzie indziej, skoro z tobą mogłem najwyżej siedzieć i słuchać wykładów o tym, czego mi nie wolno i co nie wypada.

Rat i bliźniaki wydali z siebie przeciągłe: „Uuuu”, po czym zapadła pełna napięcia cisza. Spojrzenie Kerry mogłoby roztopić stalową sztabę.

- Między nami wszystko skończone. Weź się w garść - powiedział James.

Kerry wstała.

- Ja wiem, że wszystko skończone, James - wycedziła. - Ja tylko nie chcę, żeby wszyscy zapomnieli, jaka z ciebie dwulicowa kupa psiego...

- Hej! - przerwał Kyle. - Dzyń, dzyń, koniec trzeciej rundy.

- Co ja tu w ogóle robię? - mruknęła Kerry, ruszając w stronę drzwi. - Ten plan jest głupi i nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

Kerry wybiegła z pokoju i trzasnęła drzwiami.

- Kwaśna z niej cytrynka - zauważył Rat, czym naraził się na cios w ramię od Laury, która następnie dźgnęła Bruce'a palcem między łopatki.

- Lepiej idź za nią i zobacz, czy wszystko okej.

Bruce z niechęcią dźwignął się z dywanu.

- No ale co ja jej mam powiedzieć? Nie jestem za dobry w te klocki.

- Nie wiem, ale Laura ma rację - powiedział Kyle. - Idź i przytul ją czy coś.

James poczekał, aż Bruce wyjdzie z pokoju, a potem spojrział na kolegów, rozkładając szeroko ręce. - Jak rany, a tej co znowu dolega?

Laura położyła palec na ustach.

- Czekaj no, niech pomyślę... - powiedziała kpiąco. - Chodziłeś z Kerry przez całe dwa lata i w tym czasie bez przerwy

ją zdradzałeś. Na koniec rzuciłeś ją dla innej, łamiąc jej serce. Myślisz, że to może to?

James już miał odgryźć się siostrze czymś równie sarkastycznym, ale zdając sobie sprawę, że nie potraktował Kerry najuprzejmiej, zrezygnował i z westchnieniem usiadł na dywanie w miejscu, które wcześniej zajmował Bruce.

- Aha i uprzedzając wasze pytania - wypalił po chwili milczenia - porozmawiam z Hayley, może pocałuję ją w policzek, ale na tym koniec. Mam już dziewczynę i nie zamierzam robić niczego, co mogłoby ją wkurzyć, kiedy wróci z Malezji.

- To ci dżentelmen, wzór cnót wszelakich - powiedział Connor, nadając swojemu głosowi przesadnie wytworny ton.

- Nie inaczej, drogi bracie - dodał Callum, cedząc słowa z jeszcze wykwinniejszą manierą. - Lecz czy szlachetne intencje zacnego panicza Adamsa nie szczęłyby w ogniu pospolitej chuci w obliczu niewiasty o bardziej atrakcyjnej powierzchowności niż Hayley Large-Brooks?

- Przestańcie, na miłość boską! - jęknął James. - Nie cierpię, kiedy zaczynacie tak do siebie gadać. To takie szczeniackie.

- Nie oszukuj się, James - powiedział Rat. - Wszyscy wiedzą, jaki jesteś. Zdradziłbyś Danę w pół sekundy, gdyby laska była fajna, a ty myślałbyś, że się nie wyda.

James przesunął wzrokiem po potakujących głowach, czując, że wzbiera w nim fala irytacji.

- Wcale nie jestem taki zły - wypalił wreszcie. - Jak was posłuchać, to można by pomyśleć, że jestem kompletną świnią.

Laura parsknęła śmiechem. - Jak sobie pościelesz, braciszku...

\*



Plotki miały zwyczaj błyskawicznego rozchodzenia się po całym kampusie, a po koszmarze napadu na Gabriellę cherubini łaknęły odprężenia i wiele osób było otwartych na ten rodzaj lekkiej rozrywki. Na nieszczęście Jamesa dwie najbardziej sensacyjne plotki krążące po kampusie dotyczyły jego.

Plotka numer jeden głosiła, że James zamierza spróbować poderwać córkę pana Large'a. Według plotki numer dwa Hayley Large-Brooks miała nadwagę. Jak to zwykle bywa z plotkami, opisywana przez nie rzeczywistość szybko uległa wyolbrzymieniu i wkrótce spora grupa juniorów przysięgała, że Hayley waży ponad dwieście kilo oraz że James musi pójść z nią do łóżka, by wygrać zakład o pięćdziesiąt funtów.

Opiekunowie przywykli do mód, jakie znieścacka nawiedzały kampus, by równie szybko przeminąć: nikt nie chodził na ryby przez dwa lata, aż tu nagle dwudziestu chłopców zaczęło wędkować codziennie. Plecionki z kolorowych żyłek, Furby, Beyblade, Pokemony - jedno szaleństwo goniło drugie. Mimo to kadra była zaskoczona, odkrywszy u podopiecznych nagłą pasję do kręgli.

Ogonek do mikrobusu, który zwykle podwoził do kręgielni w mieście około tuzina chętnych, ciągnął się na ponad dwadzieścia metrów i zawierał blisko jedną czwartą dzieci z kampusu. James był zawstydzony, a Kyle sapał z gniewu. Ktoś puścił farbę, a było oczywiste, że jeśli ktokolwiek z kadry dowie się o ich planie, wpadną w paskudne tarapaty. Co gorsza, pan Large wciąż miał przyjaciół w kampusie i gdyby ktoś szepnął mu słówko o ich zemście, Klops znalazłby się w niebezpieczeństwie.

- Przerąbane - westchnęła Laura, patrząc na kolejkę cherubinów spod fontanny przed głównym budynkiem, gdzie stała wraz z Jamesem, Kyle'em, Bruce'em i Ratem. - Co za kretyn rozpuścił swój parszywy jęzor?

A przecież sama Laura nie potrafiła powstrzymać się przed zrelacjonowaniem wszystkiego swojej przyjaciółce Bethany. Rat i Andy opowiedzieli o planie kilku kumplom, zobowiązawszy ich najpierw do zachowania tajemnicy; Callum i Connor być może też coś komuś wspomnieli; a Kerry niechcący chlapnęła to i owo, złorzeczając na Jamesa w stołówce.

Jak można się było spodziewać, niektórzy z poinformowanych w największym zaufaniu przekazali nowiny swoim znajomym i do końca przerwy obiadowej większość kampusu miała jakie takie pojęcie o tym, co miało się wydarzyć w kręgielni.

- Nie ma mowy, żebyśmy tam poszli z całym tym tłumem - powiedział James. - Debile będą się na mnie bez przerwy gapić i Hayley w dziesięć sekund skuma, że coś jest nie tak.

- Musimy zmienić lokal - orzekł Kyle. - Może Alien World?

Alien World było jednym z tych miejsc, w których wkładało się plastikową kamizelkę i strzelało do innych z laserowych pistolecików, kryjąc się za przepierzeniami z dykty powycinanej w kształty statków kosmicznych i potworów. Ponieważ w kampusie był pięćdziesiąt razy fajniejszy poligon paintballowy, nie wspominając o strzelnicy do ćwiczeń z ostrą amunicją, nikt z CHERUBA nigdy tam nie chodził.

- Byłoby świetnie - skinął głową James. - Tylko czy Hayley na to pójdzie?

Kyle wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem? Mogę wziąć minivana i zawieźć was tam. Tylko jakiej użyjecie wymówki?

Rat był mistrzem wymówek.

- Powiedz jej, że dzwoniłeś do kręgielni, żeby zaklepać tory, ale wszystkie są już zarezerwowane.

- Ale jest poniedziałek - zauważyła Laura. - W poniedziałki zawsze jest pusto.

Rat wzruszył ramionami.

- No to powiedz, że jest jakaś prywatna impreza, że firma wynajęła tory czy coś...

Jamesowi spodobał się pomysł kolegi. Wyjął telefon z kieszeni kurtki i wybrał numer do Hayley.

- Hej, to znowu ja. Wyszłaś już z domu...? To super. Słuchaj, nie uwierzysz, ale zadzwoniłem do kręgielni, żeby za- klepać parę torów, i okazało się, że cała buda jest wynajęta na jakąś wielką imprezę sprzedawców komputerów. Zastanawiam się, czy nie poszłabyś w zamian do Alien World.

Hayley wybuchnęła śmiechem.

- Myślisz, że ile ja mam lat, dziewięć? Poza tym w takich miejscach trzeba biegać i potem jestem kompletnie zrypana.

James podniósł wzrok na swoich towarzyszy i bezgłośnie poruszając ustami, poinformował ich: „Nie kupuje tego”. Laura i pozostali zrobili zawiedzione miny.

- No dobra, a ty masz jakiś pomysł?

- Twoi znajomi idą do Alien World? - zapytała Hayley.

- Nno... tak - odpowiedział niepewnie James. - Przy- najmniej tak sądzę.

- No to posłuchaj. Po drugiej stronie parkingu Alien World jest Steakhouse, wiesz, koło KFC. Chodźmy tam, kiedy twoi kumple będą się bawić w Alien. W poniedziałki mają tam szwedzki bufet za sześć dziewięćdziesiąt dziewięć, ale będziesz musiał mi postawić, bo jestem spłukana.

- Ekstra! - zawołał James z zapalem. - Będzie idealnie, tylko ty i ja.

- Jeśli o to chodzi, to będzie jeszcze moja kumpela Rosie ze swoim chłopakiem Deanem, ale zawsze możemy ich spławić, jak zrobi się ciekawie.

James dał się ponieść entuzjazmowi.

- Taa - wyszczerzył się. - Mam nadzieję, że zrobi się bardzo ciekawie.

Zakończył połączenie i z rozanieloną miną spojrzął na kolegów.

- Idziemy do Steakhouse'u naprzeciw Alien World. Ale normalnie rozmawiała ze mną takim tonem... Powiem tylko, że mówiła jak ktoś, kto nieświadomie dostarczy nam okazji do zrobienia paru niezłych fotek.

- Ale jeśli my będziemy w Alien World, to kto zrobi zdjęcia? - zapytała przytomnie Laura.

- Och... - zająknął się James. - Musi iść z nami jeszcze jedna para.

- Może Rat i ja? - zaproponowała Laura.

James potrząsnął głową.

- Bez obrazy, ale nie mogę pojawić się na randce z małą siostrzyczką i jej tycim chłopczykiem.

Rat posłał Jamesowi gniewne spojrzenie, ten opis nie przypadł mu do gustu.

Bruce podrapał się w głowę.

- Kerry tylko siedzi w swoim pokoju i się smuci - powiedział po chwili. - Mogę spróbować ją przekonać.

- To byłoby dla mnie niezręczne - zauważył James. - Nie ma nikogo innego?

Kyle spojrzął na zegarek i potrząsnął głową.

- Nie mamy czasu. Bruce, lepiej biegnij na górę i zaproś Kerry na kolację.

- Błagaj, jak będzie trzeba - dodała Laura.

\*

W Steakhousie panował spory ruch jak na poniedziałkowy wieczór. James skrzywił się na widok krzeseł obitych marszczonym aksamitem i wykładziny upstrzonej lśnącymi czarnymi plamami. Złe wrażenie pogłębiło się jeszcze bardziej, kiedy odkrył, że w cenie szwedzkiego stołu za sześć dziewięćdziesiąt

dziewięć nie ma napojów. Plan mógł być dziełem Kyle'a i Laurry, ale James wątpił, by rwali się do pokrycia kosztów kolacji.

Bruce przyszedł w chinosach i eleganckiej czarnej koszuli, zaś Kerry w dżinsowej mikrospódniczce i obciskim topie znakomicie podkreślającym jej sylwetkę. Wprawdzie ostatnio James z trudem znosił choćby przebywanie z nią w tym samym pomieszczeniu, ale przecież nie przestała być seksowna, więc zgrzytał zębami z zazdrości na widok rozanielonej miny Bruce'a, który spędzał czas na ściskaniu pośladków jego byłej dziewczyny, podczas gdy czekali na przybycie Hayley, Rosie i Deana.

Rosie była śliczną rudowłosą dziewczyną. Dean, który był od niej starszy i mógł mieć nawet siedemnaście lat, przyszedł z uniformem McDonalda w torbie i od razu zapowiedział, że będzie musiał wyjść wcześniej, bo jego zmiana zaczyna się o dziewiątej, a on pracuje po drugiej stronie miasta i musi dojeżdżać dwoma autobusami.

Sama Hayley wyglądała zaskakująco dobrze. Może nie posiadała urodę, ale jej zielona sukienka w kwiaty świetnie pasowała do jej krągłej figury i białych czółenek. Była zbyt puszysta jak na gust Jamesa, ale teraz był gotów przyznać, że od autentycznej atrakcyjności dzieli ją najwyżej kilka godzin na stepperze tygodniowo.

Chłopcy wymienili powitalne odzywki, dziewczęta pochwalały nawzajem swoje kreacje, a kelnerka wyszukała im stolik dla sześciorga. Potem wszyscy udali się do bufetu, gdzie Bruce dyskretnie wysunął z kieszeni malutki, ale bardzo czuły aparat i ukradkiem pstryknął dwa zdjęcia, podczas gdy James i Hayley przekomarzali się w kolejce.

Kerry, Bruce, Dean i Rosie zabrali się do pieczonego mięsa, krewetek i sałatki, odprężeni i w dobrych nastrojach, ale James czuł się niezręcznie na miejscu naprzeciwko Hayley. Dziewczyna wyładowała swój talerz plastrami pieczonej jagnięciny,

naprzeciw których wzniosła tamę z puddingu i ryżu, by utrzymać w całości piętrzącą się na środku chwiejną stertę jarzyn i pikli.

- Nie jesz zbyt dużo - zauważyła opryskliwie Hayley i wgrzyła się w dużą marynowaną cebulę.

- Wyszło trochę w ostatniej chwili - wytłumaczył się James.

- Jadłem już w domu.

Hayley parsknęła śmiechem.

- Ja też, ale to mnie nie powstrzyma.

Wszyscy wokół stołu roześmiali się, a James sięgnął ręką przez stół i położył palce na pulchnym nadgarstku Hayley.

- Bardzo się cieszę, że się spotkaliśmy, a twój wygląd całkowicie mi odpowiada.

- To miłe, co mówisz, James - uśmiechnęła się Hayley. - Zawsze powtarzałam, że jestem gruba i że jestem z tego dumna. I wiesz co? Jakoś nigdy nie miałam problemów ze zdobywaniem facetów.

James kiwnął głową i uśmiechnął się. Dobrze pamiętał, że kiedy jego mama żyła, bez przerwy była na jakiejś diecie i miała depresję z powodu swojej tuszy. Podobało mu się, że Hayley akceptuje samą siebie, co jednak w żaden sposób nie wpływało na to, że zdecydowanie nie była w jego typie.

Rosie przytaknęła skinieniem głowy.

- To prawda - powiedziała, przełknąwszy kęs czosnkowego pieczywa. - Miała o wiele więcej chłopaków ode mnie, prawda, Hayley?

Hayley pogroziła przyjaciółce widelcem.

- Nie mów tak, Rosie, robisz ze mnie szmacisko.

Kiedy ucichły śmiechy, odezwała się Kerry.

- Tak się cieszę, że James cię poznał, Hayley. Ta pierdoła nigdy nie radziła sobie z dziewczynami.

Hayley skinęła głową.

- Wiesz, James, wysłanie młodszej siostry, żeby cię ze mną umówiła, to normalnie żenada. Myślałam, że mnie wkręca. Już chciałam jej wklepać.

Jeszcze zanim Hayley skończyła mówić, James poczuł dtyk jej stopy sunącej w górę po jego łydce. Odchylił się w tył na krzesło i uśmiechnął, pokazując, że sprawia mu to przyjemność.

- Kerry ma rację - powiedział. - W sumie tak na poważnie to miałem tylko jedną dziewczynę i to była straszliwa nudziara. Normalnie: „Wyjmij ten kij z tyłka i zacznij żyć, dziewczyno!” Po prostu musiałem ją w końcu rzucić.

Roześmiali się wszyscy oprócz Kerry, której wyraz twarzy wprawił Jamesa w wyśmienity humor.

Jedzenie zniknęło z talerzy przy leniwych pogawędkach. Hayley i James bawili się w podstołowe mizianki, aż w końcu jej naga pięta spoczęła na kolanie Jamesa, a jego odziana w skarpetę stopa zabrnęła głęboko pod długą sukienkę, gdzie wtuliła się w miękkie udo.

Fakt, że Hayley na niego leci, mile łechtał próżność Jamesa i jak w wypadku większości nastoletnich chłopców stopa na kolanie wystarczyła, by rozpętać w nim hormonalną burzę.

- Idę do klo - oznajmiła Hayley, zbierając z talerza ostatnie ślady majonezu kawałkiem chleba, który następnie wepchnęła sobie do ust.

Wstając, wykonała kciukiem ukradkowy gest sugerujący, że James powinien pójść za nią.

James rzucił Bruce'owi spanikowane spojrzenie, nie wiedząc, jak mu przekazać, że coś się kroi i że powinien być blisko ze swoim aparatem. Ta część operacji byłaby znacznie łatwiejsza w kręgielni, gdzie pary migdały się otwarcie, na fotelach, czekając na swoją kolej.

Restauracja była duża; Hayley i James musieli minąć tuzin stolików i pomieszczenie dla małych dzieci, zanim wyszli na

korytarz z dwoma automatami telefonicznymi, bankomatem i toaletami.

- Dokąd idziemy? - zainteresował się James, kiedy Hayley złapała go za rękę i pociągnęła za sobą, mijając kolejno drzwi WC dla kobiet, mężczyzn i niepełnosprawnych.

Zerknął niespokojnie za siebie i odetchnął, widząc, że Bruce idzie za nimi, i starając się wyglądać jak najniewinniej.

- Zobaczysz - odpowiedziała Hayley, napierając na po ręcz drzwi ewakuacyjnych.

Drzwi otworzyły się, wypuszczając ich na wyludniony spłachetek asfaltu za restauracją.

- Chcę cię mieć, James - powiedziała Hayley, łapiąc go za pośladek i popychając pod ścianę.

Na zewnątrz było ciemno i zimno, a James miał na sobie tylko koszulkę polo, ale akurat to przestało być problemem, kiedy Hayley otoczyła go swoimi miękkościami. Pieszczoty pod stołem i wywołane nimi napięcie były przyjemne, a nawet ekscytujące, ale teraz James stanął przed twardą rzeczywistością, w której miał pocałować kogoś, kto mu się nie podoba.

Co gorsza, James nie znosił smaku i zapachu majonezu, który poczuł w oddechu dziewczyny, kiedy tylko otworzyła usta do pocałunku.

- Jesteś nieźle wysportowany, James - zamruczała z podziwem Hayley, wsuwając mu lepką dłoń za koszulkę na plecach. - Czuję te twoje wielkie, twarde mięśnie.

James miał głowę przyciśniętą do muru i nie mógł się ruszyć, kiedy Hayley wepchnęła mu do ust swój kwaśny jak ocet język. Z wysiłkiem zwrócił oczy w jedną, a potem w drugą stronę. Miał nadzieję, że Bruce wymknął się innym wyjściem, żeby zrobić zdjęcia, ale Bruce'a nie było nigdzie w zasięgu wzroku.

James nie zamierzał zadawać się z Hayley ani chwili dłużej, niż musiał, ale po tylu staraniach i wysiłku, jakie włożyli w tę



operację, nie mógł przerwać, nie mając pewności, że został sfotografowany.

- Masz obłędny tyłek - skłamał, zaciskając dłoń na pośladku Hayley. - Mogę pomacać ci cycki?

- Jasne, że możesz - wyszeptała zmysłowym głosem, muskając wargami jego szyję. - Nikt tutaj nigdy nie przychodzi, wiesz? Możemy robić wszystko.

Jamesa ogarnęło poczucie winy za oszukiwanie Hayley oraz fala jeżącej włosy na karku odraży na myśl o kolejnym ślimaczym pocałunku.

- Może jednak wrócimy do środka? - zaproponował nieśmiało. - Reszta będzie się zastanawiać, co się z nami dzieje.

- No i? - prychnęła Hayley. - Kogo to obchodzi?

- No niby racja - przyznał James słabym głosem, czując dłoń wsuwającą mu się z tyłu za pasek spodni.

Ale los zlitował się nad nim i w chwili gdy Hayley zatopiła paznokcie w jego pośladku, zauważył Bruce'a przekradającego się wśród cieni. James prężył się i wytrzeszczał oczy, próbując obserwować kolegę, tak by nie wzbudzać podejrzeń partnerki. Po mniej więcej dwudziestu sekundach Bruce pokazał dwa uniesione kciuki i zniknął w ciemnościach.

James spróbował delikatnie wyswobodzić się z uścisku Hayley, ale mięsiste ramiona trzymały mocno, a majonezowy język wysunął się, szykując do kolejnej szarży.

- No przestań... - wykrztusił James, siłą odpychając głowę dziewczyny na bok.

Hayley zwolniła uścisk i cofnęła się o krok wyraźnie zirytowana.

- Co jest? Z czym masz problem?

- Z niczym. Po prostu... - James wzruszył ramionami. - Nie mam dziś nastroju.

Hayley podparła dłoń na biodrze i potrząsnęła głową.

- To ty zaprosiłeś mnie na tę randkę, James. Odstawiłam się, uprosiłam Deana i Rosie, żeby ze mną przyszli, a teraz twierdzisz, że nie masz nastroju?

- Posłuchaj... - wymamrotał James. - Coś ci powiem. Widziałem, jak przeglądasz menu deserowe. Chodźmy do środka i postawię ci parę tych gofrów, wiesz... Mówiłaś, że je lubisz.

- Gofry?! - krzyknęła Hayley, po czym zamachnęła się i prasnęła Jamesa otwartą dłonią w twarz. - Co jest, kurde, jestem gruby kaszalot, więc myślisz, że można mnie zbyć paroma goframi?

Policzek naprawdę zabołał.

- Dzizas - jęknął James, cofając się w stronę drzwi ewakuacyjnych. - Nie powiedziałem ani słowa o twojej tuszy. To ty masz z tym jakiś problem.

- Odłożyłam pisanie pracy zaliczeniowej - powiedziała Hayley. - Musiałam błagać Rosie, żeby zgodziła się przyjść. Dlatego następnym razem, kiedy zadzwonisz, żeby się ze mną umówić, lepiej bądź w nastroju.

Połączenie ciosu i propozycji następnej randki nieco zbiło Jamesa z tropu.

- Naprawdę mi przykro. Ja po prostu...

- Kto by przypuszczał, że chłopak może nie być w nastroju - wymamrotała Hayley, poprawiając na sobie sukienkę.

Pokręciła głową z niesmakiem i skierowała się ku drzwiom.

- Wychodzisz? - zapytał James, doganiając ją na korytarzu restauracji.

- Owszem, jak tylko skończę te gofry.

## 18. ODPRAWA

Spotkanie zespołu prowadzącego operację w Luton wyznaczono na wtorek, ale w poniedziałek policjanci badający sprawę ulicznej potyczki gangów i morderstwa Owena Campbella-Moore'a zabrali Michaela na przesłuchanie. Przetrzymali go przez całą noc w nadziei, że piętnastolatek będzie łatwiejszy do złamania niż starsi członkowie gangu Majora Dee, ale tak jak wszyscy przesłuchiwni w tej sprawie Michael nie puścił pary z ust.

Gabriellę wypisano ze szpitala we wtorek o wpół do szóstej rano. Asystentka koordynatora misji Maureen Evans przyjechała po nią wielkim mercedesem. Ze świeżą jeszcze raną w plecach Gabriella nie mogła siedzieć w jednej pozycji przez dłuższy czas; duży samochód i wczesną porę wybrano po to, by jej podróż do kampusu uczynić możliwie krótką i wygodną.

Gabriella mogła przejść sama kilka kroków, ale szybko się męczyła, a oddychanie sprawiało jej ból. Maureen użyła wózka, by przewieźć ją przez recepcję do stołówki, gdzie cherubini zgotowali koleżance owacyjne powitanie. Kerry i najbliższe przyjaciółki zasypały ją pocałunkami i jak najdelikatniejszymi uściskami, po czym tłum uformował kolejkę do przybijania z nią piątki.

Poruszona falami pozytywnych emocji Gabriella się rozpląkała. Była zaskoczona, widząc, jak wiele osób ma łzy w oczach: chłopcy, dziewczęta, a wśród nich wiele twarzy, które

znała tylko z widzenia. Każdy cherubin wie, że misje są niebezpieczne, a wymizerowana postać Gabrielli na wózku była potężnym symbolem przetrwania, ale także przypomnieniem owych niebezpieczeństw.

Kiedy tylko rozległ się dzwonek na pierwszą lekcję, a tłum przeredził się i w końcu rozplątał, Maureen wyjęła z torebki sterylną chusteczkę i kazała Gabrielli wytrzeć twarz i dłonie. Dziewczyna stęskniła się za swoimi przyjaciółmi, ale wciąż była bardzo osłabiona i nawet zwykłe przeziębienie mogło bardzo opóźnić jej powrót do zdrowia.

\*

Michael pognął na stację kolejową, kiedy tylko policjanci zwolnili go z aresztu. Na stację w pobliżu kampusu dotarł tuż po jedenastej, a resztę drogi pokonał taksówką. Policja stosuje ścisłe reguły przesłuchiwanie podejrzanych - zwłaszcza podejrzanych, którzy nie ukończyli osiemnastu lat - ale zna też milion sztuczek, a jednym ze sposobów na zmiękczenie zatrzymanego jest zmuszanie go do czekania w nieskończoność w odrażająco brudnej celi.

Michael spędził osiem godzin w małym pomieszczeniu z zatkanym sedesem i gumowym materacem przesikany wylot przez rozmaitych pijaczków. Natychmiast po przybyciu do kampusu popędził do swojego pokoju, zdarł z siebie ubranie, wepchnął wszystkie rzeczy do worka na śmieci - nie mogąc znieść nawet myśli o ich ponownym włożeniu - po czym wyzorował się dokładnie w gorącej wodzie.

Przez wszystkie te zabiegi spóźnił się na spotkanie o jedenastej trzydzieści i ściągał na siebie zdziwione spojrzenia, gnając korytarzami do sali konferencyjnej.

Zara siedziała u szczytu długiego stołu z koordynatorką Chloe po jednej stronie i jej asystentką Maureen po drugiej. Byli też James i Bruce, a także facet o imieniu Terry, z działu technicznego, ale Michael nie widział ich, szukając wzrokiem

Gabrielli. Odnalazłszy ją po drugiej stronie stołu, podszedł i przywitał dziewczynę pocałunkiem.

- Wyglądasz na silniejszą za każdym razem, kiedy cię widzę - powiedział z uśmiechem, po czym zwrócił się do Chloe. - Przepraszam za spóźnienie, ale nie spałem ani minuty, a CHERUB wisi mi dres Nike i parę trampesiów.

Chloe uniosła brwi.

- Nie możesz oddać do prania?

Michael nie był w dobrym nastroju.

- Ci gliniarze to bydlaki. Sponiewierali mnie, obrzucili wszelkimi rasistowskimi wyzwiskami, jakie istnieją, a potem wrzucili do celi zasikanej po sufit, a ten smród...

James i Bruce porozumieli się wzrokiem z przeciwnych stron stołu i zaczęli cicho rechotać.

- Tak, to bardzo śmieszne - wycedził Michael z irytacją, ale jego grymas przemienił się w uśmiech, kiedy Gabriella także zaczęła chichotać, krzywiąc się z bólu.

- No dobrze - wtrąciła niecierpliwie Zara. - Nie mamy czasu i jestem pewna, że każdy w tej sali widział dość policyjnych cel, by obyć się bez sugestywnych opisów. Chloe, myślę, że w zaistniałych okolicznościach możemy nieco naciągnąć budżet operacji, by zapewnić Michaelowi nową zmianę ubrania. Michael, czy zdążyłeś zapoznać się z aktualizacją zadania, jaką Chloe przygotowała dziś w nocy?

- Dopiero co przyjechałem - powiedział Michael, kręcąc głową, a Maureen puściła do niego po stole teczkę z dokumentem.

**\*\*TAJNE\*\***

**AKTUALIZACJA ZADANIA DLA JAMESA ADAMSA,  
MICHAELA HENDR'YEGO, BRUCE'A NORRISA  
I GABRIELLI O'BRIEN.**

**DOKUMENT CHRONIONY ELEKTRONICZNIE.  
NIE KOPIOWAĆ. NIE SPORZĄDZAĆ WYPISÓW.**

## FAZA PIERWSZA

W styczniu 2007 r. agenci CHERUBA Gabriella O'Brien i Michael Hendry (działający jako Gabriella Smith i Michael Conroy) w ramach rozpoczynającej się operacji zamieszkali w przejściowym domu dziecka Bedfordshire Halfway House, znanym lokalnie jako Zoo.

Celem ich misji było:

(1) Zinfiltrowanie gangu znanego jako Rzeźnicy i zebranie informacji na temat ich działalności przestępczej, a w szczególności próba odkrycia stosowanych przez gang metod przerzutu kokainy i innych niebezpiecznych narkotyków do kraju.

(2) Zgromadzenie informacji na temat konkurencyjnych gangów z myślą o zapewnieniu policji pełniejszego obrazu stosunków pomiędzy nimi.

Postęp był powolny, ale Michael i Gabriella zdołali przeniknąć do Rzeźników i zaczęli nawiązywać znajomości wśród ważnych członków gangu, gromadząc wiedzę i stopniowo zdobywając zaufanie lidera grupy DeShawna Andrewsa znanego szerzej jako Major Dee.

Niestety, 15 marca operacja przybrała tragiczny obrót, kiedy to para agentów uwiłała się w brutalny napad rabunkowy, w konsekwencji którego doszło do zamordowania Owena Campbella-Moore'a, dwaj członkowie konkurencyjnego gangu Szczurów zostali postrzeleni, kolejny członek tejże grupy doznał pęknięcia czaszki, zaś Gabriella O'Brien omal nie zginęła od ran zadanych nożem.

Chociaż początkowo wydawało się, że gang Szczurów zaatakował Rzeźników na własną rękę, dzisiaj nie ulega wątpliwości, że akcją sterował trzeci groźny gang - Wściekle Psy.

Agenci winni mieć na uwadze, że Rzeźnicy wciąż nie są świadomi, kto naprawdę stał za rabunkiem i morderstwem członka ich grupy.

#### ZREWIDOWANA MISJA

Po naradzie z komisją etyki oraz otrzymaniu wiadomości, że obrażenia Gabrielli nie są aż tak poważne, jak się początkowo obawiano, władze CHERUBA podjęły decyzję o kontynuowaniu operacji przy pomocy dwóch odrębnych zespołów.

Zespół pierwszy będzie się składał z Michaela Hendry'ego współpracującego z asystentką koordynatora misji Maureen Evans. Michael podejmie swoje dotychczasowe zadania, nadal rozpracowując gang Rzeźników. Gabriella O'Brien wyraziła chęć powrotu do misji, ale prawdopodobieństwo, że odzyska zdrowie w wystarczającym stopniu jeszcze przed końcem operacji, jest nikłe. Niemniej jednak dla umożliwienia jej powrotu zostanie puszczona w obieg legenda o jej rekonwalescencji w domu ciotki w Londynie.

Zespół drugi będą stanowić James Adams i Bruce Norris. James ponownie przyjmie tożsamość Jamesa Becketta z antynarkotykowej misji, jaką wykonywał w 2004 r. Bruce wystąpi jako kuzyn Jamesa Becketta. Obaj będą współpracować z koordynatorką Chloe Blake.

Zadaniem zespołu drugiego będzie infiltracja gangu Wściekłych Psów, początkowo poprzez odnowienie dawnej znajomości Jamesa z Juniorem Moore'em. Agenci zamieszkają w Bedfordshire Halfway House razem z Michaelem, jednak dla dobra misji będą musieli udawać, że go nie znają.

W związku z wysokim stopniem ryzyka kontrola nad operacją należeć będzie bezpośrednio do p. prezes Zary Asker, przy czym za przebieg codziennych działań będzie odpowiadać Chloe Blake.

## ŚRODKI OSTROŻNOŚCI

Zatwierdzając plan rozszerzenia zakresu działań, komisja etyki narzuciła następujące warunki:

(1) Przed rozpoczęciem działań wszyscy agenci zostaną wyekwipowani w środki ochronne, w tym ubiory wzmocnione nanorurkami, kewlarowe stroje kuloodporne, łatwe do ukrycia noże, miniaturowe paralizatory, a także małe pistolety do użytku w sytuacjach skrajnego zagrożenia.

(2) Komisja etyki nadaje procedurze kontrolnej operacji tryb siedmiodniowy. Oznacza to, że troje członków komisji będzie badać postępy misji co tydzień. Jeżeli uznają, że sytuacja staje się nazbyt niebezpieczna, nakażą przerwanie działań i powrót agentów do kampusu.

(3) Wszystkim agentom przypomina się o ich prawie do odmowy udziału w operacji, a także wycofania się z niej w dowolnym momencie.

- Czegoś tu nie sklejam - oświadczył James, machając w powietrzu swoją kopią wprowadzenia do zadania. - Co nam po spluwach i kamizelkach kuloodpornych? Z tym sprzętem raczej trudno wtopić się w tłum.

- Tak się składa, że ostatnio było tak dużo zamachów, że większość gangsterów naprawdę nosi strój ochronny - powiedział Michael. - Ale jeśli chodzi o broń, to faktycznie nie jestem pewien, czy w naszym wieku powinniśmy się z czymś takim pokazywać.

Terry Campbell odchrząknął znacząco. Był to starszy jegomość ze szpeceniastą białą brodą. Jego obowiązki w dziale technicznym CHERUBA polegały głównie na przygotowywaniu sprzętu łączności, na przykład przystosowywaniu telefonów komórkowych agentów do pracy w dowolnej sieci albo wykonywaniu urządzeń podsłuchowych imitujących przedmioty należące do podsłuchiwanego. Zajmował się także bronią, sprzętem ochrony fizycznej, jak również wszelakim wyposażeniem, jakim



agenci posługiwali się podczas misji.

- Zamierzam wyposażyć całą waszą trójkę w subkompaktowe pistolety do noszenia pod ubraniem - zaczął Terry. - Przygotuję trzy nowe sztuki, każdą w nieco innej wersji, a potem trochę je spatynuję od zewnątrz, żeby wyglądały na złom, jaki można zdobyć na ulicy. Oczywiście, w środku będą w idealnym stanie. Ponieważ mają wam posłużyć głównie do odstraszania, sugeruję, żebyście wypełnili magazynek prawdziwą amunicją, ale do komory naboju włożyli ślepek.

- Niełatwo jest strzelać celnie z tak małej broni - wtrąciła Chloe. - Zanim wyjedziecie do Luton, zabierzemy was na strzelnicę na kilka odświeżających lekcji.

- Sprzęt ochronny - przypomniała Zara.

- Przede wszystkim wszyscy trzej otrzymacie standardowe kamizelki kuloodporne. Są zbyt nieporęczne, żeby nosić je przez cały czas, ale gdybyście musieli wpakować się w potencjalnie niebezpieczną sytuację, ochronią was zarówno przed kulami, jak i klingami noży. Mam też eksperymentalną partię czegoś takiego. - Terry wyjął z kieszeni kurtki mały kwadracik srebrzystego materiału.

- Co to, magiczna chusteczka? - zadrwił James.

Terry uniósł brew na znak, że dowcip nie wydał mu się zabawny, po czym podjął przemowę.

- W tę tkaninę wpleciono włókna czegoś, co nazwano nanorurkami węglowymi. To bardzo nowoczesny materiał. Diament to czysty węgiel, a zarazem jedna z najtwardszych substancji znanych człowiekowi. Możecie sobie wyobrazić nanorurkę węglową jako supercienką nitkę wykonaną z diamentu. Tkanina jest lekka jak poliester, ale ochroni was przed ciosami zadanymi nożem. W razie postrzału kula raczej nie przebije materiału, a zatem i nie zabije, ale jako że pocisk przemieszcza się z ogromną szybkością, a tkanina nie jest sztywna, ciało postrzelonego

przejmie ogromną energię kinetyczną. Słowem, należy spodziewać się wewnętrznych krwotoków i potrzaskanych kości.

Od pewnego czasu Gabriella wyglądała na lekko poirytowaną.

- Jak to się stało, że dostajemy to dopiero teraz? - zapytała. - Gdybym miała ciuchy z tego materiału, być może nie tkwiłabym teraz na tym wózku.

Terry potarł czoło wierzchem dłoni.

- Niestety, to kwestia kosztów - przyznał z westchnieniem. - Obecnie jeden metr kwadratowy tkaniny z nanorurek kosztuje około sześciu tysięcy funtów. Zaproponowałem, by James, Bruce i Michael wybrali po dwa ze swoich ubrań, na przykład bluzę z kapturem i lekką kurtkę, a ja poproszę nasze krawcowe, by je rozpruły i podszyły materiałem ochronnym. Na każdą rzecz zużyjemy około półtora metra kwadratowego materiału. To daje dziewięć tysięcy funtów za sztukę, czyli pięćdziesiąt cztery tysiące za sześć sztuk plus osiemnaście tysięcy, jeżeli do operacji włączy się Gabriella.

- Mnóstwo hajsu - zauważył Bruce.

Zara pokiwała głową.

- Robimy wszystko, by chronić naszych agentów podczas misji, ale nasze środki nie są nieograniczone. Żeby móc sobie pozwolić na wyposażenie was w te ochronne ubrania, finansujemy je z budżetu badawczo-rozwojowego, a nie budżetu misji. To jedyny sposób.

- Mamy nadzieję, że tkaniny z nanorurek będą znacznie tańsze, kiedy wejdą do masowej produkcji - powiedział Terry. - Za pięć lub sześć lat odzież wzmocniona taką materią może stać się elementem standardowego wyposażenia cherubina, takim jakim dziś jest zestaw do otwierania zamków czy multi-narzędzie, jednak na razie jest zwyczajnie zbyt droga.

Maureen uśmiechnęła się.

- I cokolwiek będziecie robić, nie używajcie swojej bluzy za dziewięć tysięcy jako słupka bramki, żeby potem zostawić ją w trawie.

## 19. KONTRATAK

Kyle uczył się tylko do jednego egzaminu na poziomie maturalnym, którego potrzebował do zapewnienia sobie miejsca na uczelni, a Laura miała okienko po lunchu. Spotkali się przed główną bramą kampusu, skąd ruszyli w dziesięciminutową drogę do domu pana Large'a. Szli żwawym krokiem, z dłońmi ukrytymi w rękawiczkach i oddechami kondensującymi się przed nimi w ulotny biały opar.

- Zdenerwowana? - zapytał Kyle.

- Trochę - skinęła głową Laura. - Ale miałam już do czynienia ze snajperami FBI i gangami pedofilów, więc myślę, że jakoś przeżyję spotkanie z Large'em.

- Może nawet nie będzie go w domu.

Ale pan Large podszedł do frontowych drzwi swojego domu ubrany w workowate spodnie do joggingu i koszulkę rugby z napisem „England” i drapiąc sumiasty wąs, stanął na progu.

- Czego?

- Czy moglibyśmy wejść i porozmawiać? Wie pan, o tej sprawie, o której pan wspominał - zaczęła Laura przymilnym tonem.

Large był na tyle bystry, by domyślić się, że rozmowa może być nagrywana.

- To była tylko przyjacielska pogawędka, Lauro.

- Wiemy, że jest pan zajęтым człowiekiem – wtrącił Kyle, kpiąc z Large'a w żywe oczy, ponieważ wiedział, że instruktor

został zawieszony w swoich obowiązkach i nie ma nic do roboty. - Spróbujemy nie zabrać panu zbyt wiele jego cennego czasu.

Large wychylił się za próg i rozejrzał podejrzliwie, po czym gestem zaprosił gości do środka.

- Jak tu miło i przytulnie - zauważyła Laura, zdejmując rękawiczki w drodze przez gustownie urządzonej przedpokój.

O tym, jak wyglądał poranek Large'a, bezwstydnie świadczyły pozostałości wystawione na widok publiczny: egzemplarz „Timesa” z krzyżówką rozwiązana do połowy, miska po śniadaniu z resztką mleka na dnie, papierek po batoniku Crunchie, a wszystko zanurzone w niemrawym brzęczeniu telewizora nadającego amerykański talk-show.

Laura uśmiechnęła się.

- Możemy usiąść?

Large wyraźnie czuł się nieswojo, ale zgarnął gazetę z kanapy, robiąc miejsce dla dziewczyny. Kyle opadł na fotel naprzeciwko Laury.

- O co wam chodzi? - zapytał Large, nadal stojąc.

- Mój stary kumpel Rod Nilsson przesyła pozdrowienia - powiedział Kyle. - Przypomina pan sobie?

Large stropił się lekko, a po chwili skinął głową.

- Taki rudy, tak? - powiedział. - Miły dzieciak, ale nie miał jaj, żeby podejść do szkolenia drugi raz.

- Wciąż śnią mu się koszmary - powiedział Kyle z naciskiem. - Koszmary o piasku i duszeniu się.

- Słuchajcie - zdenerwował się Large. - Nie wiem, co to ma być, kwaśne winogrona czy jak, ale miałem robotę do wykonania i byłem w tym diabelnie dobry.

Laura uniosła brew.

- Przypuszczam, że można i tak na to spojrzeć...

- A ty na pewno powiesz prawdę i poprzesz mnie w piątkowym przesłuchaniu, czyż nie?

Laura uśmiechnęła się złowieszczo.

- Prawda jest dokładnie tym, co zamierzam powiedzieć.

- Mam nadzieję, że wszystkim wyjdzie to na zdrowie - zagroził Large.

- Laura twierdzi, że próbuje ją pan szantażować - powiedział Kyle bez ogródek.

Instruktor poruszył się niespokojnie.

- Czy to jakiś żart? - zapytał, mierząc Laurę badawczym wzrokiem. - Przecież nie widziałem żadnego z was od miesiący, jeśli nie liczyć tego spotkania sprzed kilku dni, kiedy powiedzieliśmy sobie cześć przed moim domem.

- Nie nagrywamy pana - powiedziała Laura. - Wiedziałam, że nie będzie pan aż tak głupi, by powtórzyć, co wtedy powiedział. Ale widzi pan, nie jestem jedyną osobą, która ma słabe punkty.

Podczas gdy mówiła, Kyle wyjął z kieszeni plik odbitek fotograficznych. Uniósł pierwszą z góry tak, by Large mógł ją zobaczyć. Było to bardzo udane portretowe ujęcie Hayley.

- Niezła lasencja z tej pańskiej córki - rzucił Kyle od niechcena, wsuwając zdjęcie pod plik i podnosząc kolejne, przedstawiające Hayley i Jamesa całujących się z dłonią Jamesa zaciśniętą na jej pośladku.

- Zdaje się, że mój brat całkiem niezle się z nią dogaduje, nieprawdaż? - uśmiechnęła się Laura.

Large wytrzeszczył oczy w osłupieniu. Kyle podniósł kolejną fotografię, mocne zbliżenie Jamesa i Hayley w namiętnym pocałunku.

- A to dopiero ich pierwsza randka - zauważyła Laura. - Aż strach sobie wyobrazić, co będą wyprawiać następnym razem.

- Ciii... coś słyszę - powiedział Kyle, przykładając dłoń do ucha. - Czyżby tupot malutkich nóżek?

- Eee tam - machnęła ręką Laura. - Znając mojego brata, zaraz kopnie ją w tyłek i złamie serce.

- Ale proszę się nie martwić - szydził Kyle. – Wyszkolił pan mnóstwo chłopaków. To wszystko wysportowani, atrakcyjni kolesie i założę się, że kiedy James z nią skończy, będą walić drzwiami i oknami, żeby spróbować szczęścia z pańską córą.

Large nie wiedział, co powiedzieć ani gdzie podziać oczy.

- Tuziny krzepkich nastolatków świrujących na punkcie Hayley - westchnęła Laura. - A wie pan, jacy są młodzi. Jeśli stanie pan między Hayley a jakimś chłopakiem, na którego poleci, wszystko, co pan zyska, to jej dozgonna nienawiść.

Laura i Kyle nie byli dumni ze swoich manipulacji i nie zamierzali tego ciągnąć, ale ludzie oceniają innych według własnych standardów. Mieli nadzieję, że Large uwierzy w ich groźby, ponieważ była to taka sama podła zagrywka, jaka mogła się załęgnąć w jego czarnej duszy.

- Rzecz jasna, nic z tego nie musi się wydarzyć - powiedziała Laura łagodniejszym tonem. - Jesteśmy gotowi wycofać się, jeżeli zagwarantuje pan, że Klopsowi nie stanie się nic złego.

Pan Large zrobił się czerwony na twarzy.

- Dlaczego wciągacie w to moją córkę?! - wypalił z furją. - Ona jest niewinna.

- Niewinna?! - odrzyknęła Laura. - Poważnie?! Za to Klops jest pewnie seryjnym mordercą, tak?! A może zakrada się do kampusu i sprzedaje crack małodatom?

- Mamy powody przypuszczać, że Zara Asker cię nie lubi, Norman - powiedział Kyle. - Mac raz po raz ratował ci skórę, ale jego dni się skończyły. Dobrze wiesz, że kiedy Laura opowie prawdę przed komisją dyscyplinarną, wylecisz stąd na zbity pysk.

- Zwłaszcza teraz, kiedy mnie wkurzyłeś - dodała Laura. - Może mnie to podkusić do wyolbrzymienia niektórych faktów.

- Nie zrobisz tego! - ryknął Large, wykopując w powietrze stół do kawy, a wraz z nim miskę po płatkach i dwa piloty zdalnego sterowania.

Laura wystraszyła się, ale wytrwała na swoim miejscu, po czym rozciągnęła usta w sztucznym uśmiechu.

- Och, no i proszę, pobrudził pan dywan mlekiem. - A dla pewności, że do nas nie wrócisz, puścimy po kampusie petycję. Jeżeli przywrócą cię na stanowisko, agenci będą odmawiali udziału w misjach - dodał Kyle.

Dla Laury była to nowość, głównie dlatego, że Kyle wpadł na ten pomysł przed dwiema sekundami.

- Meryl Spencer już wie, że próbował mnie pan szantażować - powiedziała Laura. - Zarze jeszcze nie powiedzieliśmy, ale na pana miejscu nie spodziewałabym się świątecznej kartki od Askerów w tym roku.

Twarz Large'a była już buraczkowa. Laura zaczęła się poważnie obawiać, że olbrzym za chwilę dostanie kolejnego zawału serca.

- CHERUB to całe moje życie! - zawodził instruktor. - Jestem urodzonym szkoleniowcem, oto kim jestem.

- Nie - poprawiła Laura. - Jesteś dupkiem.

Kyle nie zdołał opanować chichotu, kiedy Large stanął nad dziewczyną. Była od niego cztery razy młodsza i trzy razy mniejsza, a mimo to nawet nie mrugnęła.

- Zrujnowałeś mi życie, Lauro Adams! - zawył Large. - Uszkodziłeś mi kręgosłup, kiedy uderzyłeś mnie łopatą i wrzuciłeś do dołu. Przedtem nie piłem, ale potem odkryłem, że alkohol pomaga znieść ból. Przez alkohol zacząłem tyć, co skończyło się zawałem, ale tobie jeszcze mało! Teraz chcesz zniszczyć to, co zostało z mojej kariery!

- Mnie obwiniasz?! - odkrzyknęła Laura. - Uderzyłam cię tylko dlatego, że kazałeś Bethany kopać grób, chociaż wiedziałeś, że ma chory kręgosłup. Mnie to wygląda raczej na sprawiedliwość.



- Chodź, Laura - powiedział Kyle, wstając z fotela. - Powiedzieliśmy wszystko, co było do powiedzenia. Sam musi zdecydować, czy złożyć rezygnację, czy pozwolić na upokorzenie siebie i swojej córki.

Jednak kiedy Laura wstała, by okrzyć Large'a i wyjść, ten położył jej dłoń na ramieniu i pchnął z powrotem na kanapę. Laura spróbowała odepchnąć go obunożnym kopnięciem, ale Large był olbrzymi, a jego brzuch twardy jak beton. Jej nogi ugięły się pod zbyt wielkim ciężarem, kiedy pochylił się, by złapać ją pod brodę i brutalnie ścisnąć policzki.

Kyle złapał Large'a w pasie, żeby go odciągnąć, ale instruktor mocarnym kopnięciem posłał go w tył, prosto na bar, który runął z ogłuszającym łoskotem.

- Wasze superchwyty na mnie nie działają - zaśmiał się Large, wciskając głowę Laury w poduszkę kanapy. - Pamiętacie? To ja ich was nauczyłem.

Laura odszukała wzrokiem Kyle'a w nadziei, że znalazł jakąś broń, ale kopnięcie pozbawiło go tchu i chłopak kulił się pod ścianą, ściskając brzuch.

- Nie darują ci tego - skrzeknęła Laura.

- Pewnie nie - zgodził się Large. - Pewnie będę musiał złożyć rezygnację. Przeprowadzimy się gdzieś blisko miejsca, gdzie pracuje mój chłopak, ale na tyle daleko od kampusu, żeby twój zboczony brat nie mógł dobierać się do Hayley. Ale posłuchaj najlepszego: żebyś nigdy, ale to nigdy mnie nie zapomniła, pójdę teraz do moich przemiłych sąsiadów i skręcę Klopsowi kark.

Laura zaniósł się kaszlem, kiedy Large puścił ją i wybiegł z pokoju, trzaskając za sobą drzwiami.

- Musimy go powstrzymać, Kyle! - wrzasnęła rozpaczliwie. - On zabije Klopsa!

Podczas gdy dwoje poturbowanych cherubinów w panice wparowało do przedpokoju, Large przebiegł na drugą stronę

podjazdu i wtargnął na teren sąsiadów. Rozległ się łomot, kiedy natarł ramieniem na drzwi Askerów.

Kyle złapał wewnętrzną klamkę frontowych drzwi Large'a, ale gdy ją obrócił, drzwi ani drgnęły.

- Musiał je zablokować. Tylne wyjście, szybko!

Rzucili się w stronę tylnej części nieznanego im domu, gdy drugi cios Large'a wysadził drzwi Askerów z zawiasów.

- Ja ci jeszcze pokażę, Lauro Adams! - krzyknął instruktor, a zaraz potem włączyła się syrena alarmu przeciw włamanio-  
wego.

Kyle wybiegł przez tylne drzwi i pognął przez ogród Large'a w stronę podjazdu.

- Klops! Musisz go gryźć, słyszysz? - krzyczała rozpaczliwie Laura, biegnąc za Kyle'em. - Nie daj mu się złapać!

Jako prezes CHERUBA Zara Asker była jedną z najwyższej postawionych osób w brytyjskich służbach wywiadowczych, to zaś czyniło z niej potencjalny cel dla porywaczy, dlatego jej dom wyposażono w supernowoczesny system alarmowy. Na dźwięk syreny Klops dostał ataku szału i opętańczo ujadając, pocwałował wokół kanapy w salonie.

Large opiekował się psem Askerów, kiedy ci wyjeżdżali na wakacje. Zaintrygowany Klops podbiegł do mężczyzny, który od czasu do czasu dawał mu jeść, ale kiedy Large schylił się, by zgarnąć go z dywanu, pies wyczuł zapach Laury biegnącej przez podjazd.

Large czasem karmił Klopsa, ale Laura nie tylko go karmiła, lecz także bawiła się z nim, zabierała na naprawdę długie spacerunki i nigdy na niego nie krzyczała. Wybór był prosty: młody pies podskoczył, wywijając się łoniom mężczyzny, i przemknął mu między nogami, by wystrzelić na dwór przez roztrzaskane frontowe drzwi.

Przed Laurą biegł Kyle i zanim pies zorientował się, co się dzieje, chłopak złapał go za brzuch i poderwał z ziemi. Klops nie widział go od swoich szczenięcych czasów, ale pamiętał zapach

i nawet się nie zaniepokoił, dopóki zerknąwszy w tył, nie ujrzał rozjuszonego Large'a biegnącego w ich stronę przez przedpokój.

Z Klopssem w ramionach Kyle chciał zawrócić w stronę podjazdu, ale Large był całkiem szybki jak na zwalistego mężczyznę po czterdziestce. Olbrzym nabrał rozpędu w czasie, jakiego chłopak potrzebował na zmianę kierunku, i spadł Kyle'owi na plecy, zgniatając mu talię w żelaznym uścisku swoich ramion. Chłopiec runął twarzą na posadzkę tarasu, a Klops wyplątał się z jego rąk i ujadając z pasją, pognął w stronę Laury. Kyle zdołał obrócić się na plecy i złapać Large'a za głowę, podczas gdy przeciwnik zgniatał mu żebra przypominającymi konary rękami.

W pierwszym odruchu Laura chciała złapać Klopsa i pędzić co tchu w stronę kampusu, ale zatrzymała ją myśl o nierównej walce: Large był bardzo silny i kompletnie stracił panowanie nad sobą; mógł zrobić Kyle'owi poważną krzywdę. Jakby na potwierdzenie jej obaw Large wyswobodził głowę z uścisku i wtoczył Kyle'owi łokieć w tchawicę.

- Zabijesz go! - wrzasnęła Laura panicznie, gorączkowo rozglądając się za jakąkolwiek bronią.

Puściwszy Klopsa, który merdał jak obłąkany, podekscytowany bieraniną i rykiem alarmu, Laura pobiegła w stronę wejścia do domu Askerów. Z ulgą spostrzegła ubłocony szpadel oparty o ścianę ganku.

Large zauważył biegnącą ku niemu dziewczynę, ale oplatające go w pasie nogi Kyle'a krępowały mu ruchy i miał tylko jedną wolną rękę do obrony. Kyle użył całej swojej siły, by utrzymać go na miejscu, podczas gdy Laura wzięła zamach i z wściekłym okrzykiem grzmotnęła Large'a w tył głowy wypukłą stroną narzędzia.

Rozległ się dźwięczny klang; trzonek szpadla zawibrował Laurze w dłoniach, a Large głośno jęknął. Czując, że przeciwnika opuszczają siły, Kyle rozluźnił uścisk. Laura odrzuciła

narzędzie i zepchnęła z kolegi zwiotczące cielsko instruktora.

- Nic ci nie jest? - zapytała drżącym głosem.

Kyle był czerwony na twarzy i zlany potem.

- Mało brakowało - wykaszał.

Kyle podniósł się i zaczął otrzępywać spodnie. W tej samej chwili na drodze zatrzymała się gwałtownie biała beemka. Drzwi otworzyły się i na podjazd wybiegli dwaj mężczyźni, którzy natychmiast wyciągnęli spod kurtek pistolety. Laura rozpoznała w nich funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa CHERUBA i uświadomiła sobie, że alarm Askerów musi być połączony z salą nadzoru w kampusie.

- Co tu się dzieje? - zawołał jeden z przybyłych, przenosząc wzrok z nieprzytomnego Large'a na wyważone drzwi domu.

Drugi mężczyzna wyszarpnął z kieszeni pilot od alarmu i wreszcie zapadła cisza.

## 20. SĄD

Zara Asker nigdy nie przepadała za Large'em i musiała mocno zacisnąć usta, by nie uśmiechnąć się, kiedy Laura przyznała, że już po raz drugi pobiła go szpadlem.

Large był tylko ogłuszony, więc odzyskał przytomność wkrótce po umieszczeniu go na łóżku w kampusowym ambulatorium. Kiedy dziesięć minut później odwiedziła go Zara, siedział na krawędzi materaca, popijając wodę z plastikowego kubeczka.

- Oto i ona - wyszczerzył się szyderczo. - Jej królewska mość zaszczyca mnie swoją obecnością.

- Bardzo zabawne - powiedziała Zara z kamienną twarzą. - Przed chwilą rozmawiałam z mężem. Czy to prawda, że groziłeś zabiciem psa mojego synka?

Large wzruszył ramionami, jak gdyby cała ta sprawa niewiele go obchodziła.

- Ten wczesny system bezpieczeństwa w twoim domu musi mieć kamery. Dlaczego sama sobie nie sprawdzisz?

- Nie miałam czasu przejrzeć nagrań, ale uznaję twoją odpowiedź za przyznanie się.

Large uśmiechnął się.

- Ucznawaj ją, za co tylko chcesz, a potem wsadź ją sobie w swój tłusty tyłek.

- Słuchaj no, Norman - wycodziła przez zęby Zara. - Nic nie uszczęśliwiłoby mnie bardziej, niż gdybym mogła wykopać

cię stąd na zbity pysk i już nigdy więcej nie musisz oglądać ciebie ani twoich kretyńskich wąsów. Niestety, wiesz o CHERUBIE, pracowałeś tutaj przez większą część życia, a to oznacza, że jesteśmy zobligowani do udzielenia ci pomocy.

- Tylko po to, żeby mnie pilnować - prychnął Large.

- Wiedziałeś, że będziemy cię pilnować, odkąd skończyłeś dziesięć lat - odcięła się Zara. - Jak to było? Kto raz się dowie, uwolni się w grobie? Pytanie brzmi: czy będziemy musieli przebrnąć przez farsę przesłuchania dyscyplinarnego, czy mogę się spodziewać listu rezygnacyjnego?

- Napisz rezygnację, to podpiszę.

- Dobrze. - Zara skinęła głową. - Dom masz na spółkę z Garethem, prawda?

Large pokiwał głową.

- Codziennie dojeżdża pięćdziesiąt mil do pracy, więc i tak chciał się wyprowadzić.

- CHERUB stopniowo wykupuje ten szereg domów na kwatery dla personelu - oznajmiła Zara. - Zapłacimy ci o dwadzieścia procent powyżej wartości rynkowej, co powinno pokryć koszty przeprowadzki. Otrzymasz też trzymiesięczną odprawę oraz gwarantuję, że wystawię ci dobre referencje, jeżeli będziesz starał się o pracę gdziekolwiek w bezpieczeństwie lub wywiadzie. Ale nie spodziewaj się żadnej pomocy, jeżeli wystąpisz o jakąkolwiek pracę, w której będziesz miał styczność z dziećmi. Czegoś takiego nie wezmę na swoje sumienie.

Large chrząknął.

Zara położyła dłonie na biodrach i zaostrzyła ton.

- Biorąc pod uwagę, że próbowałeś szantażować dwunastoletką, a potem udusić Kyle'a, uważam, że jesteśmy wyjątkowo hojni. I nie będzie żadnych targów. Przyjmujesz moją ofertę w tej chwili albo uruchamiamy procedurę dyscyplinarną i wylatujesz stąd goły.

- Jezu, dobra już... - jęknął Large tonem marudzącego dziecka, zgniatając kubek i ciskając go w stronę śmietnika. - Dajcie mi coś do podpisania i do widzenia.

- Świetnie - skwitowała Zara. - Pielęgniarka powiedziała, że najlepiej będzie, jeżeli zostaniesz tutaj na godzinkę lub dwie i trochę odpoczniesz. Zrobili ci prześwietlenie głowy i nie sądzą, żebyś doznał jakichś trwałych obrażeń. Jeżeli masz jakieś rzeczy w bloku instruktorów, mogę posłać kogoś, żeby je spakował.

Large potrząsnął głową.

- Tylko kilka par ubłoconych butów. Jak chcesz, to je sobie weź.

- Jak wszyscy byli cherubini możesz wracać do kampusu na zjazdy i jubileusze, ale twoja codzienna przepustka zostanie unieważniona z chwilą, gdy opuścisz ten teren.

Zara wyciągnęła dłoń do uściśnięcia, ale Large zignorował jej gest.

- Może nie uwierzysz w to, co teraz powiem, Norman - powiedziała Zara po krótkiej pauzie - ale jest mi naprawdę przykro, że twoja kariera kończy się w ten sposób. Życzę ci powodzenia. Możesz dzwonić do mnie w każdej chwili, jeżeli będę mogła ci jakoś pomóc.

Wielki mężczyzna nie odpowiedział i Zara wzięła to za objaw jego grubiaństwa, ale kiedy tylko wyszła z sali, Norman Large opuścił głowę na pierś i zaczął płakać.

\*

Fotografie, które wypadły Kyle'owi z kieszeni, kiedy wybiegał z pokoju dziennego pana Large'a, zostały odnalezione przez wydział bezpieczeństwa i przekazane Zarze jako dowód. Większość przedstawiała Jamesa i Hayley, ale na niektórych ujęciach ze środka restauracji można było rozpoznać Bruce'a i Kerry, a na zdjęciu próbnym, jakie Bruce pstryknął w mikrobusie, widniał Callum, Connor i Rat. Upiekło się tylko Andy'emu.

Gabinet pani prezes został niedawno odnowiony. Szklane biurko Zary, jej iMac i krzesła od Hermana Millera sprawiały, że pokój wydawał się o wiele mniej przytłaczający niż za skórzano-dębowych czasów jej poprzednika. Ponieważ krzesła było za mało, posadzono na nich tylko głównych winowajców - Laure, Kyle'a i Jamesa. Kerry, Bruce, Callum, Connor i Rat stanęli w szeregu za nimi.

W CHERUBIE surowa dyscyplina jest niezbędna, ponieważ agenci na misji muszą zachowywać się idealnie i nie sprawiać niespodzianek. Jednak Zara nie lubiła karać dzieci i w pierwszym okresie jej szefowania część kadry zarzucała jej pobłażliwość. Zara przyjęła krytykę i zaczęła stosować surowsze zasady, ale nie była w tym konsekwentna.

Kiedy prezesem był Mac, cherubin mógł być pewien kary za większość typowych przewinień. Agent wracający do kampusu po godzinie ciszy nocnej zawsze spodziewał się dwudziestu karnych rundek za każdy kwadrans spóźnienia. U Zary mógł dostać dziesięć okrążeń albo sto - w zależności od jej nastroju.

Dla winowajców owa niepewność własnego losu była nieznosnym koszmarem. Grzesząc, cherubini nie mogli już oceniać ryzyka miarą swojej odporności na spodziewaną pokutę. W dodatku paradoksalnie, choć Zara przeważnie traktowała winowajców łagodniej niż dawniej Mac, po kampusie krążyły opowieści tylko o jej najsrozszych karach, przez co zyskała opinię bezwzględnej dręczycielki.

- Muszę powiedzieć, że jestem rozdarta. Co ja mam z wami zrobić? - westchnęła Zara. - Wiem, że Large was sprowokował, bo próbował szantażować Laure, ale to nie usprawiedliwia tego, co zrobiliście.

Kyle przemówił uroczyście i z podniesionym czołem:

- Jestem z nich najstarszy i pomysł odegrania się na Large'em był mój. Jestem gotów przyjąć całą odpowiedzialność i ponieść konsekwencje.



Zara uśmiechnęła się.

- Przypomnij mi, Kyle, jak długo jeszcze będziesz z nami?

- Ponad siedem tygodni.

- Zatem jeżeli cię ukarzę, a ty nie będziesz miał nastroju na pokutę, to po prostu odejdziesz kilka tygodni wcześniej, tak?

Kyle zrozumiał, że go przejrano, i wbił ponury wzrok we własne kolana.

- Wiem, że zostałam prezesem niedawno, Kyle, ale to nie znaczy, że jestem kompletną idiotką. W całej tej aferze najbardziej szkoda mi Hayley. Niestety, Hayley nie wie o istnieniu CHERUBA, więc nie ma sposobu, byście jakoś wynagrodzili jej to upokorzenie. Mogę mieć tylko nadzieję, że nie zraniliście jej uczuć zbyt głęboko.

James wzruszył ramionami.

- Nie wyglądała na zachwyconą i nie wydaje mi się, żeby za mną płakała, jeśli już nigdy się nie spotkamy.

- Rozsądna dziewczyna - skinęła głową Zara. - Na początek rozprawię się z tą piąteczką z tyłu. Każde z was dostaje dwieście karnych rundek do przebiegnięcia w trzy tygodnie, do tego osiemdziesiąt godzin prac ogrodniczych...

- To nie fair! - zaprotestowała Kerry. - Ja właściwie nie brałam w tym udziału.

Pozostali cherubini zgromili ją wzrokiem, nawet Bruce.

- Byłaś w restauracji, co oznacza, że byłaś zaangażowana bardziej niż ja czy bliźniaki - zaznaczył Rat.

- Cisza! - zdenerwowała się Zara. - Dacie mi skończyć czy nie? Bieganie i prace ogrodnicze zostają zawieszony na sześć miesięcy. Jeżeli złamiecie jakikolwiek przepis przed końcem września, odsłużycie swoje kary wraz z karami, jakie zostaną wam wymierzone za nowe przewinienia.

Kerry uśmiechnęła się z zadowoleniem. Rzadko wpadała w kłopoty i z jej punktu widzenia kara w zawieszeniu była równoznaczna z brakiem jakiegokolwiek kary. Czterej chłopcy także

odetchnęli z ulgą, choć to, że przez pół roku będą musieli chodzić jak w zegarku, uważając na każdy ruch, raczej nie było im w smak.

Zara mówiła dalej:

- James, ty odegrałeś kluczową rolę, ale nie byłeś prodyrem. Wymierzam ci dwieście okrążeń i sto godzin prac renowacyjnych, ale zawieszam wszystko oprócz pięćdziesięciu okrążeń, które masz przebiec w tym tygodniu, jeszcze zanim pojedziesz na swoją misję.

James był całkiem zadowolony z takiego obrotu sprawy. I tak biegał dwa razy w tygodniu, a dwadzieścia pięć okrążeń oznaczało dziesięć kilometrów, których pokonanie zajmowało mu mniej niż pięćdziesiąt minut.

- Dobrze - ciągnęła Zara. - A teraz zegnám tych, którzy zostali już ukarani. Chciałabym porozmawiać z Kyle'em i Laurą na osobności.

Tuż przy drzwiach Bruce zatrzymał się i odwrócił do pani prezes.

- Jeśli wolno spytać... Czy Large wyleciał z pracy?

Zara skinęła głową, a pozostali spojrzeli po sobie z radosnymi minami.

- Lepiej zetrzyjcie z twarzy te uśmiešky – powiedziała Zara szorstkim tonem do wychodzących z pokoju sześciorga agentów. - Jeśli zobaczę, że ktokolwiek z was puszy się z tego powodu, to natychmiast podwieszam wam kary. Pan Large niemal na pewno zostałby zwolniony przez komisję dyscyplinarną, tak więc wszystko, co osiągnęliście, to ściągnięcie na siebie góry kłopotów.

James wyszedł z gabinetu ostatni. Kiedy zamknął za sobą drzwi, Laura i Kyle spojrzeli niespokojnie na Zarę.

- Kyle - powiedziała Zara, rozciągając usta w przyjaznym uśmiechu. - Wygląda na to, że dojechałeś do końca trasy, prawda?

Kyle nie zrozumiał.

- Przepraszam, ale...

- Pomysł był głównie twój i jesteś najstarszym zamieszonym w to agentem, ale nie mogę ukarać cię skutecznie, bo wtedy po prostu odejdziesz. W ubiegłym roku zdałeś większość swoich egzaminów maturalnych i przygotowujesz się tylko do matematyki. Rozmawiałam z Meryl Spencer. Dopiero co kupiła spory dom i powiedziała, że z przyjemnością wynajmie ci pokój na parę miesięcy, dopóki nie ruszysz na tę swoją wyprawę.

Kyle wytrzeszczył oczy.

- Ale...

Zara uniosła dłoń.

- Nie ma czasu na przygotowanie cię do kolejnej misji. Moim zdaniem jedynym rozsądnym rozwiązaniem jest to, żebyś spakował manatki i opuścił kampus o kilka tygodni wcześniej, niż planowałeś.

- Ale co z moimi lekcjami i w ogóle...?

- Możesz wpadać do kampusu na zajęcia powtórkowe z matematyki. Z tego, co wiem, uczy cię James, więc możesz się z nim spotykać w tym celu, ale tylko w bibliotece, nie na górze w jego pokoju. Oczywiście możesz bez ograniczeń spotykać się ze znajomymi poza kampusem, ale na nasze obiekty rekreacyjne nie masz już wstępu i nie życzę sobie, żebyś pałętał się gdziekolwiek indziej na terenie firmy.

Kyle od pewnego czasu przygotowywał się psychicznie do odejścia, ale wyglądał na wstrząśniętego tym nagłym zakończeniem swojej dziesięcioletniej kariery cherubina.

- Wiedziałem, jakie podejmuję ryzyko - powiedział cicho. - Czy mógłbym poprosić o kilka dni na pożegnanie się ze wszystkimi i tak dalej?

- Tyle mogę dla ciebie zrobić - skinęła głową Zara. - Zresztą mniej więcej tyle czasu zajmie przygotowanie ci nowej tożsamości i ustawienie finansowe.

- Jasne - mruknął Kyle.

- I to by było wszystko, jeżeli chodzi o ciebie - westchnęła Zara. - Porozmawiam z Meryl i powiem, żeby zaczęła organizować twoje odejście.

Gdy Kyle wyszedł, Laura pojęła, że zostawiono ją na samym koniec, ponieważ z całej grupy spiskowców to ona tkwiła w najgłębszym bagnie. Serce podeszło jej do gardła.

- I został tylko jeden - powiedziała Zara dramatycznym tonem, sięgając za siebie i zdejmując ze szklanej półki teczkę personalną. - Nie przypuszczałam, że mamy z tobą aż tak poważny problem, dopóki nie zajrzałam do twoich akt osobowych.

Laura przełknęła ślinę. „Poważny problem?”

- Nie bardzo wiem, o co chodzi - wybąkała.

- Czyżby? - Zara uniosła brwi i uśmiechnęła się lekko. - Należysz do naszych najlepszych agentów, wciąż jesteś najmłodszą czarną koszulką w CHERUBIE, ale jeśli chodzi o zachowanie w kampusie, to twoja kartoteka jest nieźle zapaćkana.

Zara otworzyła teczkę Laury i zaczęła czytać.

- Pod koniec dwa tysiące czwartego roku zaatakowałaś pana Large'a szpadłem. Mac wymierzył ci karę sześciu miesięcy odmulania rowów i dał ostatnie ostrzeżenie. Latem dwa tysiące szóstego roku zostałaś przyłapana i ukarana po tym, jak szantażem zmusiłaś Jamesa do udziału w wyprawie, podczas której wdartaś się na teren ośrodka szkoleniowego, by udzielić pomocy rekrutom. Dziś znowu jesteś w tym gabinecie z powodu kolejnego trefnego planu, który tym razem uknułaś, by zemścić się na panu Lar-e'u i zmusić go do rezygnacji.

- Ale to on mnie szantażował - zaprotestowała Laura. - Ja tylko...

- Ja wiem, co zrobił pan Large. A ty postąpiłaś właściwie, informując Meryl Spencer o incydencie. Jednakże to, co zrobiłaś później z Hayley i Jamesem, było absolutnie niedopuszczalne.

A najbardziej nie podoba mi się to, że przeprowadziłaś swoją akcję w bardzo podobny sposób, jak zrobiłaś to nieco ponad rok temu.

- Wtedy to Bethany wymyśliła dużą część planu - nadała się Laura.

Zara skrzywiła się na tę żalną próbę podzielenia się odpowiedzialnością.

- Cóż, Bethany jest teraz na misji, więc tym razem to chyba nie jej wina, prawda?

- Tak, proszę pani.

- Twoja kara czterystu okrażeń najwyraźniej nie odniosła skutku, co postawiło mnie w dość trudnej sytuacji. Ostatecznie doszłam do wniosku, że zanim znów podejmiesz karierę agentki, powinnaś spędzić pewien czas w kampusie, aby dowieść, że potrafisz zachowywać się wzorowo.

- To znaczy... że nie mogę jeździć na misje? - zachłysnęła się Laura.

- Zawieszam cię na trzy miesiące. Potem przez następne trzy miesiące twoje zadania będą ograniczone do mniej ważnych akcji: kontroli bezpieczeństwa, misji rekrutacyjnych i tym podobnych.

- Okej - westchnęła Laura z rezygnacją.

- Ponadto chciałabym, żebyś zaczęła trochę aktywniej angażować się w życie kampusu, podejmując obowiązki, które - mam nadzieję - nauczą cię odpowiedzialności i może sprawią, że trochę dorodniesz. Przez minione dwa lata werbowaliśmy bardzo agresywnie i obecnie mamy ponad tuzin czerwonych koszulek w wieku poniżej siedmiu lat. Personelowi bloku juniorów brakuje opiekunów dla najmłodszych, dlatego chcę, żebyś im pomogła. Będziesz tam chodzić wieczorami cztery razy w tygodniu, przez następne pół roku. Twoje obowiązki nie będą skomplikowane: dzieciakom trzeba czytać bajki, pilnować, żeby się myły, kłaść do łóżek i czasem zająć się nimi

podczas lekcji pływania albo wycieczek. Niektóre z nich mają poważne kłopoty z przystosowaniem się do życia w kampusie po stracie rodziców lub bliskich i mogą być dość wymagające. Na pewno wszystkim potrzeba ogromnego emocjonalnego wsparcia.

Laura skinęła głową bez uśmiechu. Wprawdzie kara nie była tak wymagająca fizycznie jak bieganie, ale sześć miesięcy to bardzo długi czas, a ona nigdy nie miała oporów przed pysznieniem się swoją rangą przed koleżankami, które w większości wciąż nosiły szare koszulki. Kiedy dowiedzą się, że została zawieszona, na pewno padną z zachwyty.

## 21. BROŃ

Był piątek i choć formalnie liczył się jako ostatni dzień jego wolnego tygodnia, do lunchu James zdążył już zaliczyć wyjątkowo aktywny poranek: kolejne spotkanie z Chloe w sprawie sytuacji pomiędzy gangami w Luton, ostatnią porcję karnych okrażeń oraz ćwiczenia na strzelnicy ze swoim specjalnie przygotowanym pistoletem. Na dodatek przez cały ten czas zamartwiał się o Kyle'a, który nie był sobą, odkąd Zara wyrzuciła go z CHERUBA.

- Jesteś tam, łośiu? - krzyknął James, pukając do drzwi pokoju Kyle'a.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, wszedł do środka. Sypialnia Kyle'a zawsze była przygnębiająco schludna, ale teraz dodatkowo straszła wrażeniem pustki, które stos kartonowych pudeł pod oknem tylko pogłębiał. James zauważył, że z łóżka zdjęto pościel, a materac odwrócono. Jego najlepszego kumpla nie było nigdzie w zasięgu wzroku, ale z kabiny prysznicowej dobiegał szum wody.

James wyjął subkompaktowy pistolet z kieszeni bluzy, przeszedł do drzwi łazienki i ostrożnie nacisnął klamkę. Stwierdziwszy, że zamek jest otwarty, uśmiechnął się z zadowoleniem. Wyteżając wzrok, by dojrzeć cokolwiek przez kłęby pary buchającej z kabiny, zakradł się do środka z uniesioną bronią.

- Ręce do góry! - wydarł się James, szarpnięciem odsuwając zasłonkę.

Ale to nie Kyle wrzasnął ze strachu.

- Kurde, co jest?! - krzyknął płaczliwie Kevin Sumner, upuszczając szampon i nerwowo zakrywając genitalia.

- Eee... sorki - bąknął James niemal tak samo wstrząśnięty jak Kevin. - Myślałem, że to Kyle. W ogóle to co ty tu robisz?

- Dziś rano wróciliśmy ze szkolenia. Każdy czaił się na te nowe pokoje na ósmym, ale musiałem iść do kibla i zanim dobiegłem na górę, wszystkie mi zasunęły - wyjaśnił Kevin, a potem wyszczerzył się w uśmiechu. - Ale Kyle był taki czysty, że ten jest prawie tak samo dobry jak tamte nowe.

James zobaczył szarą koszulkę Kevina przewieszoną przez drążek na ręcznik i wyciągnął rękę do kolegi.

- Gratuluję - powiedział. - No to od dziś jesteśmy sąsiadami. Mieszkam po drugiej stronie korytarza.

Kevin był mokry i dygotał, kiedy wystąpił z brodzika, by potrząsnąć dłoń Jamesa.

- Mam nadzieję, że nie jesteś już na mnie wkurzony za... no wiesz, ten numer w dżungli.

James machnął ręką.

- Nie mam ci tego za złe. Na twoim miejscu pewnie zachowałbym się tak samo. Jak tam Kazakow, kiedy wyjechałem?

- Wredny, jak można się było spodziewać. - Kevin wrzuszył ramionami. - Ale tamto już się skończyło i mam to gdzieś. Chcę na misję. Poza tym bycie szarym ma jedną absolutnie rewelacyjną zaletę.

James był zaintrygowany.

- Niby jaką?

Kevin uśmiechnął się.

- Nigdy nie byłeś czerwony, co?

- Rzeczywiście, nie byłem. Miałem dwanaście lat, kiedy wstąpiłem do CHERUBA, więc od razu wzięli mnie na podstawówkę.



- Wreszcie mam własną łazienkę i prysznic - wyjaśnił Kevin. - W bloku juniorów są tylko wspólne i zawsze kończą się z jakimś sześciolatkiem włączającym ci do brodzika albo kretynem żartownisiem chlustającym na ciebie zimną wodą.

- Rozumiem, że takie rzeczy mogą zależeć za skórę - skinął głową James. - Mimo to chyba powinieneś rozważyć zamykanie drzwi na zasuwkę.

- No - przytaknął Kevin, patrząc ponuro na drzwi.

- No dobra, a nie wiesz przypadkiem, gdzie jest Kyle? Jest w lekkim dołku i trochę się o niego martwię.

- Chyba pojechał zawieźć resztę swoich rzeczy do domu Meryl. Obiecał, że jak wróci, pomoże mi przenieść moje matki z bloku juniorów.

- Dzięki - powiedział James, chowając pistolet do kieszeni.

- I przepraszam za to... najście.

Wychodząc z łazienki, uświadomił sobie, że skoro Kevin wrócił do kampusu, to Dana także, ale kiedy tylko skręcił w stronę pokoju swojej dziewczyny, z windy wyszedł Kyle, dźwigając karton z rzeczami Kevina.

- Hej - powiedział James. - Co ty z tym pokojem?

- Oddałem Kevinowi.

- To już wiem. Przecież Zara mówiła, że możesz zostać do niedzieli.

Kyle potrząsnął głową ze smutkiem.

- Wyprowadzam się dzisiaj.

- Nie ma mowy - zachłysnął się James. - W sobotę wieczorem robimy wielką imprezę pożegnalną. Będzie cały kampus i wiem na pewno, że Kerry i parę innych osób szykują ci prezent.

- Nie idę - uciał Kyle. - Powiedziałem ci, nie chcę wielkiego szumu.

- Przestań, każdy ma pożegnalną dżampę.

- Zresztą i tak nie mam już gdzie spać, skoro oddałem pokój.

James wzruszył ramionami.

- Przekimasz u mnie na podłodze. A co mi tam, oddam ci nawet łóżko, bylebyś został na imprezie.

Jednak Kyle wpał w gniew.

- Przestań mnie męczyć, James, ja po prostu chcę się stąd wynieść i koniec, jasne?!

Potem Kyle żałośnie pociągnął nosem, co sprawiło, że Jamesowi zrobiło się jednocześnie smutno i głupio. Na chwilę zapadła niezręczna cisza.

- Uściskałbym cię, gdybyś nie trzymał tego pudła - wymamrotał James, czując, że zbiera mu się na płacz. - Szóste piętro nie będzie już takie samo, kiedy odejdziesz.

Kyle posłuchał sugestii i odstawił karton na podłogę, by James mógł go objąć.

- Będzie mi ciebie brakowało - wyszeptał James, przyciskając Kyle'a do siebie i poklepując po plecach.

- A mnie ciebie - chlipnął Kyle, a po policzku spłynęła mu łza. - Dziesięć lat śmignęło ot tak, wiesz?

- Beznadziejna sytuacja - skinął głową James. - Ale przed tobą jeszcze całe życie. Masz siedemnaście lat, wybierasz się w podróż po świecie, totalny odjazd, a potem idziesz na studia, gdzie będzie zajebiście. Daj sobie rok, a założę się, że nie będziesz mógł skumać, co było takiego fajnego w mieszkaniu na jednym korytarzu z bandą rozwrzeszczanych buraków takich jak ja.

- Dobry z ciebie przyjaciel, James - powiedział Kyle, osuszając policzek wierzchem dłoni. - Kiedy cię poznałem, myślałem, że jesteś zwykłym zepsutym gnojkiem. Nigdy ci tego nie mówiłem, ale kiedy CHERUB wyczał cię w Nebraska House, zaleciłem odrzucenie twojej kandydatury. Przeważyla opinia tej psycholożki Jennifer Mitchum. Uznała, że masz potencjał.

- Ty zimny draniu! - zaśmiał się James. - Czemu wciąż cię ściskam?

- Wygląda na to, że się myliłem - przyznał Kyle, odklejając się od Jamesa i prawie odzyskując swój zwykły ton głosu. - Rozmawiałem z Meryl. Powiedziała, że kiedy zacznę studia, będę mógł przyjeżdżać do kampusu na święta. Ma też zapytać, czy nie znajdzie się dla mnie jakieś płatne zajęcie na lato przy obsłudze ośrodka letniego czy gdzieś; z tym że musi odczekać trochę, zanim pójdzie z tym do Zary. Prezeska nie pała do mnie miłością po tych wykopanych drzwiach w jej domu.

James uśmiechnął się.

- Będziemy w kontakcie.

- Lepiej już pójdę - powiedział Kyle, schylając się po pudło Kevina. - Aha, zdaje się, że Dana cię szuka. Spotkałem ją, jak jadła na dole lunch.

- Kiedy to było?

- Dziesięć minut temu? Na pewno ją złapiesz.

- W poniedziałek zaczynam misję, więc muszę wcisnąć miesiące płomiennych porywów miłości w niecałe trzy dni - powiedział James i ruszył w stronę windy, ale po trzech krokach zatrzymał się i zawołał do Kyle'a: - Hej! Ale musisz tu być w sobotę wieczorem. Masz tylko dwa dni na spędzenie czasu z nami, a na resztę całe swoje życie.

Kyle uśmiechnął się.

- Kevin wspominał coś, że on i reszta świeżo upieczonych agentów zamierzali urządzić balangę. W sumie mogą zostać, nie chciałbym, żebyście wspominali mnie jako aspołecznego typka, no nie?

\*

Impreza zaczęła się o ósmej i skończyła o trzeciej w niedzielę rano. Kyle spędził swoją ostatnią noc w łóżku Jamesa, który z kolei przespał się na kanapie u Dany. James obudził się z przykurczem szyi i nieznacznym kacem. Na komórcie znalazł nową wiadomość: Chloe prosiła, by zadzwonił do niej, kiedy tylko odbierze SMS-a.

Zadzwoił, siedząc na sedesie Dany.

- Witaj, James - rozpromieniła się Chloe. - Jak głowa?

- Bywało gorzej - ziewnął James.

- Posłuchaj, ustawiliśmy dwóch tajniaków, którzy obserwują każdy ruch Juniora Moore'a. Wygląda na to, że na jutro rano ma wyznaczone spotkanie ze swoim kuratorem. Jego szkoła jest przepelniona i nie udało nam się znaleźć tam dla ciebie miejsca, ale Junior ma dozór kuratorski i musi się meldować co poniedziałek. Naszym zdaniem to twoja najlepsza szansa na przypadkowe spotkanie.

- Da się zrobić - skinął głową James. - Być może będziemy musieli sprężyć się z przewodniczką, ale...

- O to właśnie chodzi - przerwała mu Chloe. - Junior ma spotkanie o dziesiątej, co oznacza, że ty i Bruce musicie wprowadzić się do Zoo jeszcze dzisiaj.

Jamesa zatkalo.

- Kurczę, to ostatni dzień Kyle'a - powiedział z troską w głosie. - Będzie na niedzielnym lunchu ze wszystkimi...

- Wiem, James - przerwała mu ponownie Chloe. - Jeśli to naprawdę takie ważne, możemy chyba poczekać na następną okazję.

- Nie - powiedział James po chwili namysłu. - W sumie była fajna impreza i to jest najważniejsze. Lunch będzie tylko przygnębiający.

- No dobrze, skoro jesteś pewien. Doceniam twoje zaangażowanie.

- Rozmawiałeś już z Bruce'em?

- Tak. Powiedział, że jedzie, jeżeli ty nie masz obiekcji.

- Ekstra. O której mamy być gotowi?

- Cóż, już prawie południe. Myślę, że powinniśmy wyruszyć, kiedy tylko wrzucicie coś na ząb i spakujecie manatki.

Kiedy James wyszedł z łazienki, Dana już nie spała. Siedziała na rogu łóżka, wciąż w imprezowych ciuchach, z twarzą umazaną czarną kredką do oczu.

- I jak tam zdrówko, moja najpiękniejsza? - zawołał James z lekką kpina.

- Ciszej - jęknęła Dana. - Nic nie pamiętam. Ty położyłeś mnie do łóżka?

James pokiwał głową z politowaniem.

- Musieliśmy cię zanieść z bliźniakami. Urwał ci się film.

- To ta tequila slammery. Nigdy więcej.

James pochylił się nad Daną, by pocałować ją w usta; owionął go zapach przetrawionego alkoholu i starego potu.

- Obawiam się, że muszę już lecieć - oznajmił. - Przyspieszyli mi misję.

W normalnej sytuacji nie odszedłby bez porządnej obłapianki, ale Dana wyraźnie nie była w formie. Wszystko, na co było ją stać, to wymamrotanie do wychodzącego Jamesa, żeby na siebie uważał.

James poszedł do swojego pokoju, gdzie odkrył, że Kyle zdążył już wstać, wziąć prysznic, zjeść trochę płatków, zaściłać łóżko Jamesa świeżą pościelą, a użytą przez siebie zanieść wraz z resztą brudów do pralni na dole.

- Nie będzie mnie na pożegnalnym lunchu - oznajmił James, klęcząc nad turystyczną torbą, którą wywlókł z szafy, i wypychając ją ubraniami.

- Zazdroszczę ci - uśmiechnął się Kyle. - Dziwnie jest pomyśleć, że to już koniec. Koniec z mieszkaniem w kampusie, koniec z misjami, koniec z wakacjami w ośrodku. Jestem tylko zwyczajnym studentem.

James zacisnął oczy, próbując powstrzymać kolejny przyływ łez.

- Zateśknę się za tobą na śmierć, Kyle - westchnął.

Na twarzy Kyle'a wykwitł kpiarski uśmiech.

- A wiesz, co sobie pomyślałem?

- Co?

- Zawsze, kiedy miałeś problem z jakąś pracą szkolną albo potrzebowaleś coś od kogoś ściągnąć, to byłem ja albo Kerry.

Ale ja odchodzę, a Kerry jeszcze długo nie da ci niczego odpisać.

- Masz rację. - James pokiwał głową i uśmiechnął się krzywo. - Mam przesraniutko.

Kyle przykucnął i z plecaka ze swoimi rzeczami wyrwał dużą torbę wypchaną zeszytami ćwiczeń i skoroszytami.

- To mój pożegnalny prezent - powiedział, kiedy ciężka torba podskoczyła na materacu Jamesa. - Wszystkie moje notatki, wypracowania, ściągki.

- Ożeż ty... - pisnął James w zachwycie. - Ekstra, dzięki, Kyle. Zrzuciliśmy się na prezent dla ciebie, ale dostaniesz go później, więc mnie przy tym nie będzie. Masz czas, żeby zejść ze mną na dół i pogadać przy śniadaniu?

Kyle potrząsnął głową.

- Chciałbym, ale późno wstałem, a muszę się jeszcze pożegnać z paroma osobami, zwłaszcza z kilkoma pracownikami bloku juniorów, którzy opiekowali się mną, kiedy byłem mały. Poza tym wciąż będziesz mnie uczył matmy.

James wzruszył ramionami.

- Jeżeli wrócę przed twoim egzaminem. To już za sześć tygodni, a moja misja może się przeciągnąć.

- No to do zobaczenia, James - powiedział Kyle, cofając się ku drzwiom. - Życzyłbym ci powodzenia na misji, ale jesteś takim farciarzem, że nie potrzebujesz już więcej szczęścia.

## 22. KONTAKT

Zoo, czyli Bedfordshire Halfway House, zostało pomyślane jako tymczasowe schronienie dla trudnej młodzieży i małoletnich przestępców, świeżo zwolnionych z zakładu karnego. W rzeczywistości stało się śmietnikiem dla dzieci, wobec których zawiódł system opieki. Osiemdziesiąt procent wychowanków albo zostało wyrzuconych ze szkoły, albo nie zwracało sobie głowy chodzeniem do niej. Połowa chłopców i jedna czwarta dziewcząt odsiedziała już jakieś wyroki, a postawa większości z nich zwiastowała rychły powrót za kratki.

James i Bruce dostali pokój z podłogą z PCW, łózkami roz-taczającymi zapach obcych ludzi i ścianami pokrytymi milionami graffiti. Obaj chłopcy bywali już w rozmaitych ośrodkach opiekuńczych, ale żaden z nich jeszcze nigdy nie widział czegoś tak beznadziejnego jak Zoo.

Przybyli późnym popołudniem. Na schodach prowadzących na piętro chłopców dziewczyna o orientalnych rysach zaofero-wała im marihuanę, podczas gdy na końcu korytarza grupa wyrostków kroića jakiegoś chudego chłopaka. Na obiad dostali podwędłe chickenburgery z rozgotowanymi w tłuszczu frytkami.

Obaj czuli się jeszcze niewyraźnie po imprezie Kyle'a i o dziesiątej byli już w łózkach. Jednak w piekle szalejącym na korytarzach i w pokojach wokół nich nie sposób było zasnąć. Słyszeli bójki, pościgi, a koleś w sąsiednim pokoju słuchał muzyki

na cały regulator i ściszył trochę dopiero wtedy, gdy James prawie wyważył drzwi jego pokoju i zagroził, że oberwie mu łeb za uszy. Niestety, to wystawiło ich tylko na kolejną warstwę hałasu dobiegającego od dziewcząt na dole. Ich muzyka była cichsza, ale jakoś śpiewu rekompensowała to z nawiązką.

Była już północ, kiedy Jamesowi nareszcie udało się zasnąć z głową wciśniętą pod poduszkę. Niedługo później drzwi otworzyły się z hukiem i do pokoju wpadli dwaj masywni kolesie wyglądający na mniej więcej siedemnaście lat i roztaczający wokół siebie woń papierosów. Intruzi zaczęli budzić chłopców brutalnymi kopnięciami w łóżka.

- Dwie dychy albo w machę, już! - krzyknął długowłosy osiłek o imieniu, jak miało się później okazać, Mark.

Jego kumpel Karl włączył światło.

- Pobudka, gnoje, przyjechał poborca!

James i Bruce podskoczyli na łóżkach, ale zanim ich oczy przywykły do światła, nad każdym z nich zawisło złowrogo ogromne cielsko.

- Wyskakiwać z kasy - rozkazał Karl, opryskując Jamesa śliną.

- Mam lepszy pomysł - odparł James drwiąco. - A może possiesz mi jajca?

Karl podniósł kolano, by przerzucić je nad Jamesem i przyspilić go do łóżka, ale cokolwiek palił tego wieczoru, nie wpłynęło to dobrze na jego refleks i James bez trudu uprzedził atak dwoma błyskawicznymi ciosami: kolanem w żołądek i łokciem w szczękę.

Oszołomiony Karl zatoczył się do tyłu. James zerwał się z łóżka i wypiętą pierśią natarł na chłopaka, aż ten grzmotnął plecami o metalową szafkę. Przyspiliwszy przeciwnika, James z całej siły rąbnął go nasadą dłoni w nos, wgniatając mu głowę w blaszane drzwiczki, po czym zbił go z nóg fachowym podcięciem.



Po drugiej stronie pokoju Bruce zastosował bardziej prostolinijne podejście, wyłączając Marka z akcji pojedynczym ciosem w bok głowy.

- To jak, dalej chcesz mnie skroić? - krzyknął James z furią do nastolatka u swoich stóp, który zakrywał twarz ramionami w obawie przed kolejnym uderzeniem. - Wywalaj kieszenie!

Podczas gdy Karl podawał Jamesowi komórkę, zapalniczkę, papierosy i portfel, Bruce opróżnił kieszenie nieprzytomnego Marka. Jego łup był taki sam z premią w postaci małej pacuszki haszyszu i scyzoryka z plastikową rączką.

James i Bruce wyjęli pieniądze z portfeli, a Bruce schował nóż do swojej szafki. Chłopcy z sąsiednich pokojów usłyszeli hałas i teraz tłoczyli się w progę, próbując dojrzeć, co się dzieje.

- Jedna nokia, jeden samsung - powiedział Bruce swobodnym tonem, rzucając w tłum telefony, fajki i zapalniczki. - Z pozdrowieniami od Bruce'a Becketta.

James wyjął multinarzędzie ze zwiniętych na podłodze dzinsów i podsunął zębate ostrze pod zakrwawiony nos Karla.

- Może byś zabrał stąd twojego kochasia? - wysyczał.

Karl skinął głową, ale brutalne ciosy Jamesa nadwreżyły mu mięśnie brzucha, wskutek czego ledwie mógł ustać na nogach, a o taszczeniu kolegi po prostu nie było mowy. Skończyło się na tym, że James i Bruce zawlekli Marka przez cały korytarz do jego pokoju, gdzie porzucili go na podłodze między łózkami.

Dwaj agenci byli wycieńczeni po walce. W drodze powrotnej do pokoju James tępo wpatrywał się w swoją zakrwawioną dłoń.

- Klatę też masz całą zachlapaną - zauważył Bruce. - Lepiej weź prysznic.

Napotkane dzieciaki kuliły się bojaźliwie, kiedy James miął je w korytarzu, z żelem pod prysznic w dłoni i ręcznikiem przerzuconym przez ramię. Nie zrobił niczego, z czego byłby dumny, ale nie mógł nie czuć satysfakcji, widząc, jak wszyscy schodzą mu z drogi.

\*

- Ożeż kurde... Jasna cholera! - sapał James, gorączkowo wciągając dzinsy i wkładając buty na bose stopy.

Bruce sennie podparł się łokciem na poduszce i ziewnął szeroko.

- Co się dzieje? - wymamrotał.

- Jest za dwadzieścia dziesiąta. Powiniennem już być u kura-tora. Chloe mnie zabije.

- Nastawiłeś budzik?

James potrząsnął głową, łapiąc kurtkę i sprawdzając, czy w portfelu wciąż są pieniądze.

- Nie chciało mi się. Zwykle budzę się sam przed dziewiątą, ale przez ostatnie dwa dni trochę późno się kładłem.

- Ciężkie życie - rzucił nonszalancko Bruce. - Szkoda, że nie mogę pomóc. Idę spać.

- Rusz tyłek i przesuń szafkę! - wydarł się James, wsuwając rękę w rękawy kurtki.

Ponieważ pokój nie miał zamka, a po utarczce z Karlem i Markiem chłopcy obawiali się ataku odwetowego, zablokowali drzwi, zastawiając je szafką Bruce'a. Prowizoryczna barykada nie była w stanie nikogo zatrzymać, ale łomot blaszanego rupiecia przesuwanego po podłodze z pewnością byłby skuteczną pobudką.

Kiedy tylko szczelina w wejściu poszerzyła się na tyle, by móc się przez nią wyśliznąć, James wyskoczył na korytarz. Dopiero co wstał, więc najpierw pognął do toalety i stanął nad pisuarem, nie od razu zauważając, że tuż obok załatwia się Mark. Nastolatek miał podpuchnięte oczy i ogromnego guza na czole.

- To jeszcze nie koniec - powiedział Mark złowrogo.

Jamesa kusiło, żeby palnąć go w łeb i przypomnieć, kto tutaj rządzi, ale był spóźniony i nawet nie zatrzymał się, żeby umyć ręce, zanim wypadł z łazienki, by pognać po schodach na parter.

Przebiegł przez główny hol i wypadł na ulicę. Przemknąwszy ryzykownie na drugą stronę, puścił się szalonym sprintem w stronę oddalonego o czterysta metrów przystanku. Na szczęście na autobus czekał tylko niecałe dwie minuty, ale i tak do biura kuratora wpadł dopiero siedem minut po dziesiątej.

Siedziba zespołu kuratorskiego mieściła się w parterowym budynku między stacją benzynową a miejscem, gdzie kompleksowo czyszczono samochody. Centralne ogrzewanie ustawiono na o wiele za wysoką temperaturę i młodzi ludzie, których garstka siedziała w poczekalni rejestracji na piankowych krzesłach, wyglądali jak wyprani z wszelkiej chęci życia. Niektórzy trzymali gazety albo formularze na podkładkach, ale większość apatycznie wpatrywała się w ściany.

- W czym mogę pomóc? - zapytała uprzejmie tęga recepcjonistka.

James rozejrzał się pospiesznie, ale Juniora Moore'a nie było w ciasnej poczekalni.

- James Beckett - sapnął zdyszany. - W zeszłym tygodniu wyszedłem z kicia i powiedzieli, że mam zgłosić się tutaj w ciągu siedmiu dni.

- Okej... - mruknęła do siebie kobieta, wystukując coś na klawiaturze komputera. - Beckett przez jedno T czy przez dwa?

- Dwa - powiedział James i otarł pot z czoła rękawem kurtki.

- Nie mam niczego pod takim nazwiskiem. Z jakiego ośrodka zostałeś zwolniony?

- Z Peterwalk koło Glasgow.

Ten element legendy Jamesa wprowadzono po to, aby zminimalizować ryzyko napotkania kogokolwiek, z kim teoretycznie powinien siedzieć w zakładzie karnym.

- Szkockich zakładów nie mamy w komputerze - wyjaśniła recepcjonistka, sięgając na półkę po ośmiostronicowy formularz i podkładkę. - Będziesz musiał to wypełnić. Jeżeli masz kłopoty z czytaniem bądź pisaniem, mogę sprowadzić kogoś, kto ci pomoże.

Przestępując przez pary wyciągniętych nóg, James dotarł do wolnego krzesła po drugiej stronie poczekalni. Siadając, rozpiął kurtkę, gdyż w budynku panował nieznośny upał.

Największą szansę na spotkanie z Juniorem i nawiązanie kontaktu miałby w poczekalni przed jego wizytą u kuratora, ale tę sposobność przegapił, ponieważ zasnął, i teraz musiał dopaść Juniora, kiedy ten będzie wychodził z biura. Jeżeli Juniorowi się spieszyło, mógł wyjść, nie dając Jamesowi szansy na nawiązanie porządnej rozmowy, a wtedy cała misja spaliłaby na panewce - a przynajmniej znacznie się opóźniła - jeszcze zanim na dobre się zaczęła.

James postanowił jak najszybciej wypełnić formularz, żeby móc wręczyć go recepcjonistce i wyjść z Juniorem, gdyby nadarzyła się taka okazja.

- Junior Moore - zagrzmiął męski głos.

James podniósł wzrok na szczupłego mężczyznę w brązowym garniturze - to musiał być kurator Juniora. Mężczyzna podszedł do biurka recepcjonistki, zamienił z nią kilka słów, po czym kobieta złapała mikrofon i nadała komunikat przez radiowęzeł:

- Jeżeli Junior Moore wciąż jest w budynku, proszę, żeby niezwłocznie zgłosił się do pokoju D. Junior Moore niezwłocznie do pokoju D.

Po kilku sekundach kurator potrząsnął głową, klepnął biurko i zaczął odchodzić, ale w tej samej chwili Jamesa przestraszyło

głośne trzaśnięcie drzwi zaledwie kilka metrów za nim. Obejrzał się, by ujrzeć Juniora stojącego przed wejściem do toalety, z głową ukrytą wewnątrz futrzanego kaptura czarnej parki.

- Panie Ormondroyd! - Junior wskazał kciukiem za siebie, ruszając przez labirynt nóg i krzeseł. - Sorry, stary. Usiadłem na klo i kapkę przysnąłem.

Oświadczenie to wzbudziło wielką wesołość wśród młodych przestępców, ale kurator tylko spojrział na zegarek.

- Uważaj, Moore, mogę cię wsadzić z powrotem o tak - wycedził z furią i głośno strzelił palcami. - Do biura, już!

Ale Junior, brnąc przez poczekalnię, właśnie natknął się na Jamesa i natychmiast rozpoznał jego twarz.

- James Beckett - zachichotał, rozkładając szeroko ramiona.  
- James kurdefaja Beckett!

James podniósł wzrok i przywitał Juniora uśmiechem.

- Mogłem się domyślić, że nie ma dwóch ludzi o takim imieniu - powiedział radośnie. - Co ty tu robisz? Myślałem, że wysłali cię do jakiejś drętwej szkoły z internatem.

- To biuro kuratora - powiedział znacząco Junior. - Przyszedłem tu kupić znaczki, no nie?

- To tak jak ja. - James skinął głową.

- Ale jaja - wyszczerzył się radośnie Junior, ale w tej samej chwili jego wzrok padł na dyszącego z wściekłości kuratora. - No, ale tego... - zająknął się. - Słuchaj, mam wizytę do odwalenia. Ale musimy pogadać, no nie? Możesz na mnie zaczekać?

- Jasne - powiedział James, starając się nie okazywać ulgi. - Muszę tylko wypełnić ten formularz, ale posiedzę tu, dopóki nie wyjdiesz.

## 23. DYM

- Masz trochę czasu? - zapytał Junior, idąc za Jamesem w stronę wyjścia z biura. - Mam wolną chatę. Jak chcesz, możesz przyjść, to pogadamy na spokojnie.

- Czemu nie? - skinął głową James, zapinając kurtkę, kiedy wyszli na mroźny wiatr. - Jak poszło u kuratora?

Junior wzruszył ramionami.

- Jak zwykle, no wiesz: fruwać prosto, nie świruj, noś koszulę w spodniach, chodź do szkoły, wracaj do domu przed ósmą, nie pal, nie pij, nie ćpaj, bo jak cię, gnojku, złapiemy, to wracasz za kraty. Lepiej mów, co u ciebie?

- Przyskrzynili mnie w Szkocji - skłamał James. - Od siedziałem swoje i nie muszę ganiać do kuratora, ale kazali mi się zarejestrować, żeby gliny wiedziały, że przenieśli mnie tutaj.

- Taxi! - krzyknął Junior, machając ręką.

Do krawężnika podjechał poobijany nissan.

- Musisz być nadziany - zauważył James, gramoląc się na tylną kanapę okrytą pokrowcem w szkocką kratę.

- Autobusy są dla wieśniaków - wyszczerzył się Junior.

- Czekasz pół godziny i podjeżdża pudło pełne śmierdzących staruchów i wrzeszczących gnojków.

Taksówkarz skręcił na ulicę i włączył się do ruchu. James uśmiechnął się z przekąsem.

- No tak, bogaty tatuś musiał zostawić ci co nieco.

Junior potrząsnął głową.

- Dostaję kieszonkowe od mamusi. Muszę nieźle nakombinować, żeby móc żyć na poziomie, rozumiesz?

- To czym się teraz parasz?

- Wszystkim, za co mnie nie zamkną. - Junior uśmiechnął się szeroko. - Tu coś kupię, tam coś sprzedam, a zysk wciągam nosem.

James pokiwał głową z politowaniem.

- Ciągłe łoisz kokę?

- A myślałeś, że co robiłem w tym kiblu? - parsknął Junior.

- Nie ma mowy, żebym zdzierzył czterdzieści pięć minut z tym jajogłowym kuratorem bez walnięcia dwóch kresek w kinol.

James zauważył, że kierowca jest wyraźnie wzburzony ich konwersacją. Junior rąbnął pięścią w zagłówek.

- Skup się na drodze i pilnuj swojego nosa - rzucił opryskliwie, po czym ponownie zwrócił się do Jamesa: - Nie mogę uwierzyć, że cię spotkałem. Gdzie byłeś? Co porabiałeś? Co z twoją rodziną zastępczą?

- Ewart i Zara w końcu mnie wykopali - powiedział James.

- Zrywałem się z budy i takie tam. Zwiąłem do Szkocji z moim kuzynem Bruce'em i złapali nas, jak próbowaliśmy okraść automat z fajkami.

- Automat z fajkami? - Junior zacmokał z dezaprobatą. - Ale żal. I jak, mieszkacie w Zoo? Jak tam jest?

- Mordownia. - James wzruszył ramionami. - Wprowadziliśmy się wczoraj i już musieliśmy wklepać dwóm koleśiom, którzy próbowali nas skroić.

Junior uśmiechnął się lekceważąco.

- Kto to był, małoletnie harcerki czy jakieś gej uchy?

- To były całkiem spore bambry, jeśli chcesz wiedzieć - obruszył się James. - A co u ciebie? Wciąż boksujesz?

- Gdzie tam. Chodziłem jakiś czas na kick boxing, ale potem mnie wywalili.

- A jak tam twoi starzy? Tata jakoś się trzyma w pierdłu?  
- Jeżdżę do niego co miesiąc, ale ma strasznego doła. Co tu się dziwić, jak człowiek siedzi zamknięty przez dwadzieścia cztery na siedem.

- A twoi bracia i siostry? - dopytywał się James.

- Ringo jest na uniwerku i mama dostaje orgazmu za każdym razem, kiedy przynosi najwyższe oceny. April chodzi do szkoły. Strasznie ostatnio zdrętwiała. Interesują ją tylko egzaminy i goście pod krawatami. A mała Erin dostała stypendium z jakiejś wyczesanej szkoły z internatem. Okazuje się, że jest geniuszką.

- W każdym razie April jest wciąż wrywalna, tak? - zartował James.

- Lepiej trzymaj się z dala od mojej bliźniaczki - zaśmiał się Junior. - Nie żeby dała ci podejść blisko siebie. Była nieźle wkurzona, kiedy nie odpowiadałaś na jej listy.

- Z laskami nigdy nic nie wiadomo. - James odwzajemnił szeroki uśmiech. - Może jeszcze coś zdziałam.

- Bez szans - pokręcił głową Junior. - Zresztą słuchaj, mam parę piwek, trochę coli i wielką torbę ziela. Co powiesz na to, żebyśmy powspominali stare dobre czasy, racząc się hurtowymi ilościami alku i dragów?

James czytał akta Juniora i wiedział, że chłopak ma problem z narkotykami, ale zderzenie z rzeczywistością było szokujące.

- Poprzestanę na piwku - powiedział James. - A co do reszty, to nie moja baja.

Junior wyglądał na urażonego.

- Nie, to nie, będzie więcej dla mnie.

- Nie musisz iść do szkoły?

- Gdzie tam - powiedział Junior. - To znaczy niby muszę, ale ja to chrzańię. Powiem im, że byłem chory czy coś. Ta mała matura to jakaś masakra. Kompletnie zawałiłem pracę zaliczeniową i... A zresztą kogo to obchodzi.



Jamesowi zależało na jak najszybszym włączeniu Bruce'a do misji.

- Posłuchaj - powiedział, podczas gdy taksówka wzięła zakręt odrobinę za szybko. - Dopiero co przeprowadziliśmy się do Zoo i mój kuzyn jest teraz całkiem sam. Miałbyś coś przeciwko temu, żebym zadzwonił i ściągnął go do ciebie?

- A dzwoń sobie - odparł Junior. - Im więcej ludzi, tym weselej.

\*

Keith Moore siedział w więzieniu od ponad dwóch lat, co nie przeszkadzało jego byłej żonie Julii żyć sobie nader wygodnie ze starannie wypranego majątku jego upadłego narkotykowego imperium. Niedawno Julia przeprowadziła się do siedmiosypialniowego domu z wielkim ogrodem i krytym basenem. Jeździła mercedesem, a jej życie kręciło się wokół fryzur, paznokci, solarium i siłowni.

- Junior! - zawyła, kiedy rzuciwszy kluczyki do samochodu i rakietę tenisową na kuchenną szafkę, wciągnęła pełne nozdrza gryzącej woni przypalonego plastiku. - Junior! Rusz tyłek i na dół, ale już!

Julia potoczyła przerażonym wzrokiem po plamach z soku pomarańczowego na podłodze i brudnych talerzach piętujących się w zlewie. Najbardziej zjadliwy swąd unosił się nad brytfanną i przyspawaną do niej pizzą. Chłopcy zjedliby ją na lunch, gdyby Junior był na tyle trzeźwy, by pamiętać o zdjęciu styropianowej pokrywki przed włożeniem dania do piekarnika.

Julia wyszła z kuchni, zawołała jeszcze raz, po czym pobiegła po schodach na górę.

Drzwi pokoju Juniora były otwarte. Radio ryczało na cały regulator, a na korytarzu kłębił się dym z marihuany. Muzyka grała tak głośno, że James i Bruce nie usłyszeli nadbiegającej kobiety.

- Co to ma być?! Kim, do diabła, jesteście?! - wrzasnęła Julia, podnosząc pilot do zdalnego sterowania, którym wyłączyła muzykę.

Po trzech piwach James czuł się wyluzowany.

- Hej, pani Moore - wybełkotał, uśmiechając się głupawo. - Kopeć lat, no nie?

- Jo! - zawołał Bruce i zachichotał, staczając się z łóżka na podłogę. - Junior nic nie mówił, że jego matka to taka superlaska.

- Ja ci zaraz dam laskę - zawarczała Julia. - Gdzie jest mój syn?

James wyciągnął chwiejny palec w stronę wejścia do połączonej z sypialnią łazienki.

- Sra - czknął.

- Junior, wyłaż stamtąd w tej chwili! - krzyknęła Julia, przestępując przez sterty brudnych ubrań, brudnych książek i puszek po piwie, by otworzyć okno najszerszej, jak tylko się dało. - Co ja ci mówiłam o paleniu w domu?

Minęły jeszcze dwie minuty, zanim z łazienki wyłonił się Junior wyglądający na kompletnie zamroczonego, ze skołtunionymi włosami i w T-shircie założonym tył na przód.

- Czsześć, mamó - wysyczał, starając się mówić trzeźwo. - Jak było na dobroczynnym lunchu?

- Co to ma znaczyć? - zapiszczała Julia, łapiąc syna za ramię, by drugą ręką zdzielić go w tył głowy.

- Auu! - jęknął Junior. - Uważaj, pierścionki...

- Byłeś u kuratora? No i co?

- Super! - wyszczerzył się Junior, wskazując na Jamesa.

- Pamiętasz Jamesa? Jeszcze z czasów, zanim zamknęli tątę? On też tam był.

- Naprawdę sądzisz, że mnie to obchodzi, Junior? Zniszczyłeś brytfannę, cały dom śmierdzi i jak widzę, nie zawracałeś sobie głowy szkołą.

- Nie mogłem pójszcz do szkoły - zapluł się Junior. - Spotkałem Jamesa, to było normalnie... normalnie jak jakieś historyczne czy coś.

- Chodzenie do szkoły jest warunkiem twojego zwolnienia. Chcesz z powrotem trafić za kratki?

- A niechby - machnął ręką Junior. - Nie musiałbym wysłuchiwać twojego szczekania.

Julia jeszcze raz prasnęła syna w głowę, a potem odwróciła się do Jamesa i Bruce'a.

- I nie wiem, z jakiego kanału was wywlókł, ale macie stąd wyjść.

James i Bruce podnieśli się niechętnie i zaczęli rozglądać za kurtkami.

- Do zobaczenia wieczorem w klubie - wybełkotał Junior. - Może poznacie paru moich ziomów.

- A co z twoim zakazem nocnym? - przerwała Julia. - Może i jesteś za duży, żebym mogła cię powstrzymać przed wyjściem z domu, Junior, ale zawsze mogę zadzwonić do kuratora.

- Zmień płytę, mamó, ta już się zdarła...

- Nie myśl, że blefuję. Zadzwonię do niego, zobaczysz.

Ale Junior tylko potrząsnął głową ze zniecierpliwieniem.

Dobrze wiedział, że matka nigdy nie wydałaby go policji.

- Mam piętnaście lat, no nie? - krzyknął. - Odwal się ode mnie, ty głupia małpo!

James był wstrząśnięty. Kiedy jego mama jeszcze żyła, gdyby odważył się nazwać ją małpą, obtłukłaby nim wszystkie ściany ich mieszkania.

- Och, jak miło - powiedziała Julia, wyraźnie dotknięta. - To ja cię karmię, ubieram, wyciągam z aresztu, odwiedzam w więzieniu...

- Tak, wiem, tak bardzo ci ciężko - zadrwił Junior. - Odkąd wysłałaś za tatę dwadzieścia lat temu, nie wiesz, co to praca.

- Wychowałam czwórkę dzieci! - krzyknęła Julia na granicy płaczu. - Troje z nich to normalne fajne dzieciaki. To nie moja wina, że masz popaprane życie!

James z zakłopotaną miną wskazał kciukiem drzwi.

- To my już pójdziemy...

Julia wciąż krzyczała, kiedy James i Bruce schodzili po schodach na parter.

- Ty, widziałeś, jak on jarał tego jointa? – wyszeptał Bruce.

James spojrział na kolegę.

- No. Oczy mi łzawiły od dymu, a on to wciągał jak oranżadkę.

- Ale w sumie wydaje się równy.

- Bo jest - skinął głową James. - Poprzednio naprawdę nieźle się dogadywaliśmy i zawsze był trochę walnięty, no ale teraz to mu kompletnie odwalilo...

## 24. TALENT

- Czasem gram, ale szczerze mówiąc, trochę wyszedłem z formy - tłumaczył Junior, prowadząc Jamesa i Bruce'a mokrą alejką w stronę rzęsiście oświetlonych boisk.

Była siódma wieczorem. James zdążył już wytrzeźwieć, ale po piwie pozostała mu pamiątka w postaci bólu głowy.

- Nic dziwnego, że wyszedłeś z formy - wyszczerzył się złośliwie. - Po tej ilości szajsu, jaki dziś wypiełeś i wyjarałeś, to cud, że w ogóle możesz chodzić.

- Ludzie, których poznacie, są naprawdę w porządku - powiedział Junior. - Wystawiają mi interesy na niezłą kasę, ale lepiej z nimi nie zadzierać, a zwłaszcza z Saszą.

- Kto to jest Sasza? - zapytał Bruce z niewinną miną.

- Rasowy gangster - wyjaśnił Junior. - Mnie nie rusza ze względu na tatę i dawne czasy, ale jest normalnie porąbany. Raz był w country clubie i jakiś biedny palant, co na niego wpadł, nazwał go niezdarnym pałościskiem. Sasza kazał dwóm swoim chłopcom wywlec kołesia na dwór. Przywiązali go do zderzaka transita i przejechali pięć mil, zanim odcięli to, co z faceta zostało.

- O szit - jęknął James.

Poznał wiele podobnych historii o Saszy Thompsonie i Wściekłych Psach, ale akurat ta anegdota nie pojawiła się w dokumentacji misji.

Kiedy podeszli bliżej, James zobaczył, że na boiskach trenuje pięć drużyn w żółtych strojach. Zawodnicy - od dziesięciolatków

do zupełnie dorosłych - byli pogrupowani wiekowo i wszyscy mieli koszulki z wypisaną na nich nazwą sponsora: „Thompson Exhaust Centres”. Sam Sasza Thompson siedział na ławce obuty w piłkarskie korki, z nogawkami obcisłego dresu wciśniętymi pod żółte skarpety. Co jakiś czas podnosił dłonie do ust i wykrzykiwał obelgi w stronę swoich graczy.

- Jonesy, ty głupi cycu, miałeś go kryć!

Sasza miał czterdzieści sześć lat. Kilka lat wcześniej zaniechał gry w piłkę z powodu kłopotów z kolaniem, ale trzymał kondycję, biegając i podnosząc ciężary. Wyglądał na krzepkiego twardziela. Na widok Juniora błysnęły mu oczy.

- Panie Moore, jak miło, że nas pan odwiedził! - zawołał ze sztuczną emfazą. - Pozwolisz na słówko?

Junior zerknął niespokojnie na Jamesa i Bruce'a.

- Lepiej poczekajcie - szepnął.

Ale kiedy tylko potruchtał w stronę Saszy, ten zawołał:

- I przyprowadź swoich kolegów.

Junior przybiegł pierwszy i dwaj goryle Saszy posunęli się, robiąc miejsce na ławce. James i Bruce zatrzymali się dwa metry przed gangsterem, mlaskając butami w błocie tuż za linią autu.

- Dzwoniła twoja mama - powiedział Sasza poważnym tonem. - Jest bardzo zdenerwowana. Czy te dwa lumpy to ci sami kolesie, którzy wcześniej byli u ciebie i zrobili rozpierduchę?

- Tak - przytaknął Junior.

W jego głosie pobrzmiwał strach.

- Twoja mama płakała, kiedy rozmawialiśmy - powiedział Sasza. - Przypomnij, jak do niej powiedziałeś?

- Em...

- Powiedziała, że olewasz kuratora. Powiedziała, że nie poszedłeś do szkoły i nazwałeś ją małpą. Czy to wszystko prawda?

Junior wzruszył ramionami.

- No, w sumie tak.

- Palisz jointy w domu?

James widział, że Junior boi się Saszy.

- Tak - przytaknął zapytany słabym głosem.

Sasza złapał Juniora za kark i mocno ścisnął, sprawiając, że chłopiec odchylił głowę z bolesnym grymasem na twarzy.

- Twój tata, kiedy go przytknęli, powiedział mi, że sprawiasz kłopoty, i poprosił, żebym miał na ciebie oko - zawarzał gangster. - Zapytałem go, jak daleko mogę się posunąć, a on na to: „Stłucz go na kwaśne jabłko, jeśli będziesz musiał”. Ale ty nie chciałyś dojść ze mną aż tam, prawda, Junior?

- Nie, szefie - wykrztusił Junior.

- Kup mamusi ładny bukiet kwiatów i pamiętaj, że miałaś kupę szczęścia, że pan Ormondroyd jest moim starym znajomym. Nie złoży raportu o twoich wagarach.

- Dzięki, Sasza - powiedział Junior, uśmiechając się niepewnie.

Sasza puścił jego szyję i zwrócił się do Jamesa i Bruce'a. - A wy z jakiej plugawej dziury wypełzliście? - zapytał, krzywiąc się nieprzyjemnie.

- James to mój stary kumpel - wyjaśnił Junior.

- Ciebie pytałem?! - zdenerwował się gangster.

- Junior nas tu przyprowadził - powiedział pospiesznie James. - Trochę czasu minęło, odkąd się ostatnio widzieliśmy, bo jakiś czas mieszkaliśmy z ciotką w Szkocji, ale teraz przenieśli nas z powrotem...

- Dobra, dobra - zniecierpliwził się Sasza, machając dłonią przed twarzą. - Nie prosiłem o powalona historię twojego życia. Zdenerwowaliście Julię Moore, a tak się składa, że to jedna z moich najdawniejszych przyjaciółek. Trzymajcie się z dala od niej, od Juniora tak samo, i więcej nie pokazujcie mi się na oczy.

James zrozumiał, że misja rozpada się w proch na jego oczach. Pech chciał, że on i Bruce wzbudzili w Saszy niechęć, co zrównywało ich szansę na udaną infiltrację Wściekłych Psów z szansą na wygrywanie na loterii przez dwa tygodnie z rzędu.

- Jeszcze tu jesteście? - zdziwił się Sasza, po czym ułożył palce w imitację idącego człowieczka. - Jazda stąd, bo każę chłopakom przefasonować wam głowy gazurką.

- Hej, Sasza, no co ty? - jęknął Junior. - To moi dobrzy kumple. Nie zrobili nic złego, słowo.

- Junior, czy ja ciebie o coś pytam? - Sasza był coraz bardziej zirytowany. - Może potrafiłbyś lepiej dobierać kumpli, gdybyś nie pchał sobie tyle gówna do nosa.

James i Bruce odwrócili się, ale Junior nie dawał za wygraną.

- Pamiętasz, kiedy spalił się mustang Szalonego Joego? - zapytał pospiesznie. - To był właśnie James i jego przyrodnia siostra.

W głowie gangstera jakby kliknął przełącznik. Sasza rozpromienił się, a nawet wstał z ławki.

- Hej, dzieciaku, dokąd się wybierasz?

James odwrócił się i ze zdziwieniem ujrzał Saszę idącego ku niemu z wyciągniętą ręką.

- To ty byłeś tym gnojkiem, który spalił Szalonemu mustanga? To był najśmieszniejszy numer, o jakim kiedykolwiek słyszałem. Tak się wtedy ryłem, że prawie zlałem się w gacie. Jak my wszyscy, no nie?

Sasza obejrzał się na grupę osiłków siedzących na ławce i stojących wokół niej. Wybuchnęły śmiechy, wszyscy zaczęli przytakiwać i zanim James się obejrzał, najgroźniejsi członkowie gangu Wściekłych Psów ustawiali się w kolejce, by uściśnąć mu dłoń.

- Keith Moore miał do ciebie słabość - ni to stwierdził, ni zapytał Sasza.



- James był ze mną w Miami, kiedy przymknęli tatę - do-rzucił Junior. - Mówię ci, zabiliby nas, gdyby James nie urwał się zbirom i nie wezwał glin.

- Wybacz, dzieciaku - powiedział Sasza. - Nie wiedziałem, że znałeś Keitha. Myślałem, że jesteś jakimś palantem, którego Junior poznał rano u kuratora.

Podczas gdy mężczyźni śmiali się i ściskali mu dłoń, James przypomniał sobie słowa Kyle'a, który nie życzył mu szczęścia, bo tacy farciarze go nie potrzebują.

- To jak, chłopaki, gracie w piłkę? - zapytał Sasza.

James wzruszył ramionami.

- Czasem lubię sobie pokopać, ale jestem kiepski. Za to mój kuzyn jest całkiem niezły.

Sasza zwrócił się do Bruce'a.

- Ile masz lat?

- Czternaście - odpowiedział Bruce.

- Pozycja?

- Centrum pomocy albo na skrzydle, ale zagram wszędzie, byle nie na bramce.

Gangster spojrzał na zegarek, a potem machnął ręką w stronę boisk.

- Grupa do piętnastu lat jest tam. Jak chcesz spróbować, to do końca treningu zostało około czterdziestu minut. Jest ślisko, więc lepiej weź sobie jakieś korki z magazynku.

Bruce wołał kopać ludzi niż piłkę, ale uznał, że dostając się do jednej z drużyn Saszy, bardzo przysłuży się misji.

- Mogę spróbować - powiedział, wzruszając ramionami. - I tak nie mam nic lepszego do roboty.

- A ty, James? - zapytał Sasza, kiedy Bruce skierował się do budynku klubu. - Wyglądasz na silnego młodzieńca.

- Widziałem, jak gra, i nie podniecałbym się zbytnio - zaśmiał się Junior. - Poza tym, James, to są prawdziwe drużyny. Powinieneś pograć ze mną w niedzielnej lidze. Totalna rzeźnia i jest o wiele zabawnej.

- Niedzielną? Brzmi nieźle - powiedział James. - Może dam radę.

Sasza wyglądał na rozczarowanego.

- To nie jest poważny futbol, ale jeśli nie masz do tego serca...

Kilka minut później Bruce był na boisku, kopiąc piłkę z nastolatkami, Sasza znów siedział na ławce, pokrzykując na główną drużynę Wściekłych Psów, a Junior i James stali przy linii autu dwadzieścia metrów dalej, rozmawiając z dwoma żołnierzami gangstera. Jednym był dwudziestojednoletni Sawas, drugim dziewiętnastolatek, który miał na imię David, ale wszyscy wołali na niego Kółko.

James czytał ich akta policyjne, kiedy przygotowywał się do misji. Sawas pochodził z biednej tureckiej rodziny. Chciał zostać księgowym, ale jego kariera runęła w gruzy, kiedy dostał cztery lata za przemyt heroiny.

Kółko był nastoletnim mistrzem torów gokartowych, który - ponieważ jego rodziców nie było stać na finansowanie startów w zawodach - swój talent prezentował w karierze kierowcy gangsterów. Pomimo reputacji ćpuna, hazardzisty i kompletnego narwańca jedynymi zatargami, jakie kiedykolwiek miał z policją, był mandat za przekroczenie prędkości i siedemdziesiąt pięć funtów grzywny za sikanie na ulicy.

- Chłopaki, nakręćcie mi jakiś geszefcik - jęknął błagalnie Junior. - Jestem splukany do czysta.

Kółko i Sawas spojrzeli na siebie, wciągając powietrze przez zęby. Sawas wskazał na Saszę.

- Mógłbyś u mnie zarobić na milion sposobów, ale nic z tego nie będzie, dopóki stary nie wyrazi zgody.

- Otóż to - przytaknął Kółko.

- Hej, no co wy - nie odpuszczał Junior. - Po prostu odpalcie mi parę gramów koki do sprzedania i z czaszki. Albo paczkę ziela. W szkole mam tabuny bogatych gnojzków, które

kupią wszystko. W dodatku to głupki i płacą kosmiczną marżę...

- Pogadaj z szefem - powiedział twardo Sawas. - Już przedtem dawał ci różne fuchy.

- Tak, wiem. - Junior pokiwał ponuro głową. - Ale to były same drobne rzeczy, a jak go poproszę teraz, to jak nic urwie mi łeb.

- A ja? - wtrącił James. - Może macie coś dla mnie?

Sawas potrząsnął głową.

- Nie znam cię.

- A właśnie, że znasz - powiedział Junior. - To przecież on załatwił furę Szalonego Joego.

- Tak, dwa lata temu. - Sawas uśmiechnął się krzywo. - Bez obrazy, James, ale z tego, co wiem, to w międzyczasie mogłeś zakapować pół Szkocji.

Kółko jednak był chętny do współpracy z Jamesem.

- Ja cię wezmę - powiedział. - Mam robótkę i przydałby mi się pomagier, a wyglądasz mi na bystrego chłopaka. Pokażę ci parę sztuczek.

- Powaga? - ucieszył się James.

- Hej, a ja? - jęknął Junior. - Słuchajcie, ja strasznie potrzebuję kasy.

- Tak, pewnie - parsknął Sawas. - Z matką jeżdżącą merolem za siedemdziesiąt patoli i z dwoma milionami w funduszu powierniczym.

- Nie będę potrzebował forsy, jak skończę dwadzieścia jeden lat - powiedział Junior urażonym tonem. - Potrzebuję jej teraz, na weekend.

Rozmowa z Juniorem stawała się nudna i Sawas zaczął tracić cierpliwość.

- Mówię ci, pogadaj z Saszą. Nikt nie zamierza robić niczego wbrew jego woli.

- Ale z was palanty - jęknął rozżalony Junior, uchylając się odruchowo, kiedy nad głowami śmignęła im piłka. - Wszyscy

obchodzą się tu ze mną jak z jajkiem. Nie jestem już dzieckiem, wiecie?

Mimo swoich pretensji do dojrzałości Junior odszedł nadąsany jak pięciolatek, któremu odebrano cukierki. Po kilku krokach odwrócił się zirytowany tym, że James nie ruszył za nim.

- No idziesz czy nie?

Zrobiło się niezręcznie. James musiał rozważyć, co opłaca się bardziej - przyjaźń z Juniorem czy perspektywa ruszenia na prawdziwą akcję z Kółkiem.

- Niby gdzie mam iść? - zapytał niepewnie.

Junior pokazał palcem rząd szeregowych domków po drugiej stronie boisk.

- Zamiast tu sterczeć, równie dobrze możemy pójść do domu Saszy i się ogrzać.

James spojrzał pytająco na Kółko.

- Ty tak poważnie nawijałeś o tym, że dasz mi zarobić?

- Jeśli czujesz się na siłach... - wyszczerzył się szofer. - Ale nie ma pośpiechu. Idź do Saszy z tym rozpieszczonym gnojkiem, a ja dołączę później.

James był zaintrygowany.

- Jak to? To wszyscy tam chodzą?

Kółko skinął głową.

- Sasza ma wielką piwnicę i załoga zawsze zbiera się tam po piłce.

- Jasne - kiwnął głową James. - No to do zobaczenia u Saszy.

James ruszył w stronę Juniora, ale w tej samej chwili usłyszał Saszę wykrzykującego imię Bruce'a.

- Chryste Haroldzie panie! - zawołał gangster. - Will, patrz, jak ten mały zasuwa!

James spojrzał w stronę boiska, gdzie rozpoczął się mecz pomiędzy grupami do piętnastu i do siedemnastu lat. Bruce - grający w butach o dwa numery za dużych - właśnie biegł do ataku,

mając do pokonania już tylko obrońcę i bramkarza.

W kampusie Bruce rzadko grał w piłkę, ale szybkość i koordynacja, jakie wywodził przez niezliczone godziny walk w dojo, pięknie przekładały się na jego skuteczność na zalanym światłem boisku. Piłka wydawała się przywiązana gumką do jego stopy, kiedy obrócił się i delikatnie podbił ją w górę, by przeskoczyć nad nieudolnym blokiem obrońcy.

Bramkarz wysunął się, by zmniejszyć kąt strzału, ale Bruce zachował zimną krew. Zgrabnie podbił piłkę kolanem i strzałem z woleja posłał ją w prawy róg bramki.

Junior, który widział całą akcję, podbiegł do Jamesa stojącego na linii autu.

- Ożeż w mordę! - krzyknął, wytrzeszczając oczy. - Widziałeś to? Twój kuzyn opykał całą obronę.

James widział, jak dzieciaki z kampusu błagały Bruce'a, żeby dołączył do ich drużyny, ale dopiero teraz zrozumiał dlaczego. Bruce zatrzymał się i obojętnie wzruszył ramionami na widok swoich ubłoconych kolegów z drużyny pędzących przez boisko, by go uściskać.

- Geniusz! - wrzeszczał Sasza, podskakując z radości. - Ten dzieciak to prawdziwy geniusz.

## 25. PIWNICA

Większość członków klubu piłkarskiego Mad Dogs FC stanowili ludzie spoza gangu, zwyczajni faceci, którzy po treningu szli pod natryski, a potem wracali do swoich rodzin. Ale klub był także miejscem, w którym zbiegały się nici przestępczej siatki Saszy Thompsona, i ekipa zbierająca się w jego piwnicy składała się z tuzina rasowych kryminalistów oraz podobnej liczby przybłędów - młodzieńców takich jak Kółko i Junior, dla których gang był sposobem na zapewnienie sobie rozrywki i łatwych pieniędzy.

Sasza mieszkał w tym samym kompleksie czteropiętrowych domów przez całe życie. Jego matka była właścicielką numeru czterdzieści trzy, on zaś mieszkał tuż obok wraz z żoną i nastoletnią córką. Piwnice obu domów połączono i teraz była tam mroczna melina o pociemniałym od nikotyny stropie.

Podczas gdy Junior i inni młodzi krążyli wokół stołów biardowych z kijami w dłoniach, popijając tanie piwo, Sasza, Kółko i starsi członkowie gangu toczyli własne boje nad zielonym sukmem stolika do pokera. Zrazu była to niezobowiązująca gra o niskie stawki; rozmaici ludzie przysiadali się i odchodzili od stołu, by rozmawiać, ćmić cygara i snuć opowieści wśród rosnących stosów butelek po trunkach. Jednak około jedenastej przypadkowi gracze odplęnęli do domów i rywalizacja zaczęła się zaostrzać.

Sasza stracił dwieście funtów, kiedy Kółko rzucił na stół trójkę dam. Gangster poczerwieniał i krzyknął na młodych przy bilardzie, żeby się uciszeli i przestali go rozpraszać, co większość chłopców, w tym Junior, uznała za sygnał do wyjścia.

- Nie chcesz tu być, kiedy któryś z nich zacznie ostro przegrywać - wyjaśnił kolegom. - Widziałem raz, jak Sasza wbił koleśowi głowę w ścianę, bo uznał, że patrzył na niego obraźliwie.

Bruce był zmęczony i chciał już wracać do Zoo, ale James nie mógł wyjść przed rozmową z Kółkiem.

- Praszam... - bąknął nerwowo, podchodząc do grona gangsterów i przykucając obok Kółka. - To ja bym się już zbierał, ale mówiłeś coś, że mógłbym u ciebie co nieco za robić, więc może dam ci mój numer czy coś...

Kółko był kijanką w porównaniu z grubymi rybami przy stoliku, ale to przed nim piętrzyła się największa sterta banknotów.

- Ja już odpadam - powiedział uroczystym tonem, po czym odsunął się na krzesło, wstał i zaczął bez pośpiechu zgarniać pieniądze.

- Tak, lepiej skończ, póki masz kasę - powiedział Sasza. - Spadaj. Wracaj bawić się z małolatami.

Kółko uśmiechnął się, układając banknoty tak, żeby plik zmieścił mu się w kieszeni.

- Będę w piątek - rzucił niedbałym tonem. - Muszę wyrywać wam kasę po kawałku, panowie, bo wiem, jak bardzo byście się zdenerwowali, gdybym wygrał wszystko za jednym zamachem.

James uśmiechnął się, kiedy mężczyźni przy stole zarechotali, ale Sasza spojrział na Kółko z poważną miną.

- Zabierasz Jamesa na przejażdżkę?

Młodzieniec skinął głową.

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, szefie.

- Pracował dla Keitha, więc chyba możemy mu zaufać. - Sasza wzruszył ramionami, a potem wskazał na Juniora i Bruce'a. - Ale chyba nie zamierzasz zabierać ze sobą tych dwóch, nie?

Ton, jakim wypowiedział słowa: „chyba nie zamierzasz”, nie pozwalał wątpić, że miał na myśli raczej: „Nie waż się nawet o tym myśleć”. James zdawał sobie sprawę, że Sasza opiekuje się Juniorem, ale nie mógł zrozumieć jego niepokoju o Bruce'a.

- Trzymaj. - Sasza zgarnął ze stołu dwudziestofuntowy banknot i pomachał nim Juniorowi. - Jest późno, więc weź sobie taryfę z postoju na rogu, a po drodze podrzuć do Zoo mojego zucha Bruce'a.

Bruce spojrział żałośnie na Kółko.

- Nie mógłbym pojechać z nimi?

Sasza potrząsnął głową.

- Jesteś nowym gwiazdorem Mad Dogsów w grupie do piętnastu lat. Chcę, żeby te zwinne nogi jak najprędzej znalazły się w łóżku i wypoczywały przed czwartkowym meczem.

Bruce był wściekły. Odstawił popis na boisku, żeby przyciągnąć uwagę Saszy, ale jego zadaniem było zaangażowanie się w przestępczą działalność gangu i wyglądało na to, że talent piłkarski raczej mu w tym przeszkodzi, niż pomoże.

- Trzymaj - powiedział Sasza, wręczając Bruce'owi trzy banknoty dziesięciofuntowe. - Przypuszczam, że przyda ci się małe kieszonkowe.

- Dzięki - wyszczerzył się Bruce.

Junior i Bruce pożegnali się z towarzystwem, a chwilę później po piwnicznych schodach ruszyli Kółko i James. Na górze natknęli się na szesnastoletnią córkę Saszy Lois, której ponętne krągłości okrywał szlafrok.

- Hej, Kółko - powiedziała zalotnie Lois, po czym zwróciła się do Jamesa. - A ciebie tu jeszcze nie widziałam.



- To jest James Beckett - powiedział Kółko, strzelając niepokojnie oczami. - Kolega Juniora.

- Jak leci? - zamruczała Lois.

- Nieźle - odpowiedział James, badając wzrokiem jej świeżo pomalowane paznokcie i doskonałe uzębienie. Sasza musiał się szarpnąć na kosztownego dentystę.

- Naprawdę musimy spadać, Lois - powiedział Kółko. - No to na razie, tak?

Kółko westchnął z ulgą i ruszył do drzwi wejściowych.

- Masz z nią jakiś problem? - zapytał James.

- Powiedzmy, że psychotyczny gangster i seksowna nastoletnia córka to nie jest zdrowa kombinacja.

- Ale fajne ma cynie, nie pogadasz - wyszczerzył się obłeśnie James.

- Nawet o niej nie myśl - powiedział Kółko, kręcąc głową z dezaprobatą. - Kręciła z paroma koleśkami z college'u, ale Sasza dał wyraźnie do zrozumienia, że ona nie jest dla takich jak my.

James był rozczarowany, kiedy Kółko zatrzymał się obok bezpiecznego vauxhalla. Spodziewał się raczej hot roda.

- Ostre wózki przyciągają uwagę - wyjaśnił Kółko, kiedy wsiedli do samochodu. - Poza tym liczy się furman, a nie furmanka. No to dokąd chcesz jechać?

James był zaskoczony.

- Myślałem, że masz jakiś plan czy coś...

Kółko obejrzał się przez ramię, sprawdzając, czy nic nie jedzie, i oderwał samochód od krawężnika. Od skrzyżowania z główną ulicą dzieliło ich trzydzieści metrów.

- Byłem mniej więcej w twoim wieku, kiedy Sasza wzięła mnie pod swoje skrzydła. Nauczył mnie, że ulice są wybrukowane forszą - powiedział Kółko.

Vauxhall sunął niespiesznie przed szeregiem sklepów. Była już północ i wszystkie oprócz sklepów całodobowych i barów miały witryny zasłonięte stalowymi roletami.

James uśmiechnął się.

- To prawda. - Kółko pokiwał głową i wskazał palcem jedną z witryn. - Buda z kurczakami z różną; mogę się założyć, że nawet w poniedziałek pod ladą leżą co najmniej dwie stówki. W piątek i sobotę pewnie ze trzy razy więcej... Tam stoi niebrzydkie bmw. Wciągnij je na lawetę, a handlarz używanymi częściami da ci za nie parę patoli. Mało tego, jeśli przebierzesz się za zakładacza blokad, zrobisz to w biały dzień i nikt nawet nie mrugnie okiem.

- British Telecom - podjął Kółko po chwili, wskazując z uśmiechem szarą furgonetkę zaparkowaną za następnym zakretem. - Jeśli zamierzasz okraść furgonetkę, nigdy nie celuj w anonimowe białe numery. Istnieje ryzyko, że właściciel działa jako samodzielna firma i na noc zanoszą cały swój sprzęt do domu. Ale kolesie, którzy pracują dla firm telefonicznych, elektrycznych czy gazowych, to zwykli pracownicy. Nic nie jest ich własnością, więc mają gdzieś, co się stanie z tym, co zostało w wozie: miedzianymi rurami, sprzętem elektrycznym, narzędziami, czasem trafiają się nawet laptopy.

- I tym się zajmujesz? - zapytał James ze źle skrywanym rozczarowaniem w głosie. - Kradniesz rury z furgonetek?

Kółko cmoknął ze zniecierpliwieniem.

- Nie, baranie. Próbuję ci tylko wytłumaczyć, że pieniądze walają się wszędzie, jeśli tylko chce ci się ich poszukać.

James wzruszył ramionami.

- To zrozumiałem.

Kółko podjął swoją opowieść.

- Drugą rzeczą, jakiej nauczyłem mnie Sasza, jest zasada mieszania fuch. Kojarzysz z wiadomości w telewizji albo jak gazety piszą o fali włamań, fali rozbojów?

James skinął głową.

- Żaden inteligentny złodziej nigdy nie angażuje się w fałę czegokolwiek. Gliny nie mogą złapać wszystkich, więc czają

się na tych przestępców, którzy lubią ułatwiać sobie życie. Jeśli robisz tę samą rzecz dziesiąty raz z rzędu, to nie dziw się, że ludzie wypatrują cię zza firanek, a na ogonie siedzi policja.

- To znaczy, że wy robicie dużo różnych machlojek - powiedział James.

- Otóż to - przytaknął Kółko. - I właśnie dlatego Sasza Thompson radzi sobie tak dobrze od tak dawna. W jednym tygodniu sprzedaje kokainę, w następnym obrabia bank albo kradnie klimatyzatory z budowy i wysyła je do Dubaju. Natomiast trzecia złota zasada Saszy brzmi: nigdy nie próbuj srać wyżej własnego tyłka. Kojarzysz, jak w filmach bandyci mówią o ostatnim wielkim skoku?

- No pewnie - odparł James.

- Tego się nigdy nie robi. Ukradnij sto patoli, to napiszą o tym w lokalnej gazetce, a miejscowy wydział kryminalny usiądzie ci na karku na jakiś dzień lub dwa. Ale jak zwiniesz dzieśnięć milionów, będą o tym trąbić gazety, telewizja i najlepsi gliniarze w kraju dobiorą ci się do zadka.

- A dragi? - zapytał James. - Sasza to stary kumpel ojca Juniora i myślałem, że para się głównie dilerką.

- Jasne, że siedzi w dragach - skinął głową Kółko. - Robi je, sprzedaje, a czasem łąi innych dilerów. Żaden gangster nie ignoruje narkotyków, bo to w nich siedzi największa kasa. Ale po pierwsze i najważniejsze, Sasza i cała załoga Wściekłych Psów to złodzieje starej daty. Twój kumpel Keith Moore jest klasycznym przykładem kolesia, który srać wyżej własnego tyłka. W końcu miał na karku wszystkich - od miejscowych glin, przez MI5, po FBI. Jak rozpalasz sobie pod tyłkiem taki fajer, to musisz się sparzyć. Prędzej czy później poślizniesz się i wpadniesz.

James pokiwał głową. Czytał akta policyjne Saszy Thompsona i tym, co rzucało się w oczy w dokumentacji jego ponad trzydziestoletniej kariery przestępczej, była jego fantastyczna

zdolność do utrzymywania się na powierzchni, podczas gdy wszyscy wokół tonęli. Kiedy Keith Moore trafił do więzienia, wielu spodziewało się, że to Sasza przejmie po nim pałeczkę i kontrolę nad narkotykowym imperium. Teraz James zrozumiał, dlaczego tego nie zrobił.

Jednak James dostrzegał też dwie słabości Saszy. Po pierwsze, działając tylko na małą skalę, trudno mu było powstrzymać ambitnych nowicjuszy takich jak Major Dee od prób przejęcia jego biznesu. Po drugie, skwapliwość, z jaką Kółko chwalił się własnym sprytem, mogła okazać się bardzo pomocna w misji.

- To jak, będziemy tak jeździć przez całą noc? - zapytał James.

Kółko uśmiechnął się.

- Mam nagrany jedną robótkę. Szykuję się już od paru tygodni, ale potrzebowałem jeszcze jednego człowieka. Zajrzyj do schowka.

James otworzył schowek przed sobą i wytrzeszczył oczy na widok dużego pistoletu Glock.

- Niezła klamka.

- Dzięki - uśmiechnął się Kółko. - Ale miałem na myśli tę plastikową kartę.

James wyjął kartę ze schowka i podniósł do oczu. Była srebrna, z fotografią obrotowych drzwi na froncie i napisem: „Apartamenty ambasadorskie”.

- Klucz hotelowy - stwierdził James, odwracając kartę w dłoni. - I co z nim?

- To nowiutki hotel w City - wyjaśnił Kółko. - Najtańsze pokoje są po cztery stówki za noc, a apartamenty zbliżają się do dwóch tysięcy. Karta, którą trzymasz, to kopia klucza dyrektorskiego. Otwiera każdy pokój.

- To super - powiedział James, zerkając na zegarek. - Ale czy o tej porze goście nie będą w swoich pokojach?

- Otóż to - wyszczerzył się Kółko. - Właśnie o to chodzi.

## 26. HOTEL

Ruch nie był zbyt duży, ale i tak minęła godzina, zanim dotarli z Bedfordshire do hotelu Ambassador wybudowanego pomiędzy biurkami City of London.

- Masz być pewny siebie - powiedział Kółko, kiedy naciągawszy na oczy baseballówki, ruszyli w stronę obrotowych drzwi. - W takich miejscach zawsze jest pełno kamer. Idź szybko i patrz pod nogi.

Owionęła ich fala ciepłego powietrza i znaleźli się w westybulu. W środku jakaś starsza para czekała na coś nad stosem designerskich walizek. On miał na przegubie roleksa, na jej pomarszczonych palcach lśniły brylanty wielkości grochu.

- W tej dziurze aż śmierdzi forszą - szepnęła radośnie Kółko, kiedy stanęli pod drzwiami windy.

Recepcja mieściła się na parterze, ale większą część wieżowca zajmowały biura, a pokoje hotelowe zaczynały się dopiero od trzydziestego trzeciego piętra. Kółko wcisnął przycisk z napisem: „Apartamenty 38”, ale nie zapaliła się żadna lampka, a drzwi pozostały otwarte.

James przełknął ślinę na widok czarnego garnituru pracownika hotelu, który podszedł do nich, by sprawdzić, co się stało.

- Czy mogę w czymś panom pomóc? - zapytał mężczyzna przesadnie uprzejmym tonem.

- Chcieliśmy na trzydzieste ósme - powiedział Kółko.

Garnitur skinał głową.

- Oczywiście. Czy mogę zobaczyć pański klucz?

Kółko podał mu plastikową kartę, którą garnitur wetknął w szczelinę nad guzikami windy.

- Bardzo proszę, sir.

- Aaa... - zaśpiewał Kółko z miną niewiniątka. - Nie wiedziałem. Pewnie boy to zrobił, kiedy wjeżdżaliśmy z bagażami, a ja nie zauważyłem.

- To żaden problem, sir - skłonił się grzecznie garnitur.

- Życzę panom przyjemnej nocy.

Szybkobieżna winda wyhamowała na trzydziestym ósmym piętrze, przyprawiając Jamesa o lekkie mdłości. Zarys glocka widoczny pod materiałem dżinsów Kółka napawał go lękiem. Jego pistolet został w Zoo.

Wyszli z windy i ruszyli energicznym krokiem przez puszystą wykładzinę na korytarzu. Po drodze Kółko wręczył Jamesowi jednorazowe rękawiczki. Odstępy pomiędzy drzwiami przekraczały dziesięć kroków, co oznaczało, że apartamenty za nimi są bardzo duże. Ale Kółko miał jeszcze śmielsze ambicje i zatrzymał się dopiero przed podwójnymi wrotami na samym końcu korytarza. Mosiężna tabliczka na jednym ze skrzydeł głosiła: „Pokój 38020, apartament Winstona Churchilla”.

- Bogate szuujee, oto nadchodzę - zaśpiewał cicho Kółko, wtlaczając plastikową kartę w szczelinę zamka.

Poczekał dwie sekundy na kliknięcie rygla, a potem wyrwał zza paska pistolet i z hukiem wtarabanił się do olbrzymiego apartamentu. Zastał tam nienagannie zasłane łóżko i wysprzą-tany pokój bez śladu bagaży i rzeczy osobistych.

- Pusto - stwierdził James.

Kółko zaklął pod nosem, wepchnął pistolet z powrotem w spodnie i prawie stratował Jamesa, kiedy okręcił się na pięcie, by zawrócić ku drzwiom.

- Uważaj, jak chodzisz, gnojku.

James puścił obelgę mimo uszu. Bez słowa ruszył za młodzieńcem, który wypadłszy na korytarz, wcisnął elektroniczny klucz w zamek sąsiedniego apartamentu. Tym razem, kiedy pchnął drzwi, opromieniła go zielona poświata bijąca z ekranu telewizora. James wszedł do pokoju, by ujrzeć kobietę stojącą w łazience w samych majtkach oraz rozpartego na łóżku włochatego mamuta w bokserkach w grochy.

- Dokąd się wybierasz, słonko? - zawołał mężczyzna z amerykańskim akcentem, najwyraźniej sądząc, że drzwi otworzyła jego żona. Dopiero kiedy krzyknęła, zorientował się, że coś jest nie tak.

- Na łóżko, już! - rozkazał Kółko, celując kobiecie w twarz.

- Tylko spokojnie, chłopcy. Nie chcemy kłopotów - powiedział mężczyzna, unosząc obie ręce.

Kółko rzucił kobietę na łóżko.

- My też nie - powiedział, odsuwając wielkie lustrzane drzwi.

Na dnie szafy znajdował się niewielki sejf z elektronicznym zamkiem.

- Szyfr, szybko.

Podczas gdy Kółko otwierał sejf, by wydobyć zeń laptop i brylantowy naszyjnik, James podszedł do nocnego stolika, gdzie znalazł telefon komórkowy, portfel i kluczyki do lexusa. James otworzył portfel i gwizdnął cicho na widok okazałej kolekcji kart bankowych.

- Nadziany jest - orzekł, kiwając głową.

Tymczasem Kółko wepchnął laptop i biżuterię do plecaka i wycelował pistolet w kobietę.

- Nie widzę torebki! - krzyknął. - Gdzie ona jest?

Kobieta usiadła na łóżku, osłaniając piersi luksusową atlasową poduszką.

- Sam ją sobie znajdź - wypaliła z furją.

Język jej ciała sugerował, że nie była zachwycona potulnością męża.

- Tu jest napisane Patek Philippe - zauważył James, oglądając zegarek mężczyzny. - Nigdy nie słyszałem o czymś takim.

Kółko roześmiał się.

- To dlatego, że cię na coś takiego nie stać. Są droższe i bardziej ekskluzywne od roleksów. Kłopot w tym, że właśnie dlatego niełatwo je upłynnić.

James wyciągnął rękę, by wrzucić zegarek do plecaka. Kółko rozglądał się za torebką, ale w końcu stracił cierpliwość i grzmotną kobietę lufą w twarz. Krzyknęła i szlochając, skuliła się na łóżku, a jej mąż wskazał na żółtą torebkę wciśniętą w szczelinę pomiędzy materacem a nocnym stolikiem.

- Nie! - zatkała kobieta. - Tam jest brosza mojej babci. Proszę, nie zabierajcie jej.

- Babcina broszka, tak? - zadrwił Kółko. - Szczerze mówiąc, mam to gdzieś.

Pociągając nosem, kobieta patrzyła, jak rabuś wyjmuje z torebki portmonetkę i przegląda zbiór plastikowych kart.

- No, no, imponujące - parsknął Kółko. - Wiesz, że do tej karty przysługuje całodobowa usługa concierge? Na pewno szybko zorganizują wam dostawę nowych fantów na miejsce tych, które ukradliśmy.

- Macie już to, po co przyszliście, a teraz wynoście się stąd - powiedział twardo mężczyzna.

Kółko zaśmiał się paskudnie, wrywając kabel hotelowego telefonu z gniazdzka na ścianie.

- Obawiam się, że dopiero zaczynamy. Numery twojej furcy?

- Po co ci one?

Kółko popatrzył na kobietę.



- Mam jej przywalić?
- Siedem, jeden, de, e, ef, dwa pięć, dziewięć.
- Doskonale - powiedział Kółko. - Zaparkowana w podziemnym?

Mężczyzna skinął głową.

- Parkingowy czy samodzielnie?
- Samodzielnie, poziom minus trzeci, tuż przy windzie.

Kółko wyrwał drugi koniec kabla z bazy bezprzewodowego telefonu i rzucił przewód Jamesowi, wskazując gestem kobietę.

- Zwiąż ją.
- Co wy wyprawiacie? - zaniepokoił się mężczyzna.
- To bardzo proste - wyszczerzył się Kółko. - Za chwilę podacie mi PIN-y do wszystkich waszych cudownych kart. Kiedy was zwiążemy, zjadę na dół po twój samochód, a następnie pojeżdżę sobie po Londynie, zatrzymując się przy bankomatach i wypłacając z każdej z kart po dwieście pięćdziesiąt albo pięćset funtów. To nie powinno potrwać dłużej niż godzinę, a w tym czasie mój młodszy kolega będzie tu czekał, trzymając was na muszce. Jeżeli zbierze się wam na jakieś wygłupy, spróbujecie uciec albo okaże się, że podaliście mi fałszywy PIN, dostaniecie po kulce na głowę.

James czuł się podle, krępując nadgarstki rozpaczliwie szlochającej kobiecie. Tymczasem mężczyzna pod lufą Kółka spisywał na hotelowej papeterii listę numerów PIN do kart swoich i żony.

- Odwróć się na brzuch.

James owinął przewód wokół kostek kobiety, po czym przywiązał jej stopy do przegubów dłoni, a w usta wepchnął jedną z chustek jej męża. Kiedy podszedł do mężczyzny, by na nim powtórzyć operację, ten posłał mu nienawistne spojrzenie, ale spokorniał, kiedy Kółko wcisnął mu lufę glocka w czubek nosa.

- Jeden krzyk, jedno kłamstwo, jeden fałszywy ruch i oboje jesteście trupami - zawarczał gangster, czekając, aż James skończy krępowanie jeńców. Następnie wręczył mu pistolet. - Z tobą wszystko okej ?

Glock był ciężki, a James czuł się fatalnie, terroryzując łkającą kobietę, ale przytaknął kiwnięciem głowy.

- Nic się nie bój, za jakąś godzinę zadzwonię i spotkamy się przy wozie.

Kiedy Kółko wyszedł z pokoju, James opadł na fotel i obserwując jednym okiem skrępowaną parę, próbował oszacować, ile mniej więcej ukradli: laptop był wart kilka setek, do tego zegarki, biżuteria kobiety, spinki do mankietów plus pieniądze, które Kółko wyjmie z bankomatów, i tyle, ile może być wart kradziony lexus dla samochodowego pasera - za wszystko razem musiała się zebrać większa część dziesięciu tysięcy, a Kółko obiecał mu działkę.

Jednak rabunek z pewnością nie wyglądał tak wspaniale z perspektywy związanej kobiety leżącej na łóżku z twarzą zalaną łzami. James złapał pilot i zaczął przerzucać kanały od wiadomości po VH1, ale nawet kiedy podkręcił głośność, nie mógł przestać myśleć o dwóch sponiewieranych istotach ludzkich cierpiących zaledwie dwa metry od niego.

Włączenie się w działalność gangu Saszy było warunkiem powodzenia misji i nie można było tego zrobić, nie angażując się czasem w paskudne sytuacje. James westchnął, po czym poszperał w plecaku i rzucił na dywan starą broszkę.

\*

James pojechał vauxhallem na peryferie Londynu i spotkał się z Kółkiem, który porzucił lexusa w bocznej uliczce. Jak się dowiedział, kolega z branży motoryzacyjnej był już w drodze po auto, które w ciągu kilku dni miało zostać przemalowane i wysłane do Europy Wschodniej.

Kółko wyciągnął z bankomatów ponad dwa tysiące funtów, z czego połowę oddał Jamesowi z przyrzeczeniem, że wypłaci mu więcej, kiedy tylko zainkasuje zapłatę za samochód i upłynni fanty.

- Dobrze się spisałeś - pochwalił Jamesa młody gangster.

- To jak, będziesz mnie brał na akcje?

Kółko skinął głową.

- Ale nie tak zaraz. Masz dopiero piętnaście lat i ten tysiąc pewnie wypali ci dziurę w kieszeni. W Zoo roi się od kapusiów, więc nie spiesz się z wydawaniem kasy i trzymaj gębę na kłódkę.

- Nie jestem kompletnym idiotą - prychnął James.

- Saszki trochę brakuje ludzi, więc szepnę mu słówko i zobaczymy, może znajdzie ci jakąś stałą fuchę.

- Dzięki i dobranoc - powiedział James, otwierając drzwi samochodu, ale kiedy spojrzął w górę, zobaczył słoneczną lunę rozświetlającą niebo za szeregiem domów. - A może raczej dzień dobry?

James pozostawił cały skradziony towar w samochodzie, ale odchodząc, poklepał się po kieszeni dzinsów dla pewności, że plik banknotów wciąż tam jest. Było już wpół do szóstej rano, ale opiekun dyżurujący przy wejściu Zoo nawet nie mru-gnął, kiedy James wmaszerował do środka. W świetlicy dla niepalących całowała się parka gołąbeczków wyglądających najwyżej na trzynaście lat; w drugiej grupa dzieciaków paliła i oglądała film na DVD.

Jednak większość mieszkańców spała i James wśliznął się do pokoju na palcach, żeby nie obudzić Bruce'a. Niestety, powyginane płytki PCW zaczęły trzeszczeć mu pod stopami i plan się nie powiódł.

- Gdzie byłeś? - wymamrotał Bruce, kiedy James zdjął koszulkę przez głowę.

- Rabunek w hotelu - powiedział James, wyjmując z kieszeni pieniądze i wachlując się nimi.

Bruce uśmiechnął się szyderczo.

- Chyba wiem, dlaczego Kółko tak chętnie wziął cię ze sobą, chociaż prawie cię nie zna.

- Naprawdę? - zainteresował się James.

- Gadałem z Juniorem i chodzą plotki, że Kółko raczej nie należy do gości, których kręcą dziewczyny.

- Jest gejem?

Bruce pokiwał głową.

- To by wyjaśniało, dlaczego zapałał taką sympatią do twojej ślicznej blond główki zaledwie pięć minut po tym, jak cię poznał.

Perspektywa bycia podrywanym przez Kółko zaniepokoiła Jamesa.

- Cóż... - powiedział z namysłem. - Jeśli to prawda, to przynajmniej zadziałało to na naszą korzyść, ale lepiej, żeby nie próbował żadnych numerów. A skoro mowa o ludziach z sekretami, to coś ty wyprawiał na tym boisku?

- Zawsze byłem dobry w piłkę, ale jakoś mnie to specjalnie nie kręci.

James spojrzął na niego z niedowierzaniem. Większość chłopców oddałaby wszystko, żeby tak dobrze grać.

- Nigdy nie trenowałeś ani nic - powiedział po chwili. - Gdybyś poćwiczył, byłbyś gwiazdorem.

- Mam wiele różnych talentów - oznajmił nieskromnie Bruce. - Aha, żebyś nie zapomniał; uważaj, jak będziesz wchodził do łóżka; gdzieś tam może walać się parę zębów.

James uniósł brew.

- Zębów?

- Mark i Kurt znów do nas wpadli - ziewnął Bruce. - Pewnie wyczaili, że cię nie ma, i uznali, że mają większe szanse, jeżeli będzie dwóch na jednego. Wyprowadziłem ich z błędu.

## 27. WYMUSZENIE

Był czwartek, od dnia, w którym Gabriella omal nie zginęła, minęły dwa tygodnie. Michael Hendry siedział w Zielonej Papryce nad talerzem wyładowanym kurczakiem na ostro i makaronem. W dniach tuż po zamordowaniu Owena Campbella-Moore'a knajpka opustoszała, ale klientela z wolna napłynęła znowu, kiedy tylko policjanci zdjęli swoje taśmy i przestali nękać każdego, kto pojawił się w promieniu stu metrów od baru.

Stali bywalcy grali w bilard, handlowali narkotykami i zasiłali konto bankowe właściciela, karmiąc monetami automaty do gry, podczas gdy z głośników podłączonych do internetowego radia sączyła się muzyka i wiadomości prosto z Kingston na Jamajce.

Michael mógł mieć skórę tego samego koloru co reszta klientów, ale w rzeczywistości był zwykłym angielskim chłopcem z klasy średniej i nigdy nie zdołałby przeniknąć w szeregi Rzeźników, gdyby nie autentyczne jamajskie korzenie Gabrielli.

Michael zerknął na zegarek - Bulgari ze złotym paskiem, który odkupił od jednego z Rzeźników za mniej niż dziesiątą część jego rzeczywistej wartości. Major Dee spóźniał się już czterdzieści minut, ale to było normalne. Zmuszanie ludzi do czekania na siebie było jego sposobem na okazywanie, że jego czas jest ważniejszy, zaś ci, którzy go znali, okazywali swój szacunek, nie uskarżając się na to.

Dee zajechał przed Zieloną Paprykę, kiedy Michael obgryzał już ostatnie udko kurczaka. Na tylnym siedzeniu forda mondeo tkwił groźnie wyglądający goryl Majora, niejaki Colin Wragg. Dee miał kilka wypasionych fur i nierzucające się w oczy auto sugerowało, że szykuje się poważniejsza akcja.

Michael usiadł na fotelu pasażera z pistoletem przypiętym do paska i wartą dziesięć tysięcy funtów nanorurkową tkaniną wszytą pod podszewkę jego szarej bluzy.

- Co się kroi? - zapytał, trzasnąwszy drzwiami i biorąc się do zapinania pasa bezpieczeństwa.

- Wytropiliśmy Szczura - wyszczerzył się Major Dee. - Pomyślałem, że zechcesz wybrać się z nami po tym, co zrobili twojej dziewczynie.

Przez minione dwa tygodnie Rzeźnicy z zapalem oddawali się polowaniom na Szczury, ale ich rywale wiedzieli, że załoga Majora Dee węszy za nimi, i nie wyściubiali nosa poza własny teren po drugiej stronie miasta.

- Który to? - zapytał Michael.

- Aaron Reid - odparł Colin, strzelając stawami palców.

- Supcio - uśmiechnął się Michael, choć zrobiło mu się słabo na wspomnienie dźwięku, jaki wydała głowa Aarona, kiedy chłopak uderzył nią w betonowy słupek.

- Moja dziewczyna poszła na miasto kupić jakieś rzeczy do ogrodu - wyjaśnił Colin. - Rozpoznała go od razu. Podobno ciągle ma zabandażowany łeb.

Michael dołączył do rehotu Colina i Dee, choć w rzeczywistości wcale nie było mu do śmiechu. Wiedział, że jeśli Major Dee dopadnie Aarona Reida, nie będzie to przyjazna pogawędka.

- Wiedzieliśmy, że będziesz chciał pojechać - wyszczerzył się Dee.

- No raczej - powiedział Michael z udanym entuzjazmem. - Chcę, żeby te palanty cierpiały.

- Jak sobie radzi Gabriella? - zapytał Colin.  
- Nie najgorzej - odpowiedział Michael. - Chciałem się z nią zobaczyć, ale jej ciotka nie pozwala mi się nawet do niej zbliżyć.  
- To dobra dziewczyna - zamruczał Major Dee. - Ma prawdziwy ogień w trzewiach.

Dee skrzył na dwupasmówkę, a Michael pomyślał o Gabrielli. Tęsknił za nią w każdej sekundzie ich rozłąki.

\*

James przeleżał w łóżku większą część wtorku, a potem spędził spokojną środę, wałęsając się po Zoo, by wieczorem wybrać się do multiplexu z Bruce'em i Juniorem. Kółko zadzwonił w czwartek rano i zaoferował sześćdziesiąt funtów za pomoc przy drobnym problemie z ofiarą lichwiarsko-wymuszeniowego biznesu prowadzonego przez gang Wściekłych Psów.

Vauxhall Kółka zatrzymał się w zatoczce parkingowej obok niedużego marketu. James siedział na przednim miejscu pasażera.

- Kontrolerzy parkingowi tutaj to normalnie szajbusy - powiedział Kółko, wskazując na garść dwudziestopięciopięćdziesięciu walających się na półce pod przednią szybą. - Idź, wrzuć coś do parkomatu; za dziesięć minut powinniśmy być z powrotem.

Najbliższy parkomat był rozbity i James musiał podbiec kilkadziesiąt metrów do następnego. Tymczasem Kółko naciągnął na głowę kaptur i wmaszerował do sklepu. Podszedłszy do stojącej przy kasie nastolatki w muzułmańskiej chuście, kazał jej sprowadzić ojca.

- No dobra, panie Patel! - zawołał wojowniczo.

Zadzwijał dzwonek nad drzwiami - to James wszedł do sklepu, kryjąc twarz pod kapturem.

- Nie nazywam się Patel - powiedział gniewnie mężczyzna, który wyszedł z zaplecza. - Czy wyglądam jak Hindus?

- Brązowy jesteś, nie? - Kółko wzruszył ramionami. -  
Wisisz nam kasę za trzy tygodnie. A teraz otwieraj kasę, bo  
słowo daję, wpadniesz w przegówno.

Właściciel sklepu potrząsnął wściekle swoją łysą głową.

- Ludzie, pożyczyłem od was pięćset funtów. Oddałem już  
dziesięć razy tyle.

- Wisisz nam za trzy tygodnie po sto dwadzieścia pięć za  
tydzień, co daje trzysta siedemdziesiąt pięć funtów.

Mężczyzna rąbnął pięścią w ladę.

- Dość wam zapłaciłem - oznajmił twardo. - Nie dostaniecie  
ani pensa więcej.

Kółko obejrzał się i mrugnął na Jamesa, który na ten sygnał  
przeciągnął ręką po półce. Szeregi puszek z pokarmem dla  
niemowląt i hot dogami posypały się z grzechotem na posadz-  
kę.

- Och, co za niefart - zaszczębiotał Kółko, szczerząc się  
radośnie. - Wypadki chodzą po ludziach, wie pan?

Właściciel sklepu zacisnął szczęki i wyciągnął palec w  
stronę drzwi.

- Wyoście się natychmiast z mojego sklepu albo wezwę  
policję.

James złapał karuzelowy stojak z kartkami urodzinowymi i  
cisnął nim w zamrażarkę z warzywami. W tej samej chwili do  
sklepu weszła starsza kobieta.

- Zamknięte - zawarczał Kółko.

James wypchnął staruszkę za drzwi i przekręcił pokrętko  
zamka, by już nikt nie mógł im przeszkodzić.

- Naprawdę zadzwonię na policję - zagroził właściciel,  
wyjmując spod lady telefon.

W ręce Kółka pojawiła się teleskopowa pałka, która spadła  
na dłoń mężczyzny, wytrącając z niej słuchawkę.

- Mogą się zdarzyć okropne rzeczy, panie Patel - ostrzegł  
Kółko. - Pański sklep mógłby się spalić do fundamentów. Mo-  
gą wpaść tutaj dwaj pakerzy, którzy wyciągną pana na ulicę i



pobiją do nieprzytomności. A może weźmiemy na celownik jedną z pańskich ślicznych córeczek...

Sklepiarz spojrział wilkiem na uśmiechniętego Kółka, przyciskając do piersi obolałą dłoń.

- Ile masz w kasie? - zapytał Kółko.

- Mogę dać wam dwieście - mruknął z ociąganiem mężczyzna, wduszając przycisk otwierający szufladę kasy.

James zauważył nagłą zmianę w oświetleniu spowodowaną gwałtownym otwarciem drzwi magazynu. Do sklepu, wymachując kijem do krykieta, wpadła córka sklepiarza.

- Nic im nie dawaj, tato! - krzyknęła nastolatka i wzięła zamach, celując w bok głowy Kółka.

Chybiła celu, ale kij ze straszną siłą trzasnął w uniesiony łokieć, którym bandyta próbował się osłonić. Kółko wrzasnął z bólu. Składana pałka zagrzechotała o podłogę.

James był pod wrażeniem odwagi dziewczyny, ale jeżeli miał zdobyć zaufanie Saszy Thompsona, musiał trzymać z Kółkiem. Chwycił nastolatkę pod pachy, wyrwał kij z dłoni i pchnął na zasypaną gazetami ladę.

- Rozwał dziwce czaszkę! - ryknął Kółko.

James jednak nie miał najmniejszego zamiaru wypełniać tego polecenia. Odrzucił kij i wykręcił dziewczynie rękę za plecami, po czym rzucił jej ojcu złowrogie spojrzenie.

- Ładuj do torby wszystkie papierki z szuflady albo złamię jej rękę.

Mężczyzna zgrzytnął zębami, zamasztył ruchem odebrał torebkę z haczyka i zaczął wypychać ją banknotami. James był zbyt spięty, żeby liczyć, ale kwota wyglądała na bliską trzystu siedemdziesięciu funtów, po jakie tu przyszli.

Kiedy szuflada była już pusta, James wyrwał torebkę z rąk sklepiarza, pchnął dziewczynę z powrotem na ladę i spojrzął na starszego kolegę.

- Wszystko okej ?

- Czy ja wyglądam okej, ty debilu?! - krzyknął wypro-  
wadzony z równowagi Kółko. - Ledwo ruszam ręką! Jak ja  
mam teraz prowadzić?

- Daj kluczyki, ja pojedę - powiedział James, odblokowując  
zamek i wychodząc na ulicę.

Niestety, starsza pani, którą Kółko wypłoszył ze sklepu, po-  
biegła do pralni tuż obok i opowiedziała każdemu, kto chciał  
słuchać, że w samoobsługowym jest napad. Przy wejściu do  
pralni zebrał się niespokojny tłumek. Ktoś wołał, że wezwał  
policję, a dwie osoby sprawiały wrażenie, jakby przymierzały  
się do zaatakowania rabusiów. Jednak kluczyki wciąż tkwiły w  
kieszeni Kółka.

- Na miłość boską! - zdenerwował się James, patrząc ze  
zgrozą, jak Kółko zranioną ręką próbuje wydobyć kluczyki z  
kieszeni spodni.

Zniecierpliwiony chłopak odepchnął dłoń Kółka na bok,  
wyciągnął kluczyki własnoręcznie, po czym wcisnął guzik  
odblokowujący drzwi i wyszedł na ulicę, by zająć miejsce za  
kierownicą.

Z powodu obolałej ręki Kółko wszystko robił irytująco  
niemrawo. Zanim wtoczył się na miejsce pasażera, James miał  
już uruchomiony silnik i czekał na jedyńce z wciśniętym  
sprzęgłem. Kiedy tylko trzasnęły drzwi, rzucił okiem za siebie,  
wyjechał na jezdnię i zaczął się dynamicznie rozpędzać,  
wprawnie włączając kolejne biegi.

- Dobrze prowadzisz - powiedział z podziwem Kółko, ściąg-  
ając kaptur, kiedy z piskiem opon przelecieli przez kolejny  
zakręt.

- No wiesz... Staram się - wyszczerzył się James.

Ale skończywszy chwalić umiejętności podopiecznego,  
Kółko znowu spochmurniał.

- Co za gówno - jęknął. - Mam rozwalony łokieć, będę mu-  
siał pozbyć się wozu, a Sasza dostanie piany, jak się dowie, że

pół ulicy widziało, jak odjeżdżamy. Dlaczego nie zamknąłeś drzwi?!

James wiedział, że powinien zamknąć drzwi, kiedy wszedł do sklepu, ale nie spodobało mu się, że Kółko próbuje zrzucić całą winę na niego.

- To był mój pierwszy raz - burknął nadąsany. - Jak chciałeś, żebym coś zrobił, trzeba było powiedzieć.

- Chryste! - wrzasnął Kółko, kopiąc z furią dywanik pod nogami. - Ten sklepikarz zapłaci mi za to.

\*

Na każdego bogatego i inteligentnego przestępcę takiego jak Sasza Thompson przypada cała armia ubogich i głupich, takich jak Aaron Reid. Sasza nie tylko podpuścił jego młodzieżowy gang do obrabowania składziku kokainy Majora Dee, ale też wystawił kilku swoich współników, by odkupili towar od Szczurów za śmiesznie niską cenę.

Aaron miał dwadzieścia dwa lata i za swój udział w morderstwie Owena Campbella-Moore'a mógł dostać dożywocie, gdyby ktoś go sypnął, ale ostatecznie dostał tylko trzy noce w szpitalu, dwadzieścia godzin w policyjnej celi i czterysta funtów działki ze sprzedaży kokainy. Więcej zarobiłby, gdyby ostatnie dwa tygodnie spędził na układaniu towaru na półkach supermarketu.

Wzięty na celownik przez Rzeźników Aaron nie mógł wrócić do sprzedawania ekstazy i marihuany w pubach i musiał poszukać legalnej pracy. Dostałby ją w fast foodzie albo kinie w mieście, ale wybrał market ogrodniczy, licząc na to, że niewielu jamajskich gangsterów kupuje ziemię do kwiatków i zielistkę.

Nie mógł wiedzieć, że Colin Wragg ma hodującą kwiaty dziewczynę, która chodziła do tej samej szkoły średniej co Aaron, tylko o rok niżej.

- Aaron do recepcji proszę. Aaron do recepcji.

Aaron nawet się nie zdziwił, kiedy usłyszał swoje imię wyszczekiwane przez głośnik. Kierowniczka działu zawsze się go czepiała, oskarżając to o zbyt obfite podlewanie roślin, to o rozsypanie ziemi na parking. Powlókł się noga za nogą przez odkrytą część sklepu, ale przyspieszył, kiedy tylko znalazł się w budynku, gdzie szefowa mogła go zobaczyć.

Podchodząc do lady punktu obsługi klienta, Aaron ujrzał wielkiego czarnoskórego mężczyznę z policyjną odznaką w dłoni. Kierowniczka wyglądała na rozzłoszczoną i Aaron zakpiął z gniewu: to była wredna zagrywka, że przyszli po niego do pracy: dokładnie taki śliski numer, jaki gliniarze lubili wycinać, kiedy chcieli kogoś złamać.

- George Peck, policja kryminalna Bedfordshire - skłamał Colin Wragg, ponownie błyskając blachą.

Gdyby rzecz działa się na ulicy, Aaron powiedziałby glinie, żeby go aresztował albo się odwalił, ale ponieważ w podaniu o pracę nakłamał w kwestii swojej kryminalnej przeszłości, nie chciał, żeby szefowa widziała, jak stawia się policji.

- Mam naprawdę dużo pracy - wycedził zimno. - Czy to długo potrwa?

- Tylko dziesięć minut. - Colin się uśmiechnął. - Góra kwadrans.

- Tylko żebyś mi odbił kartę - powiedziała twardo kierowniczka.

Colin poprowadził Aarona wzdłuż kas, a potem przez automatyczne drzwi na parking.

- Mam wóz tu niedaleko.

Mówiąc to, Colin nie włożył już tyle wysiłku w ukrycie swojego jamajskiego akcentu, ile wkładał w sklepie, i Aaronowi serce podpełzło do gardła. Rozejrzał się nerwowo, myśląc o ucieczce, ale Colin zauważył nagłą zmianę w jego zachowaniu i wyzarpnął pistolet z kieszeni kurtki.

- Jeden ruch, a zrobię ci dziurę w plecach.

Widok broni wystraszył Aarona, ale bardziej przerażała go świadomość, że oto wpadł w ręce gangsterów, którzy używali maczet i prądu elektrycznego do wydobywania prawdy ze swoich ofiar.

- Czego ode mnie chcecie? - zapytał drżącym głosem.

- Po prostu siedź cicho. Zabieram cię na małą przejażdżkę.

## 28. WOJNA

James zaparkował na opustoszałej drodze prowadzącej na tereny fabryczne. Kółko miał słabość do swojego vauxhalla i zdążył już umówić się ze znajomym blacharzem, który miał przemaalować wóz, oraz załatwić parę nowych fałszywych tablic.

Na powrót do Zoo James potrzebował dwudziestu minut i przez całą drogę się martwił. Sasza miał gwałtowne usposobienie; to, że ktoś wezwał policję podczas ściągania długu, nie mogło mu się spodobać, a Kółko sprawiał wrażenie człowieka, który spróbuje zrzucić z siebie jak najwięcej winy.

\*

Aaron Reid walczył z mdłościami. Na koszulce polo z napisem „Centrum Ogrodnicze” powoli rosły plamy potu, podczas gdy Major Dee, Colin Wragg i Michael obojętnie obserwowali sunący za oknami świat. Ich apatia tylko podnosiła napięcie. Aaron mógł znieść myśl o śmierci - pod warunkiem wyparcia ze świadomości faktu, że już nigdy nie zobaczy swojej dziewczyny i ośmiomiesięcznej córeczki - ale Major Dee słynął z upodobania do zadawania cierpień swoim wrogom i myśli dwudziestolatka uparcie biegły ku jednemu pytaniu: „Jak bardzo będzie bolało?”.

Pokonawszy kilka kilometrów wzdłuż głównych dróg i wokół rond, wtoczyli się na podjazd przed domkiem jednorodzinny.

Kierowany wciśniętą w plecy lufą pistoletu Aaron przeszedł przez przedpokój do pokoju dziennego. Był to typowy salonik z kanapami, stolikami chowanymi jeden pod drugi i telewizorem, ale wszystko było przykryte płachtami grubej folii.

- Kłapnij sobie - powiedział Major Dee, a Colin pchnął Aarona w stronę kanapy.

Michaelowi nie groziła śmierć, ale miał duszę na ramieniu, kiedy siadał na okrytym folią fotelu. Postanowił, że nie będzie beczynnie patrzył na śmierć Aarona, choć wiedział, że nawet z bronią, którą skrywał pod ubraniem, pokonanie Majora i Colina nie będzie łatwe. Prawdopodobnie musiałyby zabić ich obu, a nie był pewny, czy będzie w stanie pociągnąć za spust.

- Jak widzisz, Aaron, urządziliśmy wszystko tak, żeby zmusić cię do śpiewania bez brudzenia dywanów. - Dee uśmiechnął się, po czym odwinął jedną z płacht i wyjął z barku wiertarkę. Nacisnął spust, a wiertło zawirowało z przenikliwym wyciem. - Odkryłem, że akumulatorowa daje mi większą swobodę przy pracy - wyjaśnił Dee. - Najlepszy model. Osiemnaście woltów, płynna regulacja prędkości, sześćdziesiąt dziewięć dziewięćdziesiąt dziewięć w katalogu Argosa.

Aaron skulił się, kiedy Dee opadł na kanapę tuż obok niego.

- Wiem, co sobie myślisz, Aaron - ciągnął Jamajczyk. - Zastanawiasz się, czy jest jakikolwiek sposób na to, żebyś wyszedł stąd żywy.

Strach odebrał Aaronowi mowę. Na przedramieniu zagrały mu napięte ścięgna, kiedy jego palce zacisnęły się na podłokietniku kanapy.

- Otóż możesz wyjść stąd żywy - zapewnił Dee uspokajającym tonem. - Więcej: możesz stąd wyjść bez choćby jednego draśnięcia. Wystarczy, że powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć.

I równie dobrze możesz to zrobić teraz, bo zapewniam cię, że tak czy owak będziesz śpiewał.

Dee zawył wiertarką dla podkreślenia wagi swoich słów.

- Co chce pan wiedzieć? - zapytał Aaron, z trudem zdo-  
bywając się na nieśmiały uśmiech.

Dee położył dłoń na ramieniu młodzieńca.

- Do tej pory nigdy nie miałem zatargów ze Szczurami  
- powiedział z westchnieniem. - Jesteście bandą ulicznych  
dilerów, zwykłych chuliganów, kanciarzy i drobnych zło-  
dziejaszków. Aż tu nagle taka organizacja! Nagle macie infor-  
macje; wiecie, gdzie są moi dilerzy, i macie dość sprytu, by  
znaleźć mój towar. Gadaj, który z moich zdraździł?

Michael był zaskoczony, usłyszawszy, że zdaniem Majora  
Szczury dowiedziały się o kokainie od jednego z jego wła-  
snych ludzi, ale to naprawdę było najbardziej logiczne wyja-  
śnienie.

- Proszę posłuchać - wybąkał Aaron, tak przerażony, że  
kiedy poruszał ustami, cała głowa podrygiwała mu spazma-  
tycznie. - To nie tak, że się panu stawiam czy coś, ale ja na-  
prawdę nie jestem grubą rybą. Mogę powiedzieć tylko tyle, ile  
wiem.

Dee wzruszył ramionami.

- No to gadaj wszystko, co wiesz, i módl się, żeby mi to  
wystarczyło.

- O kokainie powiedział nam jeden facet. Jest czarny, ale  
chyba nie pracuje dla was.

- Nazwisko?

- Kelvin Holmes.

Major Dee spojrzał na Colina.

- Pierwsze słyszę. Coś ci się kojarzy?

Colin pokiwał głową.

- Tak, z czasów, kiedy jeszcze boksowałem. Kelvin był tre-  
nerem w starym klubie bokserskim na Thornton. Kiedyś  
próbował sił w boksie zawodowym, ale wpadł na dilerce.



Dee uniósł brew.

- Mówisz o starym klubie Keitha Moore'a?

Colin skinął głową.

- To by znaczyło, że Kelvin prawdopodobnie trzyma z Wściekłymi Psami.

Major Dee odwrócił się do Aarona.

- Słyszałeś może, żeby ten Kelvin wspominał cokolwiek o Saszy Thompsonie albo Wściekłych Psach?

Aaron przytaknął.

-To znaczy... nie tak bezpośrednio, ale skontaktował nas z jednym człowiekiem, który powiedział, że da nam dobrą cenę za całą kokę, którą zwiniemy.

- A jak się nazywał ów człowiek? - zapytał Dee.

- Tego nie wiem, przysięgam. Ale wszyscy mówili, że pracuje dla Wściekłych Psów. Aha, przypomniałem sobie, że słyszałem, jak jeden czy dwóch naszych mówiło, że Kelvin też jest jednym z chłopców Saszy Thompsona.

Wybałuszone oczy Majora wyglądały jak piłeczki ping-pongowe wetknięte w jego ciemną twarz.

- Wiedziałem, że Szczury są na to za małe - wyszczał gangster, a potem rzucił wiertarkę na podłogę i uderzył pięścią w dłoń. - Sasza nie ma wystarczająco wielu ludzi, żeby mnie załatwić, więc napuszcza mnie na wojnę ze Szczurami...

- Tak to wygląda - przytaknął Colin.

Michael odetchnął z ulgą, widząc, że Aaron nie będzie torturowany, ale pod każdym innym względem stała się najgorsza rzecz, jaka się mogła wydarzyć. To, że Dee dowiedział się, kto tak naprawdę go okradł, mogło prowadzić tylko do krwawej wojny.

Dee uśmiechnął się do Aarona, wyjmując z kieszeni plik banknotów i zaczynając odliczać dwudziestki.

- Widzisz, ile kłopotów masz przez te Wściekłe Psy? A mnie przyda się wtyczka. Masz tu sto funtów. Dostaniesz więcej

za każdym razem, kiedy przyniesiesz mi jakieś nowiny o Szczurach i Wściekłych Psach.

Aaron nie mógł odrzucić oferty. Spodziewał się dziury w głowie i jego uśmiech był żałośnie wdzięczny, kiedy drżącymi dłońmi zbierał banknoty ciśnięte mu na kolana.

- Tylko nie próbuj mnie zwodzić - ostrzegł Dee. - Colin poszperał ci w portfelu. Mamy twój adres i zdjęcia rodziny. Jeden głupi numer i wracamy tu z panami Blackiem i Deckerem.

- Rozumiem, oczywiście - wyjąkał Aaron. - Wszystko rozumiem.

- No to bardzo się cieszę. - Dee skinął głową. - Jednak teraz musisz mi jeszcze udowodnić, że traktujesz mnie poważnie.

- Nie okłamię pana, panie Dee, nigdy. Nie jestem łebskim facetem jak pan albo Sasza. Zależało mi tylko, żeby mieć trochę kasy, żeby moim dziewczynom dobrze się żyło.

- Jak miło - wyszczerzył się Dee. - Z Owenem Campbellem-Moore'em łączyła mnie długoletnia przyjaźń i założę się, że znasz innych chłopców, którzy byli w okolicy, kiedy go stuknięto.

Aaron poruszył się niespokojnie.

- Nie żeby adresy i wszystko, ale nazwiska tak.

- No i wystarczy. - Dee kiwnął głową, po czym obejrzał się na Michaela. - Miki, skarbie, rozejrzyj się, dobra? Gdzieś w tym domu musi być jakiś długopis i papier.

Michael zaczął odwijać płachty folii i szperać w meblach, a Dee podjął swoje wyjaśnienia.

- Za chwilę spisziesz nazwiska i wszystko, co wiesz o ludziach, którzy zabili Owena, a na koniec chcę, żebyś się pod tym podpisał.

Aaron wyglądał na mocno zaniepokojonego. Michael podał Majorowi kartkę i długopis, które znalazł w szufladzie biurka.

- Jak to się wyda, będę trupem - wyszeptał Aaron.  
- Dopóki trzymasz ze mną, nie będziesz miał problemu -  
powiedział Dee.

Ale nikt nie uwierzył mu ani przez sekundę.

## 29. FUCHA

Major Dee nie zostałby szefem Rzeźników bez pewnej dozy wyrachowania i sprytu, ale dominującą cechą jego osobowości - a według niektórych także jego piętą achillesową - była skłonność do nieprzemyślanej, za to bezwzględnej przemocy.

Większość osób zamierzających wypowiedzieć wojnę jednemu z najprzebieglejszych przestępców w kraju najpierw usiadłaby i głęboko się namyśliła. Jednak Dee był wściekły, że Sasza zrobił z niego kretyna, i choć Wściekłe Psy były niedużą załogą, Dee dobrze wiedział, że mają swoich informatorów wszędzie. Dlatego uznał, że jedynym sposobem na osiągnięcie całkowitego zaskoczenia będzie natychmiastowy atak.

Pozbywszy się Aarona, Michael i Colin wzięli udział w akcji obdzwaniania najbardziej zaufanych współpracowników Majora Dee. Nie minęła godzina, kiedy w prywatnym pokoju nad Zieloną Papryką odbyła się narada wojenna. Michael wraz z zastępem żołnierzy gangu i ich czterema samochodami czekał na pustym parkingu między smażalnią kurczaków a myjnią.

Wozem prowadzącym był zdezelowany range-rover z ogromnym kangurem przed przednimi lampami. Osiemnastoosobowy oddział był uzbrojony we wszystko, od pałek baseballowych, przez maczety, po ultrakompaktowy czeski

pistolet maszynowy Skorpion, chlubę kolekcji broni Majora Dee.

Dee miał obsesję na punkcie zdrajców i wydał absolutny zakaz korzystania z telefonów komórkowych. Michael zdołał jednak wymknąć się do zapyziałej ubikacji w smażalni i wysłać do Maureen Evans SMS-a z zawiadomieniem o szykującej się grubszej akcji, ale Dee nie puścił pary z ust na temat celu ataku. Pewne było tylko jedno - poleje się krew.

\*

Główna drużyna Wściekłych Psów wygrywała trzy do zera, co wprawiło Saszę w tak szampański humor, że zaczął obściskiwać spoconych zawodników wracających do szatni po pierwszej połowie. Nieopodal Bruce popisywał się w grupie do lat piętnastu, a James i Junior trenowali po stronie niedzielnej ligi.

Główna drużyna oraz rozmaite drużyny młodzieżowe Wściekłych Psów traktowały futbol poważnie, grając w wyczynowych ligach, w stosownych strojach, z trzema etatowymi działaczami i trenerem z uprawnieniami Związku Piłki Nożnej. W odróżnieniu od nich dwa składy niedzielne grały w miejscowej lidze pubowej. Ich żółte stroje były wyświechtane, ponieważ dziedziczyły je po kilku latach używania przez drużynę główną, a czwartkowe treningi polegały przeważnie na kilku okrążeniach rozgrzewkowego truchtu i niemrawym rekreacyjnym meczu.

Najmłodsi niedzielni gracze byli rówieśnikami Jamesa, najstarsi - dorosłymi mężczyznami o sflaczałych nogach i głowach pełnych spatynowanych przez czas wspomnień o grze w pierwszej drużynie. James nie był entuzjastą grania na zimnie, ale kiedy już pogodził się z nieuchronnością uwalania błotem, zaczął się całkiem nieźle bawić. Był dość wysportowany, by okiwać wszystkie rozpaczliwe bloki z wyjątkiem jednego, i dość szybki - przynajmniej w tak liczej kompanii - by uchodzić

za całkiem przyzwoitego piłkarza.

Junior natomiast był chodzącą hańbą piłki nożnej. Dawniej, kiedy obaj mieli po dwanaście lat, James miał okazję zmierzyć się z nim na ringu. Junior był od niego niższy, ale też fantastycznie szybki, a jego ciosy, nawet przez grube rękawice, wywierały na przeciwniku wstrząsające wrażenie. Problem jednak w tym, że w ciągu trzech lat, jakie minęły od tamtego czasu, James kontynuował treningi sztuk walki, jednocześnie regularnie biegając i podnosząc ciężary. Tymczasem Junior zaczął palić i nabawił się dość silnego uzależnienia od kokainy, biegał zaś jedynie okazjonalnie, kiedy gonili go policjanci. Wciąż był na tyle młody, by wyglądać nieźle, ale na boisku ledwie nadążał za piłką, a po sześćdziesięciometrowym biegu na lewym skrzydle zgiął się wpół, plując gęstą flegmą.

Kiedy niedzielna drużyna ruszyła do szatni na przerwę po pierwszej połowie, James został wezwany do budynku klubu na rozmowę z Saszą. Z tego powodu nie zdążył sprawdzić komórki w swojej torbie na ciuchy i nie odebrał wiadomości głosowej od Maureen proszącej o jak najszybszy kontakt.

\*

James był spięty, kiedy porzuciwszy ubłocone buty przed progiem, wszedł w skarpetkach do małego baru. Wściekłe Psy miały najelegantszą siedzibę klubu w swojej lidze i Saszą zachowywał się jak pan na włościach, podpierając kontuar z brandy w dłoni, na tle okazałej gabloty z pucharami. W zasięgu słuchu nie było nikogo innego.

- Coś do picia? - zapytał Sasza, kiedy zdyszany James podszedł bliżej.

Gangster sięgnął za bar po butelkę coli. Podczas gdy podważał kapsel otwieraczem, James wspiął się na barowy stółek.

- Na miłość boską, złaż stamtąd! - wrzasnął Sasza.

James zeskoczył ze stołka jak oparzony i spostrzegł, że jego ubłocone szorty zostawiły na obiciu brązową smugę.

- Ach... przepraszam - rzucił nerwowo.

- Nie masz za grosz rozumu? - denerwował się Sasza, próbując zetrzeć błoto barwą ściereczką. Ścierka była mokra i tylko rozmazala brud na większej powierzchni. - Młódzież, psiakrew... Jeśli to nie zejdzie, jak przeschnie, płacisz za nowy stołek.

James nie wiedział, gdzie podziać wzrok ani co powiedzieć, ale kiedy pozostali trzej mężczyźni w barze nagle wstali i wyszli, nie łudził się, że to dobry znak.

- Co zaszło dzisiaj między tobą a Kółkiem?

- Trochę się nam popaprało - przyznał James, wzruszając ramionami. - Nie zamknęliśmy drzwi od sklepu i ta mała starszka...

- My? Co znaczy my? - przerwał Sasza. - Kto odpowiadał za zamknięcie drzwi?

- No więc... wchodziłem ostatni, więc chyba ja.

Sasza chrząknął.

- Czy Kółko kazał ci zamknąć drzwi?

- Nie, ale to raczej było oczywiste...

- Nic nie jest oczywiste, kiedy jesteś spięty i robisz coś takiego pierwszy raz w życiu - powiedział Sasza. - Jesteś pewien, że nie powiedział ci, żebyś zamknął drzwi?

-Tak.

- Kółko był wcześniej u mnie w domu. Wmawiał mi, że to ty spartaczyłeś sprawę, i mały filut próbował nawet naciągnąć mnie na zafundowanie mu przemalowania fury.

James wyszczerzył się nieśmiało, niepewny, czy jeśli się zaśmieje, gangster nie odgryzie mu głowy.

- Kółko to dobry chłopak, ale trzeba go krótko trzymać - ciągnął Sasza. - Niestety, przywiązuje zbyt małą wagę do szczegółów i lubi zrzucać winę na innych. Jeżeli o mnie chodzi,

to ty jesteś tu nowy, a on siedzi w branży od lat. Kiedy coś idzie nie tak, to on ma zdjąć czapkę i powiedzieć: „Szefie, przepraszam”.

- W sumie ja też nie jestem dzieckiem - zauważył James.  
- Zawaliliśmy sprawę i biorę na siebie swoją część odpowiedzialności.

Sasza pokiwał głową, jakby właśnie to spodziewał się usłyszeć. Kiedy James odstawił pustą butelkę na blat, gangster sięgnął za bar po następną colę.

- Dzięki.

- Zasięgnąłem języka - powiedział Sasza. - Ormondroyd z biura kuratorów wyciągnął twoją teczkę. Wygląda na to, że nigdy nie współpracowałeś z glinami, a w pierdłu też cię nie złamali. Paru starych kumpli Keitha Moore'a potwierdziło, że jesteś pewny.

James nie wiedział, do czego prowadzi ta rozmowa, ale nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Celem jego misji było dostarczenie informacji o tym, kim są Wściekłe Psy i w jaki sposób działają. Zdobycie zaufania Saszy czyniło zadanie znacznie łatwiejszym.

- Jak się czujesz z elektroniką? Komputery, wideo i takie tam? - zapytał gangster.

- Trochę się znam, ale żaden ze mnie fachowiec - odpowiedział James.

- A poradziłbyś sobie, gdybym poprosił cię, żebyś wyrychtował trochę kamer i sprzętu, a potem pilnował, kto wchodzi pod dany adres i stamtąd wychodzi?

- Do zrobienia - skinął głową James. - Jeśli tylko dostanę instrukcje i tak dalej.

- No pewnie, że dostaniesz. Płacę trzy dychy dziennie. Kiedy już podłączysz kamery, chcę, żebyś chodził na punkt codziennie i przeglądał taśmy. Chcę mieć czarno na białym, kto wszedł, kto wyszedł i ile osób wrzuciło do skrzynki kasę za dragi.



- Dragi? - zapytał niedbałym tonem James.  
- To mieszkanie to bunkier - powiedział Sasza. - Wiesz, co to takiego?

James wiedział, ale tylko dzięki temu, że był cherubinem, dlatego poprosił Saszę o wyjaśnienie.

- Bunkier to taka specjalna meta, miejsce, w którym sprzedaje się narkotyki. Czasem jest to dom, ale częściej mieszkanie w wielopiętrowym bloku. Dilerzy zazwyczaj wstawiają stalowe wzmocnienia w drzwi, mocne kraty w okna i nie odsuwają zasłon przez okrągłą dobę. W środku zawsze jest dwoje albo troje ludzi. Każdy interes umawia się przez telefon, a potem ludzie przychodzą pod drzwi, wsuwają kasę w szczelinę na listy, a w zamian dostają towar. Bunkier to marzenie dilerów i koszmar policjanta. Jeżeli gliny namierzyły punkt i zaczynają wyłapywać klientów na zewnątrz, to dilerzy po prostu kupują kolejny ładunek stali i przenoszą się do innego lokalu. Owszem, policja może spróbować szturmować, ale zanim sforsują umocnienia, wszystko, co nielegalne, zostanie spuszczone do kibla albo wywalone za balkon. Trzecim wyjściem dla gliniarzy jest filmowanie handlarzy, ale na taśmach widać tylko ręce, biorące i podające coś przez szczelinę na listy. Jeżeli na mecie są dwie albo trzy osoby, nie sposób udowodnić, kto w rzeczywistości sprzedawał narkotyki. Dilerzy obwiniają siebie nawzajem i sprawa w trzy sekundy zostaje wyśmiana z sądu.

- Brzmi nieźle. - James skinął głową.

- To stara sprawdzona metoda - powiedział Sasza. - Bunkry działają wszędzie: od brazylijskich slumsów po syberyjskie getta.

- No dobra, ale po co ci nadzór wideo? - zapytał James.

Sasza uśmiechnął się.

- Mały ptaszek wyśpiewał mi, że na wspomnianej mecie odchodzi poważny handel dragami. Jeżeli mam położyć łapy

na tym interesie, muszę wiedzieć, jak nakłonić ich do otwarcia drzwi.

- Jasne - kiwnął głową James. - Każdy diler musi czasem przynieść zakupy.

- Albo wynieść wielką stertę pieniędzy - wyszczerzył się Sasza. - Bystry z ciebie chłopak, James.

Ale James nie chciał wydać się podejrzanie nadgorliwy.

- No tak, ale wie pan, trzy dychy dziennie to trochę skąpo jak na kogoś, kto ma zamiar obrobić narkotykową grubą rybę.

Sasza zjeżył się.

- Ja dbam o swoją załogę, synu. Jeżeli dobrze się spiszesz, dopilnuję, żebyś dostał słuszną działkę, ale nie spodziewaj się kokosów od pierwszego tygodnia, jasne?

James skinął głową, ale Sasza nagle zeskoczył ze stołka i podbiegł do francuskich okien tworzących szklany front budynku klubu.

- Co to za hałasy, do diabła? - wymamrotał, wpatrując się w ciemność za szkłem.

## 30. ODWET

Range-rover zjechał z drogi i w pełnym pędzie przebił się przez niski żywopłot. Michael grzmotnął zamaskowaną głową o dach. Była to chwila grozy, zwłaszcza że siedział wciśnięty między dwóch Rzeźników trzymających swoje maczety na kolanach.

Tkwił po uszy w najpaskudniejszym bagnie, jakie mógł sobie wyobrazić, i robił po nogach ze strachu. Obejrzał się, by ujrzeć kolejne dwa auta przeorujące się przez żywopłot. Czwarte - mały nissan szczelnie wypchany pięcioma zwalistymi bambami - wpakowało się na pień zwalonego drzewa i utknęło, bezradnie kręcąc w powietrzu przednimi kołami.

Na trawiastej płaszczyźnie Colin Wragg przyspieszył, skracając w stronę boiska grupy do dwunastu lat. Major Dee wystawił skorpiona przez okno po stronie pasażera. Mały pistolet maszynowy był bronią krótkiego zasięgu zaprojektowaną do takich zadań jak zasypywanie kulami klatki schodowej podczas oczyszczania budynku. Ale ludzie nie wiedzą takich rzeczy ani nie interesują się nimi, kiedy znajdują się pod ostrzałem. W takich chwilach mózg rejestruje tylko huk wystrzałów i pomańczone błyski wokół lufy.

Mali piłkarze rozpierchli się na wszystkie strony; mamy na ławkach zaczęły krzyczeć i tylko sędzia stał niewzruszony, z dłońmi na biodrach i gwizdkiem w ustach. Gdy wreszcie uświadomił

sobie, że gwizdaniem nie zatrzyma czterotonowego range-  
rovera, który najwyraźniej zamierzał go rozjechać, także on  
wziął nogi za pas.

Terenówka posłużyła do utorowania drogi przez zarośla, ale  
mknące tuż za nią mitsubishi evo miało znacznie lepsze przy-  
spieszenie. Kiedy sędzia zaczął uciekać z boiska, żółty samo-  
chód skręcił i ruszył za nim. Mężczyzna rzucił za siebie pa-  
niczne spojrzenie i w następnej chwili zderzak potężnego auta  
z impetem grzmotnął go w nogi.

- Widziałeś to?! - wrzasnął z zachwytem facet siedzący  
obok Michaela w range-roverze, kiedy sędzia przeleciał nad  
maską i wywinąwszy pełne salto w powietrzu, gruchnął bez-  
władnie w błoto.

Kierowca evo dokonał lekkiej korekty kursu i wduśił gaz,  
celując w grupę mam i chłopców w szortach szukających  
schronienia wśród rosnących nieopodal drzew.

Tymczasem range-rover i jadący za nim jeep cherokee su-  
nęły w stronę boiska pierwszej drużyny, wyrzucając spod kół  
fontanny błota.

- Zasuwamy na klub! - zawołał Dee. - Wiktor, dawaj  
sprzęt z tyłu.

Brzęknęło szkło - to koleś siedzący obok Michaela sięgnął  
za oparcie kanapy i zaczął wyjmować butelki z benzyną zatka-  
ne skrawkami szmat.

- Zajedź przed sam klub - zażądał Dee, patrząc na ucie-  
kających w panice członków głównej drużyny.

Większość zawodników przymykała oko na fakt, że ich  
prezes jest gangsterem, ale stało się to trudne do zignorowania,  
kiedy sześciu bandytów uzbrojonych w noże i pałki wyskoczy-  
ło z dżipa i zaczęło gonić ich po boisku. Na szczęście sportow-  
cy górowali kondycyjnie nad zbirami, a piłkarskie korki za-  
pewniały im lepszą przyczepność na błocie, ale bramkarz dru-  
żyny przeciwnej dostał się w kocioł przy ogrodzeniu, zaś inny  
gracz, który pobiegł w stronę boisk juniorów na ratunek swemu

młodszemu bratu, poślizgnął się i nim zdążył wstać, otoczyli go trzej bandyci.

Piłkarz uniósł ręce, by osłonić głowę, i w tej samej chwili spadł nań grad furiackich kopniaków.

Major Dee wygarnął ze skorpioną w przeszklony front budynku klubowego, posyłając kaskadę tłuczonego szkła na pieczołowicie wypolerowaną podłogę i szpikując bar kulami.

- Rozproszyc się i znaleźć mi Saszę - rozkazał Dee, wstępując do klubu po chrzęszczącym mu pod butami szkłem.

Michael siedział na środku, dlatego wyszedł z samochodu ostatni. Schwytyany przez bandytów bramkarz krzyknął rozdzierająco niespełna dziesięć metrów od niego i chłopiec zmarł na widok smugi krwi w miejscu, gdzie mężczyznę przeciągnięto za włosy przez rozświetloną jupiterami murawę.

Poczuł mdłości. Spojrzał na mizernie oświetlone boiska drużyn niedzielnej ligi, gdzie grupa graczy rozpaczliwie przedzierała się przez ogrodzenie. Ktoś z dżipa wypalił do nich z obrzyna.

- Michael, szatnie, już! - krzyknął z furią Dee. - Musiał jakoś się wymknąć.

Michael położył dłoń na zawieszonym przy pasie pistolecie, podbiegł do szatni i ostrożnie otworzył drzwi. Jeżeli ktokolwiek tam był, już dawno wziął nogi za pas. Chłodny powiew wpadał do środka przez otwarte wyjście ewakuacyjne po drugiej stronie wykafelkowanego korytarza.

Zagłędając do wyludnionego pomieszczenia z natryskami, Michael uświadomił sobie, że Major Dee włożył cały wysiłek w szybkość przeprowadzenia akcji, nie poświęcając ani jednej myśli taktyce. Gdyby posłał samochody na obie strony terenu boisk, Wściekłe Psy dostałyby się w kleszcze i najazd zakończyłyby się krwawą jatką, na jaką liczył Jamajczyk.

- Wynoś się stamtąd! - zawołał Colin. - Robimy ognisko.

Dee i dwaj inni rzucili już swoje koktajle Mołotowa i Michael usłyszał szum ognia dochodzący z sąsiednich pomieszczeń klubu. Rzucił się do tylnych drzwi w tej samej chwili, gdy płonąca butelka, wirując dziko, prześliznęła się po zabłoconej posadzce, by roztrzaskać pod ławką przebieralni. Huknęło, a ławka, leżący na niej nylonowy plecak i fragment ściany za nią stanęły w płomieniach.

Zanim Michael obiegnął budynek, by wrócić do range-rovera, cała tylna ściana siedziby klubu Wściekłych Psów stała w ogniu, a blaszany dach gwałcił się od żaru.

- Nieźle nam poszło - zawołał Colin i triumfalnie zatrząbił klaksonem range-rovera, podczas gdy Michael wciskał się do wozu jako ostatni.

- Chciałem dorwać Thompsona - zasyczał Dee, zdzierając z głowy kominiarkę, kiedy wielka terenówka ruszyła z kopyta. - Mieliśmy szansę wygrać tę wojnę, jeszcze zanim się zaczęła.

„Ale ją zawaliliście” - pomyślał Michael. Range-rover podskoczył na krawężniku klubowego parkingu, z rykiem przejechał przez główną bramę i pomknął w noc.

\*

James wyskoczył przez drzwi za barem i gwałcił ile sił w nogach, w samych skarpetkach ślizgających się beznadziejnie po błocie. Jego korki zostały na progu baru, a reszta rzeczy, w tym adidasy, komórka oraz wzmocniona nanorurkami bluza za dziewięć tysięcy funtów, spłonęły wraz z klubem.

Najoczywistszym schronieniem był dom Saszy, ale gangster nie życzył sobie najazdu policji i posłał wszystkich do diabła, w tym płaczące dzieci i rozhisteryzowaną matkę, która widziała swojego jedenastoletniego synka ściganego przez uzbrojonych bandziorów.

Juniora nigdzie nie było, więc James zrobił, co mu kazano, i bocznymi uliczkami poszedł do domu. Wiele osób przyjechało

na trening samochodem, ale większość uciekła w strojach sportowych, pozostawiając kluczyki w płonącym budynku.

Noc była mroźna i po przebiegnięciu kilkuset metrów James stracił czucie w stopach. Był ubrany w strój piłkarski i nie miał drobnych na autobus, ale wiedział, że najlepsze, co może zrobić, to nie zatrzymywać się. Istniało ryzyko, że kilku Rzeźników wciąż grasuje po ulicach, a jego oblepione błotem skarpety i żółta koszulka futbolowa od razu zdradziłyby im, z kim mają do czynienia.

Po kilku minutach truchtu James usłyszał szum opon samochodu hamującego przy krawężniku, a potem klakson. Od ruchowo zgiął się wpool, oczekując strzałów, ale kiedy znów się wyprostował, ujrzał kobietę za kierownicą, z tyłu trzech młodocianych piłkarzy w strojach Mad Dogs FC i jeszcze jednego na miejscu pasażera.

- Podwieźć cię do domu? - zapytała kobieta, kiedy elektryczna szyba skończyła brzęczeć.

James spostrzegł, że była roztrzęsiona. Na jej policzkach czerniały smugi rozmazanej kredki do oczu.

- Jestem cały w błocie - powiedział James przepraszająco, podchodząc do samochodu.

- Wszyscy chłopcy są cali w błocie - odpowiedziała kobieta. - Chodź, bo zamarzniesz na tym mrozie.

Wystraszony jedenastoletk na przednim fotelu musiał wyśiąść i wcisnąć się obok trzech swoich kolegów.

- Bardzo pani dziękuję - uśmiechnął się James, zaglądając do wnętrza auta i rozkoszując się pierwszym haustem ogrzanego powietrza.

- Objadę pół miasta, nim rozwożę ich do domów - powiedziała kobieta, ruszając. - A ty dokąd biegniesz?

- Do Halfway House - odpowiedział James.

Skarpetki miał uwalane błotem, więc zdjął je, żeby nie zabrudzić wykładzin. Przyjemnie było siedzieć w ciepłe, ale czterej

chłopcy za nim byli upiornie milczący i co najmniej dwaj z nich cicho płakali.

Kobieta kopnęła hamulec po tym, jak ścięła zakręt, nie parząc, i omal nie staranowała motocykla zaparkowanego przy przeciwległym krawężniku.

- Dobrze się pani czuje? - zaniepokoił się James. - Może stańmy gdzieś, żeby mogła pani ochłonać.

- Muszę odwieźć chłopców do domów - powiedziała kobieta z determinacją w głosie. - Jeżeli rodzice usłyszą, co się stało, zanim wrócą dzieci, zwariują ze strachu.

- Dobrze, ale proszę prowadzić ostrożnie - nalegał łagodnie James. - Nie byłoby dobrze, gdybyśmy się przedtem rozbili, prawda?

Kobieta skinęła głową i lekko uśmiechnęła się do Jamesa, ale jej dłonie dygotały, a oczy były pełne łez.

- Nakrzyczałam na tego sędziego - powiedziała i pociągnęła nosem. - Ciągłe wyzywał się na moim Samuelu. Nazwałam go nadętym durniem, a dwie minuty później uderzył w niego ten samochód. Nie wiem, czy go zabili, czy nie...

- Już jest po wszystkim, mam - odezwał się jeden z chłopców, wciskając ubłoconą twarz między oparcia foteli i siląc się na dojrzały, opiekuńczy ton.

- Jak to się mogło stać? - zatkała kobieta. - Jak można zrobić coś takiego drugiemu człowiekowi?



## 31. PLUSKWI

(...) Niektórzy przypuszczają, że brutalny atak został przeprowadzony w ramach gangsterskich porachunków ze znaną postacią przestępczego podziemia, prezesa Mad Dogs FC Saszą Thompsonem. Jednakże komisarz Robert Hunt, który prowadzi dochodzenie, podkreślił, że żadna z zaatakowanych osób nie ma kryminalnej przeszłości ani żadnych związków z Thompsonem poza klubem piłkarskim.

Ofiara śmiertelna, dwudziestojednoletni Julian Pogue, był studentem pierwszego roku na Uniwersytecie Wschodniej Anglii. Niedawno wrócił do domu na ferie wielkanocne i dołączył do drużyny Mad Dogs FC tymczasowo, by zastąpić kontuzjowanego kolegę. Uważa się, że podczas ataku Pogue został odcięty od reszty drużyny podczas próby zlokalizowania swojego dwunastoletniego brata.

Rodzice Pogue'a złożyli oświadczenie, prosząc w nim o uszanowanie ich prywatności oraz opisując syna jako „cudownego, troskliwego chłopca, który uwielbiał piłkę i miał przed sobą wspaniałą przyszłość”.

Według doniesień prasowych dwaj ciężko ranni mężczyźni to pięćdziesięcioletni sędzia Bert Hogg oraz bramkarz Leonard Goacher, lat trzydzieści jeden. Szkolna pielęgniarka Judith Marine została ugodzona nożem w udo, kiedy próbowała schronić się w pobliskim lasku z osiemnastomiesięcznymi bliźniętami w podwójnym wózku.

Wypisano ją ze szpitala wraz z jedenastoma innymi osobami, które trafiły tam z powodu drobnych obrażeń i szoku.

BBC Radio Bedfordshire, piątek 30 marca 2007 r.

Obowiązkiem opiekunów z Zoo było znalezienie Jamesowi i Bruce'owi miejsc w lokalnych szkołach, ale nie spieszyło im się, tym bardziej że zbliżały się ferie.

James nie mógł zasnąć i większość nocy spędził ze słuchawką w uchu, słuchając audycji dla nocnych marków i codziennych serwisów informacyjnych. O dziesiątej w piątkowy rano Bruce był już na nogach, ale James nie widział powodu, by wstawać, i tylko naciągnął kołdrę na twarz, kiedy Bruce rozsunął zasłony, żeby przeczytać najnowszy numer pisma o sportach walki.

Telefon Jamesa spłonął w pożarze, dlatego Kółko zadzwonił do niego na komórkę Bruce'a.

- Jak leci? - zapytał James. - Gdzie się chowałeś, kiedy wybuchło to gówno?

- Sasza nawrzeszczał na mnie wczoraj dwa razy, więc omiјаłem klub szerokim łukiem.

- Farciarz. Wiesz coś poza tym, co mówią w radiu?

- Jedna fura Rzeźników utknęła za boiskami. Spalili ją sami, zanim przyjechała policja, ale paru naszych dogoniło jednego z nich. Wszędzie roіło się od glin, więc nic nie mogli zrobić, najwyżej go śledzić. Pojechali za nim autobusem do domu i obudzili o piątej rano paroma cegłami i koktajlami Mołotowa.

- Zajebioza - wyszczerzył się James, udając zachwyty. -To jak, Sasza planuje odwet?

- Nie jestem pewien - powiedział Kółko. - Mówi się o szturmie na Zieloną Paprykę.

- No to na mnie nie liczcie - prychnął James. - To na środku ich terenu, a ich jest więcej niż nas.

- Pewnie skończy się na gadaniu - zawyrokował Kółko. - Sasza nie jest głupi, nie rzuci się z wrzaskiem do szarży jak jakiś naiwny kawalerzysta. Poczeka na najlepszy moment, a potem zrobi coś takiego, że Rzeźnicy powywalają się na cyce.

- Jasne - przytaknął James. - No tak, ale co chciałeś, dzwo-nisz towarzysko czy jak?

- Dwie rzeczy, stary. Po pierwsze, wspominałeś coś, że masz jakąś kamizelkę kuloodporną czy coś. Teraz tak: wiem, że nie należysz do naszych najważniejszych ludzi, ale Sasza mówi, że wszyscy mamy uważać na zasadzki. Noś swoją kamizelkę i broń przez cały czas i unikaj wychodzenia samemu. Kiedy nie jesteś ze mną, bierz ze sobą swojego małego kuzyna.

- Brzmi rozsądnie - powiedział James.

- Aha, słuchaj, masz kasę na nową komórkę? Bo być może trzeba będzie wykonać kilka szybkich ruchów i wszyscy muszą być w kontakcie.

- Jasne - przytaknął James. - Ciągle mam forszę z hotelu. Skoczę później na miasto i kupię coś na kartę.

- Fajnie. Druga rzecz jest taka, że Sasza nie chce, żebyśmy ugrzęźli w jakiejś głupiej wojnie. Najważniejsze, żeby kasa płynęła dalej, a to znaczy, że działamy jak zwykle.

- Musimy wrócić do tamtego sklepu?

- Gdzie tam - powiedział Kółko. - Pieniądze z kasy pokryły dług zawiązką, a Sasza mówi, że wszędzie węszyły gliny, więc na razie zostawiamy ten temat w spokoju.

- Czyli robótka przy tamtej mecie wciąż jest aktualna?

- Jak najbardziej - powiedział Kółko. - To kawał drogi od najbliższych miejscówek Rzeźników, ale sytuacja jest napięta, więc lepiej weź ze sobą kuzyna. Sawas ma dla ciebie sprzęt wideo i klucze do mieszkania. Później ci podrzuci.

- A adres? - zapytał James.

- Zapytaj Sawasa. Nie może cię zawieźć, bo jego twarz jest tam znana, ale pokaże ci na planie czy coś.

\*

Przegapili śniadanie, a Sawas się spóźnił, więc James i Bruce wstąpili do Pizzy Hut na wczesny lunch. Chloe zorganizowała tam krótkie spotkanie. Dała Jamesowi nowy telefon i powiedziała, że kolejna nanorurkowa bluza jest właśnie szyta w kampusie i będzie gotowa za czterdzieści osiem godzin. Wyznała także, że się martwi: niedawna eskalacja przemocy i śmierć Juliana Pogue'a raczej nie mogły wyrzucić dobrego wrażenia na komisji etyki i istniało ryzyko, że operacja CHERUBA zostanie przerwana.

James zjadł za dużo i czuł się przepełniony, kiedy jechali autobusem z Luton do pobliskiego Dunstable. Osiedle Rudge składało się z trzypiętrowych bloków. Całkiem sporo mieszkań zostało wykupionych i odnowionych przez mieszkańców, o czym świadczyły nowe okna ze skrzynkami na kwiaty i schludne ogródki, ale większa część osiedla była brudnym śmietniskiem upstrzonym graffiti i gdzieś tam wrakami porzuconych samochodów.

Bunkier miał wejście z galerii na drugim piętrze. Nie było to jedyne mieszkanie ze stalowymi drzwiami i kratami w oknach i tylko wyjątkowo wścibski sąsiad mógłby domyślić się, że lokal służy handlarzom narkotyków.

Bloki stały równolegle do siebie. James i Bruce mieli klucze do mieszkania na drugim piętrze sąsiedniego budynku, z oknami wychodzącymi wprost na drzwi mety. Dzieci poprzednich lokatorów ozdobiły ściany kolorowymi rysunkami, ale mieszkanie stało puste od niepamiętnych czasów i kiedy Bruce otworzył drzwi, omal nie znokautował go piżmowy odór wilgotnego kurzu.

- Co za syf - poskarżył się James, machając dłonią przed nosem. Kopnięciem w tył zatrzasnął drzwi i rzucił wielką

sportową torbę od Sawasa na wykładzinę przedpokoju. - Otwórzmy okna, bo się potrujemy.

Był środek dnia, ale James pstryknął włącznikiem światła, żeby sprawdzić, czy w instalacji jest prąd. Bruce obszedł pokój, otwierając okna.

- Mamy czajnik i lodówkę! - zawołał z kuchni. - Może napijemy się herbaty z mlekiem czy czegoś?

- Jak chcesz. - James wzruszył ramionami. - Pewnie spędzimy tu trochę czasu, ale nie zamierzam siedzieć tu ani chwili dłużej, niż to będzie konieczne.

- Będzie dobrze, jak się wywietrzy, a poza tym tutaj jest o wiele ciszej niż w Zoo.

- Jak chcesz się przeprowadzić, to proszę bardzo - wyszczerzył się James. - Przynajmniej nie będę musiał znosić twojego chrapania.

- Tak, jestem taki nieznośny - powiedział Bruce z szyderczym uśmieszkiem. - A pamiętasz tamten wieczór, kiedy prawie zapierdziałeś mnie na śmierć? Normalnie oczy mi łzawiły.

- To przez te podejrzane buły z serem, które Chloe kupiła na stacji benzynowej.

Mówiąc to, James otworzył torbę i spojrzał na sprzęt w środku. Największym przedmiotem był dwukasetowy magnetowid dozorowy z wydrapanym na obudowie napisem: „Właśność Funduszu Zdrowia East Midlands”. Torba zawierała także czyste kasety, kłęb kabli, wiertarkę i zestaw miniaturowych kamer.

- Ale gówno - skonstatował Bruce.

James wzruszył ramionami.

- Nie ma tu nic, co podnieciłoby gików z naszego działu technicznego, ale wystarczy, żebyśmy zrobili swoje.

- W sumie racja - przyznał Bruce, unosząc garść splątanych kabli. - Poszukaj najlepszych miejsc na kamery, a ja zacznę to rozsypywać.

## 32. ZWŁOKI

Siedemnaście dni później

Joe Pledger i jego żona dopiero co wrócili z wielkanocnego wypadu do swojej willi w Portugalii, przywożąc opaleniznę i torby pełne alkoholu. Kiedy Joe wyrzął na ogród z oranżerii, ich basen sportowy wydał mu się nienaturalnie ciemny, a w następnej chwili serce podskoczyło mu ze strachu na widok powalonego segmentu tylnej części ogrodzenia.

Wciąż trochę otumaniony po długim locie i zbyt lekko ubrany w koszulkę z krótkim rękawem i luźne szorty Joe odsunął szklane drzwi i wytoczył się na patio. Woda w basenie miała brązowawe zabarwienie, ale bardziej wstrząsający był drżący zarys ludzkiego ciała na dnie. Taki widok wielu przypisałoby o atak paniki, ale Joe siedział w branży pogrzebowej przez całe życie i martwił się tylko o żonę.

- Nie wychodź tam! - zawołał, wpadając do domu i podbiegając do telefonu.

Inspektor Hunt z wydziału zabójstw przybył na miejsce przestępstwa w ciągu dziesięciu minut wyprzedzony jedynie przez posterunkową wykonującą obchód pół kilometra od domu Pledgerów. Hunt był zmęczony i szykował się już do zakończenia służby, ale w zaistniałej sytuacji nie było o tym mowy.

Rudowłosy detektyw przykucnął na ceramicznych płytkach przy krawędzi basenu i spostrzegł, że ofiara ma przywiązany do

piersi metalowy krążek - dwudziestokilowy obciążnik sztangi.

- Wygląda na to, że żył, kiedy go tu wrzucili - powiedział detektyw, oglądając się na zdenerwowaną policjantkę.

Jeżeli nie ma podejrzenia, że sprawca wciąż jest w pobliżu, obowiązkiem szeregowych policjantów jest jedynie zabezpieczenie miejsca zbrodni i chronienie go do czasu przybycia detektywów.

Młoda posterunkowa stała z rękami założonymi za plecami, wpatrując się we wschód słońca.

- Twój pierwszy trup? - zapytał Hunt.

- Tak, sir - powiedziała policjantka przepraszającym tonem.

- Służę dopiero od trzech miesięcy.

Detektyw pochylił się nad basenem, jakby wypatrując czegoś pod powierzchnią.

- Zrób coś dla mnie - powiedział po chwili. - Idź do domu i spytaj właściciela, czy nie ma długiego drąga albo podbieraka do wybierania liści z basenu.

Kilka chwil później, pozostawiwszy w domu policjantkę, by pocieszała jego żonę, Joe poczłapał przez ogród do szopy z narzędziami.

- Kiedyś wieszałem przy basenie, ale wnuki za bardzo lubiły się nim okładać - wyjaśnił, podchodząc do detektywa z długą żerdzią zakończoną hakiem.

Hunt skinął przyjaźnie głową, odbierając bosak od starszego mężczyzny. Joe cofnął się, ale przez cały czas bacznie obserwował, jak policjant prowadzi drąg przez ciemną wodę. Joe był zmęczony po podróży, a jego żona kompletnie roztrzęsiona, ale czuł coś na kształt zadowolenia: emerytura okazała się przygnębiająco nudna, a trup w basenie był diablo dobrą historią do opowiadania w klubie golfowym.

Skrobiąc końcem drąga o dno basenu, Hunt wsunął hak pod ramię topielca i delikatnym pociągnięciem obrócił go tak, żeby zobaczyć twarz. Ruch ten, choć nieznaczny, uwolnił część gazów

z rozkładającego się ciała i sznur dużych bąbli powężykował w górę, by lekko wzburzyć powierzchnię wody.

- Może powinien pan wrócić do środka - zaproponował Hunt.

Joe uśmiechnął się.

- Zajmuję się umarlakami od dwudziestu pięciu lat, przyjacielu, i słowo daję, to jeszcze nic takiego.

Szybka identyfikacja zwłok bywa bardzo pomocna, jeżeli zbrodni dokonano niedawno. Jednak twarz ofiary była straszliwie opuchnięta, a oczy wypchnięte z orbit.

- Trochę sobie tam poleżał - zauważył Joe tonem znawcy. - Dziesięć, dwanaście dni moim zdaniem.

- Myślę, że ma pan rację - powiedział Hunt, wyciągając boks z wody. - Jego dziewczyna zgłosiła zaginięcie na początku zeszłego tygodnia.

- Ach, to pan wie, kto to taki? - zdumiał się Joe.

- Jestem prawie pewien - skinął głową Hunt. - Widziałem tylko fotografię paszportową, a zwłoki są w fatalnym stanie, ale ogólnie wszystko pasuje.

\*

Dwie koordynatorki misji i trzech agencji umówili się na spotkanie w obskurnym apartamencie zajazdu na peryferiach miasta. James i Bruce przybyli ostatni.

- Sto lat czekaliśmy na ten autobus - wyjaśnił James, po czym spojrział na Chloe siedzącą na skraju podwójnego łóżka. - Jak poszło wczoraj z komisją?

- Dwie godziny telekonferencji - jęknęła koordynatorka. - Dali nam jeszcze siedem dni, ale przez wszystkie te morderstwa robią się nerwowi.

Michael podniósł wzrok na Jamesa.

- Słyszałeś, że kolejnego Szczura wyciągnęli dziś rano z basenu?

James potrząsnął głową.



- Ktoś, kogo znamy?
- Aaron Reid - powiedział Michael.
- Koleś, który napisał listę? - Bruce wytrzeszczył oczy ze zdumienia.
  - Ten sam - skinął głową Michael. - Wypisał siedem nazwisk plus swoje własne na liście dla Majora Dee. Jest trzecim zamordowanym i nikt nie wie, gdzie są pozostali.
  - Martwi albo się ukrywają - powiedziała Maureen.
  - Wiadomo coś o tych furach, które spalili w sobotę koło Zielonej Papryki? - zapytał Bruce.
  - Najprawdopodobniej zemsta Szczurów - powiedziała Chloe. - Ty i James twierdzicie, że to nie mogli być ludzie Saszy.
  - Rozwalanie szyb w samochodach to niezupełnie w ich stylu, nie sądzisz? - zauważył Bruce. - Major Dee próbował wszcząć wojnę, ale Wściekłe Psy nie chcą gryźć.
  - Sasza czeka, aż Dee skończy polowanie na Szczury - wyjaśnił James. - Ma nadzieję, że Dee w końcu się potknie, a sam chce się skupić na poważniejszym zajęciu, czyli zarabianiu pieniędzy.
- Bruce pokiwał głową.
- Ale jest wściekły o to, co się stało w klubie, i stawiam swoje lewe jądro, że ma jakiś chytry plan.
- Odnoszę wrażenie, że komisja szuka pretekstu, żeby przebrać tę misję - powiedziała Chloe. - Niektórzy z nas pracują przy tej sprawie od ponad trzech miesięcy. Dowiedzieliśmy się całkiem sporo o strukturze gangów i przekazaliśmy policji tonę informacji. Jednak członkowie komisji martwią się z powodu eskalacji przemocy i nie czują się komfortowo ze skalą przestępczych działań, w jakie wy trzej musicie się angażować. Jeżeli wkrótce nie doprowadzimy do przełomu, wyciągną nam wtyczkę.
- Nie było przypadkiem planu przeszukania domu Saszy? - zapytał Michael.

- Pracujemy nad tym - skinął głową James. - Odkąd spalił się klub, każdego, kto sobie coś zrobi podczas gry, wysyła się za drogę i żona Saszy opatruje mu rany. Kiedyś była pielęgniarką. Jeszcze nie ustaliliśmy szczegółów, ale jutro wieczorem mamy trening i gdyby jeden z nas udał kontuzję, drugi mógłby go odprowadzić i przy okazji zajrzeć do pokoju Saszy.

- To duży dom - dodał Bruce. - Nawet w razie przyłapania można będzie powiedzieć, że szukało się łazienki i pomyliło drzwi.

- Brzmi nieźle - powiedziała Chloe. - Ale Sasza to niebezpieczny człowiek, więc chcę być blisko na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

- A jak wam idzie obserwacja mety? - spytała Maureen.

- W porządku - odpowiedział Bruce. - Przeglądanie kaset to nuda, ale zbieramy nieźle info o tym, kto wchodzi, kto wychodzi i kiedy otwierają drzwi. Sasza wydaje się zachwycony.

- To dobrze - powiedziała Chloe. - Macie jakieś przypuszczenia co do tego, kiedy Sasza zamierza wykonać swój ruch?

James potrząsnął głową.

- Czekam na wiadomość od któregoś z informatorów.

- Cóż, mam nadzieję, że nie będzie zwlekał zbyt długo - westchnęła Chloe. - Mamy jeszcze tydzień, góra dwa, jeśli dopisze nam szczęście.

## 33. SZKŁO

James nie zdawał sobie sprawy z tego, jak ważny dla Saszy Thompsona był klub, dopóki nie został zniszczony. Budynek i szatnie można było wymienić, ale przestraszonych zawodników już nie. Sasza powiedział mediom, że atak na jego klub nie był sprowokowany żadnym działaniem z jego strony i nie ma nic wspólnego z rzekomą wojną gangów pomiędzy nim a jego jamajskim rywalem, ale nikt w to nie wierzył.

Sasza zawsze dbał o swoich zawodników, szczególnie z pierwszej drużyny, która należała do najbardziej rozpieszczanych w futbolu amatorskim. Zapewniał im wszystko: transport, czyste stroje, posiłki po meczach, profesjonalnych trenerów, a nawet po pięćdziesiąt funtów na głowę, jeśli wygrali mecz.

Kilku dochowało wierności klubowi i pojawiło się na treningu po ataku. Inni zniknęli po cichu, podczas gdy odważniejsi narazili się na gniew Saszy, otwarcie prosząc o przeniesienie ich rejestracji do konkurencyjnych klubów. Tak czy owak zarejestrowanych graczy było zbyt mało, by stworzyć drużynę, i lokalny oddział Związku Piłki Nożnej wykluczył drużynę Mad Dogs FC z rozgrywek jej ligi po tym, jak nie udało się jej skompletować składu przed trzema kolejnymi meczami.

Koniec sekcji młodzieżowej był jeszcze bardziej spektakularny. Wobec plotek o zapowiadanych kolejnych atakach

żaden rodzic nie wypuściłby z domu dziecka w żółtym stroju piłkarskim i dwadzieścia drużyn - od wspinających się na szczyt tabeli siedemnastolatków po rozchichotaną grupę dziewcząt do lat dziewięciu - przepadło dosłownie z dnia na dzień.

Wszystko, co pozostało, to jedynie dwa składy niedzielne: weterani i gangsterzy wzmocnieni najbardziej lojalnymi talentami z pierwszej drużyny i starszych grup młodzieżowych.

W parku, gdzie trenowali Mad Dogsi, było osiem boisk trawiastych i dwa ze sztuczną murawą. Na wtorkowe wieczorne treningi przychodziło zwykle do pięćdziesięciu dorosłych i około setki dzieci, ale tym razem w powietrzu czuć było powiew desperacji. Wokół wypalonych ruin budynku klubu zebrano się mniej niż dwa tuziny mężczyzn, do tego sporą część grupy stanowili goryle Saszy łatwi do rozpoznania po marynarkach wyróżniających się wśród żółtych strojów sportowych.

Mżawka wirowała w białym blasku jupiterów. Bus, którym pierwsza drużyna jeździła niegdyś na mecze, stał zaparkowany przy krawędzi boiska z otwartymi tylnymi drzwiami, by ludzie mieli gdzie rzucić kurtki i suche rzeczy do przebrania się po treningu.

- Dzięki, że przyszedłeś, synu - powiedział Sasza, podchodząc do drewnianej ławki, by uścisnąć Bruce'a z autentyczną sympatią. - Naprawdę doceniam, że wciąż jesteś z nami.

- Żaden problem, szefie - powiedział Bruce, wyjmując notes z kieszeni spodni od dresu i podając go gangsterowi. - Przyszliśmy prosto z mieszkania. Tu jest lista wszystkich, którzy wchodzili i wychodzili z mety do piątej dziś po południu.

- Dobry chłopak - powiedział Sasza i odwrócił się do Jame-sa.

James nie miał takiego talentu do piłki jak Bruce, więc musiał się zadowolić klepinięciem w ramię i skromnym podziękowaniem.

- Goście! - zawołał stojący kilka metrów dalej Sawas na widok mężczyzny idącego przez jedno z nieoświetlonych boisk.

Wprawdzie wydawało się mało prawdopodobne, by Rzeźnicy powtórzyli atak, kiedy ich rywale byli w stanie najwyższego pogotowia, ale trwała wojna i Sasza wystawiał uzbrojone czaty po prostu na wszelki wypadek.

- Stój! Ani kroku dalej! - ryknął Sawas, kiedy mężczyzna podszedł bliżej.

Intruz zatrzymał się i unióśł ręce nad głowę.

- To ja, Chris Jones.

- Chrissie! - zawołał czule Sasza, gestem zapraszając gościa, by podszedł bliżej.

James nie wiedział, kim jest mężczyzna, więc zapytał o to Kółko, który zjawił się ubrany w strój piłkarski, by odzyskać choć odrobinę utraconych względów Saszy.

- To Chris Jones, miejscowy radny - wyjaśnił Kółko szepcąc. - Trenował u nas czternastolatków i obaj jego synowie grają, a przynajmniej grali, w barwach klubu.

- Co mogę dla pana zrobić, panie Jones? - zapytał Sasza, witając gościa serdecznym uściskiem. - Kiedy znów zobaczę twojego Marcusa w żółtej koszulce? Przydałby mi się ktoś jego wzrostu w obronie.

Radny uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Przejdę od razu do rzeczy, Sasza. Wszyscy gadają: rada, rodzice zawodników, chłopaki z pierwszej drużyny, wszyscy. Mamy w tym parku jedno z najlepszych boisk w kraju. Mad Dogs był prawdopodobnie największym klubem w hrabstwie - od siedmiolatków aż po ligę okręgową.

- Bez obaw, odbijemy się - wyszczerzył się Sasza. - Ubezpieczalnia próbuje wykręcić się od zapłacenia za budynek, ale

napuściłem na nich mojego adwokata. Kiedy szum przycichnie, zawodnicy zaczną wracać.

- Może i tak - bąknął niepewnie Jones. - Ale boiska należą do rady i chcemy, żeby były używane. Nie interesuje nas, że zawodnicy zaczną wracać za kilka lat, kiedy nasze dzieci dorosną. Chcemy oglądać tu piłkę w przyszłym tygodniu.

Saszy zrzęda mina.

- To powiedz im, żeby włożyli stroje i przyszli grać.

Radny chrząknął i zaczął mówić, starając się opanować drżenie głosu.

- Sasza, wykonałeś kawał wspaniałej roboty, wspierając młodzieżowy futbol w naszej społeczności, ale twoje, ehm... twoja reputacja stała się jakby kamieniem, no wiesz... ciężarem. Z nowym prezesem i komitetem Mad Dogs FC stanęliby na nogi w ciągu...

Sasza złapał radnego za klapy i grzmotnął go głową w nos.

- Moje, kuźwa, co?! - wrzasnął, a radny zatoczył się w tył, podnosząc dłonie do zakrwawionej twarzy.

- Posłuchaj, bądź rozsądny - błagał Jones, ale Sasza podszedł do niego z zaciętą miną i wbił mu pięść w twarz.

- To jest mój klub! - krzyknął. - Przez całe życie mieszkam po drugiej stronie ulicy. Zanim założyłem Mad Dogs, rosła tu trawa po kolana i nie można było przejść dwóch kroków, żeby człowiek nie kopnął w puszkę po coli albo nie pośliznął się na psim gównie.

Sasza był znacznie większy od swojego przeciwnika. Następny cios trafił cofającego się radnego w żołądek, składając go wpół i powalając w błoto.

- Taki jesteś cwany na swoim rajcowskim stołku, wydzwaniając do koleżków za moimi plecami? - krzyczał Sasza. - Zobaczmy, jaki cwany będziesz teraz.

James i pozostali zawodnicy patrzyli bez słowa, jak Sasza unosi stopę w ubłoconych korkach i z całej siły opuszcza ją na

swoją ofiarę. Na głowę i tors radnego spadł grad ciosów, który ustał dopiero, gdy nieszczęśnik skulił się w błocie, odsłaniając ziejącą ranę w potylicy.

- Teraz zadowolony? - ryknął Sasza, biorąc krótki rozbieg, by wykończyć radnego kopniakiem w brzuch. - Beze mnie nie ma Mad Dogsów i każdy, kto nie potrafi z tym żyć, może od razu iść się wycmoktać.

To była najbardziej jednostronna bójka, jakiej James kiedykolwiek był świadkiem. Co gorsza, kumple Saszy tylko gapiili się obojętnie, kiedy gangster zawisł złowrogo nad nieprzytomnym mężczyzną. Minęło pół minuty, nim Sasza odzyskał oddech, ale James miał wrażenie, że upłynęły wieki.

- Będzie żył - uśmiechnął się drwiąco Sasza, kiedy wreszcie odsunął się od ofiary. - Zawieźcie go do szpitala i dobrze pilnujcie. Jak dojdzie do siebie i zacznie pyskować, przypomnijcie mu, że wiem, gdzie mieszka jego ukochana mama.

Większość gapiów stanowili twardziele, którzy widzieli już niejednen pokaz przemocy, ale nikt nie wiedział, jak się zachować.

Sawas i dwaj inni gangsterzy odkleili radnego od błota i powlekli w stronę parkingu.

- A wy co tak stoicie?! - krzyknął Sasza, odwracając się w stronę boiska i rozkładając ręce. - To chyba klub piłkarski, więc idźcie grać w cholerną piłkę.

Nikt nie zamierzał się z nim spierać. Trener rozwiązanej pierwszej drużyny zadał w gwizdek i wszyscy w strojach piłkarskich ruszyli na boisko.

- Zimny jak gład totalny psychol - powiedział Junior z podziwem tuż za uchem Jamesa, który nie usłyszał nadejścia kolegi i zaskoczony obejrzał się gwałtownie. - Znam paru gości, którym chciałbym zrobić to samo. Na początek wziąłbym tego kutafona kuratora.

Jamesa uczono, jak radzić sobie z wszelkiego rodzaju paszkodnymi sytuacjami, ale to, co zrobił Sasza, podziało nań jak kopniak w brzuch.

- Zdarzyło się, że załatwił kogoś jeszcze gorzej? - zapytał Bruce.

Junior wzruszył ramionami.

- Ja nie widziałem, ale słyszałem, że robił znacznie gorsze rzeczy. No nieważne, słuchajcie, wiem, że dorwaliście tę fuchę przy taśmach. Jestem kompletnie splukany, więc może pożyczylby mi który trzy dychy.

- Wisisz mi już pięćdziesiąt - odparł James.

- No weź - błagał Junior. - Sasza nie daje mi żadnej roboty, matka nie wypłaca kieszonkowego, bo niby że mam szlaban, a portmonetkę April wskrobałem do czysta.

Bruce skrzywił się z niesmakiem.

- Okradasz własną siostrę? Ale żal, stary.

Junior pokazał mu środkowy palec.

- Moja broszka, kogo skubię.

- Kiedy tylko będziecie gotowe, dziewczynki - zawołał trener, łypiąc na trzech chłopców z kręgu w centrum boiska. - Rozgrzewkę zaczniemy od biegu wahadłowego.

Junior jęknął.

- Co za gówno. To miała być niedzielna liga, gra dla przyjemności, a teraz ten nazista będzie nas katował, jakby wciąż prowadził główną drużynę.

- Cienias - wyszczerzył się James. - Nie wyrabiasz tylko i wyłącznie z powodu tego gówna, które pchasz sobie do nosa.

Junior obejrzał się, żeby sprawdzić, czy Sasza wciąż jest w pobliżu.

- Urwałbym się od razu, tylko że potem Sasza odgryzłby mi łeb. Ale przysięgam, to ostatni raz, jak tu przychodzę.

Podczas gdy piłkarze ustawiali się wzdłuż linii środkowej przed biegiem wahadłowym, James uświadomił sobie, że nie



tylko Junior ma poczucie, że znajduje się w niewłaściwym miejscu. Czołowi gracze chcieli czegoś soczystszego niż futbol knajpianej ligi, niedzielnym amatorom nie w smak były biegi wahadłowe, a zawodnicy z grup młodzieżowych chcieli wrócić do swoich drużyn, gdzie grali ich koledzy.

Sasza Thompson mógł wdeptać w błoto tyłu ludzi, ilu miał życzenie, ale nie mógł zmienić tego, że atak Rzeźników był początkiem końca Mad Dogs FC.

\*

Po dwudziestu minutach trener miał dość narzekania i odpuścił sobie poważny trening. Podzielił graczy na dwie dziesięcioosobowe drużyny, jednej z nich wręczył czerwone znaczniki treningowe, po czym zarządził mecz i oddalił się, by posiedzieć na ławce obok Saszy.

Po kilku minutach gry James zdecydował się na rozpaczliwy wślizg na prawym skrzydle. Oczywiście fatalnie obliczył moment i był zawodnik pierwszej drużyny przeskoczył nad nim, nawet nie zwalniając biegu, ale James, zanim wstał, ukradkiem wysunął z kieszeni szortów odłamek szkła i przeciągnął ostrą krawędzią po łydce. Był zbyt wielkim tchórzem, by nacisnąć mocno i przy pierwszej próbie nawet nie zadrasnął skóry, ale już przy drugiej udało mu się zrobić nacięcie i użyć lekkie krwawienie.

- Auuuu - jęknął, rozglądając się za Bruce'em.

Bruce spodziewał się kontuzji kolegi i wyrósł przy nim niemal natychmiast. Przekrzywił głowę, by zerknąć na ranę i cmoknął pogardliwie.

- To ledwie draśnięcie, pajacu. Jak pokażesz to Saszy, ze śmiechu odpadnie mu dupa.

- Wal się - odparował James, robiąc nadąsaną minę. - Jest kupa krwi.

- Daj mi to szkło - powiedział Bruce, rozglądając się wokół.

Na szczęście gra toczyła się chaotyczną przepychanką przy odległej bramce i jedyni widzowie - Sasza i trener - stracili resztki zainteresowania żalosną namiastką treningu.

- Wiem, jaki ty jesteś - powiedział James. - Tylko nie przeginaj, dobra?

Bruce zgiął się w przód, jakby oglądał ranę Jamesa, po czym znieczulając wcisnął krawędź szkła w draśnięcie na jego łydce i rozorał je zdecydowanym pociągnięciem w dół.

- Ożeż ty... - zachłysnął się James, łapiąc się za pulsującą bólem nogę. Chętnie by wrzasnął, ale musiał się powstrzymać, bo teoretycznie odniósł kontuzję pół minuty wcześniej.

- Teraz wygląda o wiele lepiej - pokiwał głową Bruce, patrząc na strugę krwi spływającą Jamesowi po łydce i wsączającą się w zrolowaną skarpetę.

- Coś ty zrobił? - wysyczał James, łapiąc Bruce'a za rękę, by z jego pomocą dźwignąć się z błota. - Wykrwawię się na śmierć.

- Nie przesadzaj. - Bruce machnął ręką i potruchtał w stronę ławki.

- No co tam, mistrzu? - rzucił Sasza bez zainteresowania, patrząc na Bruce'a i kuśtykającego za nim Jamesa.

- Mój kuzyn rozciął nogę - wyjaśnił Bruce, wyciągając przed siebie zakrwawiony odłamek szkła. - Mamy tu jakąś apteczkę?

Do tego czasu James znalazł się na tyle blisko Saszy, by ten mógł ocenić stan jego nogi.

- Wezmę apteczkę z busa - powiedział trener ku ogromnemu zaniepokojeniu chłopców.

- Daj spokój - powiedział Sasza, pochylając się, by obejrzyć ranę Jamesa. - Nie oczyścisz tego bez bieżącej wody. Idź do mnie i moja żonka zrobi z tym porządek. Była pielęgniarką; będzie wiedziała, co zrobić.

## 34. WANNA

- Zadziałało bezbłędnie - uśmiechnął się Bruce, pomagając Jamesowi przekuścić przez pusty parking.

- Palant z ciebie - jęknął James. - Wiesz, że mam niski próg odporności na ból.

- To tylko ładny sposób na powiedzenie, że jesteś miękki.

Zanim dotarli do głównej bramy, James zdążył częściowo rozchodzić ból i nie potrzebował już pomocnej ręki kolegi pod ramieniem. Gdy zbliżyli się do ulicy, Bruce skoczył za drzewo i podniósł mały plecak, który Chloe podrzuciła tam pół godziny wcześniej. Było w nim wszystko, czego potrzebował, ukryte pod kłębem brudnych ubrań sportowych: mały palmtop z wbudowanym dyktafonem i aparatem fotograficznym, dwa miniaturowe urządzenia podsłuchowe oraz paralizator na wypadek, gdyby coś poszło bardzo źle.

Zadzwonili do drzwi i zamarli ze zdumienia, kiedy otworzyła im szesnastoletnia Lois Thompson. W szarych spodniach dresowych z wyszarpaną dziurą na kolanie i ogromnej koszulce piłkarskiej Luton Town FC, która musiała należeć do jej ojca, wyglądała, jakby spędzała samotny wieczór przed telewizorem.

- Hej - powiedział Bruce. - James rozciął nogę. Jest twoja mama?

- Tata was przysłał? - skrzywiła się Lois. - Kurczę, przecież wie, że w poniedziałki mama chodzi do Strażników Wagi.

- Och... - stęknął Bruce i wymienił niepewne spojrzenia z Jamesem.

Lois przyglądała się ranie.

- Wygląda nieładnie - orzekła. - Jak chcesz, to mogę rzucić na to okiem. Jak byłam mała, należałam do St. Johns Ambulance.

- Mogłabyś? - ucieszył się James. - Mam strasznie daleko do domu.

- Spróbuj nie zachłapać wszystkiego krwią. - Lois wpuściła chłopców do przedpokoju. - Mamy nowy dywan i mama dostaby kota.

- Wielkie dzięki - powiedział James, schylając się, żeby ściągnąć buty.

- Zostaw na wycieraczkę - uśmiechnęła się dziewczyna. - Apteczka jest w dużej łazience na piętrze. Dasz radę wejść po schodach?

James odwzajemnił uśmiech.

- Złapię się barierek i pokicam.

Lois zmierzyła wzrokiem Bruce'a, nie bardzo rozumiejąc, czemu i on zdjął buty.

- A ty co, nie wracasz na trening?

- Co? A, no bo...

- Nic tam się dzisiaj nie dzieje - pospieszył z pomocą James. - Słuchaj, nie mógłby na mnie poczekać? A jak będę potrzebował pomocy przy zejściu ze schodów czy coś?

- Dobra, zostań - machnęła ręką Lois. - Jesteś Bruce, prawda?

Bruce skinął głową.

- Coś ci powiem, Bruce, obaj wyglądacie na deczko przemarzniętych. Idź do kuchni i zaparz herbatę, okej? Są tam też tony różnych ciastek, jeśli lubicie.

Bruce na chwilę stracił głowę, kiedy dziewczyna otworzyła im drzwi, ale teraz uświadomił sobie, że łatwiej mu będzie działać, skoro w domu jest tylko Lois, a to, że zostawiła go samego na dole, było wprost wymarzoną okolicznością.

Kiedy Bruce skręcił w stronę dostatnio wyposażonej kuchni Thompsonów, James okręcił zranioną nogę koszulką, żeby nie nabrudzić, i zaczął mozolnie wspinać się po schodach.

- Pierwsze drzwi z lewej - powiedziała Lois.

Sięgnęła za Jamesem w ciemność i pociągnęła za sznurek włącznika, rozświetlając pomieszczenie o rozmiarach sypialni Jamesa w kampusie. Była tam wielka narożna wanna, stos kolorowych pisemek obok muszli klozetowej, oddzielna kabina prysznicowa i wiklinowy fotel ustawiony przed okrągłym oknem.

- Siadaj - poleciła Lois, rzucając ręcznik kąpielowy na siedzisko fotela, żeby ochronić je przed błotem. - Umyję gąbką, co się da, ale potem musisz odmoczyć to w wannie. Zabandażuję ci nogę, kiedy będziesz czysty.

- Ekstra. - James skinął głową, siadając w fotelu i wyciągając przed siebie umorusane nogi.

- Podnieś nogę, żebym mogła obejrzeć tę ranę - powiedziała Lois, pochylając się nad wanną i odkręcając kurki.

- Fajny masz dom - wyszczerzył się James.

- Ale i strasznych starych. - Lois odpowiedziała kwaśnym uśmiechem, klękając na jednym kolanie, by ściągnąć Jamesowi skarpetkę. - W Zoo przynajmniej jesteście wolni jak ptaki.

\*

Dom był duży, a Bruce musiał mieć pewność, że z mieszkańców jest w nim tylko Lois. Wyszorowawszy ręce nad zlewem, nastawił wodę w czajniku, a potem zgarnął swój plecak i wymknął się do przedpokoju.

W samych skarpetkach poruszał się niemal bezgłośnie. Pierwszym krokiem było otworzenie drzwi prowadzących do piwnicy; Bruce ostrożnie zajrzał w dół drewnianych schodów i z zadowoleniem skonstatował, że wszystkie światła są zgaszone i piwnica wydaje się wymarła. Nie zwlekając, pobiegł korytarzem na parterze, sprawdzając, czy salon i jadalnia są puste, by na koniec otworzyć drzwi gabinetu Saszy.

Pokój był przestronny, urządzonej w jednolitym stylu meblami biurowymi z Ikei. Najdłuższą ścianę w całości zajmowały półki wyładowane książkami. W większości były to historie klubów piłkarskich oraz biografie sławnych piłkarzy. Na szafie z aktami stały dwa nieco nadtopione puchary uratowane z pogorzeliska po siedzibie klubu Mad Dogs FC.

Bruce wyjął z plecaka palmtop i za jego pomocą zatelefonował do Chloe.

- Jestem teraz w jego gabinecie - wyszeptał. - James jest na górze; Lois go opatruje. Jesteś na miejscu?

- Siedzę w samochodzie zaraz po drugiej stronie ulicy - odpowiedziała Chloe. - Jeśli ktokolwiek wejdzie do domu lub z niego wyjdzie, dowiesz się o tym pierwszy.

- Muszę powiedzieć, że nie wygląda to obiecująco - powiedział Bruce. - Nic, tylko piłka, piłka i piłka.

- Sasza ma gliny na karku od wieków. Jest zbyt sprytny, by zostawić w domu cokolwiek oczywistego. Pamiętaj, co ci mówiłam: szukaj dokładnie i bądź wyczulony na drobne ślady.

- Jasna sprawa. - Bruce zakończył połączenie i otworzył oprawny w skórę terminarz leżący na biurku Saszy.

Kalendarzyk nie zawierał niczego nadzwyczajnego; zapiski dotyczyły badań lekarskich w związku z chorym kolaniem, spotkania w sprawie ubezpieczenia budynku klubu, wizyt w warsztatach samochodowych. Ale zamykając książeczkę, Bruce

zauważył kilka numerów telefonów zanotowanych na wewnętrznej stronie okładki, i sfotografował je za pomocą palmtopa.

Skończywszy z terminarzem, zajął się szufladami biurka. Wśród długopisów, spinaczy i gumek recepturek leżały dwa CD-ROM-y, ale w gabinecie nie było żadnego komputera, a Bruce nie miał pod ręką sprzętu do kopiowania. Drugą szufladę zapełniały stare fotografie, zaś dolna duża szuflada na akta okazała się prowizorycznym barkiem pełnym częściowo opróżnionych butelek po wódce i brandy.

Dopiero kiedy wysunął szufladę do samego końca, Bruce zauważył dwa stare telefony Nokia wciśnięte pomiędzy duże butelki Jacka Danielsa i Cuervo Gold. Wyglądały raczej na tanie modele. Mogły być po prostu telefonami, których Sasza Thompson już nie używał, ale osobiście celowy sposób, w jaki włożono je między butelki, dał Bruce'owi do myślenia.

Podczas gdy policji łatwo jest szpiegować telefony stacjonarne, łącza internetowe i komórki na abonament, telefony na kartę doładowywaną za gotówkę są całkowicie anonimowe. Co więcej, są dość tanie, by przestępca mógł wymieniać je co kilka tygodni, na wypadek gdyby policja namierzyła jeden z aparatów.

Podeksycytowany odkryciem Bruce położył telefony na biurku i włączywszy je, patrzył, jak szaro-czarne wyświetlacze migoczą ekranami powitalnymi. Z ulgą stwierdził, że żaden z aparatów nie wymaga wprowadzenia numeru PIN. Kiedy tylko zasygnalizowały wykrycie sieci, wystukał na każdym z nich kombinację \*#06#, wywołując na ekrany numer IMEI: indywidualny kod identyfikacyjny telefonu. Następnie przełączył palmtop na tryb nagrywania głosu i starannie odczytał numery, po czym odłożył obie komórki dokładnie tam, gdzie je znalazł.

Bruce rozejrzał się i postanowił, że jego następnym ruchem będzie przetrząśnięcie szafy z aktami, a potem przejrzenie półek na wypadek, gdyby Sasza ukrył coś wśród książek.

\*

Na górze Lois przesunęła dłonią po udzie Jamesa, wpatrując się w czysty prostokąt skóry wokół rany.

- Nie jest taka głęboka - wymamrotała. - Mam takie plastry, które powinny przytrzymać brzegi rozcięcia. Powinno zagoić się bez śladu.

Lois cofnęła się i zabeltała dłonią czystą wodę w wannie.

- Dla mnie jest okej - powiedziała, przekrzywiając głowę. - Nie nalewałam płynu ani niczego, bo mogłoby cię szczypać.

- A tego wolałbym uniknąć - uśmiechnął się James. - Jestem totalnym mięczakiem.

- Nie wyglądasz na mięczaka - zauważyła Lois z nutką podziwu w głosie, kiedy James podszedł do wanny. - Trenujesz coś?

James wzruszył ramionami.

- Czasem jakieś ciężary i takie tam. Nic specjalnego.

Zapadła niezręczna cisza. Żeby wejść do wody, James musiał zdjąć szorty i bokserki, ale Lois stała niespełna metr od niego i najwyraźniej nigdzie się nie wybierała.

- Nie musisz się wstydzić - powiedziała, uśmiechając się kącikiem ust. - Widziałam wielu gołych chłopaków.

James nie chciał wyjść na pruderyjnego świętoszka, ale nie podobał mu się pomysł paradowania nago przed córką Saszy. Wybrał rozwiązanie polegające na odwróceniu się przodem do wanny i szybkim zsunięciu szortów, tak by Lois zobaczyła tylko pośladki i tylko przez krótką chwilę, ale nim zanurzył się w gorącej wodzie, dziewczyna litościwie odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi łazienki. Odetchnął przekonany, że zostanie sam, zanim namydli gąbkę, ale Lois, zamiast wyjść, zamknęła



zasuwkę i ściągnęła przez głowę za dużą koszulkę Luton Town, by podejść do wanny w jaskrawopomarańczowym staniu sportowym.

- I co teraz powiesz? - wyszczerzyła się, sięgając za plecy, by rozpiąć haftki.

- Przestań! - parsknął James. - Bez obrazy, Lois, ale gdyby twój tata dowiedział się o tym, zabiłby mnie... powoli i w męczarniach.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała Lois uspokajającym tonem. - Mama nie wróci jeszcze długo, a tato, jak przyjdzie, od razu zejdzie do piwnicy grać w karty.

- Ale... - zająknął się James.

Lois była seksowna, a do tego chętna, ale obraz tego, co jej potężnie zbudowany ojciec zrobił radnemu, nie dawał Jamesowi spokoju.

- Jesteś w Luton od niedawna, a z tego, co słyszałam od Kółka, raczej nie masz dziewczyny - powiedziała Lois, ściągając w dół spodnie od dresu.

James zaniemówił na widok braku bielizny. Dziewczyna otworzyła szafkę i rzuciła kondomem w kwadratowej paczuszce niczym frisbee przez całą łazienkę. Prezerwatywa odbiła się Jamesowi od ramienia i plusnęła do wody.

- A to po co? - zapytał idiotycznie James.

Pałała go twarz, z trudem łapał oddech i na wpół spodziewał się, że za chwilę obudzi się, by odkryć, że to był tylko sen.

- Skąd mam wiedzieć, gdzie się szlajałeś? - wyszeptła Lois, wstępując do wody i całując Jamesa w szyję. - Twój kumpel szwenda się na dole, więc jeśli chcesz się zabawić, to lepiej się pospiesz.

## 35. SZYMON

James schodził po frontowych schodach domu Saszy otępiały jak zombi. Po kąpieli kręcił nosem na swoje brudne ciuchy, więc Lois wygrzebała mu skądś stary dres ojca i sportowe buty. Wszystko było na niego o wiele za duże, ale w tamtej chwili była to najmniejsza z jego trosk.

Fakt, że przed chwilą stracił dziewictwo, ciążył mu niczym trzystukilowy goryl na karku. Na domiar złego Lois znacząco nadmieniała, że James może odnieść ciuchy z powrotem, kiedy tylko przyjdzie mu ochota.

- Dziwnie się zachowujesz - zauważył Bruce po chwili milczącego marszu w stronę przystanku. - Wszystko w porządku?

- Jasne, że tak - powiedział bez przekonania James, wzsuszając ramionami. - Jak poszły poszukiwania?

- Nieźle. Marudziliście z Lois przez wieki, więc miałem okazję, żeby przeszperać wszystko. Mam identyfikatory dwóch komórek na kartę, porobiłem foty paru ciekawym wizytówkom, a nawet zrobiłem szybką rewizję kredensów w salonie. Raczej nie mam żadnych rewelacji, ale kto wie, może coś się z tego urodzi.

- Te komórki brzmią nieźle - powiedział James nieco wymuszonym tonem.

Niełatwo mu było skupić się na rozmowie. Tętno kompletnie mu zwariowało, a w głowie dwutysięczny chór śpiewał: „Właśnie uprawiałeś seks!”.

- Na pewno wszystko w porządku? - zapytał jeszcze raz Bruce. - Coś błądy jesteś i taki jakiś trzepnięty.

James marzył o tym, żeby Bruce przestał gadać i pozwolił mu wreszcie pozbierać myśli.

- To pewnie przez to rozcięcie - burknął z irytacją. - Wcisnąłeś szkło za głęboko.

- A wiesz, co jest dziwne? - zagadnął Bruce, spoglądając na kolegę z ukosa i lekko unosząc brew.

- Co?

- Pamiętasz, jak Lois poprosiła, żebym zaparzył herbatę? James skinął głową.

- No więc jak już przeszukałem gabinet Saszy, to zrobiłem tę herbatę, a skoro wy nie schodziliście, to poszedłem na górę.

- Co zrobiłeś?! - James zmartwił.

- To było dziwne. - Bruce uśmiechnął się krzywo. - Kiedy poszedłem do łazienki, usłyszałem wodę rozchłapywaną po całej podłodze. Ty wydawałeś takie niskie jęczące dźwięki, a kiedy to ucichło, mógłbym przysiąc, że słyszałem, jak Lois mówi: „Nie byłeś taki zły jak na prawiczka”.

James uświadomił sobie, że został zdemaskowany.

- Bruce, ona normalnie rzuciła się na mnie. Nie wolno ci nikomu powiedzieć...

- Myślisz? - zaśmiał się Bruce. - Sasza powiesiłby cię za mosznę, a Dana... Cóż, powiedzmy, że nie byłaby zachwycona, gdyby się dowiedziała.

James zdążył już znienawidzić swoją reputację flirtiarza nieustannie zdradzającego partnerki i naprawdę zależało mu na Danie.

- To nie była moja wina, rozumiesz? - zawołał. - Lois zamknęła drzwi na zasuwkę i ani się obejrzałem, jak siedziała mi w wannie.

Bruce nie słuchał.

- Ale ty jesteś farciarz. Laska ma naprawdę niezłe ciało, I co, było tak zajebiście, jak wszyscy mówią, że jest?

James poczuł coś na kształt dumy z powodu tego, że oto wkroczył w świat dorosłych, podczas gdy Bruce wciąż był skazany wyłącznie na domysły.

- Było okej. - Wzruszył ramionami. - Fajnie było to zrobić i w ogóle, ale Lois cały czas strasznie się rządziła i jakoś nie tak to sobie wyobrażałem.

- Samica dominująca - zachichotał Bruce. - Ty perwersie. Kerry pęknie, jak jej powiem.

- Na miłość boską, nie wolno ci powiedzieć nikomu, słyszysz! Bruce, przysięgnij mi. Poza tym mam dopiero piętnaście i pół roku; wywalą mnie, jeśli się dowiedzą.

Ale Bruce był tak pijany śmiechem, że ledwie mógł ustać na nogach.

- Córkę Saszy! - zawył. - Ty mały jurny koguciku!

James poczuł wzbierającą irytację.

- Zamkniesz się wreszcie? Jest ciemno i nie wiadomo, kto tędy łązi.

- Sorka - wyszczerzył się Bruce, ocierając łzy rękawem bluzy. - Nie bój się, jestem twoim kumplem i tylko żartowałem o tym, że powiem Kerry, ale...

Nie zdołał dokończyć zdania. Śmiał się tak bardzo, że musiał przystanąć i zgiąć się wpół, ściskając brzuch w obawie, że za chwilę pęknie.

\*

Umówili się z Chloe na przystanku, około kilometra od domu Saszy, po czym czekała ich krótka przejażdżka do jej hotelu w pobliżu centrum miasta. Kiedy wreszcie przybyli na miejsce, było już po jedenastej, ale ponieważ ich gangsterski styl życia opierał się na wieczorach trwających do rana i wstawaniu około południa, chłopcy wcale nie byli zmęczeni.

- Wyglądałeś, jakbyś się z czegoś śmiał - zauważyła Chloe, wpuszczając Jamesa i Bruce'a do swojego pokoju.

Przez sekundę James myślał, że Bruce znowu wybuchnie, ale ten, jeśli nie liczyć nerwowego parsknięcia, zdołał się jakoś opanować.

- Powiesz mi, co cię tak rozbawiło? - naciskała Chloe.

- Och, nic takiego - skłamał Bruce. - Przypomniałem sobie taką jedną staruszkę z odpicowanym pudłem ostrzyżonym w pompony. Te psy niesamowicie mnie rozśmieszają.

Chloe popatrzyła na Bruce'a chłodno.

- Nigdy nie przestanę cię zadziwiać, co nastoletni chłopcy uważają za zabawne - powiedziała po krótkiej pauzie. - Mam laptopa połączonego z komputerem policji. Mówiliście, że macie jakieś numery telefonów...

Bruce zarechotał triumfalnie, siadając przy niedużym hotelowym biurku, i wyjął z plecaka palmtop.

- Przede wszystkim mam numery dwóch komórek na karty - powiedział z dumą. - Przepuścić je przez system?

- Oczywiście. - Chloe skinęła głową. - Jeżeli wiesz, jak to zrobić.

Bruce uruchomił palmtop i odtworzył nagranie, na którym wymienił numery i identyfikatory znalezionych telefonów. Teoretycznie sprawdzenie billingów telefonu wymaga uzyskania zgody sędziego, ale w praktyce służby wywiadowcze mają nieograniczony dostęp do baz danych wszystkich operatorów na rynku. Jeżeli znajdą coś interesującego, zawsze mogą poprosić o zgodę antydatowaną.

Kiedy na ekran laptopa wypłynęła długa lista numerów telefonicznych, Bruce z zadowoleniem zauważył, że obie komórki były intensywnie wykorzystywane aż do bieżącego wieczoru.

- Wydrukuj wszystko - poleciła Chloe. - Nie mam tu programu do analizy, więc będziemy musieli przerobić to sami.

W czasie trwania misji James, Michael, Bruce i Gabriella, gdzie tylko mogli, zbierali numery telefonów gangsterów. Grube ryby, takie jak Sasza i Major Dee, zacierały ślady, regularnie

zmieniając komórki, ale większość ich żołnierzy używała jednego aparatu. Pomimo to lista liczyła już ponad sto numerów.

Kiedy trzy miesiące telefonicznych rozmów Saszy zostały wypłute na tackę drukarki laserowej, Chloe podzieliła dwadzieścia stron wydruku na trzy sterty i wręczyła po jednej chłopcom. Każdy z nich złapał długopis i zaczęło się oznaczanie numerów.

- 078389 to domowy Sawasa - powiedział Bruce. - 25614 to któryś z telefonów Kółka.

Chloe i James przeszukiwali swoje listy, zapisując nazwisko osoby, do której dzwonił Sasza, przy każdym przypadku wybrania danego numeru. W ciągu dziesięciu minut za pomocą książki telefonicznej z wyszukiwaniem według numerów oznaczyli większość numerów i wyeliminowali kilka nieistotnych, takich jak telefon warsztatu, gdzie Sasza naprawiał samochód.

- Mam tu jeden dziwny numer, który pojawia się prawie co drugi dzień - powiedział James wyciągnięty na hotelowym łóżku. - Komórka, kończy się na 42339.

Chloe skinęła głową i przesunęła palcem wzdłuż listy telefonów Wściekłych Psów.

- Tak, też to mam. To niezarejestrowana komórka, ale nie ma jej na liście.

- A właśnie, że jest - zawołał Bruce, machając swoją kopią listy. - 42339, Szymon Bentine.

- Gdzie? - Chloe zmarszczyła czoło, przesuwając paznokiec po liście już po raz trzeci. - Nie widzę go.

Bruce był nad wyraz dumny ze swojego odkrycia.

- Bo ja używam nie tylko naszej listy - wyjaśnił. - To lista Michaela i Gabrielli.

- Co ty chrzanisz? - podniecił się James, wyrwijąc koleżdze kartkę, by potwierdzić, że numery się zgadzają. - Kurde, masz rację... Tylko kto to jest Szymon Bentine?

- Pojęcia nie mam, ale Michael powinien wiedzieć - powiedziała Chloe, wyjmując komórkę z szafki obok łóżka.

Wystukała numer.

- Hej, Michael, to ja, jesteś sam?

- Chloe - powiedział ciepło Michael. - Cześć, możemy śmiało gadać, jadę taksówką na jakąś imprezkę.

- Brzmi zachęcająco - uśmiechnęła się Chloe. - Posłuchaj, jestem w hotelu z Jamesem i Bruce'em. Mamy billing z nie zarejestrowanego telefonu znalezionej w domu Saszy Thompsona. Wygląda na to, że Sasza poświęca całkiem sporo impulsów na pogawędki z niejakim Szymonem Bentine'em. Mówi ci coś to nazwisko?

Michael był wyraźnie wstrząśnięty.

- Szymon? Powiedziałaś, Szymon?

- Dokładnie tak powiedziałam. Kto to jest?

- To księgowy Majora Dee. Spotkałem go tylko parę razy. Około pięćdziesiątki, nie przypomina innych Rzeźników. Garniak w prążki, ciemnoniebieski mercedes klasy E, dyskretna elegancja bez ostentacji, no wiecie, żadnych złotych łańcuchów, gadżetów i tym podobnych.

- Zatem to raczej zaskakujące, że ten człowiek niemal codziennie rozmawia przez telefon z Saszą Thompsonem, prawda? - zapytała Chloe.

- Chloe, to jest bomba - wypalił Michael podekscytowany. - To przełom, na który wszyscy czekaliśmy. Szymon zawsze wie, kiedy Major Dee robi duży interes, bo to on zajmuje się finansami.

- Wściekłym Psom nieraz zdarzyło się przechwycić transport narkotyków dla Dee - zauważyła Chloe.

- Właśnie - przytaknął Michael. - Nie jest wykluczone, że to Szymon zaczął całą tę wojnę, zdradzając Saszy, gdzie Dee trzyma swoją kokę.

- Dzięki za pomoc - uśmiechnęła się Chloe. - To brzmi obiecująco. Odezwe się, jak tylko dowiem się czegoś więcej.

- Dobre wieści? - zapytał Bruce, kiedy Chloe odłożyła telefon.

- Lepsze być nie mogły - odpowiedziała koordynatorka. - Mogłabym cię nawet uściskać, gdybyś nie miał na sobie połowy błota z boiska Mad Dogsów.

- Czyli wygląda na to, że Szymon Bentine jest wtyczką Szasy w gangu Rzeźników - powiedział James. - I co z tym zrobimy?

Chloe wzruszyła ramionami.

- Porozmawiam z Maureen i Zarą. Musimy porządnie to przemyśleć, ale z pewnością jest to coś, co będziemy mogli wykorzystać.



## 36. META

Było już grubo po pierwszej, kiedy James nareszcie dotarł do Zoo, ale i tak nie mógł zasnąć. Dręczył go niepokój, a w głowie pojawiały się wciąż te same pytania: „Czy można ufać Bruce'owi, że nie roztrąbi wszystkiego w kampusie? Czy Sasza mogłby się dowiedzieć? A Dana...?”. Czasem człowiek nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo jest z kimś związany, dopóki nie zaryzykuje jego utraty.

James nigdy nie powiedział Danie, że ją kocha, ale coraz bardziej uświadamiał sobie, że tak jest. Była niesamowicie zabawna i uwielbiał to, jak snuła się po kampusie w obszarpanych ciuchach, nie dbając o to, co ludzie o niej myślą. Danie udawało się być seksowną bez gipsowania twarzy tonami makijażu, a to, że przychodziło jej to bez najmniejszego wysiłku, tylko dodawało jej atrakcyjności.

Z drugiej strony być może jest to osobliwa właściwość piętnastolatków, a może po prostu mężczyzn - autentyczny kac moralny z powodu zdradzenia swojej dziewczyny zupełnie nie przeszkadzał Jamesowi w marzeniach o następnym spotkaniu z Lois. Nie była najbardziej zachwycającą osobą na świecie, ale miała świetne ciało, a on chętnie posmakowałby seksu na spokojnie, a nie wzięty z zaskoczenia i w ciężkim szoku.

Wreszcie James zaniechał prób zażnięcia. Szarpnął zasłonkę, wpuszczając wąską smugę światła, i otworzył tandetne broszurowe wydanie biografii jakiegoś mistrza dwóch kółek,

które znalazł przyklepione do okładki najnowszego numeru pisma motocyklowego. James nie był znawcą literatury, ale już po pięciu stronach zorientował się, z jakim badziewiem ma do czynienia, wrócił więc do rozmyślań o nagiej Lois w wannie. Z marzeń wyrwał go dzwonek komórki.

Była za trzy szósta, kiedy na ekranie zamigotał identyfikator dzwoniącego: Kółko.

- Cześć, Kółko - powiedział James.

Dzwonek obudził Bruce'a, który usiadł na łóżku, trąc oczy pięściami.

James omal nie połknął własnego języka, kiedy usłyszał głos w słuchawce.

- No dobra - powiedział Sasza. - I jak tam, jesteśmy dziś w formie?

- Eee... tak - bąknął James. Głos w jego głowie wciąż powtarzał: „Bzyknąłem twoją córkę”.

- Przepraszam za skandaliczną porę, James, ale właśnie zadzwonił do mnie przyjaciel. Jedziemy na Rudge zając się tym biznesem, który planowaliśmy.

- Jasne - skinął głową James.

- Nie zamierzałem cię zabierać, ale dwaj moi chłopcy są chwilowo zajęci innymi sprawami, a to musimy rozegrać w ciągu najbliższych paru godzin. Poza tym chyba już czas, żebyś docenił twoją lojalność. Przyszedełś na trening, kiedy inni odwrócili się plecami.

Kiedy Sasza wspomniał o lojalności, James zląkł się, że gangster w jakiś sposób dowiedział się o jego przygodzie z Lois.

- Dzięki - powiedział słabym głosem.

- Nie będzie to piknik, ale jeżeli nie pękasz, to za kwadrans wpadnę po ciebie i twojego kuzyna. Dostaniecie po tauzenie na łeb, a ponieważ uczciwy ze mnie gość, jeżeli dobrze nam pójdzie, pomyślimy może o małej premii.

- Dobra, ale... - wymamrotał James, wciąż denerwując się sprawą Lois. - To znaczy... oczywiście. Już wstajemy i się ubieramy.

- Kółko twierdzi, że macie kamizelki kuloodporne i jakieś dwa tycie pistoleciki. Czy to prawda?

- Tak.

- Skąd je wytrzasnęliście? - zapytał Sasza wyraźnie zaintrygowany.

- Od gościa, dla którego zrobiliśmy parę fuch w Szkocji. Nie mógł nam zapłacić, ale miał tonę lewej broni i trochę kewlarowych ubranek rąbniętych z jakiejś bazy wojskowej.

- Masz amunicję?

- Jeden magazynek - odpowiedział James. - Bruce tak samo.

- Dobra - westchnął Sasza. - Włóżcie te kamizelki i weźcie broń, ale być może będę musiał zwiększyć wam siłę ognia. Macie być na dole, kiedy przyjadę, albo bardzo się zdenerwuję.

- Bez obaw, Sasza - powiedział James.

Dopiero kiedy odłożył telefon i zobaczył jego kontur odciśnięty na własnej dłoni, uświadomił sobie, jak bardzo był spięty.

Bruce siedział na krawędzi łóżka, usiłując zrozumieć coś z rozmowy.

- Co jest, zabierają nas na jakąś akcję? - zapytał niecierpliwie.

James wruszył ramionami i przeczesał włosy lepкими od potu palcami.

- Powiedział, że robimy nalot na bunkier, ale nie sądzisz, że to trochę dziwne, że zadzwonił akurat teraz?

Bruce uśmiechnął się kąśliwie.

- Że co, że niby z powodu twojej kąpielowej przygody?

- A niby z jakiego innego? - odparował James z irytacją.

- Słyszałem, jak wypytywał cię o broń i kamizelki - powiedział Bruce. - Dostajesz paranoi. Ten pokój to nie twierdza; gdyby chciał dostać twoje jaja na talerzu, wparowałby tu i wyciągnął cię prosto z łóżka.

- Może i masz rację - powiedział niepewnie James, przechodząc do szafki i zaczynając wyjmować ubranie. - Ale powiedział wyraźnie: „lojalność”?

James założył koszulkę polo - dość workowatą, by mógł ją naciągnąć na kamizelkę kuloodporną - oraz wzmocnioną nanorurkami bluzę.

- Wygląda na to, że Sasza spodziewa się poważnej strzelaniny. Lepiej weź ochraniacze nóg - powiedział Bruce, stojąc obok Jamesa i wyjmując rzeczy z sąsiedniej szafki.

- Nie cierpię ich - poskarżył się James.

Nigdy nie używał lekkich ochraniaczy pokrywających jego pośladki i uda pancierzem z pomalowanych na kremowo kewlarowych płytek, które upodabniały go do szturmowca Imperium z Gwiezdnych wojen.

Ochraniacze nóg są znacznie mniej rozpowszechnione niż kamizelki, których w dzisiejszych czasach używa każdy szanujący się kryminalista; nie były jednak nie na miejscu. Młodzi gangsterzy i początkujący handlarze narkotyków uważają nowoczesny strój ochronny za symbol statusu na równi z kosztownym zegarkiem, komórką i bronią wepchniętą za pasek designerskich dżinsów.

- Wiem, że od tego swędzi tyłek, ale jest mnóstwo miejsc, w jakie nie chciałbym oberwać, a to osłania przynajmniej część z nich - powiedział Bruce, naciągając ochraniacze na uda i zapinając paski z rzepami.

James czuł się niemal obscenicznie męski, kiedy wyszedł przed Bruce'em z pokoju z osłonami wypychającymi ubranie, pistoletem przypiętym do uda i nożem wetkniętym za cholewę timberlanda. Podobne wyposażenie nosił podczas ćwiczeń, ale nigdy na ulicach.

- Dam znać Chloe, co się dzieje - powiedział Bruce, wystukując jej numer, podczas gdy obaj schodzili niespiesznie po schodach, sporo przed czasem, za to z niespełna czterema godzinami snu za sobą.

Za biurkiem recepcji Zoo siedziała nowa pracownica, wciąż zielona na tyle, by podejmować próby egzekwowania nakazu wpisywania się do zeszytu, jeśli wchodziło się lub wychodziło między północą a siódmą rano.

- Proszę bardzo - rzucił James od niechcienia, oddając długopis i podkładkę.

Bruce pchnął drzwi wyjściowe, w których potrzaskane szyby zastąpiono dyktą. Słońce już wschodziło, rozjaśniając niebo mieszanką fioletoów i oranży.

- Co powiedziała Chloe? - zapytał James.

- Niewiele. - Bruce wzruszył ramionami. - Że musimy być ostrożni i że jeśli zrobi się niebezpiecznie, to mamy najpierw martwić się o własną skórę, a potem o misję. Aha, dzwoniła do naszego łącznika w komendzie. Podobno ten radny, którego Sasza wdeptał w glebę, ma tuzin połamanych kości i pękniętą czaszkę, ale za nic nie chce powiedzieć, jak to się stało.

- Biedny gościu, nie mógł mieć nawet nadziei - powiedział James, kręcąc smutno głową. - Sasza to zwierzę.

- Słyszałem, że z jego córki też niezła tygryszka - uśmiechnął się kpiąco Bruce.

\*

Po całym zamieszaniu z szybkim ubieraniem się i wychodzeniem Saszy na spotkanie ich podwózka spóźniła się o kwadrans, a oczekiwanie okazało się emocjonujące dzięki policjantom w radiowozie, którzy zwolnili, by zlustrować chłopców podejrzliwymi spojrzeniami.

- Sasza pojechał przodem - wyjaśnił Kółko, kiedy podjechał do krawężnika swoim autem, teraz pomalowanym na czarno. - Wsiadajcie z tyłu. W worku są dla was rękawice, maski i broń.

Jak dojedziemy, pokażę wam, jak się tego używa.

James i Bruce wgramolili się do samochodu, a wheels ruszył z kopyta, niemal zanim trzasnęły drzwiami. Bruce rozsunął ściągacz pomarańczowego worka gimnastycznego, odsłaniając dwa maszynowe Glocki 18 - model należący do najpotężniejszych pistoletów na rynku. Osiemnastki rzadko widuje się w rękach kogoś innego niż funkcjonariusze sił specjalnych i bezpieczeństwa, zaś wśród brytyjskich przestępców są właściwie niespotykane.

Agenci wymienili zaniepokojone spojrzenia. Glock wystrzeliwał dwadzieścia pocisków na sekundę, a w sytuacji z rodzaju „zabij albo giń” chłopcy mogli nie mieć innego wyboru, jak tylko pociągnąć za spust.

- Pełna automatyka, naprawdę fajne gany - powiedział Kółko. - Ale w tym mieście trudniej o amunicję niż o różowe psie klocki, więc lepiej nie strzelajcie bez dobrego powodu.

- Co się właściwie dzieje? - zapytał James. - Sasza nie powiedział nam zbyt wiele.

- Ja też nie znam wszystkich szczegółów - odparł Kółko. - Sasza jest mistrzem w planowaniu takich rzeczy, a ja po prostu robię, co mi każe. Wiem tylko, że chodzi o umówione spotkanie i duży dil narkotykowy z udziałem Rzeźników.

- Ekstra - powiedział James.

Obserwował metę od prawie trzech tygodni i wiedział, że większość mieszkających tam i pracujących dilerów ma karaibskie korzenie, ale po raz pierwszy usłyszał potwierdzenie ich związków z załogą Majora Dee.

\*

Sasza i Sawas czekali w mieszkaniu wraz z młodym czarnoskórym mężczyzną. James wyszczerzył się radośnie, rozpoznawszy w nim Kelvina Holmesa. Trzy lata wcześniej Kelvin

wciągnął Jamesa do organizacji Keitha Moore'a, umożliwiając mu przeprowadzenie akcji, która dla niego zaowocowała wyrokiem trzech lat więzienia. Na szczęście wciąż nie miał pojęcia, kto jest za to odpowiedzialny.

- Hej, kopę lat! - ucieszył się Kelvin na widok Jamesa.  
- Aleś urósł! Słyszałem, że działałeś na północy.

Kelvin był przerażająco muskularny, ale wyglądał głupkowato w spodniach w kancik i koszuli z krótkimi rękawami, z logo Poczty Królewskiej na kieszonce.

- Pracujesz teraz na poczcie? - zainteresował się James.

- Tylko przez jeden dzień - wyszczerzył się Kelvin, wskazując na dużą paczkę Amazon.co.uk opartą o ścianę. - Przesyłka specjalna.

## 37. PACZKA

Za dwadzieścia ósma Kelvin podszedł do drzwi mety z paczką od Amazona pod pachą i torbą pocztową przewieszoną przez ramię. Sawas i Kółko przycupnęli na schodach niespełna dziesięć metrów dalej, kryjąc pod kurtkami kabury, a w nich pistolety z dokręconymi tłumikami. James i Bruce czekali za nimi z dłońmi w skórzanych rękawiczkach i czarnych kominiarkach gotowych do naciągnięcia na oczy tuż przed wkroczeniem do akcji. Sasza czuwał w sąsiednim bloku, obserwując rozwój wydarzeń przez kamery. Jako szef Wściekłych Psów pozostawiał większość brudnej roboty swoim młodym żołnierzom.

Kelvin start słońce krople z czoła, wpatrując się we wzmocnione stalą drzwi. Słuchając głosów pary dyskutującej w mieszkaniu, po raz drugi wdusił kciukiem przycisk dzwonka.

- Paczka! - zawołał. - Słyszę, że tam jesteście, nie mam całego dnia!

Szczęknął rygiel, potem drugi i drzwi uchyliły się na kilka centymetrów wciąż przytrzymywane grubym łańcuchem. W tym samym momencie Sawas i jego trzech kompani wyszli cichcem z klatki schodowej i ruszyli wzdłuż galerii w stronę mieszkania.

Kobieta za drzwiami wyglądała mizernie, owinięta kołdrą, z nosem umazanym żółtym paskudztwem sączącym się z zainfekowanej gałki ocznej.



- Hej - ziewnęła, a Kelvin podał jej podkładkę z potwierdzeniem odbioru i długopis. - Znowu te twoje syfne książki, Tyler! - zawołała w głąb mieszkania. - Żebyś choć raz sam zwlókł z wyra ten swój leniwy zadek!

Podczas gdy kreśliła swoje nazwisko nad przerywaną linią, Kelvin wsunął przez szparę w drzwiach elektryczny oścień do poganiania bydła i wbił jej w brzuch, wyzwalając impuls o napięciu sześćdziesięciu tysięcy woltów. Kobieta odfrunęła od progu i runęła między wiszące na ścianie płaszcze, wijąc się w drgawkach.

Na zewnątrz Kółko naciągnął na twarz kominiarkę i podbiegł do drzwi z gigantycznym rakiem do prętów. Kelvin narpał butem na drzwi, żeby naciągnąć łańcuch, a Kółko szybko go przeciął.

Kelvin nie miał stroju ochronnego ani pistoletu, a kobieta widziała jego twarz, dlatego wycofał się, przekazując pałeczkę czterem kolegom. Wśród krzyków kobiety Sawas i Kółko wtargnęli do pokoju dziennego, wymachując bronią. Zgodnie z planem James pobiegł przez przedpokój do większej sypialni, a Bruce pozostał przy drzwiach, by przygwoździć kobietę do podłogi, spętać jej dłonie za plecami za pomocą jednorazowych kajdanek i wcisnąć do ust gumowy knebel.

Kiedy James wparował do sypialni, najpierw poraził go ciepły fetor: mieszanka uryny i zjełczałego potu. Zaciągnąwszy się toksycznym powietrzem, panicznie wstrzymał oddech, zadowolony, że nie zdążył zjeść śniadania. Po tygodniach obserwacji był pewien, że obejrzał sobie każdego z lokatorów wystarczająco dobrze, by dokładnie wiedzieć, kto jest w środku, dlatego kompletnie osłupiał, widząc małego chłopca wytrzeszczającego oczy z wnęki między ścianą a komodą. Malec wyglądał na pięć lat, ale w ustach miał smoczek i nie ulegało wątpliwości, że nie widział kąpieli od tygodni.

James był tak wstrząśnięty widokiem tej drobnej smutnej postaci, że na moment stracił koncentrację, pozwalając mężczyźnie w łóżku na sięgnięcie pod materac i wyciągnięcie noża. Opamiętawszy się, błyskawicznie wyszarpnął glocka z kabury.

- Odłóż to natychmiast, bo odstrzelę ci łeb - wycodził złowrogo.

Obejrzał się nerwowo, słysząc rumor w przedpokoju, tuż za sobą. To jeden z dilerów próbował wyrwać się sprintem z drugiej sypialni, by w przedpokoju nadzieć się na Bruce'a, który powalił go ciosem w splot słoneczny.

- Zwiążcie wszystkich i dawajcie ich tutaj, a potem szukamy towaru! - wrzasnął Sawas z pokoju dziennego.

- Weź to do gęby i naciągnij pasek za głowę - rozkazał James, rzucając na łóżko gumowy knebel.

Mężczyzna wykonał polecenie.

- Nadgarstki - warknął James, przykładając więźniowi lufę do głowy. Drugą ręką zarzucił mu na przeguby plastikowe pętelki i mocno je zacisnął.

Przez cały ten czas umorusany malec tylko gapił się tępo przed siebie.

- W porządku, mały? - zapytał James, starając się mówić tak przyjaźnie, jak tylko może mówić zamaskowany napastnik z pistoletem w dłoni. - Nie bój się. Nie chcemy cię skrzywdzić.

W pokoju dziennym śmierdziało stęchlizną, ale nie aż tak obezwładniająco jak w sypialni. Wszędzie walały się brudne kubki, popielniczki były przepełnione, a przy telewizorze piętrzył się stos gier na Playstation i płyt DVD, w większości wyjętych z pudełek.

Miejsca było niedużo, a zrobiło się jeszcze ciasniej, gdy na kanapie znaleźli się trzej skrupowani mężczyźni, dwie skrupowane kobiety na podłodze, a w kącie stanął milczący malec, krzyżując patykowate nogi.

James i Bruce trzymali wartę w pokoju dziennym, podczas gdy Sawas i Kółko dewastowali pozostałe pomieszczenia w poszukiwaniu pieniędzy i narkotyków.

- Czemu nie pobawisz się jakimiś zabawkami? - zapytał James łagodnie, martwiąc się, że zastraszenie pięciolatka bronią będzie kolejnym punktem na długiej liście czynów, przez które nie pójdzie do nieba.

Ale chłopiec nawet nie drgnął. James zauważył dwa plastikowe samochodziki zaklinowane pod krawędzią kanapy i kopnął je przez dywan. Dwie sekundy później chłopak odkopnął je z powrotem. Wydawał się złakniony uwagi i po tym, jak samochodzik został kilkakrotnie kopnięty tam i z powrotem, mały wreszcie uśmiechnął się i podszedł do Jamesa.

- Mogę potrzymać pistolet? - zapytał cieniutkim głosikiem.

James spojrział w dół na skołtunione włosy i z trudem powstrzymał odruch wymiotny, kiedy niechcący wciągnął w nozdrza zapach małego. Na ramionach chłopca dostrzegł czerwone pręgi - ślady po chłoście. Na ten widok zawrzała w nim krew, nie okazał tego jednak, żeby nie stresować dzieciaka.

- To nie jest dla dzieci - powiedział, uśmiechając się sztucznie i sięgając do kieszeni. - Ale mam trochę toffi z czekoladą. Chcesz?

Zamierzał wyjąć jednego cukierka, ale kiedy zobaczył promieniającą twarz małego, oddał mu całą torebkę. Dzieciak porwał ją i pognał do swojego kąta, gdzie wepchnął do ust dwa toffi naraz.

- Hej, jedz ostrożnie - zaśmiał się James. - Bo jeszcze się udławisz.

Ale chłopiec potraktował ostrzeżenie jako groźbę i przycupnął w kącie lekko, przyciskając cukierki do piersi gotów wybuchnąć płaczem.

- Patrzcie, co mam, dzieciaki! - zagrzmał Kółko, taszcząc do pokoju wielki plecak. Kiedy odpiął suwaki i odchylił klapę, James i Bruce zobaczyli torebki z kokainą w proszku oraz przypominające plaster miodu kostki cracku.

Bruce wybałuszył oczy.

- Ile to wszystko jest warte?

Kółko wzruszył ramionami.

- Nie miałem czasu ważyć, ale myślę, że co najmniej siedemdziesiąt patoli.

Do pokoju wkroczył Sawas, spoglądając na zegarek. - Wygląda na to, że teren jest czysty. Czy wszyscy zachowują się jak należy?

- Żadnych problemów - zameldował James.

- Hej, dostałeś cuksy! - zawołał Sawas, uśmiechając się do chłopca w kącie. - Jak masz na imię?

Ale chłopiec był zbyt onieśmielony, by odpowiedzieć. Sawas potrząsnął głową z niesmakiem i podszedł do związanych kobiet.

- Która z was, ćpunku zasrane, jest jego matką? - zapytał gniewnym tonem.

Zakneblowane kobiety nie były w stanie odpowiedzieć, ale też żadna nie skinęła głową. Sawas wybrał na chybił trafił pierwszą z lewej, poderwał na nogi, a potem złapał pod brodę i rąbnął jej głową w ścianę.

- Wykap małego i przebierz - wycodził, cofając się z miną wyrażającą najwyższe obrzydzenie. - Jak mogłyście doprowadzić dziecko do takiego stanu? - Sawas spojrzał na Bruce'a i wyciągnął z kieszeni banknot dziesięciofuntowy. - Będziemy musieli odczekać tu parę godzin. Nastawiłem wodę, ale nie zamierzam jeść niczego z tej zapuszczonej kuchni. Skoczyłbyś do baru naprzeciwko i kupił parę kanapek z bekonem?

\*

Aby nie wzbudzać podejrzeń, Sawas rozwiązał jednego z dilerów i pozwolił mu kontynuować codzienny rytuał odpowiadania na dzwonki do drzwi, przyjmowania zamówień i wydawania małych paczuszek narkotyku przez szczelinę na listy.

Mały przyjaciel Jamesa wydawał się na wpół zagłodzony. Uporawszy się z cukierkami, chłopiec wtrząchnął całą kanapkę ze smażonym bekonem i jajkiem, a potem skrzeczał radośnie w przedpokoju, kopiąc małą piłkę ze swoimi nowymi kolegami w kominiarkach. Ale bliżej godziny dziesiątej atmosfera zrobiła się napięta.

Jamajskie koneksje Majora Dee zapewniały mu niezrównane możliwości szmuglowania dużych ilości kokainy z Ameryki Południowej do Wielkiej Brytanii przez punkt przelotowy na Karaibach. Poza rozprowadzaniem towaru na południowym zachodzie poprzez Rzeźników i inne karaibskie gangi Dee dostarczał narkotyki dużym handlarzom z północy kraju, zwłaszcza mafii z Salford kontrolującej monitoring i handel narkotykami w pubach i klubach całego Manchesteru.

Zamiast zgarnąć łup i czmychnąć, Sasza realizował swój ambitny plan zrabowania zarówno narkotyków Majora Dee, jak i pieniędzy załogi z Salford. Obie te grupy były w przeważającym stopniu czarnoskóre, co oznaczało, że drzwi musi otworzyć Kelvin, inaczej goście zaczną coś podejrzewać.

Ale nie był to jedyny problem ekipy Wściekłych Psów. Sasza znał czas i miejsce narkotykowej transakcji, ale nie miał pojęcia, w jakiej sile zjawi się reprezentacja Salford. Przechwycenie narkotyków było proste, ponieważ dilerzy byli w domu i zaspani pozwolili się zaskoczyć, ale gangsterzy z północy przybywali, by zrobić interes za sto tysięcy funtów, i należało oczekiwać, że będą bardzo ostrożni.

Ale Sasza nie był amatorem. Okradał handlarzy od ponad dwudziestu lat i znał się na rzeczy, dlatego oprócz Kelvina, Sawasa, Kółka, Jamesa i Bruce'a w bunkrze na salfordczyków czekali jeszcze dwaj ludzie w mieszkaniu trzy numery dalej, chłopak czatujący przy drodze, by podziurawić opony gości, kiedy tylko oddalą się od samochodów, oraz człowiek leżący na dachu sąsiedniego bloku z karabinem szturmowym i przytwierdzoną do niego lunetą. Wszyscy mogli porozumiewać się za pomocą krótkofalówek, a Sasza zawiadywał przedstawieniem osobiście z mieszkania naprzeciwko mety, gdzie James i Bruce zainstalowali sprzęt obserwacyjny.

Nerwówka oczekiwania stała się nieznośna. James spocił się pod kamizelką kuloodporną i skóra swędziała go jak diabli. Jego zegarek zdawał się działać w zwolnionym tempie, aż wreszcie godzina dziesiąta przyszła i prześliznęła się w przeszłość.

Gangsterzy przenieśli malucha do mniejszej sypialni, gdzie był bezpieczniejszy, ale dzieciak chciał się bawić i płakał, dopóki Kółko nie załomotał w drzwi, grożąc, że mu przyłoży.

Siedem po dziesiątej młodzieniec przy drodze złożył meldunek przez radio: dwoma wozami przyjechało sześciu czarnoskórych mężczyzn. Pięciu wysiadło, a jeden pozostał za kierownicą bmw.

- Martin, fury mają być unieruchomione, kiedy tylko tamci znikną z pola widzenia - odpowiedział Sasza.

James nigdy nie rozmawiał z Martinem, ale wiedział, że chłopak ma zaledwie siedemnaście lat. Niepewność w jego głosie zdradzała, że powierzone mu zadanie trochę go przerażało.

- Nie da rady, szefie - powiedział chłopak. - Jak mówiłem, koleś siedzi w samochodzie.

- Masz sfluwę? No to jej użyj - odparł Sasza.

Kiedy James usłyszał polecenie w swojej krótkofalówce, przez grzbiet przebiegł mu zimny dreszcz. Od początku wiedział, że sprawa jest poważna, ale Sasza wydający polecenie strzelenia komuś w głowę, czynił ją stokroć gorszą. Gangster mówił beznamytnym tonem, jakby zamawiał lat-te, a nie zlecał egzekucję, i było pewne, że komisji etyki CHERUBA nie spodoba się to ani trochę.

- Szefie, ale co szef... - chłopak był już wyraźnie przestraszony. - Tutaj są ludzie i mówił szef, że mam im tylko po-przebijając opony...

- Rób, co ci każę! - krzyknął Sasza. - Jeśli będę musiał tam pójść i zająć się wozami osobiście, podziurawię kulami dwie czaszki, nie jedną. A teraz melduj, co się dzieje.

- Pięciu facetów idzie na górę - powiedział Martin drżącym głosem. - Dwaj niosą po dużej torbie, to pewnie forsa.

- Serio, Sherlocku? - zadrwił Sasza. - Zespoły w mieszkaniach, jesteście gotowi?

Odpowiedział Sawas stojący niespełna metr od Jamesa.

- Gotowi, szefie.

- Zespół pod szesnastką, wychodźcie na galerię i blokujecie schody, jak tylko salfordczycy wejdą do środka.

W krótkofalówce Sawasa odezwał się nowy głos.

- Wszystko jasne, szefie. Jesteśmy gotowi.

Meta mieściła się na drugim piętrze, ale wydawało się, że wędrowka z parkingu zajmuje gangsterom z Salford całe wieki.

- Są na galerii - powiedział Sasza. - Dobra, teraz cisza w eterze, chyba że coś pilnego. Powodzenia wszystkim.

Rozległ się dzwonek i Kelvin powoli ruszył do drzwi. Sawas skierował lufę w więźniów.

- To małeństwo może wykaszleć tysiąc dwieście strzałów na minutę, więc jeśli usłyszę choćby głośniejszy oddech, cała wasza piątka w sekundę idzie do piachu.

W przedpokoju Kelvin otworzył drzwi przed pięcioma salfordczykami.

- Pete, prawda? - powiedział pogodnie. - Wchodźcie, towar jest w kuchni.

Przywódca ekipy z Salford miał okulary przeciwsłoneczne i gęstą brodę.

- Coś za jeden? - warknął, mówiąc szybko i sięgając po broń. - Gdzie Tyler? Nikt mnie nie uprzedzał o zmianie ob-sady.

Kelvin przestał się uśmiechać i uniośł ręce.

- Pokój, bracia - powiedział, cofając się w głąb mieszkania. - Major dopiero co kazał mi przyjechać, żeby załatwić ten biznes. Nic nie wiem o tym, gdzie kto ma być ani kogo się spodziewaliście.

- Pokaż mi to gówno - mruknął brodac, przestępując próg, ale nagle podejrzliwość znów wzięła górę i salfordczyk odwrócił się do mężczyzn niosących torby z pieniędzmi. - Poczeka-jcie tu na nas i niech któryś zadzwoni do Majora Dee i zapyta, co tu się, do diabła, dzieje.

James i Sawas słyszeli całą wymianę zdań przez drzwi pokoju dziennego. Kelvin nie miał broni i byłby martwy kilka chwili po telefonie chłopców z Salford do Majora Dee. Plan Saszy zakładał czekanie do chwili, gdy goście wraz z pieniędzmi znajdą się w kuchni, gdzie łatwo byłoby ich obezwładnić, ale Sawas uświadomił sobie, że na taki rozwój sytuacji nie można już liczyć, i podniósł do ust krótkofalówkę.

- Wszystkie zespoły, zaczynamy - powiedział cicho.

Kółko wypadł pierwszy z pokoju dziennego, podczas gdy Bruce wyskoczył z sypialni po przeciwnej stronie przedpokoju. Salfordzycy sięgnęli po broń, a Kelvin rozpaczliwym susem rzucił się do względnie bezpiecznej kuchni.

Tymczasem z mieszkania trzy numery dalej wyskoczyli dwaj inni żołnierze Saszy, którzy ruszyli w stronę trzech mężczyzn



stojących przed progiem mety. James i więźniowie podskoczyli nerwowo, kiedy na betonowej galerii zagrzmiała seria wystrzałów.

Kiedy Kelvin wparował do kuchni, mężczyzna z brodą uniósł broń i wymierzył mu w plecy, ale w tej samej chwili Bruce natarł na niego ramieniem i powalił na podłogę.

- Pieniądze nam zwiewają! - krzyknął Sasza w mikrofon swojej krótkofalówki. - Kolesie z torbami biegną w kierunku schodów. Martin, jeżeli ten kolesz w wozie wciąż żyje, to cię...

- Spoko, szefie - powiedział Martin z dumą.

- Przyczaj się na nich na dole schodów, synu - rozkazał Sasza. - Zaraz tam będę ze wsparciem.

Przez cały ten czas James czekał w pokoju dziennym, pilnując więźniów. Nagle rzucił się na podłogę, kiedy zabłąkana kula roztrzaskała zakratowane okno. Odłamki szyby miały dość energii, by zerwać zasłonę wraz z karniszem, napełniając mroczne pomieszczenie słońcem.

W przedpokoju Kelvin ścisnął brodacza za szyję swoim muskularnym ramieniem, drugą ręką metodycznie okładając go po twarzy.

Trzej salfordczycy z galerii na zewnątrz wycofywali się pod ciężkim ostrzałem dwóch mężczyzn z mieszkania trzy numery dalej, ale to w niczym nie pomagało Bruce'owi, który utknął w wąskim przedpokoju z Pete'em - prawą ręką brodatego przywódcy - niespełna dwa metry przed sobą.

Pete sięgnął po broń i w ułamku sekundy Bruce uświadomił sobie, że choćby nawet spróbował zrobić to samo, nie zdąży strzelić wcześniej. Rozległ się huk. Bruce zanurkował jak najniżej bez nadziei, że to go ocali, ale kula wbiła się w drzwi na końcu korytarza, a on wpadł na przeciwnika, obłapiając jego masywne uda.

Bruce był niezwykle silny jak na swoje rozmiary. Złapał dzierżącą pistolet rękę za przegub i pchnął w górę, a kiedy drugi

strzał odłupał tynk z sufitu, wykręcił Pete'owi kciuk i wyluskał mu broń z dłoni.

Zaniepokojony odgłosami walki James wybiegł do przedpokoju, by sprawdzić, czy z Bruce'em wszystko w porządku. Ujrzał go w chwili, gdy wciąż trzymając Pete'a za palec, wypychał go przez drzwi wejściowe na zewnątrz, by grzotnąć nim o barierkę galerii. Bruce musiał cofnąć się o krok, żeby wziąć zamach przed kończącym ciosem, ale puściwszy przeciwnika, zauważył, że jeden z salfordczyków niosących torby z pieniędzmi zawrócił i pędzi oszalałym sprintem w jego stronę.

Widząc mężczyznę w pełnym pędzie na wąskiej galerii niecałe trzy metry od Bruce'a, James nie miał najmniejszych wątpliwości, że jego przyjaciel za chwilę zostanie stratowany. W chwili gdy James wyrwał pistolet z kabury, potykając się o Kółko - który został powalony w starciu - Bruce wykonał gwałtowny zwrot, ustawiając się tyłem do nacierającego i jednocześnie uderzając Pete'a łokciem w bok głowy. Pete runął na bok, a Bruce przykucnął, pozwalając, by rozpędzony mężczyzna przetoczył mu się przez plecy, a następnie poderwał się gwałtownie, wyrzucając napastnika wysoko w górę. Gdyby rzecz działa się na ziemi, salfordczyk runąłby na plecy, ale na galerii wyrznął głową w poręcz metalowej balustrady. Niebieska torba sportowa odbiła się od zabitego dyktą okna i upadła na posadzkę galerii, a mężczyzna, który jeszcze przed chwilą ją trzymał, uchwycił się kurczowo słupków z kutego żelaza, podczas gdy jego ciało przerzuciło się na drugą stronę poręczy i zawisło dziesięć metrów nad ziemią.

Kiedy Bruce zamachnął się, by ostatecznie znokautować Pete'a, krótkofalówki odezwały się głosem Saszy.

- Widzę dwa radiowozy - powiedział gangster, podczas gdy James schylał się po torbę z pieniędzmi. - Łapcie, co macie pod ręką, i wynoście się stamtąd.

Z drzwi mety wyskoczył Sawas, tuż za nim Kelvin - tym razem z twarzą osłoniętą kominiarką - oraz Kółko dźwigający na grzbiecie plecak wypchany narkotykami. W chwili gdy wbiegli na klatkę schodową, mężczyzna uczepony barierki przegrał walkę z własnym ciężarem i runął z drugiego piętra na ziemię.

Kiedy wybiegli z bloku na podwórze, nieszczęśnik leżał na betonie, jęcząc o pomoc. James wykonał pełny obrót, obserwując otoczenie. Zobaczył jednego z salfordczyków, który postrzelony w nogę podczas ucieczki teraz leżał nieprzytomny między dwoma samochodami. Zauważył też bryzgi krwi na wewnętrznej stronie przedniej szyby bmw. Po Saszy, Martinie i dwóch mężczyznach, którzy rozpoczęli strzelaninę na galerii, nie było ani śladu.

- Piekło - sapnął Kółko, wręczając plecak Bruce'owi.

Młodzieniec wyjął z kieszeni kluczyki, wcisnął guzik pilota i usiadł za kierownicą hondy accord. Głośność syreny nadjeżdżającego radiowożu sugerowała, że gliny są najwyżej jedną przecznicę dalej.

Sawas wcisnął się z tyłu razem z Jamesem i Bruce'em i z trudem domknął drzwi. Nie mieli czasu na ładowanie bagażnika, więc pieniądze i narkotyki piętrzyły się im na kolanach.

Kółko dynamicznie wycofał wóz z zatoczki parkingowej, potrącając stojącą obok micrę. Kiedy odjeżdżali, James obejmował się przez ramię i zdążył jeszcze ujrzeć przód radiowożu wyjeżdżającego zza bloku na osiedlową uliczkę.

## 38. WSPÓLNICY

Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, Wściekle Psy obezwładniłyby chłopców z Salford w mieszkaniu. Trudno podejrzewać, by dilerzy zdecydowali się zadzwonić pod sto dwanaście, żeby zgłosić kradzież, i niewykluczone, że gliny nigdy nie dowiedziałyby się o rabunku.

Jednak akcja wyciekła na ulicę i co najmniej pół tuzina mieszkańców Rudge wezwało policję. W bmw był trup kierowcy, a na chodniku dwaj zmalretowani salfordczycy w stanie agonialnym. W mieszkaniu na drugim piętrze znaleziono pięcioro więźniów, związanych i porzuconych w pokoju dziennym.

Zatem choć Sasza cieszył się ze zdobycia plecaka z narkotykami i stu tysięcy funtów w gotówce, wiedział też, że gliny będą węszyć wokół niego jak nigdy dotąd. Dilerów się nie bał - żaden nie odważyłby się puścić pary z ust - ale policja wkłada znacznie więcej wysiłku w sprawy morderstwa niż rabunku i było pewne, że zespół dochodzeniowo-śledczy rozłoży metę na atomy.

Żeby zatrzeć ślady, Sasza kazał wszystko spalić. Wszyscy zostawili swoje rękawiczki i kominiarki w hondzie, którą Kółko, gdy rozwiózł już kolegów do domu, zabrał prosto na złomowisko. Godzinę po akcji wewnątrz samochodu było wypalone do cna, a blaszana skorupa sprasowana w małą kostkę. Wróciwszy do domu, Kółko starannie oczyścił broń, po czym

zawiózł ją do oddalonego o sześćdziesiąt kilometrów magazynu, gdzie Sasza przechowywał sprzęt używany podczas rabunków.

Kelvin był jedynym członkiem gangu, który wszedł do mety bez maski i rękawiczek, i to czyniło go szczególnie narażonym. Siedział w więzieniu, więc policja miała próbkę jego DNA i gdyby znaleźli odpowiadający jej ślad, wciągnęliby go na listę podejrzanych. Jednak Sasza dbał o swoich ludzi i Kelvina chroniło żelazne alibi.

Kelvin mógł z powodzeniem utrzymywać, że jego DNA znalazło się w mieszkaniu, ponieważ był tam w odwiedzinach u znajomego, a dzięki Saszy, który pociągnął za odpowiednie sznurki, znaleźliby się świadkowie, którzy potwierdziliby, że w dniu napadu sprzątał w miejscowej agencji bukmacherskiej. Agencja należąca do jednego z kuzynów Saszy na żądanie mogła okazać sfałszowane nagrania z kamer nadzoru ze stosowną datą i wszelkimi bajerami. Policja zapewne nie uwierzyłaby w tę bajkę, ale sąd prawie na pewno uniewinniłby Kelvina z powodu braku wystarczających dowodów.

Dla całkowitej pewności, że policja nie znajdzie żadnych śladów, Jamesowi, Bruce'owi i wszystkim uczestnikom akcji nakazano zapakować ubranie i buty do worka na śmieci natychmiast po powrocie do domu. Worki miały zostać albo spalone, albo wyrzucone do kontenera na odpady komunalne co najmniej trzy kilometry od miejsca zamieszkania. Rzecz jasna, James i Bruce nie zamierzali niszczyć swoich rzeczy, a zwłaszcza wzmocnionych nanorurkami bluz, i oddali swoje worki Chloe, by zawiozła je do kampusu.

Okolo południa James był już kompletnie wykończony. Po bieganiu przez pół dnia w stroju ochronnym paskudnie śmierdział, ale za bardzo bolało go całe ciało, by miał się tym przejmować. Padł na twarz na łóżko i zamknął oczy, marząc tylko o odrobinie snu.

Bruce, który poprzedniej nocy zdążył się choć trochę prze-  
spać, nie zdołał powstrzymać pokusy połaskotania przyjaciela  
w podeszwę, kiedy wychodził spod prysznica odziany jedynie  
w ręcznik.

- Odwał się - jęknął James.

- Kurde, ale była jazda! - rozentuzjzmował się Bruce. - A  
jak przerzuciłem tego faceta przez plecy! Widziałeś, jaką miał  
minę, kiedy próbował się wciągnąć?

Bruce zademonstrował, ale James nawet się nie obejrzał.

- Wiesz, czasem zastanawiam się, czy ty przypadkiem nie  
masz trochę nierówno pod czapką - powiedział powoli. - Wal-  
ka w dojo to jedno, ale ty zrobiłeś z tego gościa krwawą mia-  
zgę.

- A tobie co tak siadł humor? - zapytał Bruce zaczepnie,  
wcierając dezodorant w pachę.

Tym razem James odwrócił się, żeby spojrzeć na przyjaciela.

- Bruce, czy wszystkie dziewczyny w kampusie uważają, że  
jestem draniem, bo zdradzałem Kerry?

- Gadają o tobie - wyszczerzył się Bruce. - Czasem wieszają  
na tobie psy, czasem mówią, że jesteś słodki, ale najważniej-  
sze, że o tobie gadają.

James zmarszczył brwi.

- O czym ty...?

- Nie zauważyłeś jeszcze, że dziewczyny rozmawiają tylko  
o tych chłopakach, którzy im się podobają? - Bruce rozłożył  
ręce. - Mogą cię wyklinać i mieszać z błotem, ale gadają tylko  
o tych, którzy wpadli im w oko.

- Nigdy o tym nie pomyślałem. - James pokiwał głową ze  
zrozumieniem.

- To tacy kolesie jak ja muszą się martwić - ciągnął Bruce,  
wsuwając nogę w nogawkę dżinsów. - Jestem chudy, wy-  
glądam przeciętnie i szesnastolatki nie rzucają się na mnie,  
kiedy siedzę w wannie. Dlatego nie jęcz mi tutaj i nie pytaj, czy

laski w kampusie mają cię za drania, bo pewnie już miałeś więcej dziewczyn, niż ja będę miał przez całe swoje życie.

- Potrzeba ci tylko trochę pewności siebie - powiedział James, który nagle zaczął współczuć koledze. - No i przecież masz Kerry, to znaczy ostatnio niespecjalnie się przyjaźnimy, ale to wciąż ekstralaska.

- Sam się trochę dziwię, że chce być ze mną - przyznał Bruce.

- No właśnie - westchnął James. - Tak sobie myślę o moim związku z Kerry i całe to moje zdradzanie było jak wbijanie klina między nas dwoje. Nigdy nie mogłem spojrzeć jej prosto w oczy z powodu tych wszystkich kłamstw w tle. I wiesz co? Nie chcę, żeby tak było z Daną.

Bruce wybałuszył oczy.

- Chyba jej nie powiesz, że się przespałeś z Lois! Zamorduje cię!

James wzruszył ramionami.

- Obawiam się, że będę musiał.

- A jak cię rzuci?

- No więc... miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Dana jest inna niż Kerry. Myślę, że jakoś to zniesie, jeżeli wyjaśnię dokładnie, jak to się stało. Kto wie, może nawet doceni moją uczciwość.

Bruce zarechotał szyderczo.

- Jak będziesz miał fart, to cię nie rzuci, ale nie liczyłbym na to, że będzie wdzięczna za to, co zrobiłeś.

Jeszcze zanim skończył mówić, rozległo się ciche pukanie, po czym drzwi uchyliły się i wychynęła zza nich głowa Michaela.

- Hej - powiedziała głowa. - Mogę wpaść na sekundę?

James i Bruce mieli udawać, że nie znają Michaela, ale w miarę postępów misji ich stosunek do reguł uległ rozluźnieniu. Poza tym wszyscy mieszkali w Zoo i nie było niczego nienaturalnego

w utrzymywaniu dorywczych kontaktów ze znajomymi z przytułku.

- Widziałeś się ostatnio z Gabriellą? - zapytał James, odwracając się na plecy.

- Ostatnio dziś rano. Czuje się świetnie - powiedział Michael, po czym skrzywił się z obrzydzeniem i pomachał dłonią przed nosem. - Co z wami, czyżby obrastanie w brud było jakąś nową modą białasów?

James westchnął zrezygnowany.

- Umyję się, ale za chwilę.

- Kogo nazywasz białasami? - wypalił zirytowany Bruce. - Widocznie za dużo czasu spędzasz ze swoimi jamajskimi kumplami.

- Przynajmniej nie mówię na was aryjskie cioty. Ale masz rację, będę musiał uważać, kiedy wrócę do kampusu. Niedawno wyrwało mi się przed Chloe i Maureen, że Gabriellą jest moją suczką.

- No dobra, wpadłeś tylko pogadać czy jak? - zapytał Bruce.

- Chloe słyszała o waszej małej porannej pukanince na Rudge, ale trochę się denerwuje, że nie dostała jeszcze meldunków, a ja niechcący się wygadałem, że wróciliście już z godzinę temu.

- A tej co znowu dolega? - jęknął James. - Przecież mamy telefony; mogła zadzwonić.

- Nie chciała dzwonić, nie mając pewności, że możecie już bezpiecznie rozmawiać.

- Dobra, dobra - powiedział James, siadając. - Niech Bruce do niej przekreśli, kiedy będę w łazience.

- Super, niech na mnie nawrzeszczy - burknął niezadowolony Bruce.

- Są dobre wieści o Szymonie Bentinie - powiedział Michael. - Słyszeliście czy nie?

James potrząsnął głową.



- Tyle co poprzedniego wieczoru.

- Przeanalizowali billingi i wyszło na to, że Sasza i Szymon rozmawiają ze sobą co najmniej raz dziennie. Teraz przez parę dni rozmowy będą nagrywane, a potem wezwą Szymona na przesłuchanie i zagrożą mu, że jak nie będzie chciał grać po naszymu, to rzucają go Majorowi na pożarcie.

James zastanawiał się przez chwilę.

- Dobra, ale co z nami?

- Chloe uważa, że nic nam nie grozi - powiedział Michael. - Gliny mogły zdobyć nagrania na wiele różnych sposobów, a poza tym Sasza może i zmienia komórkę regularnie, ale Szymon używa swojej od sześciu miesięcy. Jest nawet zarejestrowana na jego nazwisko, sklejasz?

James potrząsnął głową.

- Nie do wiary.

- I dobrze. Najwyższy czas, żeby trochę się nam pofarciło w tej misji - powiedział Bruce.

\*

Choć klub piłkarski Mad Dogs już nie istniał, Sasza regularnie spotykał się z załogą w swojej piwnicy. James i Bruce zostali zaproszeni, a zabrał się z nimi także Junior, którego nie było stać na bawienie się gdzieś indziej, odkąd mama obcięła mu kieszonkowe, a Sasza zlecenia.

Do dziewiętej trzej chłopcy grali w bilard, pociągając piwo z puszek. Poker starszyzny był ożywiony, ale atmosfera rozluźniona, ponieważ tego ranka sporo ludzi zarobiło pieniądze, a przy stoliku nie było Saszy. Ten prowadził jakieś rozmowy w swoim gabinecie na górze, a wśród ostatnich osób, które do siebie wezwał, byli James i Bruce.

- Chłopcy! - rozpromienił się Sasza, kiedy pojawili się w drzwiach gabinetu. - Sawas mówi, że odwaliliście kawał piekielnie dobrej roboty. Zrobiliście, jak wam kazałem? Wywaliście rzeczy i wszystko?

- Oczywiście - skłamał James.

- A ty? - Sasza zwrócił się do Bruce'a. - Ten koleś, którego wyrzuciłeś za balkon, ma rozwalone ramię, rękę i obie nogi. Mój przyjaciel ze szpitala mówi, że to cud, że go nie sparaliżowało.

James nie mógł nie żywić podziwu dla rozległości kontaktów Saszy. Wściekłe Psy może nie były największym gangiem w mieście, ale musiały należeć do najlepiej poinformowanych. Mieli przyjaciół we wszelkich potrzebnych miejscach.

- Mówiłem o tauzenie na łeb, ale ładnie na tym wyszliśmy, więc podwyższam waszą dolę do półtora kafła. Tylko tak, tyśiąc pięćset funtów to dużo pieniędzy jak na dzieci w waszym wieku. Nie szastać mi kasą, bo gliny zawsze mają oko na Zoo.

- Bez obaw, znamy zasady - zapewnił James. - Kupimy jakieś ciuchy, a resztę forsy wydamy stopniowo.

- Macie gdzie ją zbunkrować? - zapytał Sasza.

James skinął głową.

- Szafki w Zoo to złom, ale mam skrytkę w podłodze za listwą. Trzymam tam resztę pieniędzy z akcji w hotelu.

- Skoro jesteś pewien - powiedział Sasza, sięgając do aktówki, by wyjąć stamtąd sześć cienkich plików dwudziestofuntowych banknotów, po pięćset funtów w pliku. - To wszystko dobre pieniądze - dodał. - Nie do namierzenia. A teraz zmykajcie i dobrej zabawy.

- Gdyby znowu się coś kroilo, to jesteśmy chętni - powiedział James. - Jakby co, to po prostu daj znać.

- Tak zrobię - uśmiechnął się Sasza. - Dla takich dwóch cwanych bestii jak wy zawsze znajdzie się jakaś fucha.

Kiedy wracali przez długi przedpokój, James usłyszał, że Lois woła go z salonu. Cofnął się do zwieńczonego łukiem wejścia, by ujrzeć córkę gangstera na kanapie siedzącą na piętach z pudełkiem czekoladek na kolanach.

- Jak tam noga? - zapytała.

- Okej, wszystko pięknie się goi. No i tego... dzięki za pomoc - odpowiedział James, czując się cokolwiek niezręcznie.

Przy Brusie i Saszy w gabinecie obok za nic nie odważyłby się nawiązać do tego, co zaszło między nimi poprzedniego dnia.

- To dobrze - wycedziła Lois lodowatym tonem. – Ale nie fatyguj się z powrotem z ciuchami taty. Ma mnóstwo innych.

Ton głosu Lois i jej język ciała nie pozostawiały wątpliwości, że nie tylko ubrań taty nie chce już widzieć w swoim domu.

- Odrzucony jak zgniły owoc - drwił Bruce, kiedy schodzili po schodach do piwnicy. - To musi boleć.

Z jednej strony James czuł ulgę: romans z Lois był niekorzystny dla misji i narażał na szwank jego bezpieczeństwo. Jednak na poziomie ludzkich emocji cierpiał - został odrzucony i to naprawdę bolało. Nie wiedział, czy naraził się Lois czymś, co zrobił, czy może zawsze traktowała tak chłopaków. Tak czy owak była od niego starsza, bardziej doświadczona, i choć James ani przez chwilę nie żałował tego, co się stało, czuł się jak mały chłopiec, którego starsi zaprosili na imprezę tylko po to, żeby się z niego pośmiać.

Wstąpiwszy do zadymionej piwnicy Saszy, rozgoryczony James uległ pokusie rozładowania gniewu w złościwości i wyjął z kieszeni bluzy pieniądze, by pomachać nimi przed nosem Juniorowi, który siedział oklapły w kącie, czekając na swoją kolej przy stole bilardowym. Wypił co najmniej cztery piwa i wyglądał na półprzytomnego.

- Patrz, ile floty - wyszczerzył się James.

Juniorowi opadła szczęka.

- Kurde, jaki kał! - wycedził, tupiąc nogą. – Poznałem was z Saszą niecały miesiąc temu i już jesteście nadziani.

- Półtora kaafłaa! - zaśpiewał James, próbując uszczyplnąć Juniora w policzek, ale ten odtrącił jego rękę i zerwał się na równe nogi.

- Mam dość traktowania mnie jak dziecko - wypalił. - Sasza to dupek!

Junior powiedział to dość głośno, by usłyszeli go inni, choć każdy wiedział, że w obecności Saszy nigdy by się na to nie odważył.

- Na twoim miejscu staranniej dobierałbym słowa, Junior - powiedział Sawas tonem przestrogi. - Jeśli Sasza się wkurzy, nazwisko cię nie ochroni.

Jamesa ukłuło poczucie winy. Odliczył sto funtów ze swojego pliku banknotów i spróbował wcisnąć Juniorowi pieniądze do dłoni. To było najgorsze, co mógł zrobić.

- Nie potrzebuję twojej łachy, James - zawarczał chłopak, po czym przeniósł wściekłe spojrzenie na Sawasa. - I wcale nie potrzebuję, żeby mnie pouczał jakiś zasrany kebab.

Przez salę przebiegła fala głośnych: „Uuuu...”, a Sawas wstał i powoli podszedł do Juniora. Nie był olbrzymem, ale jako dorosły mężczyzna i tak górował nad Juniorem, który miał dopiero piętnaście lat.

- Jak mnie nazwałeś?! - ryknął Sawas. - Zrobić ci z ryja ścierę do podłogi?

- A proszę bardzo! - odkrzyknął Junior. - Niech raz twoja stara ma wolne.

Młody Moore nie dostał w tym momencie w twarz tylko dlatego, że Sawas nie wiedział, jak zareagowałby na to Sasza. Bruce wcisnął się między zwaśnionych i to, że Junior i Sawas odstąpili od siebie, mimo iż był najmłodszą osobą w pomieszczeniu, mówiło co nieco o jego świeżo nabytej reputacji.

- Wyluzuj, Junior - powiedział James, łapiąc kolegę za ramię. - Chodź, przejdziemy się.

- Chciałbym tylko zarabiać tak jak wszyscy inni! - krzyknął Junior wyprowadzany z piwnicy po drewnianych schodach.

- Może moglibyśmy porozmawiać z Saszą - powiedział James, zerkając w stronę gabinetu gangstera.

Ale Junior nie był w nastroju do rozmowy z kimkolwiek.

- Spadam stąd, kurde... - rzucił ze złością, ruszając korytarzem w stronę drzwi wejściowych.

Gdyby James koncentrował się wyłącznie na misji, po prostu wróciłby do piwnicy, ale on, zły na siebie za to, że drażnił się z Juniorem w tak idiotyczny sposób, dogonił go na schodkach przed domem.

- Słuchaj, nie chciałem aż tak cię nakreścić. To było głupie - powiedział z miną winowajcy.

- Nie chodzi o ciebie, tylko o nich! - zawołał Junior bliski łez, maszerując w stronę boisk po drugiej stronie ulicy. - Mam powyżej uszu bycia synem Keitha Moore'a i wiesz co? Olewam ich wszystkich. Przez całe życie kręciłem się przy bandziorach i nie jestem idiotą. Skoro nie chcą mi dać żadnej fuchy, żebym sobie dorobił, to sam sobie ją znajdę.

- Niby jak? - zapytał James. - Stary, jesteś na warunku. Jedno potknięcie i masz przesrane.

- Znam różne miejsca - powiedział Junior. - Moglibyśmy być jak Kółko, podziałać z przyczajki, trochę tu, trochę tam, skroić bogatego obsrańca, obczaić jakąś wypasioną furę...

- My? Skąd ci się nagle wzięli my? - przerwał wywód James.

Chłopcy dotarli do parku, ale było już ciemno i brama była zamknięta.

- Ale czemu nie, James? Pomyśl - powiedział Junior, stawiając stopę na dolnej części bramy i dociskając głowę do prętów. - Wiem, że Sasza daje ci zarabiać, ale popatrz, co było

dzisiaj. Ukradliście dwieście tysięcy. Sasza zarobił sto pięćdziesiąt, a ty ile, pięć patoli?

- Półtora - mruknął James.

- To przecież śmiech na sali. - Junior uśmiechnął się krzywo. - Razem moglibyśmy zarobić prawdziwe pieniądze.

James lubił Juniora i dawniej, w przedcherubowych czasach, taki narwany plan z pewnością przypadłby mu do gustu, ale jego zadaniem było rozpracowanie Wściekłych Psów i Rzeźników, a nie zachęcanie Juniora do założenia konkurencyjnego gangu.

- Może za kilka miesięcy - powiedział, wiedząc doskonale, że w tym czasie nie będzie tu po nim śladu. - Wiesz, cokolwiek byś mówił, ja i Bruce zarabiamy u Saszy przyzwoite pieniądze. Możemy przyszczędzić, a jak nazbieramy dość gotówki, zorganizujemy własną załogę, ale to trzeba zrobić, jak należy.

- Może i tak - mruknął Junior. - Ale ja nie zarabiam niczego.

James jeszcze raz pomyślał o zaoferowaniu Juniorowi pieniędzy, ale chłopak najwyraźniej był czuły na punkcie przyjmowania jałmużny, a do tego James miał paskudne przeczucie, że Junior przepuściłby wszystko na kokainę.

- Szkoda, że nie jestem trochę starszy - powiedział Junior, szarpiąc za prety, aż brama załomotała metalicznie. - Beznaście jest mieć piętnaście lat. Chcę chodzić do barów czy innych klubów. Chcę mieć pieniądze i laski z cycami jak balony.

James zaczął się śmiać.

- Coś ci powiem - powiedział Junior. - Jeżeli zaplanuję robotę, ale wiesz, nie jakieś groszowe niewydarzone byle gówno, tylko normalną profesjonalną akcję, taką, jakiej robi Sasza, to będziesz wtedy moim wspólnikiem?

- Saszy to by się nie spodobało - powiedział James, kręcąc głową.

- James - błagał Junior. - Byłoby zajebiście.

James był zmęczony i wątpił, by Junior pamiętał tę rozmowę następnego ranka.

- Niech ci będzie - westchnął, wzruszając ramionami. - Wspólnicy.

Junior wyszczerzył się w promiennym uśmiechu i wyciągnął rękę.

- Kłaśnij skórę.

Dwie dłonie zwarły się z plaśnięciem i chłopcy przyciągnęli się do serdecznego, cuchnącego piwem uścisku.

## 39. UKŁAD

Zatrzymanie podejrzanego bywa wcale niełatwym zadaniem. Kiedy aresztuje się kogoś w domu albo biurze, zawsze ktoś dowiaduje się, że to się stało, a potem zatrzymany jest doprowadzany do celi w obecności całego mnóstwa innych ludzi - w tym przestępców i przekupionych policjantów. Gdyby Szymon Bentine został zatrzymany i przesłuchany według tradycyjnej procedury, Major Dee i Sasza Thompson najpewniej szybko by się o tym dowiedzieli.

Aby ominąć ten problem, Chloe spędziła całą środę na śledzeniu Szymona i poznawaniu jego trybu życia. Przesłuchania nie były jej specjalnością, dlatego poprosiła Johna Jonesa, swojego dawnego szefa, by przyjechał z kampusu CHERUBA i wspomógł ją w czwartek. Powinna powiedzieć o swoich planach także łącznikowi CHERUBA w policji Bedfordshire, ale przebieg zatrzymania, przesłuchania i negocjacji z podejrzanym podlegał ścisłym regułom, a ona zamierzała złamać niemal każdą z nich.

Jakby jej zadanie nie było wystarczająco trudne, Szymon pracował w obskurnym biurze nad sklepem, niespełna dwieście metrów od Zielonej Papryki, w okolicy, w której roiło się od Rzeźników.

Mosiężna tabliczka obok drzwi wejściowych nazywała Szymona księgowym, ale Chloe sprawdziła jego przeszłość i nie doszukała się żadnych dowodów na to, że faktycznie zasłużył



na którykolwiek z tytułów wyrytych przed jego nazwiskiem.

John i Chloe czekali w barze na przyjazd Szymona do pracy. Zjawił się tuż po dziewiątej, umieścił za przednią szybą samochodu niebieską plakietkę osoby niepełnosprawnej, po czym otworzył drzwi wciśnięte pomiędzy fronty dwóch sklepów i ruszył w górę wąską klatką schodową. Na widok światła, które rozbłysło za żaluzją w oknie biura, John i Chloe opuścili lokal i spieszenie ruszyli na drugą stronę ulicy przez gęsty ruch godziny szczytu. Nie chcieli dać Szymonowi czasu na zadowolenie się w biurze. Miał być możliwie rozkojarzony.

W chwili gdy dwoje koordynatorów misji stanęło na poślizniętym linoleum na górze schodów, Szymon był w recepcji, gdzie zwykle pracowała jego sekretarka, zajęty zakładaniem papierowego filtra do ekspresu do kawy.

- Dzień dobry - powiedział serdecznie, kiedy zamknęli za sobą drzwi z matową szybą. - Obawiam się, że nie mogę państwa przyjąć. Jeżeli potrzebują państwo porady finansowej, bardzo proszę umówić się z moją sekretarką. Będzie tu lada moment.

- Linda dzisiaj nie przyjdzie - uśmiechnęła się Chloe.

- Wydaje mi się, że dziś rano miała drobny kłopot z samochodem - dodał John, zamykając drzwi na zasuwkę.

- Ludzie, kim wy jesteście? - zapytał z lękiem Szymon.

Prowadził niebezpieczną grę z dwoma bossami gangów i widać było, że obawia się najgorszego.

- Może porozmawiamy o tym w twoim gabinecie - powiedziała łagodnie Chloe.

- Jesteście glinami? - zapytał Szymon z nadzieją. Perspektywa aresztowania na pewno nie była mu miła, ale policjanci przynajmniej nie odstrzeliliby mu głowy.

- Do biura - warknął John, odciągając połą płaszcz, że by pokazać broń. - Usiądziemy i porozmawiamy sobie.

Postawa Johna i fakt, że Chloe jest kobietą, wystarczyły, by Szymon uznał parę intruzów za przedstawicieli władzy.

- Mógłbym was za to wykończyć - powiedział, siadając i grożąc Johnowi palcem. - Są odpowiednie procedury.

- Och, oczywiście, że są - powiedział John, sięgając przez biurko, by zdjąć słuchawkę telefonu z widełek. - Ale na kogo się poskarżysz, skoro nie wiesz, kim jesteśmy?

- Służby bezpieczeństwa zawsze interesowały się biznesem narkotykowym - powiedziała Chloe, migając Szymonowi przed oczami fałszywą legitymacją MI5. - Na pewnym poziomie szmuglerzy narkotyków i terroryści są niemal nieodróżnialni.

- Ale sługa powinien mieć tylko jednego pana - dodał John. Chloe uśmiechnęła się.

- A ten, kto ma dwóch, powinien mieć chociaż tyle zdrowego rozsądku, by raz na jakiś czas zmienić komórkę.

- Jeśli macie dowody, aresztujcie mnie, a jeśli nie, to zejście mi z oczu, do diabła! - zagrział Szymon, machając ręką w stronę drzwi.

- Moglibyśmy cię aresztować, ale nie jesteś aż tak ważny - powiedział John.

- Bardziej ciekawi nas, co mogłoby się stać, gdyby nagrania twoich rozmów z Saszą Thompsonem przypadkiem wpadły w ręce Majora Dee - podjęła Chloe. - Przypomnij, co takiego powiedziałaś wczoraj? „Bez obaw, Sasza, przyjacielu. Niedługo pchnę w twoją stronę soczysty biznesik”.

John pokiwał głową z westchnieniem.

- Przy tej ilości papierów, jakie musimy wypełniać za każdym razem, kiedy kogoś wsadzamy, będzie znacznie prościej, jeżeli zostawimy tę sprawę Majorowi Dee...

Szymon poskrobał się nerwowo w szarzejącą szczecinę na brodzie.

- Zapłacie mi za informacje?

John i Chloe jednocześnie parsknęli śmiechem.

- Wydaje mi się, że zarabiasz wystarczająco dobrze - powiedział John.

- Nas interesują grube ryby - powiedziała Chloe. - Przekazujesz informacje, żeby Sasza Thompson mógł okraść Majora Dee. Jeżeli powiesz nam dokładnie, gdzie rzecz ma się odbyć, policja będzie mogła ustawić dozór i nagrać całe przedstawienie.

Szymon wzruszył ramionami.

- Nie potrzebujecie mnie do tego, skoro już nagrywacie moje rozmowy.

- Mamy tylko jedną szansę i chcemy znać każdy szczegół, nie tylko to, o czym rozmawiacie z Saszą przez telefon - wyjaśniła Chloe. - Jeżeli dobrze to rozegramy, dostaniemy twarde dowody przeciwko Majorowi Dee, Saszy i wszystkim ich małym elfom ganiającym po mieście z dragami i bronią.

- No a co ze mną? - zapytał Szymon. - W więzieniu czy poza nim i tak mnie utłuką. Chcę pełną nietykalność i darmowy transport za granicę.

- O nietykalności zapomnij - powiedział John. - Mogę ci obiecać, że przestaniemy cię zauważać na tyle długo, żebyś mógł wyprowadzić swój majątek za granicę i wynieść się na Jamajkę czy gdziekolwiek, gdzie uważasz, że będziesz bezpieczny. Wiem, że to nie jest idealne rozwiązanie, ale lepsze od spotkania z Majorem Dee i jego bezprzewodową wiertarką.

Szymon wciągnął powietrze przez zęby.

-To byłoby trudne... - wycedził po namyśle. - Ciężko byłoby dopaść Saszę i Majora razem w jednym miejscu. Obaj są bardzo ostrożni.

- Wściekle Psy to mały gang - zauważyła Chloe. - Sasza sam dyryguje wszystkimi dużymi rabunkami.

Szymon złączył palce w piramidkę.

- Jest pewien sposób, ale...  
- Ale co? - ponaglił John.  
- Major Dee rzadko bierze udział w wymianach, ale zrobiłby wszystko, żeby Wściekłe Psy przestały go okradać. Gdyby dostał cynk, że Sasza znów chce zasunąć mu towar, na pewno zaczęłyby się na niego osobiście.

John gwizdnął.

- Czyli informujesz Saszę o wymianie, dajesz cynk Majorowi, że Sasza chce go okraść, a potem gliny kręcą film z całego tego cyrku.

- Niezły myk, Szymon - powiedziała Chloe. - A potrafiłbyś jednocześnie kręcić piłką na czubku nosa?

- Mam pięćdziesiąt trzy lata - odparł Szymon. - Nie chcę iść do pudła i nie chcę, żeby zabił mnie Major Dee. Nie jestem głupi. Ludzie na waszym szczeblu zwracają się do ludzi takich jak ja tylko wtedy, kiedy rozgrywka jest już ustawiona. Będę współpracował, ale mam swojego prawnika w Londynie. Chcę mieć papier gwarantujący mi bezpieczny wyjazd z kraju podpisany przez kogokolwiek, kogo mój prawnik wskaże, żeby rzecz była wiążąca.

- Brzmi fair - powiedziała Chloe. - Jak myślisz, ile potrzebujemy czasu, żeby wszystko ustawić? Mówimy o tygodniach, miesiącach...?

- Do Majora Dee przychodzą z Jamajki dwa, trzy duże transporty kokainy na tydzień - wyjaśnił Szymon. - Ale Sasza potrzebuje czasu, żeby wszystko dokładnie zaplanować, i przypuszczam, że policja też nie ustawi obserwacji z dnia na dzień, nieprawdaż?

- Nie inaczej - skinęła głową Chloe.

- Wobec tego jakieś dziesięć dni. Jest regularna dostawa, która przychodzi w kontenerze. Nie wspominałem o niej Saszy, ponieważ dla Majora to jedno z głównych źródeł utrzymania.

Chloe zmarszczyła brwi, ale John zrozumiał.

- U Majora zarabia jak król - wyjaśnił, patrząc na księgowego. - Pozwala Saszy zebrać trochę śmietanki, ale nie dopuszcza, żeby rozłożył cały gang Rzeźników.

- Właśnie - skinął głową Szymon. - Mam przyjaciela, który poda mi dokładne informacje o dostawie najpóźniej do popołudnia. Saszy mogę dać cynk od razu, ale zawiadomienie Majora Dee o planowanym przechwyceniu towaru będzie bardziej skomplikowane. Będę musiał pomyśleć, jak to rozegrać.

- Rzecz jasna, możemy ci pomóc - powiedziała Chloe. - Ale od tej chwili pracujesz dla nas, co znaczy, że masz być w stałym kontakcie i chcemy w każdej chwili wiedzieć, gdzie jesteś.

Szymon wstał i pochylił się nad biurkiem, by ucisnąć dłońe swoim gościom.

- Jeżeli zagracie ze mną fair, nie przewiduję żadnych problemów - powiedział swobodnym tonem.

## 40. GRZESZNIK

James nie widział się z Juniorem od czasu wtorkowego uścisku pod bramą i zgodził się spotkać z nim przy bramie po lekcjach, kiedy ten zadzwonił do niego na przerwie, podczas jednej ze swoich rzadkich wizyt w szkole. Było pogodnie popołudnie i chłopcy, wysypujący się z obskurnego budynku szkoły, byli w koszulkach z krótkimi rękawami.

- Dzwoniłem wczoraj, żeby zapytać, co u ciebie, ale chyba miałeś wyłączoną komórkę - powiedział James.

- To przez mamę - wyjaśnił Junior. - Obudziła mnie wczoraj o siódmej i kazała wbić się w koszulę i krawat. Umówiła mnie na spotkanie w kolejnej prywatnej szkole, gdzieś na jakimś totalnym zapyziewie. Normalnie tylko szkoła, boisko z gnojkami grającymi w rugby i wszędzie dookoła pustkowie. Boże, ależ to był kał!

- Chyba tam nie idziesz, no nie? - zapytał James z niepokojem. - Jestem na liście oczekujących w tej szkole. Jak odejdiesz, być może będę musiał wznowić edukację...

- Bez obaw - wyszczerzył się Junior. - Nie chciałem denrowować mamy, więc podczas rozmowy byłem grzecznutki i w ogóle, ale ten kretyn dyrektor ciągle bredził o jednostkach kadetów i że tak świetnie kształtują takich młodych chłopców jak ja, jakbym był kurde z plasteliny. Potem przeszedł na Puchar Szkoły, a ja, no wiesz, no co mnie to kurde obchodzi? No ale chodzi o to, że nigdy bym nie pomyślał, że mnie przyjmą, ale w tej dziurze musi poważnie brakować uczniów, bo zaproponowali

mi przyjęcie na okres próbny.

- Ożeż faken szit... - zachłysnął się James.

- Myślałem, że zejde - ciągnął Junior. - Mogę być grzeczny i tak dalej, jak wiem, że mnie nie wezmą, ale jak sklepiłem, że jestem o milimetry od powrotu do budy z internatem, to się zjeżyłem. Zacząłem gdakać jak kurczak, a potem patrzę, jakieś gnojki na dworze, no to wychylam się przez okno i dawaj drzeć ryja: „Hej, cioty, chce który kupić trochę koki?”.

James zaśmiał się sztucznie. Sposób, w jaki Junior tracił nad sobą kontrolę, trochę go niepokoił.

- Powalony jesteś, wiesz?

- Ze szkoły się wyślizgałem, ale śmiesznie to raczej nie było, bo mama strasznie się poryczała - powiedział Junior. - Ja wiem, że ona mnie kocha i w ogóle, ale chciałbym, żeby zostawiła mnie już w spokoju. No bo serio, ja nigdy nie będę przyznanym adwokacikiem, jakiego sobie wymarzyła. W końcu obiecałem jej, że przysiędę fałdów w szkole i spróbuję zdać małą maturę.

- Uspokoiła się po tym?

- Trochę, ale głupia nie jest. To, że jestem w szkole dzisiaj, nie znaczy, że będę w niej jutro... A pamiętasz, co mówiłem wtedy wieczorem?

- Niby co? - udał głupiego James, chociaż pamiętał i wręcz bał się o tym myśleć.

- Znalazłem nam robótkę. - Junior uśmiechnął się tajemniczo. - W mojej grupie szkolnej jest taki jeden Alom. Jego starzy prowadzą jakieś gówniane biuro podróży na mieście. Mają tam też kantor i sejf, w którym zawsze jest forsa, bo robią też transfery, no wiesz, jak ludzie wysyłają kasę krewnym w swoim kraju i tak dalej.

- A co ty wiesz o pruciu sejfów? - zapytał James kpiącym tonem.

- Nic a nic, ale wiem, jak się przykłada komuś lufę do głowy i mówi: „Otwieraj sejf, bo pomaluję ściany twoim mózgiem”.

Mówiąc to, Junior odsunął suwak szkolnego plecaka, odsłaniając pistolet.

James przesunął wzrokiem po topornych metalowych spinach i zauważył, że rękojeść nie jest zrobiona z drewna, ale z błyszczącego plastiku.

- Ale fatalna podróba - zapiał z rozbawienia. - Wygląda jak model do sklejania.

- To replika na ślepaki - wyjaśnił Junior. - Ale rozwiercona, żeby można było strzelać normalną amunicją.

Brytyjskie przepisy dotyczące posiadania broni należą do najbardziej rygorystycznych na świecie. Spreparowane po amatorsku pukawki spotyka się często i James był mniej niż zachwycony.

- Na twoim miejscu nie tykałbym tego nawet kijem - przestrzegł. - Pociągasz za spust i nigdy nie wiesz, czy wystrzeli, czy wybuchnie ci w twarz.

- Ale kolo, któremu przystawię to do bani, nie będzie o tym wiedział, prawda? A poza tym masz przecież ten swój mały pistolecik. To już profeska, no nie?

- Kiedy zamierzasz to zrobić? - zapytał James, gdy ominęli tłum dzieciaków na przystanku.

- Wczoraj wieczorem obczaiłem to miejsce. Otwierają wcześniej, a zamykają późno.

James potrzaskał głową.

- Junior, rozpoznania nie robi się w jeden wieczór. Nie wystarczy pójść i przeczytać godzin otwarcia. Bruce i ja spędziliśmy trzy tygodnie na obserwacji bunkra, zanim Sasza uznał, że można tam wkroczyć.

- To tylko jeden stary Hindus - powiedział Junior wzburzonym tonem. - Klucz do sejfu nosi z całą masą innych kluczy na pasku. Wstaniemy jutro wcześniej rano. Dorwiemy go, jak



będzie otwierał, koleś wyskoczy z kasy i w pięć minut będziemy bogatsi o pięć patoli.

- Sorry, stary, ale nie podoba mi się to - wyznał James.

- Co?! - zachłysnął się Junior. - James, to okazja. Kręciłem się tam jakiś czas...

- Sasza nie będzie...

- Hej! - Junior przerwał Jamesowi, gwałtownie unosząc rękę. - Nie wspominaj przy mnie o tym człowieku, okej? Może ty grabisz kasę jak liście na jesień, ale ja mam sześć funtów i kupon do HMV, który dostałem od mamy na Wielkanoc; i nie ma w tym krzty przesady.

James postanowił grać na zwłokę.

- Nie mówię nie, ale pamiętasz, co mówiłem o zebraniu kapitału i zorganizowaniu własnej załogi z prawdziwego zdarzenia? Mogę pożyczyć ci parę stów, żebyś jakoś przewiosłował do tego czasu.

- Mam dosyć datków! - krzyknął Junior. - Przez całe życie byłem synem Keitha Moore'a. Albo miałem na karku matkę, albo pilnował mnie Sasza. Chcę sam rządzić swoim życiem. Jutro zrobię skok na biuro podróży, za kasę, którą ukradnę, kupię trochę koki i zioła, a potem sprzedam to w szkole. Maturzyści wciągają i jarają jak smoki, ale za bardzo się boją, żeby podejść do dilerka na ulicy, i wolą zapłacić drożej. Daj mi miesiąc, a będziemy mieli dwadzieścia albo trzydzieści kafli, laski do wyboru i tyle śniegu, ile zdołamy wepchnąć sobie w kinol.

James wzruszył ramionami.

- Dla mnie to po prostu nie jest zbyt dobry moment, Junior.

- Wiesz, na czym polega twój problem? - wyszczał Junior. - Jesteś cykor.

James cmoknął z irytacją.

- Tak, cykor. Dopiero co pomogłem Saszy zdjąć bunkier, taki ze mnie cykor.

- No i znowu! - krzyknął Junior. - Sasza, Sasza, Sasza! No to trzymaj się go, durna pało, jak tak go uwielbiasz. Zresztą skok na biuro i tak planowałem jako jednoosobowy, więc idę tam jutro bez względu na to, czy ty i twój kochaś macie coś przeciwko, czy nie!

- Junior, wyluzuj. Ludzie słuchają - powiedział James, próbując złapać kolegę za ramię. Ale Junior odepchnął jego rękę.

- Zabieraj te łapy, kurde. Traktujesz mnie jak dziecko, tak samo jak wszyscy inni.

- Hej, no co ty... - zaczął James, ale pchnięcie Juniora rzuciło go na idącego za nimi jedenastolatka.

Zanim odzyskał równowagę i przeprosił dzieciaka, Junior był już daleko.

James wiedział, że nie ma sensu go gonić.

\*

Bruce wylegiwał się na swoim łóżku w Zoo, kiedy zadzwoniła Chloe.

- Spotkanie poszło znakomicie - powiedziała ożywionym tonem. - Szymon ustawi wymianę na następną środę. Komisja etyki nie będzie zachwycona, kiedy usłyszy o bunkrze, dlatego to nasza jedyna szansa na załatwienie Majora Dee i Saszy, zanim odwołają nas z powrotem do kampusu.

- Przynajmniej mamy tę szansę - powiedział Bruce.

- Szymon wydaje właściwe dźwięki, ale nie nazwałabym go godnym zaufania i będziemy musieli mieć go na oku. Ty i James macie trzymać się jak najbliższej Saszy. Wygląda na to, chłopcy, że wam ufa, więc może wypśnie mu się coś na temat tego, co planuje. Policja też go obserwuje, ale jak na razie nie mają niczego poza paroma niewyraźnymi fotkami i nie liczyłabym na wiele więcej.

- To mały gang - zauważył Bruce. - Nawet jeśli nie będziemy zaangażowani w planowanie, Sasza na pewno zaangażuje nas w rabunek.

- Miejmy nadzieję - powiedziała Chloe. - Poproszę Michaela, żeby zrobił dokładnie to samo po stronie Majora Dee. Współpracuję ze starszym inspektorem Rushem z antygangsterki, ale on boi się, że jego jednostka nie jest w stu procentach szczelna informacyjnie, dlatego do zadań obserwacyjnych ściąga specjalistów z innych rejonów. Miejscowi gliniarze dowiedzą się, co się dzieje, tuż przed tym, jak będą musieli wejść tam i dokonać aresztowań.

- Przekażę wszystko Jamesowi - obiecał Bruce.

- A gdzie on się podział?

- Spotkał się z Juniorem. - Bruce spojrział na zegarek na swoim stoliku nocnym. - Myślałem, że pójdą na miasto czy coś, ale James zadzwonił, żeby powiedzieć, że już wraca, więc pewnie później przejdziemy się do Saszy.

- Dobra, będziemy w kontakcie - powiedziała Chloe.

Bruce odłożył telefon i wyszedł do toalety. Kiedy wrócił, w pokoju zastał Jamesa czerwonego z wściekłości.

- Junior to taki krety...! - wrzasnął z furją James, zszarpując z siebie bluzę i ciskając ją na łóżko.

- Co zrobił?

- Skombinował sobie broń, jakąś gównianą samoróbkę, i jutro z rana chce zrobić skok na jakieś biuro podróży. Robiłem, co mogłem, żeby go powstrzymać, ale nie chciał mnie słuchać.

Bruce wzruszył ramionami.

- To rozpieszczony gnojek, czego się spodziewałeś?

James znieruchomiał lekko zaskoczony.

- Wcześniej mówiłeś, że jest okej.

- No bo jest, fajny z niego kumpel i w ogóle, ale przez cały czas chodzi napruty i nikt, kto ma dwie szare komórki na krzyż, nie ma wątpliwości, że ścieżka jego kariery prowadzi prosto za kratki.

James wykonał gest, jakby ścisnął kogoś za gardło.

- Z przyjemnością wbiłbym mu w łeb trochę rozsądku.

- A co na to wszystko Chloe? - zapytał Bruce.  
- Nic. Nie gadałem z nią...  
- No tak, było zajęte, bo rozmawiała ze mną.  
- Nie próbowałem do niej dzwonić, Bruce, i nie zamierzam.  
- Co? - Bruce uniósł brwi. - Jeśli to zwykły napad, mogą zrobić tak, żeby gliniarze przechodzili tamtędy niby to przypadkiem. Nikt nas nie zdemaskuje.  
- Ale ja nie chcę, żeby go zamknęli, rozumiesz? - powiedział James, siadając na krawędzi łóżka i trąc dłońmi policzki. - Wiem, że to szajbus, ale tak się składa, że go lubię i nie chcę, żeby kiblował przeze mnie.  
- A co, jeśli mu odwali i koleś strzeli komuś w łeb? - zapytał Bruce. - Wolisz mieć to na sumieniu?  
- Ja... - zająknął się James, wykręcając ramiona i nienawidząc się za to, że nie miał racji. - To wszystko moja wina. Gdybym nie drażnił go pieniędzmi, to nie wściekłby się tak wtedy u Saszy.  
- Daj spokój, James. - Bruce machnął ręką. - Pomóc nie pomogłeś, ale Junior zjeżdżał w bagno, jeszcze zanim się do niego zbliżyłeś.  
- Ja naprawdę go lubię. Nie jest dla mnie jak... jak jakiś przypadkowy znajomy na misji. Bruce uśmiechnął się.  
- Lubisz go, bo jest tobą.  
- Co ty gadasz?  
- Zanim trafiłeś do CHERUBA, twoja mama była kryminalistką tak samo jak tata Juniora. Byłeś zepsutym gnojkiem i miałeś kłopoty z policją tak jak Junior. Obaj jesteście bystrzy, ale leniwi. Obaj jesteście furiatami. Junior jest dokładnie taki, jaki ty byś się stał, gdybyś nie wstąpił do CHERUBA i nie został naprostowany.  
James dostrzegł tkwiącą w tym prawdę, ale nie zamierzał przyznać Bruce'owi racji.

- Co za debilizm - prychnął. - Nie mogę po prostu go lubić?

- James, posłuchaj, przynajmniej jeżeli zgarną go jutro, to wciąż jako piętnastolatka. To będzie rozbój, a on jest na warunkach, więc go wsadzą, ale dostanie pięć, góra sześć lat, bo nie jest pełnoletni. Kiedy wyjdzie, będzie już o włos od kasy z funduszu powierniczego i może się trochę ustatkuje.

- Co za gówno - jęknął James, krzywiąc się i sięgając po spodnie, by wyjąć z nich telefon. - Nie do wiary, że właśnie ja muszę go zakapować.

## 41. JUNIOR

Junior wstał o wpół do ósmej i wziął prysznic w łazience połączonej z jego sypialnią. Czuł się niewyraźnie. Włożył mundurek, żeby mama sądziła, że wybiera się do szkoły, ale do plecaka zapakował pistolet, sportowe buty, rękawiczki i niebieski dres Adidasa.

Coś w jego duszy mówiło mu, że powinien się wycofać, ale właśnie tego wszyscy by się po nim spodziewali. Był zdecydowany udowodnić, że sam potrafi o siebie zadbać, a poza tym zawsze marzył o kierowaniu własnym gangiem i wierzył, że zdoła nawrócić Jamesa na swój sposób myślenia, jeśli tylko zarobi trochę pieniędzy.

April, bliźniaczka Juniora, siedziała przy stole jadalnym na dole w niebieskim swetrze i białych szkolnych rajstopach. Przed sobą miała porozkładane podręczniki i wpatrywała się w książkę od chemii z taką miną, jak gdyby bolał ją mózg.

- Prawdziwy cud! - wyszczerzyła się, spoglądając na zegar, kiedy jej brat wszedł do kuchni. - Co się stało, zmoczyłeś łóżko czy jak?

- Chciałabyś. - Junior wzruszył ramionami. - Pomyślałem, że wstanę trochę wcześniej i pokopię piłkę z chłopakami przed szkołą.

W rzeczywistości przez swoją odsiadkę i nieposkromioną skłonność do wagarowania Junior nie znał w szkole praktycznie nikogo, ale April o tym nie wiedziała.

- Mam nadzieję, że tym razem dotrzymasz obietnicy - powiedziała April. - Żaden z ciebie geniusz, ale ciołkiem też nie jesteś. Słuchaj, wiem, że masz zaległości, ale jeśli poważnie myślisz o powrocie do szkoły, mogłabym pomóc ci trochę podgonić w wakacje. Albo mama wynajęłaby korepetytora...

- No... może... - powiedział Junior, wzdrygając się na myśl o letnich korepetycjach. - Do czego zakuwasz? - zapytał, wpychając dwie białe kromki do opiekacza.

- Do próbnego z chemii - odpowiedziała April.

- Wiesz, chciałbym, żebyś była trochę mniej sztywna, tak jak dawniej - powiedział Junior. - Zanim tata poszedł do pierdła, chodziliśmy razem do Klubu Młodych, mieliśmy tych samych kumpli i tak dalej... A teraz zadajesz się z kujonami.

April roześmiała się.

- Moi koledzy są po prostu normalni, Junior. Chodzą do szkoły, odrabiają lekcje, a w weekend idą się zabawić. Żadnego wciągania koki, żadnych rozbojów i nikt nie idzie do paki na sześć miesięcy.

- Drętwusy - prychnął Junior, po czym zaczął parodiować głos siostry: - „No a Sharon dostała tylko sześćdziesiąt dwa procent z francuskiego i dobrze jej tak, bo strasznie się podlizuje pannie LeFromage. I mam nadzieję, że Matt będzie na imprezie w sobotę, bo mówię wam, jak tylko go widzę, to tak mi się robi mokro w majtkach, że... OUUUUUUOOCH!”.

April przewróciła oczami.

- Możesz się zamknąć? Próbuję się uczyć.

- To tylko próbniak.

April spojrzała na brata znad książki i zmierzyła go uważnym wzrokiem.

- Co się dzieje, Junior?

Junior zrobił niewinną minę.

- A skąd ci przyszło do głowy, że coś się dzieje?  
- Telepatia bliźniąt - odparła April. - Jesteś podenerwowany, pocisz się na twarzy i napadłeś na mnie bez powodu. Gadaj, gdzie się wybierasz?  
- Nigdzie... To znaczy tylko do szkoły.  
- Powinieneś przestać zadawać się z tym idiotą Jamesem Beckettem - powiedziała April znacząco. - Toksyczny typ.

Junior wzruszył ramionami.

- To dobry kolega.

- Żałosny platfus.

- Mówisz tak, bo totalnie na niego leciałaś, a on dał ci kopa.

April potrząsnęła głową.

- To było trzy lata temu. Owszem, byłam zakochana, ale miałam wtedy dwanaście lat, a teraz mam to wszystko za sobą. Słuchaj, nie mógłbyś trochę przyhamować? Nie sądzisz, że mama już dość przez ciebie przeszła?

Maszynka dźwięknęła i wypluła tost. Junior zaczął smarować go masłem, nie odpowiadając na pytanie.

- Zaraz mam autobus - westchnęła April, zerkając na zegarek. Zaczęła zgarniać książki do plecaka. - Chciałabym, żebyś jakoś poukładał sobie życie. Wkurzasz mnie niemożliwie, ale jesteś moim bratem i lubię cię mimo wszystko.

- Ja ciebie też - wyseplenił Junior, odgryzając róg grzanki. - Nie martw się o mnie. Do zobaczenia wieczorem.

Junior patrzył, jak April wychodzi przez drzwi ogrodu i chrzęszcząc żwirem pod stopami, idzie w stronę ulicy. Bliźnięta minęły już wiek, w którym potrzebowały pomocy przy szykowaniu się do szkoły, i Julia Moore, jeżeli tylko nie miała porannej lekcji tenisa, zwykle nie wstawała z łóżka, dopóki dzieci nie ulotniły się z domu.

Pochłonawszy grzankę, Junior zjrzał do mamy oglądającej na górze telewizję śniadaniową, po czym zszedł do salonu. Nie chciał ryzykować zauważenia przez siostrę na przystanku, więc



zamawiając taksówkę, poprosił, by kierowca podjął go z końca ulicy za dziesięć minut. Następnie zerwał z szyi szkolny krawat, wyjął z plecaka dres i sportowe buty i zaczął się przebierać.

\*

Biuro podróży Indian Sun było niezłe prosperującą firmą mieszczącą się w bocznej uliczce kilkaset metrów od głównego pasażu handlowego w Luton. Napis na witrynie oferował wycieczkę do Goa za czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć funtów, ale biuro służyło dużej lokalnej społeczności azjatyckiej głównie jako miejsce, gdzie kupowało się tanie karty telefoniczne, wysyłało przekazy pieniężne i rezerwowało bilety lotnicze.

Junior uznał Indian Sun za dobry cel z powodu dwóch rzeczy, jakich dowiedział się od kolegów z gangu Wściekłych Psów. Po pierwsze, miejsca wymieniające walutę i realizujące przekazy miewają więcej gotówki pod ręką niż banki, ale przeważnie są rodzinnymi firmami o znacznie niższym poziomie zabezpieczeń. Po drugie, z rozmaitych przyczyn religijnych i kulturowych ludzie o azjatyckich korzeniach często niechętnie korzystają z kart kredytowych i nawet duże kwoty wpłacają gotówką. Z tego powodu firmy odwiedzane przez azjatyckich klientów są popularnym celem napadów rabunkowych.

Aby uniknąć ryzyka rozpoznania przez kierowcę po napadzie, Junior kazał się wysadzić dwa kilometry od biura podróży. Resztę drogi pokonał pieszo, maszerując wzdłuż głównej ulicy w ciemnych okularach i czapce baseballówce, ze wzrokiem wbitym w chodnik, by nie pokazywać twarzy kamerom nadzoru. Nie minęła jeszcze dziewiąta i wszystkie witryny były zasłonięte roletami.

Dygocząc ze zdenerwowania, skręcił w boczną uliczkę i zmartwiało zaskoczony panującym na niej ożywionym ruchem. Cztery kobiety straszące zbyt grubą warstwą makijażu stały,

przytupując z zimna, przy wejściu dla personelu domu towarowego. Przy kiosku z gazetami ustawił się ogonek klientów, podobnie jak przy budzie z bajglami dokładnie naprzeciwko Indian Sun.

Biuro podróży także było otwarte, o czym świadczyła stojąca na chodniku metalowa tablica z kursami walut, ale tylko jedna z trzech rolet w oknach była podniesiona. Kiedy Junior lustrował swój cel, przez grzbiet przebiegł mu dreszcz emocji. Chłopiec klepnął się w bok, by poczuć krzepiący dotyk wekniętego za pas pistoletu.

Myśli Juniora pędziły z prędkością światła. Kiedy naciągał na dłonie skórzane rękawice, w głowie pojawił mu się obraz April i mamy; to jednak nie odwiodło go od powziętego planu. Sasza bacznie pilnował, by Junior nie angażował się w przeprowadzane przez gang rabunki, ale on nieraz słyszał, jak Kółko i inni plotą o swoich przestępczych wyczynach, sprzecząc się o najlepsze sposoby przeprowadzania rozmaitych akcji.

Choć opinie różniły się w kwestii szczegółów, wszyscy zgadzali się co do podstaw: zaczynać od porządnego wywiadu, wchodzić ostro, działać szybko, nie zostawiać śladów, ubierać się w nijakie ciuchy, ukrywać twarz przed kamerami i zmieniać fuchy, by policja nie była w stanie przewidzieć, co zrobisz następnym razem.

Wprawdzie nie ma nic pewnego, kiedy ludzie zaczynają wymachiwać bronią, i każdemu kiedyś kończy się szczęśliwa passa, ale jeśli przestępca twardo trzyma się reguł, ryzyko wpadki podczas rabunku jest nikłe.

Junior przestąpił próg biura i drgnął przestraszony dźwiękiem elektrycznego gongu. Jak mógł się spodziewać, za ladą tkwił Praful Patel, starszy człowiek, który założył Indian Sun ponad dwadzieścia lat wcześniej. Ogromny pęk kluczy wisiał u szlufki jego spodni na sprężynowym karabińczyku.

Cały kłopot w tym, że przed kontuarem siedzieli dwaj zwa-  
liści faceci, którzy wyglądali, jakby pochodzili z Bałkanów.  
Zaschnięte błoto na ich butach sugerowało, że pracują na bu-  
dowie. Na ladzie leżał nieduży plik dziesięcio-i dwudziestofun-  
tówek, zaś Praful Patel cierpliwie wypełniał trzyczęściowy  
formularz wpłaty z jaskrawym logo agencji przekazów pie-  
niężnych w nagłówku.

- Opłata wynosi pięć funtów plus dwa procent - wyjaśnił  
Praful, starannie oddzierając dolną część blankietu. - Pańska  
żona musi znać hasło, żeby móc odebrać pieniądze.

Mężczyźni wyglądali zbirowato i właśnie wyłożyli na biur-  
ko swoje oszczędności, dlatego Junior postanowił wstrzymać  
się z wyciągnięciem broni, dopóki nie wyjdą. Czekanie nie  
było idealnym rozwiązaniem, bo do biura w każdej chwili  
mógł wejść ktoś jeszcze, ale Junior uznał, że jedyne, co może  
w tej sytuacji zrobić, to podejść do wieszaka z prospektami  
wycieczek i udawać, że je przegląda.

Dwie minuty później - choć Junior mógłby przysiąc, że  
trwało to znacznie dłużej - dwaj mężczyźni ruszyli ku wyjściu,  
spiesząc się do swojej nielegalnej pracy przy budowie hotelu  
za domem towarowym.

- Czym mogę służyć, młodzieńcze? - zapytał Praful z re-  
zygnacją człowieka świadomego, że ludzie w wieku jego go-  
ścia nieczęsto przychodzą, by wykupić wycieczkę.

- Otwieraj sejf - rozkazał Junior, wycofując się ku drzwiom,  
by zamknąć zasuwę, i jednocześnie wyszarpując zza pasa pi-  
stolet.

Praful powoli unióśł ręce.

- Nie trzymam tu dużych pieniędzy - uprzedził rabusia.  
- Za często mnie okradali.

Junior rozpiął swój szkolny plecak.

- Nie pytałem o historię twojego życia, tylko kazałem otwo-  
rzyć sejf - zawarczał, zgarniając do plecaka pieniądze z kontu-  
aru. - Otwieraj i dawaj, co tam chowasz.

Staruszek miał chory grzbiet i stęknął boleśnie, przyklejając na jedno kolano, by wsunąć klucz w zamek sejfu. Metalowe drzwi otworzyły się, odsłaniając stertę biletów lotniczych w kopertach, a także blaszaną szufladę z kasy zawierającą około stu funtów w walucie brytyjskiej oraz małe zwitki euro, dolarów i rupii.

Junior nie potrafił ukryć rozczarowania.

- Gdzie trzymasz resztę kasy? - zapytał rozgoryczonym tonem.

- Nie ma reszty - zapewnił Praful, wkładając pieniądze do plecaka.

- Gówno prawda! Widziałem, jak ludzie wymieniali tu po pięćset funtów naraz.

- Dwugodzinne wyprzedzenie - powiedział Praful, wskazując na tabliczkę z napisem: „Ze względów bezpieczeństwa wymiany sum większych niż 150 funtów w dowolnej walucie są realizowane wyłącznie po uprzednim zawiadomieniu. Prosimy dzwonić z co najmniej dwugodzinnym wyprzedzeniem”.

- Ożeż kurde! - jęknął Junior. - Gdzie reszta kasy?!

- Nie tutaj - powiedział Praful. - To już trzeci napad. W poprzednich dwóch straciłem dużo tysięcy funtów. Teraz nie mogę dostać ubezpieczenia.

Junior zastanawiał się, jak działa ten system. Praful zapewne trzymał kasę w domu. A jeśli sejf wystawiał tylko na podpuchę, a pieniądze ukrywał gdzie indziej w biurze? Być może istniał sposób na ich zdobycie, ale z drugiej strony Junior pamiętał, jak Kółko i inni gangsterzy mówili, że przedłużanie pobytu na miejscu przestępstwa jest najbardziej niebezpieczną rzeczą, jaką można zrobić. I może nie zarobił tysięcy funtów, na jakie liczył, ale uznał, że pliki zagranicznych banknotów po wymianie powiększą łup do sumy czterocyfrowej, co od biedy wystarczyłoby mu na przetrwanie najbliższych dwóch miesięcy.

Junior zapiął plecak, wepchnął pistolet za ściągacz dresu i wyszedł na ulicę. Zdębiał na widok srebrnego policyjnego bmw zaparkowanego dokładnie naprzeciwko biura, po drugiej stronie wąskiej uliczki. W środku dwaj funkcjonariusze zajadali się bajglami.

Junior przełknął ślinę, słysząc, jak Praful zamyka za nim zasuwę. W chwili gdy ruszył wzdłuż ulicy, w biurze Indian Sun rozwrzeszczał się alarm. Przyspieszył kroku, mając nadzieję, że gliny nie skojarzą go z sygnałem, ale wtedy kierowca radiowozu krzyknął za nim i Junior puścił się przed siebie opętańczym sprintem.

Sto metrów dalej wpadł na pasaż handlowy, ale składany słupek, zapewniający dostęp samochodom dostawczym, był opuszczony i radiowóz wjechał za Juniorem na deptak. Chłopak w pełnym pędzie minął dwa sklepy, rozglądając się za jakąkolwiek boczną uliczką, aż wreszcie megafon na dachu beamki ryknął chrapliwie:

- Zatrzymaj się z rękami w górze! Powtarzam: zatrzymaj się z rękami w górze!

Junior wiedział, że gliny nie odpuszczą, dopóki nie wyceluje w nich broni. Wypatrzył mały ogródek piwny i budząc popłoch w stadku gołębi, wparował między ławki, by przycupnąć za wysoką betonową donicą.

- Nie zbliżać się! - wrzasnął, wymachując pistoletem, kiedy z uliczki za nim wyjechał policyjny motocykl. Radiowóz zatrzymał się i wysiedli z niego dwaj funkcjonariusze.

- Odłóż tę pukawkę, synu - powiedział jeden z nich. -Tylko pogarszasz tym sprawę.

Junior wziął go na muszkę, ale wtedy motocykl zawarczał głośniejsze i potoczył się w jego stronę.

- Nie zbliżać się! - wrzasnął Junior.

Pomyślał o strzeleniu do motocyklisty i ucieczce w uliczkę za nim, ale rozproszył go kolejny radiowóz, który wjechał na

deptak za pierwszym. Samochód przejechał na drugą stronę ogródka i zahamował ostro niecałe trzydzieści metrów od Juniora. Z tylnych miejsc wyskoczyli dwaj policjanci, którzy natychmiast ukryli się za wozem. Obaj mieli hełmy i kamizelki kuloodporne.

- Rzuć broń! - rozkazał przez megafon kierowca z jednostki specjalnej i ruszył powoli naprzód z dwoma uzbrojonymi policjantami skradającymi się za samochodem.

Pistolet w dłoni Juniora dygotał, zdradzając jego zdenerwowanie. Chłopiec miał dość rozsądku, by wiedzieć, że nie ucieknie dwóm radiowozom i motocykliście. Rozważał pomysł otwarcia ognia, ale miał paskudne przeczucie, że zanim zdoła kogoś trafić ze swojej żalostnej samoroby, policyjni snajperzy ustrzelą go jak kaczkę.

Pozostały mu dwa wyjścia: odłożyć broń i dać się zamknąć albo strzelić sobie w głowę. Przez jedną ulotną chwilę skłaniał się w stronę samobójstwa: kiedy wyobraził sobie reakcję mamy i wesołość, jaką w załodze Saszy musiała wzbudzić jego wpadka. Może powodem, dla którego wszyscy traktowali go jak dziecko, było to, że naprawdę nim jest...

- Odłóż to, synu - powiedział gliniarz z pierwszego radiowozu. - Jesteś za młody, żeby umierać.

I może był to tylko tekst, jakiego nauczono go w akademii policyjnej, ale jego głos zabrzmiał wystarczająco szczerze, by Junior nagle się uspokoił. Chłopak odrzucił pistolet w krzaki, poniósł ręce i powoli wstał.

- No dobra, dziwki, chodźcie! - zawołał drżącym głosem, z trudem hamując łzy. - Zawieźcie mnie z powrotem tam, gdzie moje miejsce.

## 42. POŚPIECH

Starszy inspektor Mark Rush dowodził wydziałem do walki z przestępczością zorganizowaną. Był jedynym policjantem w całym Bedfordshire, który wiedział o operacji CHERUBA, i od samego początku misji, trwającej już cztery miesiące, regularnie spotykał się z Chloe i Maureen. Obserwował agentów CHERUBA podczas operacji dozoru, a po śmierci Owena Campbella-Moore'a brał udział w zatrzymaniu i przesłuchaniach Michaela, ale nigdy nie rozmawiał bezpośrednio z żadnym z nastolatków.

Teraz, kiedy operacja miała się ku końcowi, inspektor Rush poprosił o spotkanie z agentami - także z Gabriellą - by móc osobiście im podziękować i omówić sprawę finałowej zasadzki. Chloe zgodziła się, ale dla zminimalizowania ryzyka, że ktokolwiek zobaczy ich razem, zorganizowała spotkanie w wynajętej sali włoskiej restauracji na przedmieściach Londynu, pół godziny drogi od Luton.

Od wpadki Juniora minęło pięć dni i James wciąż zadreślał się swoją w niej rolę. Tęsknił też za Daną i ciążyło mu poczucie winy z powodu przygody z Lois. Najgorsze chwile przeżył w piwnicy Saszy, wieczorem nazajutrz po zamknięciu Juniora, kiedy cała załoga Wściekłych Psów zabawiła się parodiowaniem jego przemowy: „Nie jestem dzieckiem” i naśmiewała się z jego parszywego szczęścia. Mimo to wizyta w eleganckim lokalu poprawiła mu humor, tym bardziej że pulchny starszy

inspektor przyszedł z prezentami.

- Nie mam dzieci - sapnął przepraszająco, wyciągając cztery koperty z wewnętrznej kieszeni lotniczej kurtki. - Nie miałem pojęcia, co by się wam spodobało, więc poddałem się i wzięłem bony na zakupy. Możecie kupić gry, książki czy co tam chcecie.

James z uśmiechem otworzył kopertę i przyłączył się do podziękowań, jakie szybką rundką okrążyły stolik. Inspektor usiadł i otworzył menu.

- Dotarł pan bez przeszkód? - zapytała Chloe.

- Tak - rzucił policjant i spojrzał na Gabriellę. - Jak samopoczucie? Przez ciebie zarwałem dobrych parę nocek.

- W porządku - uśmiechnęła się dziewczyna. - Wczoraj byłam na kontroli i lekarz był chyba zadowolony, wszystko się goi i w ogóle. W kampusie trochę chodzę, żeby odzyskać formę, ale jak próbuję poruszać się trochę energiczniej, znów wszystko zaczyna mnie boleć.

- Masz jakieś fajne blizny? - zapytał Bruce.

- Więcej niż ty - odparowała Gabriella. - Mam wizytę u chirurga plastycznego, który sprawdzi, czy da się coś z nimi zrobić. Jakies przeszczepy skóry czy coś...

- Uważam, że powinnaś je zostawić - powiedział Michael, uśmiechając się do swojej dziewczyny. - Teraz są częścią ciebie.

- Pokaż - zażądał Bruce.

Gabriella wstała i zebrała dłońmi dół swojej obcisłej koszulki, odsłaniając trzy różowe pręgi na brzuchu, każdą poprzecinaną niewyraźnymi kreskami po szwach. Po chwili obróciła się na pięcie, by pokazać ślad po nożu na plecach.

- Myślałem, że dźgnął cię tylko dwa razy - zdziwił się James.

- Musieli zrobić dodatkowe nacięcia, kiedy sklejali jej rurki w środku - wyjaśnił Michael, po czym ujął Gabriellę za rękę, a



kiedy dziewczyna usiadła, pocałował ją w szyję. - Jesteś najpiękniejszą dziewczyną na świecie - powiedział miękko.

- Ja mam wielgachną bliznę na nodze - pochwalił się Bruce, biorąc się do podwijania nogawki dresu.

- Zostaw - powiedziała Chloe ostrym tonem. - Przyszliśmy tu na odprężający obiad i rozmowę o jutrzejszej operacji. Nie chcę więcej oglądać żadnych blizn.

- To nawet dobrze - wyszczerzył się inspektor Rush. - Bo jedyną, jaką mogę się pochwalić, mam na tyłku.

Policjant zbyt usilnie starał się przypodobać młodzieży i żart trafił w próżnię, ale niezręczną ciszę szybko przerwało nadejście kelnerki. Podczas gdy przyjmowała zamówienia i zbierała karty dań, James zezował na jej czarne obcisłe spodnie.

- No więc, inspektorze - zaczęła Chloe, kiedy kelnerka wyszła z sali. - Może opowie nam pan co nieco o tym, co ma się jutro wydarzyć.

- Jestem w cywilu, więc może po prostu Mark - zaproponował policjant. - W założeniach plan jest prosty. Szymon Bentine zdradził nam, że regularne dostawy kokainy dla Majora Dee przychodzą ukryte w beczkach z olejem jadalnym wysyłanych ze Stanów w kontenerze.

- Myślałem, że Dee ma kontakty na Jamajce - zdziwił się James.

- Bo ma - powiedziała Chloe. - Nie wiemy wszystkiego o przebiegu operacji przemytu, ale celnicy są wyczuleni na przesyłki z Karaibów, za to puszkowaną żywność ze Stanów kontroluje się znacznie rzadziej. Prawdopodobnie kokainę dostarcza się na pokład kontenerowca małą motorówką, na pełnym morzu. Beczki z samym olejem wyrzuca się za burtę i zastępuje identycznymi zawierającymi kontrabandę.

- Z technicznego punktu widzenia to całkiem chytry sposób - dodała Maureen. - Beczki są zamknięte hermetycznie, więc nie

ma ryzyka, że narkotyki zostaną wywęszone przez psy albo systemy elektroniczne. Kontener wypełniony metalowymi puszkami jest też trudny do prześwietlenia i jedynym sposobem, w jaki celnik może sprawdzić, co naprawdę jest w beczce, jest otworzenie jej, co z kolei psuje produkt.

- To ten rodzaj szmuglu, jaki można powstrzymać, tylko dostając informację z wnętrza organizacji - powiedział inspektor. - Ale nawet jeśli jutro nie dorwiemy głównych łobuzów, to przynajmniej bardzo ograniczymy ich możliwości sprowadzania narkotyków do kraju. Spece z policji Leicestershire zainstalowali już sprzęt wywiadowczy w magazynie, gdzie ma dojść do wymiany, ale muszą działać ostrożnie, bo miejsce obserwują też ludzie Saszy.

- To dobrze - zauważył Michael. - To znaczy, że zamierzają się pokazać.

- Szymon twierdzi, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, kontener wyląduje w Dover dziś około północy - ciągnął inspektor. - Zostanie załadowany na ciężarówkę i odwieziony do magazynu, gdzie ma dojść do spotkania z ludźmi Majora Dee. Terminale kontenerowe bywają zatłoczone, więc przemytnicy mogą dotrzeć do magazynu o którejkolwiek godzinie między dziewiątą a jedenastą rano.

- Czy przemytnicy też należą do Rzeźników? - zapytał James.

- Nie należą do grupy Majora Dee, ale mają powiązania z jego współnikami na Jamajce.

- Szymon mówi, że dostają kasę przy dostawie, więc nie mogą być bardzo blisko - wtrąciła Maureen.

- Po dostarczeniu kontenera wyladowanie beczek z kokainą zajmie od dziesięciu do piętnastu minut - podjął inspektor. - Wyladowane pojemniki zostaną zastąpione prawdziwymi beczkami z olejem i ciężarówka powiezie ładunek do miejsca przeznaczenia.

- I wtedy Sasza Thompson wykona swój ruch - powiedział Bruce.

- Tak. - Inspektor skinął głową. - Sasza nie ma dość czasu ani ludzi, żeby przetrząsać kontener w poszukiwaniu narkotyków, ale na pewno będzie chciał dorwać i towar, i pieniądze, a to oznacza, że Wściekłe Psy wkroczą do akcji w krótkim przedziale czasowym pomiędzy oddzieleniem kokainy od ładunku oleju a odjazdem przemytników z zapłatą. Ale, rzecz jasna, ponieważ Szymon poinformował Majora Dee o planowanym rabunku, będzie to także moment, w którym rozpęta się prawdziwe piekło. Mówimy tu o dwóch uzbrojonych po zęby gangach wydających sobie decydującą bitwę. Przypuszczam, że stawi się jakiś tuzin Wściekłych Psów - wszyscy pod bronią - i pewnie ze dwa razy więcej Rzeźników.

- Totalna masakra - westchnął Bruce, najwyraźniej upajając się wizją.

Chloe jednak nie uśmiechnęła się.

- Nie podoba mi się twoja postawa, Bruce. Zginęło już ponad dwadzieścia osób; Gabriella omal nie znalazła się wśród nich. Macie dopilnować, żeby nie było was w tym magazynie, kiedy zacznie się strzelanina.

- Będziemy mieli sześćdziesięcioro dwoje funkcjonariuszy pod bronią, w tym kilkoro ściągniętych z Londynu - powiedział inspektor. - Ale wysłanie ich do magazynu przeciwko ponad trzydziestu kryminalistom z automatami i półautomatami byłoby zbyt ryzykowne. Tam, gdzie będzie można bezpiecznie przeprowadzić zatrzymanie na miejscu, zrobimy to, ale nie chcemy doprowadzić do oblężenia, dlatego zastosujemy miękki kordon. Podejrzani, którzy opuszczą magazyn, będą śledzeni przez śmigłowce i zespoły pościgowe w samochodach. Mamy adresy większości członków gangów i wydziobiemy wszystkich, którzy dotrą do domu. Naszym celem jest aresztowanie każdego Wściekłego Psa i Rzeźnika w promieniu

kilometra od tego magazynu, i to bez strat własnych. Przygotowaliśmy już pomieszczenia do zamykania i przesłuchiwania członków obu gangów. Ściągnąłem też z Londynu dwa zespoły techniki kryminalistycznej, które pobiorą każdy odcisk palca, buta i próbkę DNA wewnątrz i w najbliższej okolicy budynku. Chcę widzieć Majora Dee i Saszę Thompsona za kratkami, a ich gangi zmiażdżone do szczętu.

- Brzmi nieźle - uśmiechnęła się Gabriella.

- A gdzie jest w tym wszystkim miejsce dla nas? - zainteresował się James.

- Informacja - powiedział inspektor Rush. - Rzecz jasna, nie chcemy, żeby coś się wam stało, ale wy trzej, chłopcy, jesteście naszymi jedynymi pewnymi ludźmi, jakich mamy wewnątrz tych gangów.

- Jeśli pozostaniemy wewnątrz - zaznaczył Bruce. - W zeszłym tygodniu Sasza prawie się do nas nie odzywał. Pytałem, czy nagra nam jeszcze jakąś fuchę, ale on wciąż nas spławia.

- Pewnie jest zajęty organizowaniem napadu - powiedziała Chloe. - Wściekłe Psy to mała grupa. Nie wyobrażam sobie, żeby mieli was pominąć po tym, jak spisaliście się przy akcji w bunkrze.

- U mnie na pewno nie będzie problemu - wtrącił się Michael. - Major Dee powiedział mi już, że jutro załatwimy Saszę. Chce mnie posłać na dach magazynu, żebym obserwował teren. Mogę albo się tam przyczaić, albo po prostu nawiać, zanim zrobi się gorąco.

- Nie siedź tam za długo - pokiwała głową Maureen.

- Zakładając, że zostaniemy zaproszeni na tę imprezkę, jakich informacji od nas oczekujecie? - zapytał James.

- Chciałbym, żebyście dali mi znać, ilu ludzi ciągnie ze sobą Sasza, ile samochodów i jaką broń. Wściekłe Psy przeważnie używają krótkofalówek. Jeśli przekażecie nam, na jakiej

częstotliwości się porozumiewają, będziemy mogli podsłuchiwać ich rozmowy i nagrywać je, by potem użyć jako dowodów.

- Zobaczmy, co da się zrobić - powiedział James.

- Ale to nie będzie łatwe - dodał Bruce. - Może uda się wysłać parę szybkich esów albo nawet zadzwonić z kibla, ale nie będziemy mieli czasu na dziesięciominutowe pogawędki o tym, co się dzieje dookoła.

- Wybieranie numerów i łączenie trwa za długo - powiedziała Chloe. - Z kampusu idą już miniaturowe radia. Wyglądają jak zwykłe plastry opatrunkowe i są uruchamiane głosem, więc można przykleić taki do nadgarstka, a żeby nadać, wystarczy podnieść rękę i mówić z odległości dziesięciu centymetrów od plastra. Mają małą moc, więc zasięg nie przekracza kilometra, ale Maureen i ja będziemy w pobliżu magazynu.

- Będzie trochę podejrzane, jeśli nagle obaj pojawimy się z plastrami - zauważył Bruce.

- To nie problem - powiedziała Gabriella. - Używałam takich na jednej misji. Można je przyklejać do ubrania, na przykład pod klapą albo mankietem koszuli. Trzymają się znacznie lepiej niż zwykłe plastry, więc raczej nie przyklejajcie ich nigdzie na włosach, inaczej czeka was bolesna depilacja.

\*

Kółko zadzwonił do Jamesa, kiedy Chloe odwoziła cherubinów z restauracji.

- Gdzie jesteś? - szczeknął.

- W Londynie - skłamał James, podając pierwsze usprawiedliwienie swojej nieobecności w mieście, jakie przyszło mu do głowy, a potem łamiąc sobie głowę nad wytłumaczeniem. - Ja i Bruce mieliśmy dość włóczenia się dookoła Zoo, więc wybraliśmy się wydać trochę forsy na West Endzie.

- Szit - zaklął Kółko. - Możecie szybko wrócić? Sasza ma dla was robotę na jutro.

- Ekstra - ucieszył się James. - Co to za fucha?

- Nie powiedział, ale facet normalnie szaleje. Kazał Sawasowi przyszykować trzy furgonetki i ściągnął braci Krugerów. Pewnie nie słyszeliście, bo teoretycznie już nie działają, ale właśnie się pojawili, co może oznaczać tylko jedno: kroi się grubsza akcja.

- Wiesz może, o jakich sumach mówimy?

- Po pięć patoli dla ciebie i Bruce'a; więcej, jak wszystko pójdzie cacy. Tylko wracajcie tu jak najszybciej. Sasza chce, żebyście zrobili sobie zdjęcia paszportowe.

- Po co?

- A skąd ja mam wiedzieć, James? Sasza mówi nam tyle, ile musimy wiedzieć, a resztę trzyma pod własną czapką. Mnie kazał załatwić szybką furę, a wy lepiej zasuwasjcie do domu, a po drodze zróbcie sobie te zdjęcia. Podeślę po nie kogoś. Jak zdążycie na pociąg z Kings Cross, to powinniście tu być o wpół do trzeciej.

- Brzmi okej. Co...

Ale telefon zamikł. James schował go do kieszeni i zwrócił się do Chloe.

- Zdaje się, że wracamy do Londynu. Musisz podrzucić nas na jakąś stację.

Bruce cmoknął.

- Jesteśmy o parę mil od Luton, ciołku. Po co wyjechałeś z tym Londynem?

- Bo mnie zaskoczył - odparł James z irytacją. - A poza tym chce, żebyśmy zrobili sobie zdjęcia. Dziwne, no nie?

Chloe w zamyśleniu wywinęła dolną wargę.

- Ciekawe. To znaczy, że wystąpicie w przebraniu z jakimiś identyfikatorami czy czymś...

- Kółko wymienił też nowe nazwisko: bracia Krugerowie. Coś wam to mówi? Aha, powiedział też, że Sawas szykuje trzy

furgonetki, a on ma załatwić szybki wóz. Dla mnie to oznacza, że Sasza wysyła tam większe wojsko, niż się spodziewaliśmy.

- I dobrze - powiedział Bruce. - Więcej bandziorów do wyłapania.

Chloe skinęła głową.

- Ale inspektor Rush będzie miał zagwozdkę. Lepiej powiedzmy mu, że będzie potrzebował więcej ludzi.

## 43. SAMOLOT

O wpół do ósmej rano Zoo zawsze wyglądało jak wymarłe. James, Bruce i Michael udawali się w to samo miejsce w tym samym czasie, nic więc dziwnego, że spotkali się w stołówce. Publicznie nie mogli za bardzo się spoufalać, mimo to zamienili półgębkiem kilka słów, po czym Michael poszedł na górę, by przebrać się w strój ochronny.

James był spięty i zdołał wcisnąć w siebie tylko pół porcji chrupków zbożowych i małego banana. Bruce tymczasem pochłonął jajecznicę, wędzonego śledzia i trzy kromki chleba.

- Ty to się nigdy nie denerwujesz - powiedział z zawiścią James, kiedy chłopcy szli przez hall w stronę wyjścia.

- Sztuka koncentracji - odparł Bruce. - Oddychanie, czysty umysł, no i jeszcze to, że nic mnie tak nie dziarga jak perspektywa monumentalnej bijatyki.

James uśmiechnął się, ale idąc ulicą, nie mógł opędzić się od myśli, że to osobliwe zamięłowanie do przemocy musi świadczyć o jakimś defekcie w mózgu Bruce'a.

Zrobiło się ciepło, a Sasza powiedział chłopcom, że i tak będą musieli się przebrać przed akcją, dlatego broń i stroje ochronne nieśli w plecakach.

- Przyjemna fura - wyszczerzył się Bruce na widok Kółka za kierownicą bmw M5. - Nie to co twoja.

Na przednim fotelu siedział mężczyzna o twarzy wyglądającej jak wykuta z tysiącletniego wapienia.



James i Bruce wcisnęli się z tyłu obok równie przerażającego faceta.

- James, Bruce, poznajcie braci Krugerów - powiedział Kółko. - Tony, Tim, to są James i Bruce.

- Dobry... - przywitał się James i mocno trzasnął za sobą drzwiami.

Chloe przepuściła Krugerów przez policyjne komputery i dostała długą listę nieudowodnionych udziałów w rozbojach, ale żadnych wyroków poza dwiema odsiadkami w poprawczaku w latach osiemdziesiątych. Wydawało się dziwne, że bracia, których kariery opierały się na starannie zaplanowanych rabunkach, idą z Saszą na wojnę z Majorem Dee, ale kiedy James zobaczył ich z bliska, pojął, że to ma sens. Ze wszystkich twardych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkał, to właśnie tych dwóch chciałby mieć po swojej stronie w razie rozróby.

- Sasza nie może się was nachwalić, chłopcy - zagrzemiał Tim Kruger, wsuwając rękę między oparcia foteli.

Głos miał jak chrzęst żwiru i ścisnął podaną dłoń tak mocno, że Jamesowi aż świeczki stanęły w oczach. Za to Bruce potraktował swoją kolej jak wyzwanie i ścisnął także. James siedział na środku i sczeplone ręce zawisły mu nad kolanami. Koścista łapka Bruce'a prawie znikła w wielkiej jak szynka grabie Krugera. Po dziesięciu pełnych napięcia sekundach dłonie rozdzieliły się, a Tim Kruger wybuchł wulkanicznym śmiechem, który posłał przez ciało Jamesa falę wibracji.

- Twardy jest, mały skurczybyk - zaryczał Tim tonem aprobaty. - Niedużo mięsa, ale uchwyt jak imadło.

Jechali kwadrans, przecinając osiedle Thornton, gdzie James mieszkał podczas swojej pierwszej misji w tej okolicy. Widok szeregów nędznych domków i błotnistych boisk, przywołujących wspomnienie dawnych piłkarskich bitew, wzbudził w nim przyływ nostalgii, ale bmw sunęło dalej, by wjechać na

tereny przemysłowe na tyłach osiedla graniczące z otoczonym wysokim ogrodzeniem lotniskiem w Luton.

Boeing 737 przemknął nad nimi dosłownie sekundy po odezwaniu się od ziemi, ogłuszającym rykiem wprawiając samochód w nerwowy dygot. Kilka chwil później Kółko skręcił z drogi na parking Sofa Worldu. Na ścianach hali wciąż wisiały bannery: „Wyprzedaż - likwidacja magazynu” oraz „Ostatni dzień - obniżka 75 procent na wszystkie artykuły”.

Przeziąwszy pusty parking, Kółko zwolnił do prędkości piechura i przejechał pod uniesioną do połowy bramą, którą tuż za nim zamknęli dwaj ludzie Saszy ubrani w żółte kombinezony.

James i Bruce rozglądali się ze zdumieniem po przepastnym wnętrzu, w którym wciąż walały się resztki sklepowego wyposażenia, a na podłodze widać było wyznaczone alejki i postrzępioną wykładzinę w miejscach po dawnych ekspozycjach mebli.

Pół tuzina Wściekłych Psów siedziało na poplamionych i połamanych kanapach, których nawet rabatowe szaleństwo nie zdołało wypłoszyć z magazynu. Panowie popijali herbatę, gawędzili i czekali na coś do roboty. Nieopodal stały zaparkowane na wykładzinie dwa dostawcze mercedesy i ciągnik siodłowy bez naczepy. Furgonetki były świeżo przemalowane, z burtami ozdobionymi logo lotniskowej firmy cateringowej, za to ciężarówka wyglądała, jakby przyjechała prosto z planu filmu science fiction, z grubym arkuszem pleksiglasu przykręconym nad przednią szybą i przyspawanym z przodu taranem sporządzonym z dwóch budowlanych dwuteowników.

James wysiadł z beemki ostatni, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że coś jest nie tak. Przez Krugerów, zdjęcia paszportowe oraz fakt, że lotnisko leżało całe mile od miejsca, gdzie Major Dee

miał odebrać swoją dostawę, już wcześniej zastanawiał się, czy na pewno wszystko idzie zgodnie z planem, ale na widok instalacji wewnątrz Sofa Worldu ogarnęła go fala paniki.

- No, jesteście - zawołał wesoło Sasza, wybiegając z biura, by powitać Tima i Tony'ego Krugerów - świadom, czym grozi podanie im ręki - przyjacielskimi klepnięciami w ramię. - Wszystko idzie tak dobrze, że bogowie chyba muszą nam sprzyjać.

- Sawas już wrócił? Wiesz skąd - zapytał Kółko.

Sasza tylko skinął głową i wyszczerzył się w paskudnym uśmiechu.

- Podłączył dość gelignitu, żeby wystrzelić budę na Księżyc. Major Dee będzie miał niespodziankę.

- A co z forszą?

- Właśnie dzwoniли - powiedział Sasza. - Forsa jest na pokładzie, samolot lada moment startuje ze Schipholu.

- Ahem... - chrząknął Bruce, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Ja i James mamy nadstawiać tyłki tak samo jak wszyscy inni. Może ktoś by nam łaskawie powiedział, co tu się dzieje?

\*

Po drugiej stronie miasta Major Dee czuł żar w trzewiach, a w nozdrzach zapach krwi Saszy Thompsona. Sześciu ludzi wysłał do magazynu, żeby odebrali towar. Trzydziestu innych dyskretnie porozstawiał w okolicznych uliczkach, razem z gośćmi specjalnymi: londyńską ekipą wyrolowaną przez Saszę rok wcześniej oraz kilkoma ludźmi z Salford, których rany były świeższe.

Wątpiąc, by przeciwnik był w stanie wystawić więcej niż dwudziestu ludzi, Major Dee przyjął nieskomplikowaną taktykę. Po dokonaniu wymiany z przemytnikami zamierzał pozwolić Wściekłym Psom na wejście do magazynu i przechwycenie towaru razem z pieniędzmi. Jednak wychodząc, napastnicy mieli

się nadziać na otaczającą budynek małą armię mającą co najmniej trzykrotną przewagę liczebną. Słowem, miała to być rzeź.

Michael stawiał się na miejscu spotkania w bocznej uliczce dziesięć minut marszu od magazynu, w którym miało dojść do wymiany. Następnie zakradł się na tyły magazynu i szybko wspinał po piętnastometrowej drabinie przyczepionej do ściany budynku. Dach był pokryty blachą falistą, która stękała mu głucho pod stopami. Kiedy położył się na brzuchu przed kominkiem wentylacyjnym, poczuł na dłoniach jej ciepło.

Wyjął z kieszeni śrubokręt krzyżakowy i odkręcił jeden koniec blaszanej listwy zarośniętej brudem żaluzji. Szarpnął, a kiedy ustąpiła z przeraźliwym zgrzytem, odgiął ją na bok, po czym wetknął głowę w szczelinę i obrzucił wzrokiem wnętrze magazynu. Major Dee nie używał krótkofalówek, dlatego kolejnym krokiem Michaela było wyjęcie komórki i sprawdzenie, czy ma zasięg.

Michael usiadł na dachu, wystawiając twarz na promienie porannego słońca. Zadzwoił do Majora Dee, żeby zameldować swoją gotowość, a potem wysłał Gabrielli SMS-a: „KOCHAM CIĘ”. Minęło zaledwie kilka sekund, nim telefon zawibrował mu w dłoni, sygnalizując odebranie odpowiedzi:

„JA CIEBIE BARDZIEJ, UWAŻAJ NA SIEBIE”.

\*

James ukrył wszystkie swoje stroje ochronne pod dresem wręczonym mu przez Saszę. Komórkę mu odebrano - zresztą tak jak wszystkim, żeby policja nie mogła namierzyć członków gangu - ale nadal miał radiokomunikator udający plaster opatrunkowy na jego szyi.

- Zamierzasz tam siedzieć przez cały dzień?! - wrzasnął, łomocząc pięścią w drzwi toalety dla personelu nieopodal wejścia do Sofa Worldu.

- Będę tu siedział tyle, ile muszę - odparł Sawas. - I wierzę mi, nie będziesz chciał tu wejść, kiedy skończę.  
- Zaraz zleję się w gacie - jęknął James.  
- Idź za budynek i obsikaj ścianę.  
- Wolno nam wychodzić?  
- Powiedz Riggsy'emu, że to nagły wypadek i że to ja pozwoliłem.

Riggsy był jednym ze starszych gangsterów. Zapalony pokerzysta, nienawidził, kiedy młodzi robili się zbyt hałaśliwi w piwnicy Saszy.

- A ty dokąd się wybierasz? - zapytał zaczepnie, zastępując Jamesowi drogę do wyjścia ewakuacyjnego.

- Sawas powiedział, że mogę - odpowiedział James. - Siedzi w kiblu już ze dwadzieścia minut.

Riggsy parsknął śmiechem, a potem odwrócił się w stronę mężczyzn czekających na kanapach.

- Hej, słyszeliście? - zawołał. - Chłopak mówi, że Sawas znowu siedzi na klopie.

Odpowiedział mu wybuch śmiechu, ale James był dezorientowany, więc Riggsy pośpieszył z wyjaśnieniem.

- Sawas zawsze dostaje sraki przed dużą akcją. Stresuje się biedak. Dobra już, leć się odlać, ale migiem, bo ruszamy natychmiast, jak tylko Sasza da sygnał.

James wyszedł przez drzwi ewakuacyjne na wąski pas betonu. Od ruchliwego parkingu supermarketu budowlanego dzieliła go tylko druciana siatka, więc pobiegł na tył budynku i stanął twarzą do ściany.

- Chloe - wyszeptał i nacisnął kciukiem plaster na szyi.

Radio zaprojektowano tak, by nie mogło odezwać się komunikatem w niepożądaną chwilę. Miniaturowy głośnik przemawiał tylko wtedy, kiedy nacisnęto się go palcem.

- Chloe - powtórzył James niecierpliwie, opuszczając spodnie i próbując poradzić sobie z licznymi warstwami odzieży ochronnej.

Nie czuł zbyt wielkiej potrzeby, ale musiał zrobić kałużę, inaczej gangsterzy mogliby nabrać podejrzeń.

- James? James, ledwie cię słyszę. - Głos Chloe ginął w chaosie cyfrowego szumu. - Gdzie jesteście? Utknęłam w kor-ku, a potem straciliśmy sygnały obu waszych komórek.

- Sofa World, koło lotniska - wyszeptał James. - Słuchaj, mam tylko parę chwil. Jesteśmy w głębokiej... no wiesz. Sasza wyrzucił wszystko do góry nogami. Okazuje się, że przez lotnisko w Luton raz po raz przechodzą drogie ładunki i Krugerowie od lat knuli, jak się do nich dostać. Nie wiem skąd, ale Sasza wie wszystko o akcji w magazynie i zamierza wejść na lotnisko, kiedy gliny będą miały pełne ręce roboty po drugiej stronie miasta. Ma wielki taran na ciężarówce, a ja dostałem bilety na samolot i fałszywy paszport. To po to były te zdjęcia. Nie znam wszystkich szczegółów, ale kradniemy pieniądze z samolotu, który wyleciał z Holandii jakieś czterdzieści minut temu. Aha, Kółko wymienił w jednym zdaniu Majora Dee i gelignit. Zdaje się, że chcą wysadzić magazyn w powietrze. Lepiej zabierzcie stamtąd Michaela.

James przestał mówić, po części dlatego, że zabrakło mu tchu, a po części ponieważ odskoczył nerwowo, kiedy podmuch wiatru ochlapał mu moczem spodnie.

- Szit! - syknął, strząsając ostatnie krople i patrząc na ciemną plamę na nogawce.

W tej chwili nie był to jednak największy z jego problemów. Mimo iż kciukiem wciąż dusił plaster, Chloe nie odpowiadała.

- Chloe - zasyczał. - Chloe, słyszałaś, co przed chwilą powiedziałem?

Odpowiedzi nie było. Sekundę później zza rogu wychynął Kółko.

- Już czas, James - zawołał. - Chodź, odwiozę cię na lotnisko.

## 44. ZMYŁKA

Ciężarówka z kontenerem wjechała tyłem do magazynu o dziewiątej trzydzieści siedem rano. Kierowca był sam i na pierwszy rzut oka nie miał przy sobie broni, co nie było zaskoczeniem, ponieważ - jak twierdził Szymon - to miała być rutynowa wymiana.

Michael patrzył z góry, jak kierowca wraz z trzema Rzeźnikami podchodzi od tyłu do kontenera i otwiera ciężkie stalowe drzwi. Mężczyzna wspiał się na ciężarówkę i zaczął wytaczać beczki z olejem po prowizorycznej pochylni z arkusza sklejki. Każdą beczkę przechwytywał jeden z Rzeźników, by sprowadzić ją na betonową posadzkę i ręcznie przetoczyć na mechaniczną wagę. Przemysłowcy wmieszali beczki zawierające kokainę pomiędzy beczki z samym olejem i jedynym szczegółem umożliwiającym ich odróżnienie była drobna różnica ciężaru.

Po zidentyfikowaniu beczki z narkotykami przejmowali ją dwaj inni Rzeźnicy zajmujący się wydobywaniem towaru. Jeden z nich odrywał aluminiowe wieko, a drugi zanurzał w kleistym płynie rękę w długiej chirurgicznej rękawiczce i wyciągał zapakowaną próżniowo cegłę kokainy. Następnie odcinał zewnętrzną folię ociekającą złocistymi strużkami oleju, by czystą już paczkę wrzucić do bagażnika podstawionej alfy romeo.

Wydobyszy dwunastą paczkę narkotyku, mężczyźni wzięli się do wtaczania pozostałych beczek z powrotem do kontenera.

Te, które zostały otwarte, zastąpiono identycznymi, by końcowy odbiorca otrzymał kompletny ładunek i nigdy nie domyślił się, że jego cotygodniowa dostawa oleju stała się częścią szmuglerskiej operacji.

Michael pomyślał, że akcja przebiega nadspodziewanie gładko, jeśli wziąć pod uwagę, że dowodzi nią ktoś tak nieorganizowany jak Major Dee. Kiedy drzwi kontenera zatrzasnęły się z hukiem, wyjął głowę z otworu i czując, że z nerwów żołądek podchodzi mu do gardła, rozejrzał się wokół. Wściekłe Psy pojawiają się lada chwila.

Michael osłupiał na widok młodych ludzi przedzierających się przez zarośla na sąsiedniej posesji. W przeważającej części byli to nastoletni chłopcy uzbrojeni w pałki i pistolety i choć nie miał czasu liczyć dokładnie, musiało ich być co najmniej pięćdziesięciu.

Wyjął komórkę z kieszeni i przez chwilę nie mógł zdecydować, czy najpierw zadzwonić do Maureen, czy do Majora Dee, ale wszystkie jego rozmowy i tak były monitorowane przez centrum koordynacji misji w kampusie, więc ostatecznie wybrał numer Dee.

- No i jak to wygląda z góry? - zapytał Major Dee głosem człowieka zadowolonego z siebie.

- Duży problem - rzucił Michael panicznie. - Kupa młodych chłopaków sunie w stronę magazynu. Co najmniej pięćdziesięciu.

- Co? Psy nie mają tylu ludzi - w głosie Majora Dee porbrzmiewało niedowierzanie.

- To nie Psy - powiedział Michael. - To raczej Szczury. Sarsza musiał dać im cynk.

- Pięćdziesięciu! - zawołał Dee trwoźnie. - Dobra, kończę, muszę zawiadomić chłopców.

Telefon umilkł, a Michael przetoczył się na brzuch i podpełzł do krawędzi dachu, by móc obserwować zbliżających się napastników. Nagle zauważył dziwną zmianę światła za sobą.



Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że to refleks od słońca, ale potem uderzyła weń fala żaru, a budynek zatrzęsł się w posadach.

\*

Kółko był bajeczną kierowcą. Prowadząc z niewymuszoną swobodą, szybko i absolutnie pewnie wywijał między taksówkami i struchlałymi turystami, by zahamować naprzeciw wejścia do głównego terminalu portu lotniczego w Luton.

- Przykro mi, chłopaki, że nie mogłem powiedzieć wam o tym wcześniej - oznajmił Sasza, przeprowadzając Jamesa i Bruce'a przez automatyczne drzwi terminalu. - Czekaliśmy latami na okazję obrobienia tego lotniska i musiałem trzymać karty przy orderach. Zrobilibyśmy to dwa lata temu, kiedy królowa otwierała nowy szpital, ale akurat nie było wtedy lotu z odpowiednim ładunkiem.

- Masz swoich ludzi na lotnisku? - zapytał James.

- Całe tłumy - skinął głową gangster. - To największy pracodawca w mieście. Połowa mojej załogi ma kumpli albo krewnych, którzy tam pracują. Nie musicie się nawet martwić kamerami; wyciągnęliśmy parę kabelków i po sprawie.

Podeszli do punktu odprawy dla rejsów krajowych. Ich karty pokładowe zostały ściągnięte przez internet i wydrukowane, zanim Sasza wyszedł z domu, a kolejka do wykrywacza metalu i maszyny prześwietlającej bagaże liczyła zaledwie tuzin osób.

Przesuwając się powoli do przodu, James zaczął się niepokoić, że jego strój ochronny uruchomi elektroniczną bramkę. Wprawdzie Sawas sprawdził go ręcznym wykrywaczem metalu jeszcze w Sofa Worldzie, ale James po prostu nie potrafił stać w kolejce do kontroli, nie denerwując się czymś. Nie wiedząc, co ze sobą począć, zaczął oglądać swój fałszywy paszport.

Na zdjęciu zrobionym pośpiesznie na stacji w Luton wyglądał dość głupkowato, ale był pod wrażeniem jakości druku i znaków wodnych. Ostatecznie uznał, że paszport prawdopodobnie jest autentycznym blankietem skradzionym z biura paszportowego albo konsulatu.

Urzędnik przeskanował kody paskowe na kartach pokładowych i nawet nie zajrzawszy do paszportów, przepuścił całą trójkę przez bramkę wykrywacza. James wiedział, że rejs wymieniony na ich kartach odlatuje z wyjścia numer jedenaście, i zdziwił się, kiedy Sasza powiódł ich w przeciwną stronę.

- Bilety były tylko po to, żeby ochrona nas przepuściła - wyjaśnił Sasza. - Idziemy do terminalu cargo.

Przeszli obok siedmiu wyjść, by stanąć przed drzwiami sąsiadującymi z poczekalnią pierwszej klasy ozdobionymi tabliczką z napisem: „Tylko lotnictwo prywatne”.

Za ustawionym obok kontuarem nikogo nie było. Sasza wyjął magnetyczną przepustkę, przeciągnął ją przez czytnik zamka, a kiedy zamrugała zielona lampka i zabręczał rygiel, pchnął drzwi ramieniem. Cała trójka pobiegła krótkim korytarzem, a potem schodami w dół, by zatrzymać się przy automatycznych drzwiach, skąd autobusy podejmowały pasażerów udających się do samolotów zaparkowanych daleko od terminalu.

Do tego momentu Sasza wydawał się panem sytuacji, ale kiedy rozejrzał się wokół, w jego oczach pojawiła się panika.

- Co się dzieje? - zapytał James.

- Miały tu czekać na nas rzeczy.

- Mam - rzucił Bruce, wytaczając spod schodów wózek cateringowy.

Sasza uniósł drzwiczki z boku wózka i uśmiechnął się z ulgą na widok torby turystycznej i trzech kombinezonów roboczych.

- Włóżcie to - powiedział, strząsając ze stóp buty i podając chłopcom beżowe stroje z napisem „Luton Ochrona” na plecach. - Uwaga na odciski palców.

James, zgrzany w swoim stroju ochronnym i dresie, czuł się idiotycznie, naciągając na siebie jeszcze jedną warstwę ubrania. Tymczasem Sasza wyjął z torby czapki i ciemne okulary.

- Nie zdejmujcie ich na wypadek, gdybyśmy na kogoś wpadli - powiedział gangster, naciągając daszek na oczy. - Wyglądacie młodo, a ja nie chcę, żeby ktoś mi się przyglądał, bo w tej okolicy, jak ktoś coś komuś rąbnie, to moja fota zawsze jest pierwsza, jaką gliny wyciągają z pudełka.

Jakby chłopcom było nie dość gorąco, Sasza wręczył im jeszcze po parze rękawic ogrodniczych, a na koniec rozdał pistolety.

- Glocki, takie same, jakie mieliście na akcji w bunkrze - wyjaśnił. - Ochrona lotniska ma karabiny, więc nie zaczynajcie strzelać, jeśli nie musicie, bo jak antyterroryści wezmą was w obroty, to was rodzona matka nie pozna. Dobra wiadomość jest taka, że całego lotniska pilnuje dziś mniej niż tuzin gliniarzy, a w tej chwili całe ich wsparcie próbuje dorwać Majora Dee po drugiej stronie miasta.

Sasza podszedł do drzwi, a kiedy te rozsunęły się przed nim, wyszedł na zalaną słońcem płytę lotniska i rozejrzał się. Po chwili skinął na chłopców i wszyscy pobiegli w stronę trzech żółto-białych autobusów lotniskowych zaparkowanych niespełna pięćdziesiąt metrów dalej.

\*

Dach dygotał Michaelowi pod nogami, a sekundy zdawały się upływać w bólach. Eksplozja wypchnęła z boku magazynu wielki blaszany bąbel. Płomienie lizały poszycie dachu przez szpary między arkuszami, a stalowy budynek skręcał się pod własnym ciężarem, sprawiając, że falista płaszczyzna zawodziła głucho niczym metalowe morze.

Michael trzymał się tak długo, jak mógł, ale choć strój ochronny zapewniał mu pewną osłonę, metal stawał się nieznośnie gorący. Daleko w dole dwaj Rzeźnicy i kierowca ciężarówki rzucili się do ucieczki przez wyjście ewakuacyjne, ale tam natknęli się na grupę Szczurów przeskakujących przez niski murek, by ruszyć do ataku z uniesioną bronią. Major Dee zlecił egzekucje ośmiu Szczurów zamieszanych w morderstwo Owena Campbella-Moore'a, więc Michael nie spodziewał się, że młodzieńcy okażą litość, dopadłszy kogokolwiek z ludzi Dee.

Usłyszał strzał, potem drugi i wtedy tuż za nim pomiędzy dwoma arkuszami blachy otworzyła się dymiąca czeluść. Wyglądało na to, że runięcie całego dachu jest tylko kwestią czasu. Michael musiał zejść na ziemię, nawet jeżeli oznaczało to konieczność stawienia czoła całej armii Szczurów.

Kiedy podbiegł do krawędzi, przeciwległy koniec dachu zaczął się zapadać, przemieniając środek w ogromny komin wypływający kłęby czarnego dymu. Michael postawił stopę na najwyższym szczeblu drabiny i duszący opar owionął mu twarz.

Schodził w dół, gorączkowo mrugając piekącymi powiekami. Kolejne zastępy Szczurów przelewały się przez murek, który nagle podzielił atakujących na dwie grupy, kiedy na ulicę za nimi zajeżdżał szereg osobówek i mikrobusów szczelnie wypełnionych Rzeźnikami.

W ciągu sekund między magazynem a ulicą rozpętało się piekło. Każdy, kto miał broń, prażył z niej na oślep i bez opamiętania.

Na szczęście palba wywołała popłoch wśród Szczurów, którzy zajęci ratowaniem własnej skóry nie zauważyli, jak Michael ześlizguje się z drabiny.

Kiedy tylko dotknął stopami ziemi, wyrwał z kabury pistolet, odbezpieczył, a potem rzucił się do ucieczki. Strzelanina

za jego plecami przybierała apokaliptyczne rozmiary i Michael miał wrażenie, że serce usiłuje wyrwać mu się z piersi. Do terkotu wystrzałów dołączył huczący łopot wirnika policyjnego śmigłowca, który przemknął nad polem bitwy, rozpychając pękatym cielskiem chmury dymu.

Wstrząśnięty skalą wybuchu przemocy inspektor Rush zmienił taktykę, porzucając miękki kordon i rozkazując swoim ludziom, by uszczelnili otoczony teren dla zapobieżenia rozlaniu chaosu na pobliski pasaż handlowy.

Choć oczy i płuca płonęły od dymu, Michael nabrał chyżości i w pełnym pędzie przesadził murek przy ulicy za magazynem. Na jej końcu parkowały dwa radiowozy. Wiedząc, że schwytany zostanie zakuty w kajdanki i najpewniej pobity, skierował się w drugą, bardziej obiecującą stronę i przebiegł kolejne pięćdziesiąt metrów.

Kiedy dotarł do rogu ulicy, ujrzał wrak samochodu. Pasażerowie zdołali umknąć, ale kierowca leżał na kierownicy, najwyraźniej nieprzytomny. Wyglądał na Szczura i nie mógł mieć więcej niż piętnaście lat.

Michael pomyślał o udzieleniu pierwszej pomocy, ale w tej samej chwili nad głową ponownie zahuczał mu śmigłowiec, dobitnie przypominając o niebezpieczeństwie. Puścił się biegiem, nurkując w wąską boczną uliczkę i mijając z pędzącym z naprzeciwka samochodem pełnym Szczurów. Przez chwilę sądził, że jest bezpieczny, ale zmartwił, kiedy obejrzawszy się, ujrzał, że auto zawraca i rusza za nim.

Uciekając w światłach zbliżającego się wozu, minął dwie hale magazynowe, za którymi ujrzał ogrodzony skwer. Niewiele myśląc, przemknął przez bramę, ominął kobietę z golden retrieverem na smyczy i popędził co tchu przez schludnie przystrzyżony trawnik. Samochód nie mógł pojechać za nim, ale ze skrzyni ładunkowej zeskoczyły dwa Szczury.

Zanim dotarli do bramy, Michael był już w pobliżu podstawówki po drugiej stronie skweru. Wyjrzał przez okalający park żywopłot i ujrzał samochód, który skręcił w lewo, by okrążyć skwer i odciąć mu drogę ucieczki. W tej sytuacji jedyna bezpieczna droga prowadziła przez szkołę. Michael zaczął gorączkowo wspinać się po siatce ogrodzenia. Okna klasy wypełnionej sześciolatkami były niespełna pięć metrów od niego, ale żaden z dzieciaków nie patrzył w jego stronę aż do chwili, gdy gdzieś w oddali huknął strzał.

Kiedy Michael zeskoczył na środek namalowanej na asfalcie bramki, wpatrywało się weń już dwadzieścia pięć par małych oczu. Jeden ze ścigających go Szczurów skoczył na ogrodzenie, a drugi pobiegł wzdłuż niego, szukając furtki. Michael natychmiast pojął, że to może być ostatnia szansa na przejście do ofensywy, i zaatakował, kiedy tylko Szczur na siatce zeskoczył na ziemię. Ścigający miał nóż, ale gdy machnął nim przed sobą, ostrze ześlizgnęło się niegroźnie po pancernej bluzie.

Michael wyłamał młodzieńcowi nóż z dłoni i przeszedł na tryb automatyczny. Mógł bez trudu zabić go kulą, ale to była ostateczność. Miał czas, by obezwładnić Szczura, zanim jego kolega znajdzie bramę szkoły, więc po prostu wykrcił mu rękę za plecami, aż trzasnęła, po czym energicznym szarpnięciem wyrwał mu ramię ze stawu.

W klasie nauczycielka w panice zapędzała dzieci w najdalszy kąt sali, ale na każdego sześciolatka, który odwracał się ze strachem od okna, inny przyciskał twarz do szyby i nie dawał się od niej oderwać. Kilkoro krzyknęło, kiedy Michael odstąpił w tył, odsłaniając zakrwawioną twarz nożownika.

Michael mógł uporać się z jednym Szczurem, ale nie mógł wykluczyć, że dwaj, którzy pozostali w samochodzie, przyłączy się do polowania. Mając pewność, że są uzbrojeni tylko w

noże, mógłby pokusić się o walkę z trzema przeciwnikami naraz, ale niektórzy ze Szczurów mieli broń palną, a wokół było zbyt dużo dzieci, by ryzykować.

Uznawszy, że najlepiej będzie się ukryć, pobiegł w stronę czerwonych drzwi na tyłach budynku szkoły. Kiedy wparował przez nie do środka, jakaś kobieta zobaczyła broń i zapiszczała ze strachu.

- Nic nikomu nie zrobię! - zawołał Michael głosem, który trudno było uznać za krzepiący. - Trzymajcie dzieci z dala i niech ktoś natychmiast wezwie policję.

Michael rozejrzał się i uświadomił sobie, że jest w szkolnej bibliotece. Z drugiego końca sali patrzyła na niego tekturowa sylwetka Aleksa Ridera naturalnej wielkości. Za sobą miał jedyne wejście, i to z dobrym widokiem na całe boisko. Wyglądało na to, że znalazł idealne miejsce do obrony do czasu przybycia policji.

Ale cały plan runął, kiedy Michael ujrzał biegnącego przez szkolne boisko młodzieńca o orientalnych rysach, mocno zbudowanego, z wielkimi złotymi pierścieniami połyskującymi na palcach. Choć nigdy wcześniej go nie widział, znał jego twarz z fotografii z kamer nadzoru.

Michael uchylił nieznacznie drzwi biblioteki i wycelował pistolet w człowieka, który próbował zabić Gabriellę.

## 45. AUTOBUS

Płyta lotniska była poznaczona żółtymi pasami i znakami ograniczenia prędkości do dwudziestu mil na godzinę. Sasza siedział za kierownicą autobusu, Bruce na długiej ławce z tyłu, zaś James stał z jedną ręką na zielonym słupku, drugą trzymając skserowaną mapkę.

- W następną w lewo - powiedział, kiedy przetoczyli się za skrzydłem małego airbusa.

Sasza nie miał wprawy w prowadzeniu autobusów i zeszywniał, kiedy znaleźli się naprzeciw wąskiego prześwitu pod pasażem terminalu. Zwolnił do minimalnej prędkości i nerwowo spoglądał w górę, kiedy znak ograniczenia wysokości przesunął się o centymetry nad dachem.

Z krótkiego prześwitu wyjechali prosto w słoneczny blask zalewający terminal towarowy. Podążając wzdłuż żółtych linii, Sasza poprowadził autobus przed czterema odrzutowcami w barwach międzynarodowej firmy kurierskiej, po czym skręcił na otwartą przestrzeń, kierując się w stronę samotnego transportowego 737.

Dwaj mężczyźni rozładowywali samolot za pomocą przenośnika taśmowego wrzucającego aluminiowe kontenery prosto na odkrytą skrzynię ładunkową ciężarówki. Kiedy autobus podjechał bliżej, James rozpoznał zwaliste sylwety braci Krugerów.

- Spóźniłeś się! - zawołał Tim Kruger, wyłączając przenośnik.



James i Bruce wysiedli z autobusu, a Tim podszedł do okna przy miejscu kierowcy i spojrzął na Saszę.

- Obsługa leży nieprzytomna w terminalu, klatka gotowa do wysadzenia - zameldował sucho.

James i Bruce otrzymali gumowe maski przeciwgazowe, a Tony wyciągnął z kieszeni radiodetonator.

- Zatkać uszy - rozkazał i odczekawszy niecałe dwie sekundy, by chłopcy mogli spełnić polecenie, nacisnął guzik.

Z otwartych drzwi w kadłubie dziesięć metrów nad nimi wyrwał się biały błysk. Głuchy grzmot przetoczył się przez płytę lotniska, a samolot zadygotał i majestatycznie przetoczył się pół metra w tył na swoich ogromnych oponach. Po chwili z drzwi buchnęły kłęby dymu, a Krugerowie przystawili do nich lotniskowe schodki.

Tim spojrzął na Jamesa i Bruce'a.

- W klatce będzie osiem cegieł. Zabierzcie je i wyrzućcie po schodach.

Sasza twierdził, że James i Bruce wykonują tę część operacji, ponieważ są młodzi i szybcy, ale sądząc po schodkach w górę, James nie mógł oprzeć się wrażeniu, że prawdziwą przyczyną było to, że żaden inny frajer nie chciał się tego podjąć.

Nim dotarli do drzwi, większość dymu uleciała na zewnątrz, ale choć wyglądało na to, że w środku nic się nie zapaliło, widoczność nadal była słaba.

James zajrzał do kabiny pilotów, gdzie wybuch zniszczył większość przyrządów i uruchomił tyle alarmów, by ciasne pomieszczenie migotało i brzęczało sygnałami jak małe wesołe miasteczko.

W masce chroniącej płuca przed dymem Bruce ruszył w drugą stronę i złapał za pancerne drzwi. Krugerowie byli dobrymi fachowcami; eksplozja wyrwała równiutkie dziury w wejściu do opancerzonej części ładowni, popularnie zwanej klatką.

Bruce włączył przytwierdzoną do maski latarkę i wstąpił do ciemnej komory, długiej na niecałe trzy metry. Wybuch powyginał aluminiowe półki na końcu pomieszczenia, rozsypując ich zawartość na podłodze. Bruce odgarnął na bok stertę kopert i małych pudełek, prawdopodobnie zawierających kamienie szlachetne lub biżuterię, po czym opadł na kolana, by podnieść pierwszą cegłę.

Szeroki na trzydzieści centymetrów, długi na dwadzieścia i na tyleż wysoki, każdy szczelnie zafoliowany prostopadłościan zawierał dwieście sześćdziesiąt tysięcy dolarów należących do rządu Stanów Zjednoczonych. Transport opuścił Amerykę poprzedniego dnia i zmierzał do Iraku, gdzie pieniądze miały posłużyć do wypłacenia żołdu żołnierzom sił bezpieczeństwa.

Bruce wyniósł cegłę przez drzwi i podał Jamesowi, który następnie cofnął się do wejścia i rzucił ją nad schodkami prosto w ramiona Tony'ego Krugera.

Wydobycie dwóch milionów zapakowanych próżniowo dolarów i wrzucenie ich do autobusu zajęło im niespełna czterdzieści sekund.

Zbiegając po schodkach na ziemię, chłopcy zauważyli lotniskowy wóz strażacki pędzący na sygnale w stronę dymiącego samolotu. Było oczywiste, że za chwilę będą mieli na karku także lotniskową policję.

James wskoczył do autobusu za Bruce'em i braćmi, a Sasza kopnął gaz, nie tracąc czasu na zamykanie drzwi. Musieli dotrzeć z powrotem na drugą stronę lotniska, ale choć Sasza zaplanował szybką ucieczkę, teraz odkrył ku swej niezmiernej irytacji, że hamulce autobusu uruchamiają się samoczynnie za każdym razem, kiedy prędkość wzrośnie do dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę.

- Głupi ogranicznik prędkości! - krzyknął Sasza, okrążając nos samolotu i kierując autobus ku pasażerskiej stronie terminalu.

Tim Kruger patrzył w osłupieniu na prędkościomierz, kiedy ogranicznik przyhamował pojazd po raz trzeci.

- W sumie to ma sens - powiedział cicho James. - Kiedy lotniskowy autobusiarz na najniższej krajowej dostanie ataku ułańskiej fantazji, nikt nie chce, żeby zasuwiał jak wariat między maszynami po pięćdziesiąt baniek sztuka.

Jechali w napiętej ciszy przerywanej tylko przez pomruk silnika. Autobus w upiornie ślimaczym tempie włókł się wzdłuż pasa przed terminalem, mijając cieniste sylwetki tuzina pasażerskich odrzutowców. Ale policja wciąż nie dawała znaku życia.

Tim Kruger podniósł do ust krótkofalówkę.

- Do wszystkich zespołów, mijamy rękaw numer trzy. Będziemy przy bramie za trochę ponad minutę.

- Zrozumiałem - potwierdził głos Sawasa. - Ruszam.

- Są gliny! - krzyknął Bruce, pokazując za siebie na dwa radiowozy sunące na sygnale przez płytę lotniska.

Zbliżały się szybko. Sasza przeraźliwie wolno przeprowadził autobus przez ostatni zakręt za rogiem terminalu. Brama, przez którą cysterny z paliwem i samochody firmy cateringowej wjeżdżały na płytę lotniska, była na wprost nich, wraz z dwoma masywnymi szlabanami i uzbrojoną policjantką w stróżówce.

James ledwie zdążył zerknąć na szlabany, kiedy po drugiej ich stronie pojawił się ciągnik siodłowy z przyspawanym taranem grzejący w stronę bramy z prędkością co najmniej pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Taran zmiotł stróżówkę, odrywając lekką konstrukcję od postumentu, po czym ciężarówka wpadła na garb zwalniający w tak dzikim pędzie, że wystrzeliła w powietrze jak z katapulty. Rozpędzony pojazd strzaskał podwoziem szlabany i poleciał wysokim łukiem, niebezpiecznie zbaczając w stronę terminalu.

- Przedobrzył - jęknął Tony.

Po sforsowaniu bramy Sawas miał ostro zahamować i skręcić, dając wolną drogę autobusowi, ale nawet najlepsze hamulce działają tylko wtedy, kiedy koła stoją na ziemi. Ciężarówka gruchnęła przodem o betonową nawierzchnię, ciskając Sawasa na przednią szybę i wystrzeliwując fontannę iskier spod stałego tarana. W następnej chwili wyrznęła z ukosa w ścianę terminalu, by przeorać ją na znacznej długości, znieruchomić wreszcie w tumanach białego pyłu. W ziejącej w ścianie wyrwie widać było odsłonięte kanały wentylacyjne i fragment korytarza serwisowego.

- Jezu... - zachłysnął się Bruce wśród stukotu spadających na beton kawałków gruzu. - Z czegoś takiego nie wychodzi się cało.

Sasza zatrzymał autobus, a zza bramy, roztrzając szczątki szlabanów, nadjechały dwa czarne dostawcze mercedesy. Pognagleni przez bossa James i Bruce zabrali się do przenoszenia łupu do furgonetek.

Tymczasem Sawas mocował się z drzwiami ciężarówki, które wgniecione razem z częścią kabiny nie chciały się otworzyć. Po chwili poddał się i zaczął przeciskać przez okno. Dwa samochody policji lotniskowej zatrzymały się pięćdziesiąt metrów za autobusem. Bracia Krugerowie unieśli karabiny maszynowe i wypalili ostrzegawczo w powietrze.

- Nie zbliżać się! - krzyknął Tony.

Bruce wyruszył w kolejny kurs z dwiema cegłami pod pachą. James już miał zgarnąć ostatnią, kiedy Sasza pchnął go w stronę ciężarówki.

- Idź i pomóż Sawasowi. Chyba utknął.

Sawas przegrywał swoją walkę o wydostanie się z samochodu. James spojrzał przelotnie na strugę wody, jaka sikała z gruzowiska wewnątrz budynku, po czym wskoczył na stopnie prowadzące do kabiny. Złapał Sawasa za kombinezon,

ale mężczyzna beznadziejnie zaklinował się w otworze i łapał powietrze jak ryba.

Kiedy James próbował rozpiąć pasek kasku Sawasa, seria z broni maszynowej omal nie przyprawiła go o zawał. Pośliznął się na stopniu i runął w dół, na pośladki, na szczęście dobrze chronione grubym ubraniem.

James rozejrzał się niespokojnie. Nigdzie nie było śladu po Brusie ani Krugerach, a odgłos strzałów zdawał się dochodzić zza pozostałości po budce strażniczej. Wartowniczką zdążyła wyskoczyć przed uderzeniem ciężarówką, a teraz, kryjąc się za szczątkami, ostrzeliwała koła czarnych furgonetek stojących niespełna dziesięć metrów od niej.

Kierowcy mercedesów nie mieli innego wyjścia, jak tylko na pełnym gazie wycofać się przez roztrzaskane szlabany. James zerwał się na równe nogi. Wyglądało na to, że wszyscy oprócz niego zdążyli skryć się w furgonetkach, i jego jedynym towarzyszem był półprzytomny Sawas.

Rozważył pomysł ucieczki, ale wobec strzelca za stróżówką i dwóch radiowozów - które dopadłyby go z pewnością, skoro Krugerowie już nie osłaniali go ogniem - jedynym rozsądnym wyjściem wydawała się kapitulacja.

Wtedy dostrzegł Saszę leżącego plackiem na podłodze autobusu.

\*

Michael był dobrym strzelcem. Poświęcił sporo czasu na ćwiczenia ze swoim kompaktowym pistoletem, a bydlak, który pociął Gabriellę, był niecałe dziesięć metrów od niego. To byłby łatwy strzał.

Cherubinom wpaja się zasadę, że za spust pociąga się tylko w obliczu bezpośredniego zagrożenia, a Szczur nawet nie wiedział, że ktoś trzyma go na muszce. Jednak wyszkolenie Michaela przegrywało z miłością do Gabrielli. Pragnął, by człowiek, który omal nie pozbawił jej życia, cierpiał, a jego nienawiść była wprost przytłaczająca.

„Czy ujdzie mi to na sucho? Być może. Czy będę mógł z tym żyć? Z pewnością. Czy zabicie go uczyni mnie tak samo złym jak on? Czy naprawdę jestem w stanie odebrać życie innemu człowiekowi?”.

Choć nienawidził Szczura do szpiku kości, Michael ze zdumieniem odkrył, że nie ma serca, by zabić go z zimną krwią. Opuścił lufę i pomyślał o postrzeleniu mordercy w pośladek albo nogę, ale zrezygnował, wiedząc, że bez względu na miejsce trafienia, jeżeli kula rozerwie tętnicę, uśmierca człowieka w ciągu trzech minut.

Trzaśnięcie drzwi i tupot nóg na korytarzu skłoniły Michaela do obejrzenia się za siebie. Najpierw pomyślał o dwóch Szczurach, którzy zostali w samochodzie, ale po chwili usłyszał głosy: histeryczne łkanie kobiety i bas mężczyzny starającego się ją uspokoić. Policja musiała przyznać priorytet wzywaniu ze szkoły.

- Tu policja, czy mnie słyszysz?!

Na zewnątrz Azjata zatrzymał się i rozejrzał niepewnie. Zgubił Michaela i nie bardzo wiedział, co robić.

- Słyszę! - odrzyknął Michael.

- Odłóż broń na podłogę i pchnij na drugi koniec sali - powiedział spokojnie policjant. - Chcę ją zobaczyć, kiedy tylko uchylę drzwi.

Michael rozważył pomysł ucieczki przez czerwone drzwi i zaatakowania Szczura, ale policjanci z patroli interwencyjnych pracowali parami i najbardziej prawdopodobnym zakończeniem takiej akcji byłaby kula w jego własnych plecach, a na to nie miał ochoty mimo kamizelki kuloodpornej i nanorurek.

- Pospiesz się! - krzyknął gliniarz.

- Odkładam broń! - zawołał Michael.

Kliknął bezpiecznikiem, wytrząsnął magazynek i odrzucił wszystko na drugą stronę sali bibliotecznej. Jeden z policjantów musiał zaglądać przez drzwi na tyłach, bo wparował

do środka niemal w tej samej chwili, biorąc Michaela na muszkę. Tekturowy Alex Rider runął na podłogę wraz z wystawką Strrasznych Historii.

- Ręce na głowę! Na głowę!

Michael wypełnił polecenie. Do sali wtargnął drugi policjant.

- Wstawaj! Twarzą do ściany!

Kiedy gliniarz cisnął Michaela na półkę z książkami, by zatrzasnąć mu kajdanki za plecami, Szczur zauważył policyjny mundur w bibliotece i puścił się biegiem w stronę szkolnej bramy.

- Okej, młody - warknął policjant, odrywając Michaela od półki i popychając w stronę kolegi, by ten mógł go przeszukać.

- Jesteś aresztowany. Masz prawo zachować milczenie. Wszystko, co od tej pory powiesz, może zostać zapisane i użyte przeciwko tobie.

- On ma kompletny strój kuloodporny - powiedział drugi glina z niedowierzaniem, wydobywając komórkę i nóż z kieszeni spodni zatrzymanego. - Posiadanie broni palnej, napad... Wlepią ci piątkę jak nic, a nie możesz mieć więcej niż szesnaście lat...

- Do wozu z nim - rozkazał pierwszy policjant.

Michael zastanawiał się, czy Gabriella chciałaby, żeby pociągnął za spust.

## 46. FORSA

Sasza wyskoczył z autobusu i przygarbiony pobiegł w stronę dziury w terminalu, ściskając pod pachą kostkę z ćwierci miliona dolarów. James nie chciał oberwać kuli i zastanawiał się, czy nie powinien udać, że go postrzelono, a schwytanie Saszy pozostawić policji. Z drugiej strony gangster znał lotnisko jak własną kieszeń, zaś perspektywa jego ucieczki nie przypadła Jamesowi do gustu.

James przedarł się przez stos gruzu i pobiegł za Saszą korytarzem z pustaków, w którym kobiecy głos uparcie przypominał wszystkim, że ogłoszono alarm, i prosił o ewakuowanie się z terminalu najbliższym wyjściem.

Trzydzieści kroków dalej znaleźli się w składziku zawałonym stosami wczorajszych gazet i pudełek z chipsami. Sasza wystawił głowę za drzwi na drugim końcu pomieszczenia i zlustrował opuszczony sklep.

- Teren czysty - wyszeptał.

Przykucnąwszy, przekradli się między dwa stojaki na gazety i ostrożnie wyjrzeli na główny hol terminalu. Kiedy przyjechali, hala huczała od tłumu ludzi; teraz była wymarła, a kościelną ciszę burzył jedynie komunikat wciąż nadawany przez głośniki oraz popiskiwanie butów uzbrojonego policjanta patrolującego wypolerowaną podłogę.

- Jest bezpiecznie? - zapytał James.

Ale Sasza nie słuchał, tylko sięgnął za ladę i wydobył stamtąd dużą torbę na zakupy.



- Otwórz - polecił, podając torbę Jamesowi.

James rozszczepił brzegi torby, by gangster mógł wrzucić do niej cegłę z pieniędzy.

- Jak się wydostaniemy? - zapytał James, nie mogąc odebrać wzroku od karabinu policjanta.

Sasza wskazał na drzwi sklepu, a potem przesunął palec w lewo. Jednocześnie drugą ręką sięgnął do kieszeni spodni i wyjął nóż.

- Pasażerów zapędzili pewnie na dworzec autobusowy, pięćdziesiąt metrów stąd - wyjaśnił szeptem. - Wystartujemy, kiedy Robocop będzie patrzył w drugą stronę. Ważne, żebyśmy wydostali się na zewnątrz, a tam oprócz nas będą dwa tysiące ludzi czekających, aż wpuszczą ich tu z powrotem.

Czując, że żołądek fika mu koziołki ze strachu, James patrzył, jak Sasza wtyka nóż do torby i rozcina folię, w którą zawinięte były pieniądze. Przyszło mu do głowy, że mógłby postrzelić gangstera w nogę, ale zanim wykonał jakikolwiek ruch, Sasza wetknął mu w dłoń pęk studolarówek.

- Co to jest? - zdumiał się James.

- Kontrola tłumy - odrzekł Sasza tajemniczo i poruszył brwiami.

\*

Skradzione pieniądze z powodzeniem zmieściłyby się w jednej furgonetce, ale Sasza obstalował dwie, ponieważ przy ograniczonych siłach policji dwa samochody znacznie zwiększały szansę na urwanie się pościgowi z przynajmniej połową łupu.

Bruce wylądował w kabinie ładunkowej mercedesa z Timem Krugerem, ośmiuset tysiącami dolarów i dziurą w lewej tylnej oponie. Po dziesięciu minutach niezbyt komfortowej jazdy zatrzymali się na zarośniętym podwórku na skraju osiedla Thornton.

Kółko czekał na nich za kierownicą mocnego bmw z otwartym bagażnikiem. Jedna kostka pieniędzy trafiła do beemki, zaś dwie pozostałe, należące do braci Krugerów, Tim włożył do torby na kółkach, którą następnie przeciągnął przez chodnik, by wrzucić do bagażnika renault zaparkowanego przy ulicy.

Kiedy Kółko odjechał w ślad za renault, Riggsy, który prowadził furgonetkę, wyjął zza fotela kanister z benzyną i zaczął rozlewać ją w samochodzie.

- Coś pan się zrobił taki markotny, panie Bruce? - wyszczerzył się.

- Gdzie druga furgonetka? - zapytał Bruce z niepokojem. - Widziałeś, co się stało z Jamesem i Saszą?

- Inne miejsce spotkania - wyjaśnił gangster.

- Ale ja jestem pewien, że oni zostali - zdenerwował się Bruce. - Podbiegłem do furgonetki, wskoczyłem, a potem widziałem, jak Tony wskakuje do drugiej...

Riggsy nie lubił nastolatków i szybko się irytował.

- Uspokój się, dzieciaku. Zdejmuj ten kombinezon i wrzucaj do wozu. Muszę to wszystko zjarać.

Bruce tak bardzo martwił się o Jamesa, że kompletnie zapomniiał o napisie „Luton Ochrona” na swoich plecach.

- Jak robi się gorąco, to przede wszystkim nie wolno tracić głowy - powiedział Riggsy, podczas gdy Bruce pospiesznie ściągał kombinezon. - Wracaj do Zoo, wymyśl jakieś alibi, tylko żeby było dobre, i nie wychylaj się. Cokolwiek się zadzieje, nie próbuj kontaktować się z Saszą, dopóki on nie skontaktuje się z tobą. Jak chcesz, to mogę podrzucić cię do autobusu.

Riggsy wyjął zapalniczkę i rzucił Bruce'owi ponagląjące spojrzenie. Bruce spojrział do kabiny ładunkowej furgonetki i uświadomił sobie, że patrzy na kopalnię śladów kryminalistycznych. Były tam odciski palców, DNA połowy gangu Wściekłych Psów, a także kilka par kombinezonów.

Misja tak czy owak była skończona, a na placu boju pozostał tylko on i Riggsy.

- Oj, psiakrew... - zaklął Bruce. - Pomóż mi. But mi utknął w nogawce.

- Cholera - wysyczał Riggsy. - Nie mogłeś najpierw zdjąć butów?

Zbliżył się, żeby pociągnąć za nogawkę, a wtedy Bruce kopnął go prawą nogą w bok głowy. Riggsy padł na twarz. Bruce bez wysiłku wysliznął się z kombinezonu, po czym przykucnął, by upewnić się, że gangster jest nieprzytomny. Następnie rozejrzał się uważnie i nacisnął kciukiem plaster na swojej szyi.

- Chloe?

- Mów, Bruce.

- Wiesz coś o Jamesie?

- Z tego, co policja mówi przez radio, wynika, że wciąż jest na lotnisku razem z Saszą - powiedziała koordynatorka.

- Dzięki Bogu - westchnął Bruce, kładąc dłoń na sercu.

- Już myślałem, że go zastrzelili.

- Cóż, jeszcze nie wyszedł z lasu.

- Słuchaj, jestem na skraju Thornton - powiedział Bruce. - Ulica nazywa się Eufonium. Właśnie wyłączyłem jednego z ludzi Saszy i mam tu furgonetkę. Pełno w niej śladów, ale jest zalana benzyną. Możesz podostać tu jakąś policję?

- Spróbuję.

- To ja biorę wóz Riggsy'ego i się zmywam. Tylko słuchaj, kiedy on dojdzie do siebie, to raczej będzie pamiętał, kto mu dokopał.

- Jasne - powiedziała Chloe. - Zawiadomię Rusha i powiem, że to priorytetowa sprawa. Dopilnuję, żeby Riggsy nie miał kontaktu z żadnym Wściekłym Psem, dopóki ty i James nie znikniecie ze sceny.

\*

Sasza odczekał, aż wartownik odwróci się tyłem, po czym puścił się pędem przez halę terminalu z Jamesem depczącym mu po piętach. Nim policjant zorientował się, co się dzieje, dopadli wyjścia ewakuacyjnego i Sasza staranował szklane drzwi, przy okazji powalając na ziemię stojącego za nimi nieuzbrojonego ochroniarza. Ku wielkiej uldze Jamesa tuż za drzwiami stała grupa pracowników lotniska w żółtych odbłaskowych kamizelkach, uniemożliwiając policjantowi oddanie strzału.

Wybiegając na świeże powietrze i słońce, James ujrzał, że dworzec autobusowy i okoliczne parkingi są zatłoczone pasażerami, których ewakuowano z terminalu, kiedy w ścianę budynku uderzyła ciężarówka.

W normalnych okolicznościach tego rodzaju naruszenie bezpieczeństwa pociągnęłoby za sobą blokadę całego terenu lotniska, ale niemal wszystkie siły lokalnej policji były po drugiej stronie miasta, zajęte wyłapywaniem Rzeźników i Szczurów.

Sasza wiedział, że na lotnisku nie ma nawet tuzina policjantów. Aby im uciec, wystarczyło zniknąć w tłumie.

- Darmowa kasa! - krzyknął, przebiegając przez jezdnię przed terminalem.

Jednocześnie wydobyl z torby garść studolarówek i cisnął je w powietrze. Pieniądze były wcześniej zapakowane próżniowo, dlatego poleciały wysoko, nim wiatr rozdzielił je na pojedyncze banknoty.

Sasza powtórzył ćwiczenie, biegnąc przez zatłoczony dworzec autobusowy. Zanim w powietrzu zafurkotała trzecia garść pieniędzy, do ludzi pod wiatami zaczęło docierać, co się dzieje. Rozległo się kilka: „O mój Boże” oraz „Hej, one są prawdziwe”, a kilka osób rzuciło się na kolana po dolary. Kiedy Sasza cisnął w górę czwartą, większą porcję banknotów, ponad stuosobowy tłum zafalował i ruszył za nim, by wyłapać polatujące skarby.

Przy wyjściu z terminalu pojawiło się kilku uzbrojonych policjantów, ale nie mieli szans na schwytanie oddzieleni od nich walczącą o dolary ciżbą.

- Zawsze chciałem to zrobić - wyszczerzył się Sasza i rzucił za siebie ostatnią garść pieniędzy.

W ciągu dwóch minut James i Sasza dobiegli do wielkiego parkingu kilkaset metrów od terminalu. Nikt ich nie ścigał, więc zwolnili do żwawego marszu. Za jedyne towarzystwo mieli ludzi ewakuowanych z lotniska, którzy wrócili do swoich samochodów, by w nich poczekać na rozwój wypadków.

- Musimy pozbyć się tych ciuchów - powiedział Sasza, po czym podniósł do ust krótkofalówkę. - Jestem na parkingu po wschodniej stronie. Czy ktoś może podesłać po nas wóz?

Podczas gdy Sasza mówił, James zauważył policjantkę wyskakującą zza vana na wprost nich. Była to ta sama kobieta, która strzelała zza szczątków budki wartowniczej. Najwyraźniej domyśliła się, że Sasza będzie próbował rozplątać się w tłumie, i zamiast ścigać go przez terminal, obiegła budynek na zewnątrz, by zastawić pułapkę.

- Ręce do góry! - krzyknęła, kierując lufę karabinu w stronę Saszy.

Gangster miał kamizelkę kuloodporną, ale przy tak małej odległości nie mógł mieć pewności, że ta ocali mu życie. James nie miał ochoty pakować się w kolejne kłopoty i odrzucił swój pistolet, ale Sasza ruszył w stronę policjantki.

- Strzel, a dochodzenie w twojej sprawie będzie się ciągnąć miesiącami - wyszczerzył się nieprzyjemnie, wypuszczając z ręki torbę z pieniędzmi. - Tam wciąż jest ponad sto tysięcy baksów. Gdybym zostawił to tutaj dla ciebie, nikt nigdy by się nie dowiedział.

- Ostatnie ostrzeżenie! - krzyknęła policjantka.

Sasza był już niecałe trzy metry od niej. James obejrzał się i ujrzał jeszcze jednego policjanta i funkcjonariusza ochrony lotniska biegnących między samochodami w ich stronę.

- Jeszcze jeden krok i... - zaczęła policjantka, ale widząc, że gangster nie zamierza się zatrzymać, pociągnęła za spust.

- Chryste - syknął Sasza, dziwnie opanowany, kiedy pocisk pchnął go w tył, przewracając na plecy.

Choć kamizelka kuloodporna została przebita, odebrała pociskowi większość energii kinetycznej i metalowa bryłka zaklinowała się między dwoma żebrami.

- No proszę, czyż to nie jest twój szczęśliwy dzień? - uśmiechnęła się policjantka, stając nad Saszą z karabinem wymierzonym w jego twarz.

## 47. CELA

Policja aresztowała trzydziestu sześciu Rzeźników i osiemnastu Szczurów. Czternastu młodzieńców i dwaj funkcjonariusze trafili do szpitala, ale choć pięciu miało poważne rany postrzałowe, cięte, kłute, a do tego poparzenia, ostatecznie tylko jedna osoba zginęła.

Saszę odwieziono pod strażą do szpitala, Jamesa zaś rozebrano do bokserów i wtrącono do policyjnej celi. Sąsiednie cele pękały w szwach wypełnione Szczurami lub Rzeźnikami walącymi w ściany i obrzucającymi się nawzajem groźbami karalnymi.

Co pewien czas pojawiał się policjant, który zabierał kogoś na przesłuchanie. Pamiętając o dwóch funkcjonariuszach w szpitalu i innych odesłanych na urlop z różnymi obrażeniami, ci, którzy pozostali na służbie, nie bawili się w czerwie z zatrzymanymi. Każdy, kto pyskował, dostawał pięścią lub pałką w brzuch, a skarżącym się na głód i pragnienie radzono serdecznie, żeby się zamknęli albo pili wodę z toalety.

- Czyściliśmy kible dopiero co w zeszłym roku - zarechotała krzepka policjantka. - Nie krępujcie się, chłopaki.

Nienawiść do glin była jedyną rzeczą, jaka jednoczyła wrogie gangi. Słowa policjantki zainspirowały więźniów do chóralnego skandowania: „Pokaż cycki”, które urwało się dopiero wtedy, gdy do celi najgłośniejszego Szczura wparowało trzech policjantów z tarczami. James słyszał jego wrzask, kiedy przyparli

go do ściany, by policjantka mogła zademonstrować niewłaściwy sposób użycia teleskopowej pałki.

Po ponad dziesięciu godzinach bez jedzenia i picia - jeśli nie liczyć jednego mikroskopijnego kartonika soku pomarańczowego - James poderwał się z podłogi na dźwięk otwieranych drzwi celi.

- Twoja matka musi się puszczać z komendantem głównym - zadrwił żujący gumę policjant, rzucając Jamesowi sztywny papierowy kombinezon i klapki. - Wychodzisz, mały.

- A moje ubranie?

- Wszystkie twoje rzeczy przekazano laboratorium do zbadania. Jak pewnie się domyślasz, kolejka jest spora, więc raczej nie nastawiaj się, że je zobaczysz po tej stronie Gwiazdki.

James naciągnął kombinezon na kończyny i zapiął suwak z przodu. Klaskając klapkami o pięty, ruszył za policjantem do biura dyżurnego sierżanta.

- Podpisz tutaj i tutaj - powiedział sierżant, klepnąwszy w biurko podkładką z jakimś papierem.

James był wykończony i omal nie napisał James Adams zamiast James Beckett; ale nawet gdyby się pomylił, pewnie i tak nikt by niczego nie zauważył.

- I nie wracaj - powiedział pierwszy policjant, wypychając go za drzwi biura.

James nie miał telefonu, pieniędzy ani nawet przyzwoitego ubrania, dlatego trochę się martwił swoją najbliższą przyszłością, dopóki nie ujrzał Chloe stojącej na końcu korytarza.

- Wszystko dobrze? - zapytała koordynatorka, wręczając mu butelkę wody, duży owoc i batonik z orzechami.

- Kocham cię - jęknął James, po czym wyluskał baton z opakowania i wypchał sobie nim usta. - Umeham słodu.



- Chodźmy - powiedziała Chloe, patrząc z uśmiechem, jak James odkręca butelkę i wypija duszkiem połowę wody. - Maureen i reszta czekają na parkingu.

- Dokąd jedziemy? - zapytał James po cichu, kiedy schodzili po schodach. - Do kampusu?

- Bezpośrednio - skinęła głową koordynatorka. - Bruce znokautował Riggsy'ego, żeby uratować ślady. Podaliśmy mu narkotyk, znaczy Riggsy'emu, żeby nie pamiętał zbyt wiele, kiedy się ocknie, ale paru Psów wciąż wałęsa się po ulicach i wołałabym, żebyście na nich nie wpadli.

Chloe zaprowadziła Jamesa do minivana zaparkowanego w mroku pomiędzy radiowozami. Za kierownicą siedziała Maureen, w środkowym rzędzie Bruce, a w ostatnim Michael w takim samym kombinezonie, jaki miał na sobie James.

- Zdaje się, że tylko ja byłem na tyle sprytny, żeby nie dać się złapać - zachichotał Bruce, kiedy James usiadł obok niego.

James obejrzał się, by zapytać Michaela, czy z nim także wszystko w porządku.

- Gliny potraktowały mnie jak śmieć, ale przeżyję.

- Michael mówi, że pod magazynem była jatka - wyszczerzył się Bruce, podczas gdy Maureen wyprowadzała toyotę z parkingu.

- Co z Majorem Dee? - zapytał James.

- Nic. - Chloe wzruszyła ramionami. - Z tego, co wiemy, zwiął, kiedy tylko zobaczył Szczury. Policja śledziła jego wóz, ale kiedy go zatrzymali, nie znaleźli niczego. Żeby chociaż szczyryk czy skręt w schowku. Ale nic.

James cmoknął.

- No to kupa. A co z obserwacją? Nie nagrali jakichś żołnierzy Dee w magazynie, jak szykowali dostawę koki?

Bruce pokręcił głową.

- Masz na myśli dostawę talku?

- Co?! - zachłysnął się James.

Toyota pisnęła oponami na ostrym zakręcie. Chloe skinęła głową.

- Po ciężkich walkach policja zdołała wreszcie otoczyć magazyn - wyjaśniła. - Wybuch zniszczył dużo śladów, ale bagażnik samochodu był zamknięty i paczki z towarem przetrwały pożar. Kłopot w tym, że już wcześniej ktoś je podmienił.

- Myślisz, że rąbnął je Sasza? - zapytał James.

- Jesteśmy prawie pewni, że stał za tym Szymon Bentine, czy działał z Wściekłymi, czy bez nich - odpowiedziała Chloe.

- Policja weszła do jego biura, ale on rozpląnął się w powietrzu.

James próbował poukładać sobie w głowie wszystkie fakty.

- Czyli mamy Saszę. Sawas jest w szpitalu, a Bruce uratował furgonetkę przed spaleniem, co powinno dać nam dość dowodów, by udupić Riggsy'ego i całą resztę Psów.

- Zgadza się - przytaknęła Chloe.

- Ale po Krugerach i pieniądzach nie ma śladu - zauważył Bruce. - Kółko i inni, którym udało się zwiać, nieprędko pokazą twarze.

- Ale wszyscy są albo w pudle, albo muszą się ukrywać, co nie jest złym wynikiem - powiedział James.

- To nie zmienia faktu, że daleko stąd do naszego pierwotnego planu zwabienia dwóch gangów do jednego małego magazynu i otoczenia ich glinami - dorzucił Michael.

- Szkoda - ziewnęła Chloe. - Nie ruszymy Majora Dee i nikogo nie oskarżymy z narkotykowych paragrafów, bo nie było żadnych narkotyków.

Maureen potrząsnęła głową.

- A w tym chaosie ciężko będzie ustalić, która broń należała do kogo. Każdy będzie twierdził, że podniósł cudzy pistolet, żeby użyć w samoobronie w obliczu zagrożenia życia. Nikt nie

będzie zeznawał. Prawnicy będą musieli się nieźle nagłowić, żeby wysmażyć jakiegokolwiek oskarżenie.

- A wojna gangów wciąż trwa - zagrział dramatycznie Bruce. - Tyle że Rzeźnicy to szajbusy i bez Wściekłych Psów trzymających ich w szachu to będzie masakra.

- Z drugiej strony Szczury mają sporo ludzi - wtrącił Michael. - Z dobrym bossem byliby konkurencją dla Rzeźników.

- Może się w końcu zorganizują - powiedział Bruce. - Musi się znaleźć choć jeden Szczur, który będzie miał parę szarych komórek na krzyż.

James gapił się na przepływające za oknem latarnie, czując wzbierającą irytację. W końcu nie wytrzymał.

- Krótko mówiąc, męczyliśmy się dwa miesiące, próbując powstrzymać wojnę gangów, a udało nam się tylko pogorszyć sytuację.

- Wcale niekoniecznie - powiedziała Chloe, czując się w obowiązku pocieszyć sfrustrowanych podopiecznych. - Zebrałiśmy bardzo dużo informacji, których wydział do walki z gangami użyje w swoich przyszłych operacjach. To, że wracamy do kampusu, jeszcze zanim ktokolwiek trafił do więzienia, wcale nie znaczy, że nasza misja skończyła się porażką.

- Marna pociecha - powiedział Bruce. - A było już tak blisko.

- Ooo, burgery! - James ożywił się na widok mijanego fast foodu. - Możemy się zatrzymać? Pliiz! Poza tą czekoladką nie jadłem nic od śniadania.

- Nie cierpię tego tłustego szajsu - skrzywił się Michael. - Mam mdłości na sam widok.

- W tej chwili jestem tak głodny, że wciągnąłbym zdechłego szczura na patyku - wyznał James.

Maureen zerknęła w bok na swoją szefową.

- Przed nami rondo, Chloe. Mogę zawrócić, jeżeli chcą coś przekazać.

- Nie - powiedziała Chloe stanowczym tonem. - Poczekajmy, aż wyjedziemy z Luton. Chcę się znaleźć tak daleko od tej zapomnianej przez Boga dziury, jak tylko się da.

- I nigdy nie wrócić - dodał Bruce.

## 48. POKUTA

James dotarł do kampusu po jedenastej, a zanim wziął kąpiel i pozbył się papierowego ubranka, zrobiło się bliżej północy. Dana już spała, ale rozpaczliwie pragnął się z nią zobaczyć.

- Hej - powiedział miękko, siadając na łóżku i muskając dłońią jej podbródek.

Zawsze spała na samym rogu swojego podwójnego materaca, z zakrytą twarzą i dotykając ramieniem ściany.

James poczuł wzruszenie, kiedy rozchyliła powieki i przywitała go półprzytomnym uśmiechem. Dwoma skrętami ciała przepełzła na drugą stronę łóżka, by dać mu miętowego całusa.

- Jak minął dzień?

- Nie najlepiej - powiedział James znużonym tonem. - Musiałem obrabować lotnisko, nasz informator wystawił nas do wiatru i zwiął z koką wartą pół miliona, a gliniarze nie zamknęli nawet połowy ludzi, których mieli wsadzić.

- Widziałam rabunek w wiadomościach - ziewnęła Dana, siadając na łóżku. - Czasem tak to się właśnie kończy, mój drogi. Tak sobie myślę, że w moim wypadku nawet trochę za często.

- Posłuchaj... - zaczął James niepewnie. - Muszę ci coś powiedzieć. To znaczy wyznać, tak jakby...

Dana wyszczerzyła się w radosnym grymasie.

- Kto to był? Chyba nie znowu April Moore?

Jej beztroska zaskoczyła Jamesa.

- Ja... Nie, to nie była April, ale... Jak możesz tak to traktować?

- Przecież cię znam - powiedziała Dana. - Na widok krótkiej spódniczki gały wyłażą ci z orbit, a ja jestem realistką. Prędzej czy później musiałeś kogoś zarwać na misji.

- Ale... to nie tak. To nie jestem prawdziwy ja - zaprotestował James. - To znaczy, no dobrze, trochę byłem taki, kiedy byłem z Kerry. Ale zdradziłem ją tyle razy, że w końcu między nami był już tylko wielopiętrowy fałsz. Laura zaczęła mnie szantażować, a ludzie gadać za moimi plecami. Zrobiło się tak paskudnie, że ledwie mogłem spojrzeć Kerry w oczy. Znienawidziłem się za wszystkie te kłamstwa i wcale nie miałem zamiaru cię zdradzić.

Dana potrząsnęła głową lekko zdezorientowana.

- No ale zdradziłeś, tak?

James nerwowo zatarł dłonie.

- No bo to było tak. Zostałem tak jakby... No cóż... Byłem z córką tego faceta i tak jakby niechcący zaczęliśmy się kochać.

Dana otworzyła usta ze zdziwienia, by po sekundzie ryknąć śmiechem.

- Niechcący! - zawyła. - Jasne, szedłeś sobie, nikomu nie wadząc i pilnując własnego nosa, aż tu nagle potknąłeś się i wylądowałeś na nagiej lasce. Spoko, to się ciągle zdarza - machnęła ręką i znów parsknęła śmiechem.

James był kompletnie zbity z tropu. Spodziewał się łez i rękoczynów.

- To nie było tak - powiedział nieco głośniejszym głosem, by przebić się przez rechot Dany. - Kapałem się, a ona wyskoczyła z ciuchów i weszła mi do wanny. Była całkiem niezła, no i... No co miałem robić? Powiedzmy sobie szczerze, żaden facet nie odmówiłby w takiej sytuacji.

- No dobra, przyznałeś się - powiedziała Dana, poważniejąc. - Co teraz?

Teraz, kiedy przestała się śmiać, James dostrzegł w jej oczach ból.

- Nie wiem - powiedział cicho. - Byłem głupi i przysięgam, że to się już nigdy nie powtórzy. Możesz mi za to zrobić, co tylko chcesz. Jeśli masz ochotę mnie uderzyć, to wal. Albo postawię ci kolację. Albo napiszę za ciebie wypracowanie, cokolwiek, tylko błagam, daj mi jeszcze jedną szansę.

- Czy ktoś jeszcze wie? - zapytała Dana.

- Bruce wszystko słyszał, ale przyrzekł, że nikomu nie powie.

- Czyli nie przyleciałeś tu tylko dlatego, żebym nie dowiedziała się w jakiś inny sposób?

James zaprzeczył potrząśnięciem głowy, a potem wstał z łóżka i patrząc na Danę, rozłożył szeroko ramiona.

- Wal. Złam mi rękę. Kopnij w jajca - powiedział uroczyście. - Zasłużyłem na to.

- Nie - odparła Dana. - Chcesz, żebym sprawiła ci ból, tylko po to, żeby ukoić twoje poczucie winy. Chcesz, żebym zrobiła jak Kerry: wpadła w szal, rzucała w ciebie rzeczami, biła i wyzywała od najgorszych. Myślisz, że tak wyrównamy rachunki, a potem pocałujemy się, przytulimy i wszystko znowu będzie tak jak dawniej? Otóż przykro mi, ale nie dam ci tej satysfakcji.

James zmartwiał.

- Rzucasz mnie?

- Czy ja coś takiego powiedziałam?

- Ja kurde już nie wiem, co ty do mnie mówisz! - zawołał James, łapiąc się za głowę. - Zachowujesz się jakoś dziwnie. Mogłabyś przynajmniej wytłumaczyć mi, jak się z tym czujesz?

Dana podrapała się w nos.

- Bo ja wiem... skrzywdzona, zagubiona... Nie potrafię tak po prostu ci wybaczyć, ale naprawdę doceniam, że byłeś uczciwy tam, gdzie nie musiałeś być. Nie ryzykowałbyś tak, gdyby ci na mnie nie zależało.

- Nienawidziłem tych kłamstw pomiędzy mną i Kerry - powiedział smutno James. - Nie chcę, żeby z nami było tak samo.

Dana poklepała łóżko obok siebie.

- Byłoby miło, gdyby ktoś mnie przytulił.

Jamesowi zaszklify się oczy, kiedy usiadł i mocno uściśnął swoją dziewczynę.

- Naprawdę mi przykro - wyszeptał. - Okropnie za tobą tęskniłem, kiedy mnie nie było, i tak strasznie się bałem, że mnie rzucisz.

Chłodne palce Dany wśliznęły się Jamesowi pod koszulkę. Przy uchu usłyszał jej zmysłowy szept.

- Masz piętnaście lat, ja szesnaście... Niedługo to łóżko zobaczy coś więcej niż tylko pocałunki.

- A może już teraz? - rozpromienił się James.

Dana zebrała dłonią tłuszczyczek na jego plecach i dźgnęła fałdkę kciukiem.

- Na twoim miejscu nie przeciągałabym struny.

- Jestem okropnie prosię - przyznał James, unosząc ręce i pozwalając, by Dana odepchnęła go od siebie. - Przepraszam.

- Jest jedna rzecz - powiedziała dziewczyna, poważniejąc. - Skoro ta laska ma w zwyczaju wskakiwać do wanny z ludźmi, których ledwie zna, to pewnie spała już z niejednym. Krótko mówiąc, mogła ci podarować coś więcej niż trochę frajdy.

James potrząsnął głową.

- Bez obaw, miałem prezuska.

- Cóż, lepsze to niż nic - odparła Dana. - Ale prezerwatywa nie jest stuprocentowo skuteczna i na pewno nie ochroni cię przed



mendami. Chciałabym, żebyś zgłosił się do lekarza i umówił na badanie.

- Dana, daj spokój. Ona jest w naszym wieku i zrobiliśmy to tylko raz...

- Więcej nie trzeba.

- Ale ja nie mam jeszcze szesnastu lat - zaprotestował James. - Jak pójde z tym do medycznego, to mnie wywalą.

- Wyniki badań są poufne. James jęknął przeciągle.

- Dobra, okej, rano pójde i się umówię.

- W porządku. A ja pójde z tobą, na wypadek gdybyś spie-trał.

- Dlaczego miałbym? Nieraz pobierali mi krew.

- A kto mówi o badaniu krwi? - uśmiechnęła się krzywo Dana. - Pamiętasz ten film, który oglądaliśmy w klasie. Z tą wielką grubą pałeczką z watą, którą wtykają ci w otwór w penisie, żeby pobrać wymaz?

- Że co? - parsknął James.

- Pewnie nie widziałeś - podjęła Dana. - Dziwne, ale z jakiegoś powodu wszyscy chłopcy w klasie mieli zamknięte oczy.

- To wyglądało naprawdę boleśnie - skrzywił się James.

- Twój wybór, najdroższy - ucięła Dana. - Faktem jest, że kilka razy prawie daliśmy się ponieść emocjom, a ja nie zamierzam głupio ryzykować, zatem albo się zbadasz, albo szukaj sobie nowej dziewczyny.

- Dobra, dobra - powiedział James słabym głosem. - To tylko ból, no nie? Poza tym to faktycznie ma sens.

- Jaka szkoda, że nie pozwalają ludziom patrzeć - uśmiechnęła się Dana. - Zarobiłabym krocie na biletach wstępu.

## EPILOG

Po aresztowaniu SASZA THOMPSON spędził jedenaście dni w szpitalu, dochodząc do siebie po postrzale. Najprawdopodobniej życie uratowała mu kamizelka kuloodporna. Później stanął przed sądem za rozbój, nielegalne posiadanie broni, kradzież samochodu, podburzanie do zamieszek oraz niszczenie mienia. Skazano go na czternaście lat więzienia.

DAVID KEMP (vel KÓŁKO) został schwytyany podczas próby wejścia na pokład promu płynącego do Francji. Miał przy sobie walizkę zawierającą dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Oskarżony o spisek w celu dokonania rozboju, kradzież pojazdu oraz posługiwanie się fałszywym paszportem został skazany na cztery lata pozbawienia wolności. Pierwszą część wyroku odsiedzi w zakładzie karnym dla młodocianych.

Tkwiąc podduszony w oknie ciężarówki, SAWAS THE-OKELISIS doznał trwałego uszkodzenia mózgu w wyniku niedotlenienia. Koronna Służba Prokuratorska próbowała wnieść oskarżenie, lecz sędzia oddalił je, uważając, że stan podsądne-go nie pozwala na przeprowadzenie postępowania.

Obecnie Sawas, którego zdolności intelektualne są mocno ograniczone, mieszka pod opieką swojej matki i młodszej siostry.

Kobiety wystąpiły do sądu z wnioskiem o odszkodowanie, twierdząc, że policjanci przez cztery godziny przetrzymywali Sawasa w celi, odmawiając mu stosownej pomocy medycznej.

KELVIN HOLMES został przesłuchany w związku z obrabowaniem bunkra na osiedlu Rudge. Choć w mieszkaniu znaleziono jego odciski palców i DNA, napadnięci handlarze odmówili zeznań i policji przyszło odstąpić od oskarżenia. Obawiając się zemsty Rzeźników, Kelvin wyprowadził się z Luton. Podobno obecnie mieszka w południowym Londynie.

Dziewięciu członków rozbitego gangu Wściekłych Psów otrzymało wyroki od trzech do dwunastu lat więzienia za przestępstwa związane z akcją na lotnisku. ALAN „RIGGSY” RIGGS odsiedzi dziewięć lat.

Policja nadal szuka pozostałych sprawców napadu, w tym braci TIMA i TONY'EGO KRUGERÓW, jak również ponad miliona dolarów należących do rządu Stanów Zjednoczonych.

Trybunał Koronny zmiażdżył JUNIORA MOORE'A kdeksem. Młodzieniec został oskarżony o rozbój, posiadanie broni, posiadanie kokainy, stawianie oporu przy zatrzymaniu i złamanie warunków wcześniejszego zwolnienia. Dostał siedem lat, najsurowszy wyrok, jaki w Anglii można wydać na szesnastolatka.

Sędzia poprosił, by Juniora objęto programem terapii odwykowej dla młodzieży uzależnionej od narkotyków i alkoholu. Niestety, fundusze tego rodzaju programów są ograniczone i pierwszeństwo przyznaje się osobom odsiadującym krótsze wyroki.

DeSHAWN ANDREWS (vel MAJOR DEE) został przestuchany w związku ze strzelaniną pod magazynem, a następnie wypuszczony bez wnoszenia zarzutów. Przez następne miesiące Dee toczył krwawą wojnę ze Szczurami. Ofiarą walk padła między innymi Zielona Papryka, którą spalono do szcztetu.

W połowie 2007 r. kilku najbliższych współpracowników Majora Dee zatrzymano w związku z morderstwem AARONA REIDA i dwóch innych nastoletnich chłopców. Obawiając się oskarżenia, Dee uciekł z kraju, najprawdopodobniej na rodzinną Jamajkę. Obecnie jest poszukiwany w związku z jedenastoma morderstwami.

SZYMON BENTINE - twórca misternego planu zrabowania kokainy z beczek oleju pod nosem policji, Wściekłych Psów i Rzeźników - zdołał sprzedać skradzione narkotyki i umknąć z Wielkiej Brytanii. Wkrótce dopadli go wspólnicy Majora Dee. Jego sponiewierane zwłoki odnalazła jamajska policja.

NORMAN LARGE i jego adoptowana córka HAYLEY obecnie mieszkają siedemdziesiąt kilometrów od kampusu CHERUBA. Norman pracuje jako agent ochrony i pomocnik sklepowy. Jego podanie o przyjęcie na szkolenie dla strażników więziennych odrzucono z powodu kłopotów z sercem.

Po okrutnym pobiciu przez Saszę Thompsona stan zdrowia zmusił CHRISA JONESA do zrezygnowania z fotela radnego i pracy nauczyciela przyrody. Jones ma kłopoty ze wzrokiem i cierpi na częściowy paraliż lewej strony ciała.

STARSZY INSPEKTOR MARK RUSH nadal dowodzi wydziałem do walki z przestępczością zorganizowaną policji

Bedfordshire. Mimo niepowodzenia planu rozbicia grup Wściekłych Psów i Rzeźników za jednym zamachem Rush uważa upadek Wściekłych Psów za ważny sukces w walce z przemocą gangów.

Dochodzenie w sprawie przecieków, za sprawą których Sassa Thompson dowiedział się o policyjnym nalocie na magazyn, ujawniło powiązania pomiędzy Wściekłymi Psami a dwoma pracownikami administracyjnymi wydziału inspektora Rusha. Oba zwolniono w trybie dyscyplinarnym, jednakże z braku wystarczających dowodów nie wniesiono oskarżeń.

Komitet etyki CHERUBA sporządził po misji obszerny raport, w którym pochwalono czwórkę agentów za odwagę i zaangażowanie, zaś CHLOE BLAKE i MAUREEN EVANS skrytykowano za nadmierny optymizm przy ocenie stopnia ryzyka.

Po opuszczeniu kampusu KYLE BLUEMAN spędził siedem tygodni, mieszkając u Meryl Spencer, po czym wyruszył w podróż dookoła świata wraz ze swoim starym przyjacielem Rodem Nilssonem. Kiedy wróci, rozpocznie studia prawnicze na Uniwersytecie Cambridge.

Zara Asker puściła w niepamięć incydent z Normanem Large'em i pozwoliła Kyle'owi na odwiedzanie przyjaciół podczas świąt, a nawet na dorabianie sobie dorywczymi pracami w kampusie.

DANA SMITH umówiła JAMESA ADAMSA na wizytę u lekarza. Badanie okazało się bardziej zenujące niż bolesne i nie wykazało żadnych dolegliwości.

LAURA ADAMS nie jest zadowolona z zakazu wykonywania misji, ale znakomicie dogaduje się z większością dzieci,

którymi musi się opiekować co wieczór - choć są wśród nich i takie, którym z radością oklepałaby czaszki.

Kondycja GABRIELLI O'BRIEN poprawia się niemal z dnia na dzień. Gabriella regularnie biega i rozpoczęła bezkontaktowe treningi w dojo. Jej związek z MICHAELEM HENDRYM pozostaje równie bliski jak zawsze.

Prezes Zarze Asker zaimponowała przytomność umysłu, jaką okazał BRUCE NORRIS, ratując przed zniszczeniem furgonetkę pełną cennych śladów. Za to oraz za wzorową postawę w ciągu całej misji Bruce został nagrodzony czarną koszulką CHERUBA.